

Mieszkańcy **dziewiętnastowiecznej** Galicji
pod zaborem austriackim nie mają łatwego życia.

NIEPOŁOMICE

Zniewoleni



EDYTA
ŚWIĘTEK

EDYTA
ŚWIĘTEK

NIEPOŁOMICE

Zniewoleni



Spis treści

Karta redakcyjna

Od autorki

Rozdział 1. Przekłeta dola

Rozdział 2. Ludzie o dobrych sercach

Rozdział 3. Rodzina

Rozdział 4. Miłosny zawrót głowy

Rozdział 5. Krew na śniegu

Rozdział 6. Zgliszcza

Rozdział 7. Czas łez

Rozdział 8. Diabelskie sprawki

Rozdział 9. W przededniu zawieruchy

Rozdział 10. Czas próby

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©*Elena Preo/Shutterstock*;
Radosław Maciejewski/Shutterstock;
©*Toni Hukkanen/Unsplash*;
©*KathySG/Shutterstock*

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia w środku
str. 6, 49, 95, 125, 163, 193, 227, 287, 307: Mieczysław Jan Jagła,
str. 321: Polona.pl

Zdjęcie autorki na okładce
Grzegorz Świętek

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021
© Copyright by Edyta Świętek, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66939-49-3



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy!

Oddaję w Wasze ręce kolejną sagę. Tym razem postanowiłam umieścić akcję w okolicach bliskich memu sercu. Niepołomice to urokliwe miasteczko o wielowiekowej tradycji i niezwykle bogatej historii. Nie sposób opisać wszystkich wydarzeń, które się tutaj rozgrywały, lecz część z nich postanowiłam wykorzystać jako kanwę nowej opowieści.

Przedstawione w niniejszej książce sytuacje i postaci są na wskroś fikcyjne, choć fabuła mocno splata się z realiami oraz cieniami faktycznie żyjących ludzi. Prawdą jest, że w pobliżu Niepołomic z dawien dawna mieszka rodzina Trzosów, której ziemię nadał sam król Kazimierz Wielki. Ja jednak wykorzystałam tę historię jako inspirację do stworzenia bohaterów, którzy nie mają absolutnie nic wspólnego z potomkami tamtego rodu.

Pokusiałam się o to, by przynajmniej częściowo wykorzystać w dialogach gwarę, jaką posługują się bądź posługiwali w przeszłości niepołomiczanie. Oczywiście nie sposób we współczesnej powieści wiernie oddać języka sprzed lat, nie siliłam się na prowadzenie narracji archaiczną polszczyzną, lecz nie mogłam opanować pokusy wtrącenia w nią choćby kilku wyrażen, które szczególnie mocno działają na moją wyobraźnię pisarską.

Serdecznie zapraszam w podróż do XIX-wiecznej Galicji pod rządami austriackich zaborców. Życzę przyjemnej lektury!

Jeżeli macie ochotę podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami po przeczytaniu powieści, zapraszam do kontaktu za pośrednictwem poczty tradycyjnej:

Edyta Świątek
Skrytka Poczтовая 10
32-005 Niepołomice
albo mailowej: edyta.swietek@gmail.com

ROZDZIAŁ 1.

PRZEKLĘTA DOLA



Zamek królewski w Niepołomicach

Rok 1845

Dzień był skwarny, jak przystało na połowę lipca, lecz Bernadeta Trzos za nic miała uwagi świekry^[1], która usiłowała zatrzymać ją w domu, tłumacząc, że targ w Niepołomicach nie jest odpowiednim miejscem dla brzemiennej kobiety.

– Ależ matulu! Przecież pojedziemy z Prokopem furą. Nic małemu nie będzie, daleko jeszcze do mojego czasu. Dopilnuję sprzedaży pierza, jaj i warzyw, a i posłucham, co ludzie gadają. Ckni mi się za gwarem miasta – odparła rezolutnie Betka, głaszcząc się po wypukłości. Należała do krzepkich kobiet, i ciężę było już dobrze znać po jej figurze, choć termin rozwiązania przypadał na listopad. Stan błogosławiony sugerowała rozluźniona na brzuchu sznurówka bogato zdobionego ciemnogrnatowego gorsetu o czerwonym podszyciu, mocno odstające z przodu gęsto naszyte na nim kaletki^[2] oraz wzniesiona biała zapaska osłaniająca perkalową spódnicę zadrukowaną w drobny kwiatowy deseń.

Maria Trzos zmierzyła sneszkę^[3] krzywym okiem. Jej czujnemu spojrzeniu nie uszło, że Bernadeta włożyła odświętną koszulę i takiż fartuch – obydwie rzeczy bieluchne niczym śnieg i pokryte misternymi, ażurowymi haftami. Dodatkowo młoda ozdobiła szyję trzema sznurami karminowych koralów, które spływały spod sutej kryzy.

– Wystroiłaś się jak na niedzielę. Nie żal ci takiej ładnej zapaski? Zaraz ją zbrukasz albo zakurzysz!

– Oj matulu! Nic się nie ubrudzi. Będę ostrożna.

– No... Nie wiem, nie wiem. – Trzosowa pozostawała sceptyczna.

– A dajcie już spokój – westchnęła Bernadeta.

Wszak nie po to włożyła tyle wysiłku w ładny wygląd, by zostać w domu, gdzie był huk prac gospodarskich i nuda. Ją ciągnęło między

ludzi, do miasta! Choć może określenie „miasto” było w tym przypadku lekką przesadą, ponieważ Niepołomice składały się ze zwyczajnych chałup stłoczonych przede wszystkim wokół rynku i kościoła oraz rozsianych w okolicy zamku. Właściwie jeszcze przed kilkunastoma laty miały status wsi, może nie całkiem zwyczajnej, gdyż przed nastaniem Austriaków wchodziły w skład królewszczyny. A ponieważ zarówno Piastowie, jak i wcześnie Jagiellonowie pasjami lubili rezydować w Niepołomicach, aż dziw brał, że sami nie nadali im praw miejskich. Dopiero zaborca nadrobił to zaniedbanie, lecz prócz tego nie wniósł wiele dobrego w życie lokalnej społeczności. Ot, wtarabanił się pewnego dnia z policją konną oraz huzarami węgierskimi, których z czasem zastąpili jegrzy tyrolscy. Z tego tylko kłopot wynikał i ruina dla wspaniałego ongiś zamku, gdyż krótko po tym, jak zajęli go na koszary, uległ poważnemu pożarowi, poprzedzonemu już wcześniejszymi zniszczeniami oraz grabieżami dokonywanymi przez wojsko.

Jakub, świekr Bernadety, wciąż wyklinał najeźdźców i wzdychał, że dobrodziej Kazimierz Wielki, któremu Trzosowie zawdzięczają swój wysoki status materialny, zapewne w grobie przewraca się z boleści. Ciężko byłoby odmówić mu racji, gdyż Austriacy nie pokwapili się, by odbudować strawioną ogniem drugą kondygnację, natomiast w tym, co pozostało, umieścili odpowiednio: na pierwszym piętrze swoje urzędy, a na parterze stajnie dla koni. Zgroza, po prostu zgroza!

– Betko! Betko! – Rozległo się pokrzykiwanie męża.

Kobieta wyrzała przez okno i zobaczyła, że Prokop jest już przygotowany do drogi. Na wozie zamocował nawet ławkę, choć zwykle na targ do Niepołomic jej nie zakładał, ponieważ z reguły albo siedł obok konia, albo powoził, stojąc na dennicy.

– Już lecę! – wykrzyknęła, odwracając się raptownie.

– Chustka! – burknęła Jakubowa, widząc, że Bernadeta gotowa jest jechać do miasta z gołą głową, co absolutnie nie uchodziło statecznej mężatce.

Betka z westchnieniem złapała kwiecistą płachtę, by zakryć starannie zaplecione i upięte warkocze, których w jej stanie nie wypadało już pokazywać publicznie. O swoje włosy dbała niczym, nie przymierzając, szlachcianka, wciąż je szczotkowała i nie żałowała im wody, ku zgorszeniu Kachny i pozostałych dziewczek usługujących w obejściu. Za każdym razem, gdy je myła, pozostałe baby straszyły ją przerażającymi konsekwencjami, włącznie ze śmiercią.

Młoda mężatka przejrzała się w lusterku, poprawiła materiał, a potem zafurkotała spódnicami, i tyle ją widzieli.

– Skaranie boskie! – stwierdziła Trzosowa. – Od roku zameżna, a wciąż ma w głowie pstro!

W gruncie rzeczy lubiła swą synową i rada była, że Prokop właśnie Bernadetę upatrzył sobie na żonę. Jednego go miała, synusia ukochanego. Prócz niego powiła jeszcze trzy córki, z których żadna nie doczekała dorosłości. Gdyby przeżyły, dzisiaj zapewne cieszyłaby się liczną gromadką wnucząt, ponieważ Prokop przyszedł na świat jako ostatni. Po nim zaciążyła jeszcze raz, lecz nie dane jej było donoszenie dzieciątka. Spadła tak niefortunnie z przyczółka^[4] przy udeptywaniu siana, że przez trzy dni leżała w izbie bez życia, brocząc krwią. Nawet znachorka na nic się nie zdała, gdyż maleństwo przyszło na świat grubo przed czasem i od razu wyzionęło ducha. No i jakoś tak się wtedy porobiło, że Maria na zawsze musiała pogrzebać marzenia o kolejnym męskim potomku. Od tamtej pory trzęsła się nad każdą brzemienną, którą miała w obejściu, niczym kwoka nad kurczętami. Gdy Betka zdradziła, że nosi życie pod sercem, rozłożyła nad nią opiekuńcze skrzydła i najchętniej zamknęłaby sneszkę w izbie przy darciu pierza, kołowrotku lub haftach. Nawet do krów nie pozwalała jej chodzić, by czasami któraś krasula nie kopnęła młodej w brzuch, powodując nieszczęście.

Trzosowie byli wyjątkową rodziną. Ich dobrobyt sięgał czasów tak odległych, że człowiek nie zliczyłby lat, które upłynęły od dnia, gdy poprzednio ubogi los uległ odmianie. Swoje nazwisko i bogactwo

zawdzięczali samemu królowi, czym szczylic się na każdym kroku. I, co najważniejsze, nie byli chłopami pańszczyźnianymi, ale wolnymi kmięciami.

Nic więc dziwnego, że kiedy przyszło do wybierania panny Prokopowi, swatano mu najzaciejsze gospodarskie córki z całej ekonomii niepołomickiej. A Prokop tylko kręcił nosem, to znowuż gładził w zamyśleniu bujnego wąsa i wymijająco odpowiadał, że na niego jest jeszcze czas. Ten przechera dawno już miał upatrzoną dziewczeczkę i o żadnej innej nie chciał słyszeć. Wybrał sobie pannę z włości klasztornej w Słomirowie. Wypatrzył ją pewnego dnia podczas odpustu ku czci Matki Bożej Bolesnej w Staniątkach. Betka przechadzała się pośród kramów z chustami, krajkami i łakociami, spoglądając łasym okiem na wyłożone tam towary. On też patrzył łakomie, ale nie na kramy, tylko na nią. Piękna była bowiem jak malowanie. Miała długie warkocze w kolorze gryczanego miodu, czerwone usteczka i piwne oczy. Jej skóra była gładka jak u szlachcianki, ale jak przystało na gospodarską córkę, musnięta promieniami słońca. Gdy Kołodziejówna się uśmiechała, pokazywała cały komplet zdrowych zębów. Krzepka, dorodna – krew z mlekiem! Jej ojca Prokop znał z widzenia, pamiętał, że to kmięć gospodarujący na połowie łąki^[5]. Widywał go i w Staniątkach podczas różnych okazji, i na placu targowym w Niepołomicach. Kiedyś nawet kupił od niego gęsi. Zamarzyła mu się wówczas ta najładniejsza gąseczka w stadzie Kołodzieja.

Nie potrzebował wiele czasu na podjęcie decyzji.

Sęk w tym, że Bernadeta na pierwszych swatów, którzy jeszcze nie przyszli z konkretną propozycją, lecz jedynie niby mimochodem wybadać grunt, prychnęła z pogardą. Miała wtedy podobno powiedzieć, że nie będzie wyrobnicą na tyłu morgach. Trzosowie bowiem posiadali aż dwa i pół łąki własnego gruntu, co stanowiło ewenement. Problemem było to, że wciąż mało mieli ludzi do obrabiania owego arealu, ponieważ ich rodzina nie należała do licznych. Musieli więc

najmować parobków, głównie z sąsiedniego majątku należącego do rodu Żelechowskich. Roboty tam nigdy nie brakowało, bo prócz pracy na roli trzeba było zadbać o żywy inwentarz. A ona nie będzie sobie rąk urabiać po łokcie, bo u tatula i gruntu mniej, i pańszczyzna odrabiana na rzecz klasztoru nie daje się zbyt mocno we znaki. A biedy nie znają, bo nawet na przednówku każdy najada się do syta: i gospodarze, i parobkowie.

Prokop, gdy to usłyszał, najpierw zawrzał gniewem, nie spodziewał się bowiem, że wysłany przez niego z misją swat przyniesie złe wieści. Ambroży, któremu zlecono ową misję, zachował jednak optymizm, bowiem rodzice Kołodziejówny nie byli przeciwni związkowi córki z tak zacnym kawalerem. Problem stanowiła wyłącznie kapryśna panna. Tę jednak na szczęście łatwo dało się przekonać haftowanymi wstęgami do gorsetu, obietnicą zatrudnienia dodatkowych parobków i paradną izbą na mieszkanie dla młodych.

Szybko okazało się, że z Bernadety jest nie lada spryciara. Ot, targowała się po to, by jak najwygodniej ułożyć swe małżeńskie życie. W posagu, prócz pięknie malowanej skrzyni wypełnionej wszelkim dobrem niezbędnym każdej kobiecie i gospodyni, wniosła także sporo żywego inwentarza, a przede wszystkim wiele obrotności i wysoko mierzące aspiracje. Prokopa raz-dwa okręciła sobie wokół palca, zresztą świekrę również, bo wypisz wymaluj przypominała jej najstarszą córkę, Agatkę, która zmarła po stratowaniu przez konia, nie doczekawszy siedemnastego roku życia. Jedynie Jakub wciąż spoglądał na sneszkę podejrzliwie i szukał z młodą zaczepki.

Nawet teraz, ledwo opadł kurz za odjeżdżającym wozem, przyszedł do chałupy, niby po to, by się napić wody, a przy okazji chrząknął znacząco.

– Taa... pojechali se na targ we dwoje. A papierówek nie ma komu pozbierać.

– Daj spokój. Pojechali, to pojechali. Papierówki Betka kazała zebrać Kachnie – wspomniała o siedemnastoletniej komornicy, sierocie

litościwie przygarniętej przez Trzosów. – Obiecała, że jak wróca z Niepołomic, to nasmaży powideł.

– Ot, ekonomka się znalazła. Parobkami mi tu będzie dysponować! Zarządczyni od siedmiu boleści. Co ona se myśli, że jest panią na folwarku? A Kachna mogłaby siano przewrócić – burknął stary, uśmiechając się mimo wszystko pod posiwiałym wąsem.

– Dobrze zarządziła, bo w jej stanie nieporęcznie się schylać. Jabłka się nie zmarnują. A jak już się z nimi Kachna uwinie, to i na łąkę zdąży.

– Od schylania się jeszcze nikt nie umarł – skwitował Trzos, lecz połowica nie pozostawiła mu ostatniego słowa.

– Umarł, nie umarł. Ale Betce to nie służy! Pierwszy raz zaciążyła, lepiej niech się oszczędza. Nie potrzeba nam, żeby straciła dzieciątko. Ty się nie gorączkuj, co ma być zrobione, to się robi – odparła dobitnie, a następnie zaczęła wołać komornicę.

W tym samym czasie Prokop i Bernadeta zmierzali w stronę Niepołomic. Na targ, prócz pierza, które dawno temu mogli spieniężyć, wieźli też nowalijki oraz całe kopy jaj, licząc na to, że ubiją dobry interes. W okolicy działało siedemnastu karczmarzy, z których jeden był Polakiem. Pozostałe gospody należały natomiast do Żydów. Przybytki owe prosperowały więcej niż przyzwoicie, dając utrzymanie niejednej rodzinie i niejedną wiodąc ku zgubie z powodu serwowanej tam gorzały.

Betka czuła się świetnie. Dolegliwości z pierwszych tygodni ciąży bezpowrotnie minęły. Odkąd przestały ją męczyć poranne mdłości oraz niepodobna do niej ospałość, wróciła naturalna energia, która zawsze popychała młodą kobietę do czynu. Trzosowa należała do osób wszędobylskich, towarzyskich i ciekawych świata. Robota paliła jej się w rękach, ponieważ Bernadeta wyznawała zasadę, że im szybciej upora się z obowiązkami, tym prędzej będzie mogła oddać się

przyjemniejszym zajęciom. Oczywiście świekr pokpiwał z niej, że wyspecjalizowała się w wydawaniu poleceń, ale ona odgryzała mu się rezolutnie, że każdą pracę można tak zorganizować, by poszła szybko i sprawnie. Mimo że teść często się z nią droczył, wiedziała, że ten na pozór burkliwy człowiek ma do niej słabość. Lubił jej słuchać, gdy wieczorami zasiadała z kołowrotkiem, nucąc piosenki. Choć skąpił pochwał, przygotowane przez nią potrawy pałaszował tak, że tylko mu się uszy trzęsły.

Wóz turkotał na wybojach polnej drogi. Z jednej strony szumiała Puszcza Niepołomska, rozsiewając wokół żywiczne aromaty, z drugiej falowały dorodne łany zbóż, mieniając się złotem w promieniach porannego lipcowego słońca.

– Ach... Jak ładnie! – cieszyła się kobieta.

Prokop zerknął kątem oka na połowicę. Cieszył się, że tak obstawała przy tym, by jechać z nim na targ. Betka dała mu szczęście, wniosła w życie radość i urok, którego wcześniej brakowało. Jej obecność przepędziła z domu duchy zmarłych sióstr. Rodzice rzadziej wspominali trzy dziewczeczki, które zdecydowanie zbyt młodo zabrał do siebie Święty Piotr.

W domu Trzosów od lat trwała niekończąca się żałoba. Śmierć przychodziła regularnie, zabierając Prokopowi siostry, dziadków, wujostwo i stryjostwo. I o ile w innych obejściach zawodzenie rozlegało się z powodu głodu czy zarazy, to Trzosówny umierały tragicznie, w kwiecie wieku i dobrym zdrowiu. Agatę stratował spłoszony koń, Kingę rozszarpały wilki, gdy nazbyt daleko oddaliła się w las, poszukując grzybów, a Jadzia po prostu położyła się wieczorem spać i już nigdy więcej nie podniosła powiek. Od tamtej pory ludzie w sąsiadującej z ich gospodarstwem wsi gadali, że nad Trzosami wisi jakieś nieszczęście. I że powinni żarliwie modlić się do Staniąteckiej Pani oraz fundować na rzecz klasztoru bogate wota, by Najświętsza zachowała przy życiu choć najmłodszego chłopaka. Bo szkoda byłoby, gdyby i on poszedł na zmarnowanie.

Trzosowie faktycznie modlili się żarliwie, nie skąpiąc także datków na pobliski klasztor z cudownym wizerunkiem Matki Bożej Bolesnej, której serce przebija siedem mieczy. Choć ich obejście nie należało do dóbr klasztornych, Jakub niejeden raz z własnej woli szedł, by służyć pracą. Nie chciał bowiem, by i Marysine serce zaznało kolejnego cierpienia. Choć nie zwykł wylewnie okazywać radości, cieszył się, gdy syn wyrósł na krzepkiego chłopca, a potem założył rodzinę. Poweseleli Trzosowie jeszcze bardziej, gdy kilka miesięcy po ślubie pokraśniała z ekscytacji Bernadeta wyznała, że pod koniec roku przybędzie w rodzinie mała istotka.

W mieście, jak przystało na dzień targowy, mimo wczesnej pory panował spory ruch. Zewsząd dobiegały gwar, kwiczenie wieprzków, gęgot, gdakanie i kupieckie nawoływania. Betka z ciekawością strzelała oczami za co ładniej wystrojonymi dziewczętami. Tłum mienił się barwami wstążek, wianków, haftów i pawich piór. Szczególnie interesowały ją eleganckie damy w jedwabiach i koronkach, kryjące delikatne, jasne twarze w cieniu parasolek, bogato zdobionych kapeluszy i czepców. Zachwycala ją kruchość tych istot, przepych strojów, wdziek i szyk. Omiała wzrokiem mocno ściągnięte gorsetami talie, jedwabne suknie oraz kosztowności tak inne od bursztynów i koralików, które sama nosiła. Zachwycaly ją ich misterne loki, sama, by zakręcić włosy w takie spiralki, musiałyby solidnie przypiec je prętem nagrzanym na blasze. Wśród ciżby widać było wiele czarnych chałatów i długich, kręconych pejsów. To znowuż jej uwagę przyciągnął czyjś sumiasty wąs i czerstwa twarz, pasiaste lniane portki i odświętna koszula. Albo jeden z postawnych oficerów, jadących konno, choć ci ostatni Bernadetę irytowali.

Nie lubiła zaborców, gdyż kojarzyli się jej tylko z podatkami, zniszczonym zamkiem i nową niewolą. Galicyjskim chłopom wystarczali polscy panowie, częstokroć nie mniej zubożali od swych

poddanych. A żołnierze nierzadko zaczepiali kobiety, czyniąc im sprośne propozycje. Niby dowódca garnizonu nie pozwalał na takie zachowanie, ale czy kiedykolwiek wyciągnął konsekwencje?

Inni chłopci cenili Austriaków, którzy wydawali im się gwarantami poszanowania prawa przez ziemian skorych do wymierzania kar. Chociaż oficjalnie zabraniano stosowania różnego rodzaju szykan w postaci chłosty czy zakuwania kmieci w kajdany, to panowie i tak robili na swoich włościach, co im przychodziło do głowy. Tacy Żelechowscy chociażby, z którymi po sąsiedzku mieszkali Trzosowie, znani byli ze swej surowości. W tym przypadku sprawdziło się powiedzenie, że jaki ojciec, taki syn, bowiem srogięgo Izydora zastąpił nieustępujący mu w niczym Tadeusz.

Wśród bogato wyglądających kmieci plątali się zwykli nędzarze, ubrani lichy, wychudzeni, z twarzami, na których bieda odcisnęła piętno w postaci zapadniętych policzków, bezzębnych ust, zaszklonych łzami oczu. Ich na plac targowy nie przyciągnęła chęć zrobienia sprawunków czy sprzedaży płodów rolnych, lecz konieczność zebrania oraz nadzieja, że a nuż trafi się jakiś dobrodziej, który wspomógł jeśli nie pracą, to choć odrobiną żywności.

Wśród kramów rozlokowali się i chłopci z inwentarzem, i rękodzielnicy oferujący strugane w drzewie światełka, figurki czy zabawki, i kupcy bławatni, którzy najbardziej przykuwali uwagę Bernadety. Kobieta już zachwyciła się powiewającymi na wietrze zdobnymi w długie frędzle chustami w kwiaty, haftowanymi bogato krajkami, czerwonymi sznurami paciorków.

– Prokop. – Pociągnęła go za rękaw płócienną koszuli. – Prokop, a kupisz mi taką wstęgę do gorsetu? – zagadnęła męża, który głowę miał zaprzątniętą znalezieniem dobrego miejsca na postój.

– Nie teraz, Betko. Są ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Ale później mi kupisz? – nalegała. – I jeszcze kukiełkę^[6] z lukrem.

– Marudnaś jak dzieciak – burknął mężczyzna.

– Nie jak dzieciak, a jak baba w ciąży – poprawiła rezolutnie. – A brzemiennie się nie odmawia, bo myszy chytrusa zjedzą.

– Na myszy wystarczy kot – odparł rozbawiony Prokop.

– Na takie myszy to i dziesięć kotów nie wystarczy.

– A w domu nie łaska napiec kukielek? Taniej wyjdzie i każdy zje.

– Kiedy mnie się chce kukielki teraz, a nie w domu. Mały woła jeść! – rzuciła dobitnie, głaszcząc swą wypukłość.

Co do tego, że nosi pod sercem synka, była więcej niż pewna. Gdy tylko zaczęła podejrzewać, że może być w stanie błogosławionym, skropiła swym moczem ziarna jęczmienia i pszenicy. Wykiełkował jęczmień, a to był niechybny znak, że urodzi chłopca.

– Ech... Babo! Co ja z tobą mam? – westchnął ciężko Trzos, lecz trudno mu było zachować należytą powagę w obecności tej trzpiotki. A na kupowanie słodkości było go przecież stać. Mógłby jej i pół kramu nabyć, byle te piwne oczęta zawsze tak przymilnie na niego spoglądały.

– Chałupę, żywy inwentarz i kawał pola – skwitowała, gramoląc się z ławki na wozie.

Choć ciągnęło ją, by pójść pomiędzy barwne kramy, została przy mężu, by pomóc mu w sprzedaży dóbr, które ze sobą przywieźli. Jeszcze zdąży się napatrzyć na różne fraszki i naciągnąć Prokopa na jakiś sprawunek. Tymczasem jednak obydwójce zajęli się handlem i nawet dopisało im szczęście, ponieważ po chwili targów jeden z karczmarzy uwolnił ich od jarzyny i jaj. Gorzej było z pierzem, które pracownicy darły Trzosowe przez całą zimę. Nikt nie chciał sobie zawracać głowy puchem, gdy na głowy lał się żar lipcowego przedpołudnia. Ostatecznie, po dość długich negocjacjach, jakaś przysadzista jejmość wybawiła ich i od tego kłopotu.

– Ale się targowała! – prychnęła Betka, chowając pod gorset woreczek z monetami. Pieniężmi za pierze miała się podzielić ze świekrą, ponieważ pochodziło zarówno z gęsi należących do Marii, jak i z tych,

które sama wniosła do gospodarstwa w postaci wiana. – Żydzi byli bardziej skorzy do płacenia! Co za chytruska!

– Każdy chce zyskać. No... Czas wracać – stwierdził Prokop.

– A kukielfka? A wstążka do gorsetu? – przypomniała mu żona.

– Zarobiłaś na pierzu, to idź i se kup. Ja poczekam.

– Ależ Prokopie! To miało być od ciebie, a nie za puch.

– Czy ty mówiłaś coś o chytrych babach? – Puścił oko do ślubnej.

– Prokop! No nie bądźże taki! Żonusi odmówisz? Przecież nie proszę o nowe trzewiki. Ani o spódnicę – odparła, choć bogato haftowana wstęga, którą już wcześniej miała na oku, do tanich nie należała.

– Ech... Targujesz się nie gorzej niż krakowska przekupka. Pewnie cię ojciec z matulą wozili na targ do Kleparza.

– Nie do Kleparza, a do Krakowa. To co, Prokopie, kupisz mi gościńca?

– Gościniec przywozi się z podróży – przekomarzał się jeszcze z Betką, bo nie chciał, żeby do niej należało ostatnie słowo, ale już pozwolił, by ujęła go pod ramię i poprowadziła w stronę najbarwniejszego kramu.

Antoni Parnicki stał pośród ciżby kłębiącej się na niepołomickim rynku. Przyjechał do miasteczka z żoną, która liczyła na kupno paru drobiazgów niezbędnych w domu. Chodziło przede wszystkim o jakieś płótna i perkale, do których Parnicki zupełnie nie miał głowy. Zasadniczo mógłby się od tego wykpić, ponieważ brat Cecylii był kupcem bławatnym i co jakiś czas zaglądał do dworku usytuowanego na obrzeżach prastarej Puszczy Niepołomickiej. Wiadomo jednak mu było, że obecnie szurzy^[7] podróżuje do Francji, gdzie prócz interesów ma do załatwienia jeszcze kilka spraw wymagających znacznej dyskrecji. Cecylia musiałaby zatem dość długo czekać na przyjazd Gustawa, jeszcze dłużej zapewne na realizację swego zamówienia. Ponieważ żona

oddaliła się wraz z pokojówką, on ze znudzoną miną wodził wzrokiem po rynku, marząc o powrocie do dworu.

Właściwie lubił przyglądać się ludziom. Jego szczególną ciekawość wzbudzały kobiece liczka. Zarówno dobrze urodzone damy, głównie wywodzące się z okolicznej szlachty zaściankowej, jak i ciemnookie i ciemnowłose Żydówki czy krzepkie chłopskie córy. Biedota go nie interesowała, omijał spojrzeniem wychudłe policzki i skołtunionie włosy. W pewnej chwili zwrócił uwagę na hożą gospodynię, targującą się o wstążkę. Musiała być mężatką, gdyż na głowie nosiła chustę. W uśmiechu błyskała zdrową bielą zębów. *Krew z mlekiem* – przemknęło mu przez myśl, gdy spoglądał na jej apetyczne piersi wypychające pięknie haftowany gorset i na krągłe biodra, na których falowały suto zmarszczone spódnice. Choć w sypialnianym zaciszu gustował w bardziej wyrafinowanych pięknościach, przez moment wyobrażał sobie, jak by to było zatracić się z taką dziewczyną. Ciekaw był, czy jej ciało jest jędrne i zwarte, lecz miłe w dotyku, czy raczej twarde i żyłaste, jak to bywało u chłopek. Ta, sądząc po kosztownym odświeżonym stroju, wyglądała na zamożną gospodynię. Gdy odwróciła się bokiem, dostrzegł wysklepiony brzuch. Przez moment pozazdrościł trochę kmieciowi, który miał pod swym dachem ładną kobietę i mógł kosztować na co dzień tych specjałów.

Po niepołomickim rynku wciąż kręciło się sporo ciżby. Od strony pobliskiego zamku dobiegały hałasy świadczące, że jegrzy odbywają właśnie musztrę. Prokop, któremu paliło się do domu, zaczął poganiać ślubną, guzdrzącą się przy wstążkach. Bernadecie jednak trudno było podjąć decyzję, gdy w oczach mieniło się tyle barw i wzorów. Najchętniej nabyłaby cały pęk, który pięknie falowałby za jej plecami, spływając z ramienia bogatą kaskadą, lecz nie chciała przeciągać struny, skoro mąż dał zgodę na jedną. Ostatecznie wybrała czerwoną, ozdobioną ślicznymi bławatkami i stokrotkami. Prokop zapłacił

należność, a następnie wcisnął żonie w dłoń parę monet na dokończenie sprawunków. Sam odszedł w kierunku stojących opodal kamratów zamieszkujących najbliższą jego domu wieś, należącą do rodziny Żelechowskich.

Choć Żelechowscy okryci byli złą sławą, to z nimi robił interesy Prokop, a wcześniej jego ojciec Jakub. Musieli żyć dobrze z sąsiadami, bo inaczej nie miałby kto obrabiać ich ziemi. To od Tadeusza Żelechowskiego wykupowali chłopów świadczących pańszczyznę, by zamiast u niego robili na ich polach. W jego wiosce poszukiwali ludzi, których można byłoby nająć do różnych prac w obejściu. A dogodna bliskość karczmy i kościoła sprawiała, że często można było widywać Trzosów w jednym czy drugim przybytku.

– Powitać swata! – wykrzyknął na widok Ambrożego Bednarka, człowieka o mikrej posturze i zadziwiająco tubalnym głose, który praktycznie nie miał prawa wydobywać się z zapadniętej piersi. Ten głos oraz wrodzone umiejętności sprawiły, że po śmierci poprzedniego organisty Żelechowski wraz z miejscowym proboszczem powierzyli Bednarkowi pieczę nad kościelnym śpiewem. Ambroży już jako mały pędrak zakradał się na chór, by podpatrzeć, jak organista gra lub ćwiczy, i zapamiętywał wiele jego gestów. Czasami stary pozwalał mu coś zagrać lub objaśniał nuty. Bednarek był więc samoukiem obdarzonym niezwykle jak na chłopca talentem.

Bednarkowie z dziada pradziada siedzieli na połowie ładu, marząc o zniesieniu pańszczyzny, a najlepiej o otrzymaniu na własność użytkowanych przez siebie gruntów.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce, podobnie Prokop przywitał pozostałych ziomków Ambrożego, starając się nie stawać zbyt blisko Adama Skoczylasa, gdyż od niego mocno cuchnęło wyjątkowo rozrośniętym kołtunem. Nad hodowlą owego kołtuna czuwała znachorka, Kazimiera Widłak, która nie pozwalała go na razie odciąć, twierdząc, że pośpiech w pozbywaniu się gwoźdźcia, jak zwano niekiedy śmierdzące, posklejane w strąki kudły, może skutkować różnymi chorobami,

a wręcz wariactwem czy nawet ślepotą. Ponadto Skoczylas wierzył, że ów odrażający twór, którego już nie była w stanie przykryć noszona na okrągło czapka, chroni go przed diabłem i złymi urokami.

Prokop, który panicznie bał się, by i u niego nie powstało coś podobnego, regularnie czesał włosy i pilnował, by wszyscy jego parobkowie i komornicy dbali o swe czupryny. Każdej soboty gonił Kachnę do iskania wszy, a także do nacierania głów wywarem z rozmarynu, który najlepiej służył do odstraszania insektów. On jeden nie ganił Betki za gorliwość w pielęgnacji warkoczy, rozumiejąc doskonale jej potrzebę zachowania higieny.

Chłopi pogwarzyli trochę o spodziewanych plonach, ponarzekali na twardą rękę Karłowicza, nadzorcy pańskiego majątku. Umówili się na dalszą pogawędkę w karczmie, przy flaszczech gorzałki, bo teraz każdy już myślał o powrocie do domu. A gadać mieli o czym, bo od dawna po wsiach wrzało niczym w ulu. Jedni mówili o szykującym się szlacheckim powstaniu przeciwko Austriakom, drudzy trąbili o konieczności zrzucenia jarzma. Nastroje kmieci bardziej przychylne były Habsburgowi^[8], zwanemu przez prosty lud dobrotliwym cysorzem.

Bernadeta odwróciła się w stronę kramu, na którym sprzedawano pachnące apetycznie kukielki, piernikowe serca i obwarzanki z parzonego ciasta. Wybrała kilka okazałych sztuk z myślą o tym, że poczęstuje rarytasem wszystkich domowników. Nie mogłaby zjeść ich potajemnie. Już planowała, że po wieczornych obrządkach w gospodarstwie zamiesza mleka z miodem, usadzi wszystkich na ławach w ogródku, wśród pachnących latem papierówek oraz malin, i tam zjedzą najpierw kolację, a później jeszcze ucieszą podniebienia łakociami.

Trzosowa rozejrzała się wśród ludzi w poszukiwaniu Prokopa. Pomachała do niego ręką i wskazała kierunek drogi powrotnej. Już

miała wracać do konia i wozu, gdy wtem pomiędzy ludźmi dało się słyszeć krzyki. Tłum gwałtownie się rozstępował, ponaglony stukiem podków i siarczystymi przekleństwami jegra, którego poniósł spłoszony koń. Pisnęła wystraszona Trzosowa, przyciskając kurczowo do piersi swe nowo zakupione skarby. Wierzchowiec pędził wprost na nią. Przerażona Bernadeta chciała odskoczyć na bok, lecz stała niczym zamurowana.

Prokop, który utknął nieco dalej, wciąż jeszcze gwarząc ze znajomymi, w mig zobaczył, co się święci. Oczyma wyobraźni już widział żonę stratowaną przez narowistego ogiera i dzielącą tragiczny koniec Agatki. Kilkoma długimi susami rzucił się ku ślubnej, lecz zrobił to tak niefortunnie, że potracił jakiegoś chłopaczka, który wszedł mu pod nogi. Ten nieszczęśliwie zachwiał się i stracił równowagę. Przez ułamek sekundy kręcił w powietrzu młynka ramionami, lecz to w niczym nie pomogło, gdyż chwilę później dostał się wprost pod końskie kopyta. Prokop także runął jak długi.

Bernadeta, pchnięta przez kogoś raptownie, z piskiem upadła, tłukąc boleśnie kolano, wypuszczając z rąk wstążkę oraz smakowite wypieki. Zignorowała ból, nie zwróciła także uwagi na to, co działo się wokół. Próbowwała bowiem uratować słodkości spod nóg cisnącej się ciżby.

– Nic wam się nie stało? – zapytał jakiś mężczyzna, łapiąc ją pod łokieć i pomagając wstać.

– Kukiełki przepadły – załkała Betka, nieświadoma, że tuż obok rozgrywa się prawdziwy dramat.

Antoni Parnicki złożył jej słowa na karb oszołomienia. Widział całe zajście z odległości kilku kroków. To on zdołał odepchnąć brzemienną. Ogier minął ich o włos, powalając na bruk dziecko i dwie inne osoby. Dorosłym szczęśliwie nic się nie stało. Jeden z parobków już wstał i otrząpał odzienie, drugi jeszcze się gramolił. Gorzej było z małym.

– Co tam kukiełka, kobieto! Życie mogłaś stracić – fuknął gniewnie Parnicki.

Tymczasem dla przerażonego Prokopa na moment świat zamarł w bezruchu i ciszy, lecz bardzo szybko ponownie dotarły do niego wszelkie dźwięki, wśród których najgłośniejszy był lament – zapewne matki owego stratowanego mikrusa. Przez chwilę, zmroczony upadkiem, próbował podnieść się na kolana. Odszukał wzrokiem kaszkiet, który stracił w zamieszaniu. Sięgnął po nakrycie i wcisnął je na głowę. Bolał go bok stłuczony o kamień oraz biodro zaledwie musnięte końskim kopytem. Kątem oka widział karminową plamę obok siebie, otaczającą posklejane w strąki jasne włosy.

– Jezu Litościwy! Mój Jasiulek! Ratujcież mi dzieciaka! – zawodziła tuż nad jego uchem kobieta ubrana w mocno steraną odzież.

Cóż, gdy krew trysnęła chłopakowi ustami, a wokół głowy, którą niefortunnie musiał uderzyć o kamień, rozlała się gęsta kałuża.

Zrozpaczona matka zaczęła tarmosić bezwładne ciało, lecz daremny był jej wysiłek. Tuliła synka do piersi, wyjąc niczym zraniona wilczyca.

– Ratujcież go, dobrzy ludzie! – wołała w kółko. – On jeszcze żyje! Wołajcie znachora!

Ktoś odciągnął ją delikatnie na bok i zaczął łagodnie tłumaczyć, że małemu już nic nie pomoże, bo na miejscu wyzionął ducha. Marta Goczał lamentowała jednak coraz głośniej, rwąc skołtunione kudły, drapiąc się po twarzy i wodząc oszalałym spojrzeniem po ciżbie. Wtem mignęła jej barczysta postać Prokopa, który dziękował właśnie Parnickiemu za uratowanie żony spod kopyt.

– Ty! Tyś pchnął mojego Jasiuleczka na stratowanie! – ryknęła całą pierśią, szarpiąc Trzosa za bark.

Prokop się odwrócił. Stał poblady, miętosząc w dłoni kaszkiet, który zdjął z płowej czupryny, gdy rozmawiał z Antonim.

– Co też mówicie... Nikogo nie pchnąłem. Chłopak sam wlaź mi pod nogi, gdym chciał żonę ratować. Podciął mnie tak, że też upadłem – usiłował wyjaśnić, lecz ona nie słuchała.

Rzuciła się ku niemu z pazurami. Zakrwawionymi rękami próbowała sięgnąć włosów mężczyzny.

– Policję wołać! Niech go wsadzą do ciupy! Dziecko mi zabił! Morderca!

– Policja! Policja! – zawołał ktoś gromkim głosem.

– Jaka policja? Co wy bajdurzycie? – powiedziała zaskoczona Betka, do której właśnie docierało, że omal nie pożegnała się z życiem. Widziała przecież, jak mąż rzucił się jej z pomocą. I poczuła, że ktoś inny ją odepchnął.

– Do paki z nim! Policja!

– Ty morderco!

Zewsząd rozlegały się wrzaski. Ci, co nie byli bezpośrednimi świadkami zdarzenia, już łapali Prokopa pod ramiona i chcieli wlec wprost do landwójta^[9].

– Hola, hola! Ludziska! – wykrzyknął Parnicki, energicznie roztrącając napierający tłum.

Chłopi poczuli respekt przed mężczyzną odzianym w ciemny surdut o spadzistej linii ramion i jedwabną koszulę z fantazyjnie zamotanym wokół sztywnego kołnierzyka halsztukiem^[10]. Niektórzy go znali, pozostali w mig ocenili, że mają do czynienia ze szlachcicem.

– Panie! Toć przez niego dzieciak nie żyje! – wyjaśnił ktoś odważniejszy.

– Co ty mi tu za dyrdymały prawisz! – fuknął Antoni. Powiódł wzrokiem po ludziach, którzy nagle zastygli. Podchwycił na moment zaskoczony wzrok żony, potem przeniósł spojrzenie na chwata, który usiłował osądzić niewinnego człowieka. – Na własne oczy widziałem całe zajście. Mały sam mu wskoczył pod nogi, zdaje się, że ciekaw był zamieszania wywołanego przez konia. Cud, że i temu człowiekowi nic złego się nie stało. Przestańcie mi tu robić samosąd! Zdarzyło się nieszczęście, ale nie pozwolę, by doszło do kolejnego. Żona tego tutaj jest brzemienna. Chcecie, by z nerwów o niesłuszne oskarżenia i ona

straciła dziecinę? Potrzeba wam na sumieniach takiego ciężaru? Niech no ktoś pomoże tej nieszczęsnicy. – Wskazał zrozpaczoną matkę. – A od Trzosa wara! Dam wam, kobieto, na godny pochówek małego – obiecał, licząc, że tym samym położy kres dalszym krzykom. Wprawdzie chłopka nie pochodziła z jego ziem, lecz żal mu się zrobiło i jej, i ludzi, których niesłusznie chciano osądzić.

Jego słowa po części odniosły skutek, bo kmiecie odstąpili od Prokopa.

– Poczciwy z niego pan – szeptano w tłumie. – Nie to, co Żelechowski.

– Ech... Tamten to by się w ogóle nie wzruszył. I nie pomógłby ani Goczałowej, ani tym bardziej Trzosom.

– Ano! Bo nasz dziedzic cięty na prostaczków. Serce ma z kamienia.

Ktoś podjechał niedużym wózkiem zaprzężonym w chabetę, by zabrać martwego dzieciaka i odwieźć go do domu na ostatnie pożegnanie z krewnymi. Jedynie oszalała bólem matka wciąż wyklinała i wołała o sprawiedliwość. Nagle spojrzała na bladą niczym śmierć Bernadetę. Wyciągnęła w stronę jej brzucha palec wskazujący.

– Na ciebie gnał koń, tyś powinna była zginąć! A żebyście się z Prokopem przez sto lat nie dochowali pociechy ze swoich potomków – ryknęła. – Czego Bóg wam nie weźmie, niech diabli zabiorą! Przeklęci! Przeklęci! Po trzykroć przeklęci!

Słyszając słowa Goczałowej, Betka jeszcze mocniej pobladła i zaczęła się słać na nogach. Prokop przytomnie złapał ją pod ramię, bo byłaby runęła jak długa. Sam przeląkł się słów, które właśnie padły.

– No co wy... – zająknął się. – Kobieto, na litość boską! Takie przekleństwo na Bogu ducha winne dzieci?

– Myśmy ci nic nie zawinili! – wyszłochała Bernadeta. – Odwołaj wszystko, błagam!

– Nie przejmujcie się, gospodarzu. – Parnicki uścisnął Trzosa za bark. – To tylko zabobony i gusła. Ludzie, rozejdźcie się! Dość widowiska!

Ostatecznie zaczęto się rozchodzić, jednak w tłumie szemrano wciąż i o zającu, i o niesłusznej klątwie. Ktoś opowiadał, że spłoszony koń uciekł do puszczy, zrzucając jeźdźca na gościńcu. Padały wyrazy współczucia pod adresem nieszczęsnicy, która straciła dziecko, oraz Trzosów, na których rozładowała swój ból i złość. Wciąż także wychwalano Parnickiego za jego gest.

– Betko, Bernadetko, ptaszyno moja... A nie płaczże już. Nic się nie dzieje! – Prokop próbował uspokoić ślubną, która zawodziła cicho, lecz żałośnie.

– Ona przeklęła nasze dzieci. Na sto lat do przodu! Nic żeśmy jej nie zawinili, a cisnęła taką straszną klątwę! Boję się, Prokopie! O moje biedne dzieciątko!

Była doszczętnie wyczerpana z energii, gdy ślubny prowadził ją na wóz. Upewnił się, że Bernadeta jest w stanie siedzieć na ławce, a następnie sam umościł się obok niej i bez dalszej zwłoki wyruszył w stronę domu.

Przez całą drogę nie był w stanie podnieść na duchu zdruzgotanej niebogi. Choć w głębi duszy też czuł strach, że klątwa może się spełnić, robił co mógł, by nie okazywać lęków. Obiecywał żonie, że na najbliższym odpuscie nakupi jej wstążek i kukielek, ile dusza zapragnie. Niech więc już biedactwo nie roni łez, a jedynie Bogu dziękuje, że Parnicki w porę ją uratował.

– Widzisz, Betko? Taki wielki z niego pan, mieszka we dworze, parobkowie obrabiają mu pola, a jego żonie służba podaje do stołu, ale jak przyszło co do czego, pokazał i odwagę, i serce. Sam mógł przecież oberwać kopytem. A i Goczałowej dał pieniądze na pochówek Jaśka. No źle się stało – mamrotał – źle, że akurat ja na nim utknął. Ale jak mi Bóg miły, nie ma mojej winy w tym nieszczęściu. Nie musisz się więc obawiać, że ta klątwa nabierze mocy. Niesłusznie została rzucona.

– A ja i tak się boję.

– Nie ma się czego bać, mój ty pączku różany. A żeby całkiem zle odegnąć, pojedziemy na niedzielną sumę aż do Staniątek i pokłonimy

się Bolesnej Matuli. Ona nas uchroni. Złożymy ofiarę albo lepiej damy na mszę, i wszystko będzie dobrze – zapewnił.

Cecylia Parnicka z nadąsaną miną umościła się w odkrytej bryczce. Rozłożyła starannie suknię, by jej nie wygnieść, i poprawiła kapelusz, osłaniając delikatną niczym płatek róży cerę przed ostrymi promieniami słońca. Miała wprowadzić umbrelkę, ale po wizycie na targu odczuwała znużenie i nie chciało jej się trzymać w dłoni koronkowego cacka. Służąca siedziała na koźle wraz z woźnicą. Tylko ich obecność powstrzymywała Cecylię przed wygłoszeniem kilku ciętych uwag pod adresem męża zajmującego miejsce naprzeciw niej. Zresztą jego znudzona mina przemawiała sama za siebie. Kobieta była święcie przekonana, że gdyby teraz poruszyła temat tej chłopki, z którą tarzał się po niepołomickim rynku na oczach gawiedzi, to Antoni zbyłby temat. Poza tym nie wypadało klócić się przy służbie.

Och! Kobiety los jest straszny – westchnęła nieznacznie.

W rzeczy samej do dobrego tonu należało nieporuszanie „pewnych kwestii”. A taką niewątpliwie było zainteresowanie małżonka innymi paniami. Że mężowie zdradzają, żadna nowość! Matka jeszcze przed ślubem uprzedzała Cecylię o podobnej możliwości. I pouczała ją, że taką sytuację każdorazowo należy godnie znieść.

Ale żeby musiała tolerować zainteresowanie męża prostytutkami? Tego było za wiele!

Wyraźnie widziała, jak Antoni spoglądał na tamtą. I co z tego, że jej fartuch wypchany był ciężowym brzuchem! Cecylia dobrze знаła to łakome spojrzenie, choć na nią nigdy tak nie patrzył. W ten sposób taksował damy z towarzystwa, gdy bawili podczas karnawału w Wolnym Mieście Krakowie. Wtedy po raz pierwszy przyszło jej się zmierzyć z zazdrością, ponieważ odkryła, że tylko ona jest dla niego przeźroczysta, dostrzegał natomiast inne kobiety w swoim otoczeniu.

Teraz jednak było znacznie gorzej, ponieważ ślubny pożerał wzrokiem osobę z pospólstwa! Co za upadek!

A ta wywłoka spod strzechy? Jak ona na niego zerką! Jak trzepotała rękami! – rozważała w duchu całą zaobserwowaną scenę. – *Skąd ona w ogóle się wzięła? Nie znam jej chyba. Czy pochodzi z naszego majątku? Nie... Raczej nie. Pewnie występuje się Żelechowskim* – usiłowała odgadnąć.

– Uthane sprawunki? – zagadnął mąż, przerywając milczenie.

– Niespecjalnie. – Cecylia wydeła usta. – Trzeba było jednak jechać do Krakowa. To nic, że Gustaw wciąż bawi w Paryżu. U byle kupca bławatnego jest lepsze zaopatrzenie niż na prowincji.

– Do Krakowa pojedziemy innym razem. To wyprawa na co najmniej pół dnia, a znając twoje upodobanie do magazynów z galanterią, pewnie zabawilibyśmy do wieczora albo i ze dwa dni. Wypadałoby przecież wizytować twoich rodziców. Zakładam, że chciałabyś przy okazji zahaczyć o teatr, a przynajmniej o restaurację. Może odwiedzić przyjaciółki z pensji albo ciotkę Klotyldę. To wszystko musi poczekać. Ja mam teraz pilne interesy, muszę doglądać spraw gospodarczych. Jak spuszczam z oczu majątek na trochę dłużej, to zaraz powstają jakieś szkody.

– Ach! Tylko praca i praca – zachnęła się Cecylia. – Życie na wsi jest strasznie nudne. Gdyby choć urządzić jakiś bal albo wieczorek muzyczny. Ostatecznie mogłoby nawet być polowanie!

Wychowana w mieście Parnicka z trudem odnajdowała się na prowincji. Coraz mocniej tęskniła za dawnym życiem, gwarem Krakowa, przyjaciółkami z pensji. Tam czas upływał milej i szybciej, choć pod karcącym okiem matki trzeba było zachowywać znaczną powściągliwość.

– Wszystko w swoim czasie. Polowanie z całą pewnością zrobimy. Tadeusz już mi się wpraszał. Będzie więc okazja do spotkania towarzyskiego w jakimś większym gronie, bo prócz Żelechowskich zjadą Niedzielscy ze Śledziejowic i inne osoby.

– No dobrze – odparła, nie kontynuując jednak tematu, gdyż jej myśli wciąż zaprzętała owa brzemienna chłopka, której mąż rzucił się na ratunek. I choć zdawała sobie sprawę, że to bardzo nie na miejscu, postanowiła o nią zagadnąć po przyjeździe do domu. O ile nadarzy się okazja, ponieważ z mężem bywała sam na sam niemal wyłącznie w sypialnianym zaciszu. Pod warunkiem że ślubny zechce do niej przyjść, co w ostatnich tygodniach nie było już takim pewnikiem, jak w pierwszych miesiącach po weselu.

Małżeństwo Cecylii Zaleskiej i Antoniego Parnickiego, jak wiele innych, zostało zaaranżowane właściwie bez ich czynnego udziału. Po prostu pewnego dnia spotkali się rodzice obydwójga młodych i podjęli stosowne decyzje. Główną motywacją Parnickich był wysoki posag kupcówny. A Zaleski senior zamarzył o wejściu w koneksje ze szlachtą i podniesieniu przyszłościowo rangi swej firmy. Mimo zaręczyn Antoni przez kilka lat nie ustalał daty ślubu, wizytując z rzadka narzeczoną. Nie paliło mu się do małżeństwa z parweniuszką, trochę podróżował po Europie, robił jakieś interesy z Austriakami, na których podobno nie najlepiej wyszedł. Cecylia czekała cierpliwie, ufając, że Parnicki nie złamie danego słowa i w końcu weźmie z nią ślub. Wszak umówiony już był z jej ojcem w sprawie wiana. Taka dola kobiety, po prostu trzeba zaakceptować pewne sprawy. Nie wolno być nachalną, ponieważ to jest źle postrzegane. Panienka musi być cicha, skromna i powściągliwa, w przeciwnym razie zyska opinię awanturnicy i straci widoki na dobre małżeństwo.

Cecylia dusiła więc w sobie negatywne emocje. Uśmiechała się wdzięcznie, nie paplała, gdy oczekiwano od niej milczenia, dokładała starań, by uchodzić za damę idealną. Liczyła na to, że po ślubie jakoś sobie powetuje upokarzająco długi okres narzeczeństwa, lecz mąż znajdował dla niej tak mało czasu, że właściwie nie mieli kiedy ze sobą rozmawiać. A ona chciałaby poznać go choć trochę lepiej. Wiedzieć nie

tylko, co lubi jadać, który pies jest jego ulubieńcem i dlaczego pod wierzch bierze zawsze tego samego ogiera. Z mężem nie gawędziła o polityce i gospodarce ani o zaborcach, którzy rozszarpali Polskę niczym płachtę lichego perkalu. Nigdy nie dyskutowali o literaturze czy sztuce. Nie grywali na cztery ręce na fortepianie wniesionym w posagu, choć Cecylia dobrze wiedziała, że małżonek potrafi odpowiednio uderzać dłońmi w klawisze.

Antoni, gdy w końcu znajdował dla niej czas, to albo zabawiał ją bzdurnymi, pozbawionymi głębi pogawędkami, albo w sypialnianym zaciszu pod osłoną nocy usiłował spłodzić potomka, przy czym podczas wypełniania owej czynności nie zdejmował ani koszuli, ani nawet tej okropnej bindy, której zawdzięczał pięknie ułożone wąsy.

Traktował ją jak element wystroju salonu. Coś bezużytecznie zabierającego przestrzeń.

– A bójcież się Boga! – wykrzyknęła Maria na widok syna i sneszki. – Co się stało? Skąd krew na twojej koszuli? I czemu Betka wygląda jak nieboskie stworzenie?

Ledwo weszli do kuchni, zasypała ich gradem pytań, więc młody bezzwłocznie opowiedział matce o nieprzyjemnej przygodzie z targu. Dawał jej przy tym znaki oczami, by jak najmniej komentowała zdarzenie. Choć Trzosowa w lot pojęła, w czym rzecz, i z miejsca przepełnił ją strach, żeby czasami synowa nie poroniła z tej wielkiej rozpaczy, to jednak trudno jej było powściągnąć emocje.

– A to czarownica! – Złapała się pod boki. – Tfu! Na psa urok! Ja rozumiem, że spotkało ją ogromne nieszczęście, ale żeby takie brednie wygadywać? Żeby drugiemu człowiekowi życzyć tragedii? Toć takie jak ona jeszcze nie tak dawno palono na stosie. Ot, wiedźma!

– Matulu! – fuknął na nią w końcu Prokop. – Dajcie już spokój z tym gadaniem. Nic złego się nie wydarzy. To tylko zabobony! Dziękować

Bogu, że panicz Parnicki zapanował nad sytuacją.

– Ach! Poczciwy z niego człowiek. Zresztą jego ojciec też jest taki życzliwy dla ludzi. Mało który szlachcic ma serce dla prostego kmiecia. Inni tylko patrzą, co mogliby jeszcze wydrzeć, prócz pańszczyzny. A ty już, dziecko, nie płacz. Prokop ma rację – zmitygowana gestami syna, objęła Bernadetę i posadziła ją na zydlu – nie trzeba bać się czarów. Zaraz ci podam mleczka z miodem. A Kachna przyniesie świeżych malin. Na frasunek najlepsze są słodkości. Od razu łżej robi się człowiekowi na duszy – paplała, choć ona także zdjeta była trwogą.

Wypadła za próg, przecięła sionkę i weszła do paradnej izby. Tam gruchnęła na kolana przed wizerunkiem Staniąteckiej Pani, zrobiła szybki znak krzyża i przezornie odmówiła zdrowaśkę. A potem jeszcze *Pod Twoją obronę*.

Antoni nawet mnie nie lubi – westchnęła Cecylia, gdy wieczorem całą rodziną zasiedli do kolacji. Już dawno zauważyła, że mąż więcej rozmawia z matką, siostrami, guwernantką czy nawet z Justyną Kownacką – przebywającą u nich na stałe panną respektową. Że byle rezydentka jest mu bliższa od własnej żony.

– Udała się wycieczka do Niepołomic? – zagadnęła Eulalia, najmłodsza siostra Antoniego, trzpiotka ciekawa świata, którą rodzice daremnie próbowali utemperować.

Jeśli Cecylia zazdrościła czegoś tej dziewczynie, to z całą pewnością dwóch rzeczy: po pierwsze miłości Antoniego, ponieważ właśnie ją darzył największą sympatią, a po drugie najbardziej niebieskich oczu, jakie widziała w całym życiu. Sama miała tęczówki bliżej nieokreślonej barwy: ni to szare, ni to niebieskie. Raczej zimne i mało wyraziste. Cecylia w ogóle nie czuła się piękną i nigdy nie zaliczano jej do ślicznotek. Ale czy uroda miała jakieś znaczenie przy wychodzeniu za mąż? Wszak ważniejszy był posąg i koneksje rodzinne.

– I tak, i nie – odparła Cecylia, ciesząc się, że szwagierka dostarcza jej pretekstu do tego, by poruszyć dręczący ją temat.

– Jak to? Nie zrobiłaś upragnionych zakupów?

– Zrobiłam, choć jestem przekonana, że w Krakowie byłyby bardziej udane.

– Och, droga Cecylio, sama widzisz, że Antoni nie ma teraz głowy do wyjazdów. Odkąd Teofil zaniemógł na podagrę, mój syn musi doglądać majątku – wtrąciła Gertruda Parnicka.

Cecylia już miała na końcu języka stwierdzenie, że przecież mąż ma od tego ekonoma i parę innych osób, a sam więcej czasu spędza z dubeltówką na ramieniu, błakając się konno po lesie. W porę jednak poniechała głoszenia podobnych komentarzy, nie chciała wprowadzać Antoniego w zły nastrój.

– Tak, oczywiście – odparła z pokorną miną. – Ale może gdybyśmy pojechali do Krakowa, nie byłabym świadkiem okropnej rzeczy – uzupełniła łamiącym się głosem. Spod na wpół opuszczonych powiek zerknęła na osoby zgromadzone w jadalni. Ciekawa była, czy do krewnych i powinowatych męża dotarły już jakieś plotki. Zakładała bowiem, że jej pokojówka, Marta, zdążyła już zdradzić służbie parę szczegółów. Wprawdzie u Parnickich wychodzono z założenia, że nie wypada nadstawiać uszu, gdy służba miele ozorami, ale nie czarujemy się, ciekawość zwykle bierze górę nad tym, co jest w dobrym tonie.

– A cóż takiego się wydarzyło? – zapytała teściowa. – Antoni o niczym nie wspominał.

Teraz oczy domowników skierowały się najpierw na siedzącego u szczytu stołu Antoniego, który jedynie wzruszył ramionami lekceważąco, potem na Cecylię, zajmującą miejsce pomiędzy jego siostrą a panną Kownacką. U drugiego szczytu zasiadał Teofil, mając po prawej ręce żonę, która swe poprzednie miejsce oddała pierworodnemu. Cecylii nikt nie zaproponował zamiany miejsca, co także było powodem drobnej frustracji, gdyż świadczyło o tym, jak mało się liczy w tym domu, a już z całą pewnością dla męża.

– Doszło do okropnego wypadku. Jęgrzy odbywali musztrę i jednego z nich poniósł koń. Wjechał pomiędzy kramy i stratował jakiegoś dzieciaka. Pewnie byłoby więcej ofiar, gdyby nie to, że Antoni rzucił się na ratunek jednej z chłopek.

– Ojej! – pisnęła Eulalia, zrywając się z krzesła. Podbiegła szybko do Antoniego i objęła go za szyję. – Mój braciszek to prawdziwy bohater! – wykrzyknęła. – Antosiu, Antosiu! Musisz mi poszukać męża równie dzielnego jak ty!

– Och, co za wyczyn! – szepnęła z podziwem Kownacka, niemalże omdlewając z wrażenia.

– To żadne bohaterstwo – odparł skromnie mężczyzna. – Po prostu byłem w odpowiednim miejscu i na czas mogłem pomóc. Nie zrobiłem nic wielkiego, ja tylko odepchnąłem tę kobietę.

– Ratując ją i ryzykując własnym życiem. Koń minął cię zaledwie o włos – zauważyła Cecylia.

– To prawda, synu? – Gertruda utkwiała w Antonim jasnoniebieskie chłodne spojrzenie.

– Naprawdę nic wielkiego.

– Ryzykowałeś życie dla jakiejś chłopki? Ty, mój jedyny syn? Jedyny dziedzic naszego nazwiska? Czyś ty oszalał? Podejmujesz takie ryzyko, wiedząc, że właśnie na tobie spoczywa obowiązek zachowania ciągłości rodu?

– Ależ mam! Cecylia jak zwykle przesadza. Niczego nie ryzykowałem. A ta kobieta była brzemienna, nie mogłem dopuścić, by stratował ją koń.

– Och, Antosiu! – Eulalia dygnęła tak, że anglezy upięte po bokach gładko zaczesanej główki z wyraźnym przedziałkiem pośrodku podskoczyły niczym sprężynki. Potem przytuliła policzek do jego twarzy.

– Eulalio! – skarciła ją matka. – Wróć na miejsce. Nie zapominaj, że damie przystoi znacznie więcej powściągliwości. A to, co określasz

mianem bohaterstwa, stanowiło zapewne zbędne ryzyko.

Siedemnastolatka wróciła z potulną minką na zajmowane wcześniej krzesło.

– A ten stratowany dzieciak? – zapytała, marszcząc brwi.

– Niestety zginął. Koń go poturbował na śmierć. Krew trysnęła mu ustami, a upadając, uderzył głową o kamień.

– Och! To straszne! – wykrzyknęła dziewczyna. – Biedny chłopczyk. Jego mama pewnie umiera z żalu.

– W rzeczy samej strasznie rozpaczała. Przeklęła nawet tę prostaczkę uratowaną przez Antoniego, twierdząc, że to ona powinna była zginąć.

– Och nie! Naprawdę? Jak? Co mówiła? – dociekała na poły przerażona, na poły podekscytowana. – Och... Że też mnie przy tym nie było! Następnym razem na pewno pojedę z wami do Niepołomic. Na świecie dzieje się tyle ciekawych rzeczy, a ja tkwię w domu, haftując wyprawę, której pewnie nigdy nie będę potrzebowała, bo jestem chyba zbyt niesforna, by wyjść za mąż – stwierdziła na ostatek.

– Rzeczywiście znalezienie narzeczonego komuś takiemu jak ty może być karkołomne – zauważyła Justyna.

– To nie były słowa przeznaczone dla dziewczęcych uszu – wtrącił Antoni, spoglądając surowo na swą ulubienicę. – A co do zamążpójścia, dobrze by ci zrobiło – skwitował łagodniej. – Może to utemperowałoby cię choć trochę.

– Ale ten chłopak to na pewno całkiem na śmierć został stratowany? Jak wyglądał? Nigdy nie widziałam prawdziwego nieboszczyka. Było dużo krwi? Miał otwarte oczy? Coś mówił czy po prostu skonał?

– Eulalio! Zamilcz – zdenerwowała się Gertruda. – Zrobienie z ciebie damy to wyczyn ponad moje siły! – jęknęła wymownie. – A poza tym cóż to za temat do konwersacji podczas posiłku? Jesteś nadmiernie podekscytowana! To wstyd, by niemalże dorosła panna zachowywała się niczym ciekawski dzieciak.

Jednocześnie z nią odezwał się Antoni.

– Cecylia! Naprawdę musiałaś o tym mówić podczas kolacji? Pewnych kwestii nie wypada podnosić przy stole.

– Przepraszam – bąknęła.

Czasami chciałyby mieć więcej odwagi. Tupnąć nogą, wyrazić swoje zdanie, powiedzieć szczerze, co myśli. Jej życie było jedynie grą pozorów, choć niejeden mógłby stwierdzić, że nie powinna narzekać. Miała wszystko to, o czym mogła marzyć kobieta w jej wieku: światowego męża o miłej powierzchowności – nie starca, ale i nie postrzelonego młodzika, ładny dworek, piękne suknie i wierzchowca do wyłącznej dyspozycji. A mimo to odczuwała dotkliwy brak.

Czego?

Miłości. Swobody. Szczęścia.

Duszona konwenansami u boku mężczyzny, który w stosunku do niej zdawał się wyzuty z wszelkich emocji, usychała niczym delikatny cieplarniany kwiat.

– Wolałbym, abyś w przyszłości nie rozmawiała na podobne tematy z Eulalią. – Antoni dość łagodnie łajał Cecylię. – Ona jest zbyt wrażliwa i egzaltowana. Chciałbym, aby zachowywała się poważniej, ponieważ już niedługo przyjdzie czas na szukanie dla niej męża.

W lustrze toaletki odbijała się jego twarz. Nie wyglądał na zagniewanego, choć zapewne był niezadowolony, skoro nawet teraz wrócił do kwestii poruszonej podczas kolacji.

Mężczyzna zajrzał do buduaru żony. Ubrany był w koszulę nocną oraz miękkie w dotyku szlafrok w orientalny wzór. Nieodłączna binda starannie przykrywała jego wypomadowane wąsy. Na stopach miał misternie haftowane pantofle.

– Nie przypuszczałam, że tak ją to poruszy – przyznała.

– Zależy mi na szczęściu Eulalii. Z tą jej trzpiotowatością trudno będzie znaleźć dobrą partię. Dlatego staramy się z mamą choć trochę ją

utemperować i nadać jej oglądy stosownej do pozycji społecznej. Podobne rozmowy na pewno w tym nie pomagają.

Cecylia odwróciła się w stronę męża.

– To oczywiste, że zależy ci na szczęściu siostry – odparła, zastanawiając się, w jaki sposób nawiązać do uratowanej przez niego kobiety. Nie wypadało o nią pytać wprost. Matka wystarczająco często kładła jej przed zamążpójściem do głowy, że nie powinna okazywać zazdrości. A jeżeli odkryje, że ślubny ma kochankę, powinna w pokorze zaakceptować jej istnienie i zastanowić się nad tym, czego mąż szuka w objęciach metresy. Jeśli jego wybranka będzie osobą z kręgów towarzyskich Cecylii, pod żadnym pozorem nie powinna dać jej odczuć, że cokolwiek podejrzuje. Dama nie zniża się do takiego zachowania! Sęk w tym, że nie chodziło o osobę z jej sfery, ale o zwyczajną chłopkę.

– Cieszę się, że to rozumiesz. Jesteś już gotowa? – zmienił temat, zerkając wymownie na łożę z baldachimem.

– Tak. Nie... poczekaj, Antoni. Chciałabym cię o coś zapytać.

Mężczyzna odszedł parę kroków i przysiadł na fotelu. W delikatnym blasku świecy wyglądał na znużonego. Światło wydobywało cienie pod jego oczami i delikatne zmarszczki mimiczne. Tej wiosny skończył trzydzieści pięć lat. Chociaż byli małżeństwem od blisko roku, wciąż sprawiał wrażenie obcego. Znała go i nie znała. Nie potrafiła odczytywać emocji z jego twarzy. Czasami ogarniało ją zdziwienie, że zwracają się do siebie po imieniu. Wszak mogli, wzorem niejednego małżeństwa, pozostać przy oficjalnych formach, o wiele odpowiedniejszych dla panujących pomiędzy nimi relacji.

– Słucham?

– Ta kobieta, którą uratowałeś... Znasz ją? Mieszka na two... Na naszej ziemi?

– Ci ludzie to wolni kmiecie graniczący swoją ziemią z majątkiem Zelechowskich. Tadeusz wspominał kiedyś, że Trzosowie uprawiają nieprawdopodobnie duży areał.

– Trzosowie? Coś mi mówi to nazwisko. – Zamyśliła się na chwilę. – Zaraz, zaraz... Czy to nie z nimi wiąże się legenda o królu Kazimierzu Wielkim?

– Tak. To potomkowie tych samych Trzosów, do których król zaszedł pewnego razu w zgrzebnym przebraniu. Choć byli biedni niczym myszy kościelne, ugościli go czym chata bogata. Akurat Trzosowa powiła wówczas syna i mieli kłopot, bo u takich biedaków nikt nie chciał być kumem. Zwierzyli się ze zmartwienia swojemu gościowi, a ten obiecał, że za kilka dni, gdy będzie wracał tą samą drogą, pójdzie z nimi do kościoła, by ochrzcić dziecko. Trzosowie się ucieszyli i wyrazili zgodę, choć wyglądał na większego nędzarza od nich.

– Musieli się mocno zdziwić, gdy wrócił.

– Zapewne. W prezencie z okazji chrztu król podarował im kawał ziemi oraz trzos złota. Stąd właśnie ich nazwisko^[11].

– Gospodarni ludzie, skoro pomimo upływu tylu wieków utrzymali przy sobie majątek.

– Oczywiście. Słyszałem o nich nieraz od Tadeusza, a to o czymś świadczy. Mało kto opowiada w eleganckim towarzystwie o chłopach. Zaspokoilem już twoją ciekawość? – zapytał, licząc, że utnie ten dziwny temat.

– Chyba tak – odparła niepewnie. – Ta brzemienna chłopka... Dość urodziwa.

– Fakt, niebrzydka. Jak na chłopkę, rzecz jasna. Na salonach raziłaby opalenizną i bądź co bądź grubymi rysami twarzy, choć oczy miała piękne i pewnie niejednego dżentelmena by nimi ustrzeliła.

Zabolało ją, że mąż tak wnikliwie przyjrzał się wyglądowi tej prostytutki. Nieświadomie wydeła usta, co nie umknęło jego uwadze.

– Czyżbyś była zazdrosna? – zapytał rozbawiony Antoni.

Jego lekki ton wzburzył ją jeszcze mocniej. Odwróciła się zdecydowanie zbyt energicznie, lecz nie chciała, aby zobaczył łzy

kręjące się w jej oczach. Drgnęła, gdy poczuła palce zaciskające się na jej ramieniu.

To było wyjątkowo upokarzające!

– Cecyljo?

Chlipnęła cichutko, żałując, że zaczęła tę rozmowę. Nie potrafiła szczerze mówić o swojej złości, zazdrości i goryczy.

– Cecyljo. To tylko chłopka. Nie podejrzewasz mnie chyba... – urwał.

Powoli się ku niemu odwróciła. Zdołała zapanować nad łzami, ale nie była pewna, czy nie zdradzi jej drżenie głosu. W milczeniu pokręciła głową na znak, że nie ma podejrzeń.

– Nigdy nie zrozumiem was, kobiet – westchnął. – Powiedz mi, czego ode mnie oczekujesz? Dlaczego drążysz bzdurny temat? Czemu wciąż sprawiasz wrażenie nieszczęśliwej?

– To nic, Antoni. Nic. Nie jestem nieszczęśliwa – skłamała naprędce, wiedząc, że matka oczekiwałaby, aby tak właśnie odpowiedziała.

– No dobrze, zgaśmy już więc świeczki – zaproponował, zdmuchując łożówkę, która stała bliżej. Została jeszcze druga, stojąca na stoliku przy samym łóżku. Tę zgasił, gdy umościli się wśród misternie haftowanej pościeli.

Gdy już leżeli pogrążeni w mroku, Cecylia poczuła jego dłoń na swym udzie. Mąż powoli podciągał jej koszulę nocną. Nie miała ochoty na wypełnianie małżeńskich powinności. Teraz, gdy była mężatką, uleciał z niej cały romantyzm. Zanim wzięła ślub, zaczytywała się w lirycie miłosnej oraz romansach. Chłonęła Mickiewicza i Słowackiego. Za sprawą brata znała nawet wiersze znacznie mniej popularnego, przebywającego na emigracji Norwida. Zachwycala się tym, z jaką wzniosłością pisali o uczuciach. Myślała, że i na nią czekać będzie w małżeńskim łóżu czuły kochanek, szepczący jej w stosownych momentach na ucho słodkie miłosne wyznania. Że będzie mu tą jedyną, umiłowaną, wyśnioną...

Pożycie małżeńskie przyniosło całkowite rozczarowanie. Podczas pierwszej wspólnie spędzonej nocy mąż sprawił jej ból szybko spełnionym aktem, po czym odszedł do swojej sypialni. Następne niewiele różniły się od pierwszej, choć obydwa się bez większych nieprzyjemności. Nie było jednak pieśczoć, czułości, właściwie nawet pocałunków. Niekiedy Antoni musnął wargami jej policzek lub szyję, rzadziej usta. Podczas zbliżenia nie odczuwała ekscytacji, choć nie było to też całkiem niemiłe. Czasami nadciągało jakieś zadziwiające, przyjemne łaskotanie w podbrzuszu, lecz przemijało równie szybko, jak przychodziło, przyprowadzając ją o frustrację i rozbudzając ciekawość. To mogłoby być porywające doznanie, gdyby Antoni nie kończył tak szybko swych poczynań. Niejeden raz odnosiła wrażenie, że jest blisko przeżycia czegoś ulotnego, nieuchwytnego, nieopisywanego żadnym słowem.

Może gdyby choć trochę mnie kochał, byłoby mi łatwiej – rozmyślała, gdy Antoni z zadartą koszulą mościł się pomiędzy jej udami.

Poczuła znajome pchnięcie. To pierwsze sprawiło jej dyskomfort, ponieważ odbyło się na sucho. Później pojawiła się znajoma wilgoć, sprawiająca, że następne ruchy męża były płynniejsze, gładze, nieuciążliwe. Leżała potulnie na plecach, nie próbując się poruszyć – dokładnie tak, jak ją pouczała mocno spłoniona matka w przeddzień nocy poślubnej. Zamknęła oczy, bo dziwnie by było, gdyby w takiej chwili, mimo mroku, napotkała wzrok męża. O sypialnianych sprawach nie rozmawiali za dnia. Zresztą w nocy także. Tylko raz Antoni zahaczył o ten temat, gdy mieli przed sobą pierwsze zbliżenie. Zapytał Cecylię, czy matka poinformowała ją o powinnościach małżeńskich, i wyraził nadzieję, że nie czuje w związku z tym strachu. Zapewnił, że nie będzie bardziej uciążliwy w pożyciu, niż jest to konieczne.

Sypiał z nią w miarę regularnie, o ile oczywiście był w domu. Często bowiem wyjeżdżał to na krócej, to na dłużej – zwykle do Krakowa, ale również do Lwowa lub Wiednia. Niekiedy bawił po parę dni u przyjaciół. Najwięcej czasu spędził z żoną podczas karnawału,

przebywali wówczas przez kilka tygodni u jej ojca w Krakowie. Oczywiście wraz z Amelią, jego drugą siostrą, która w czerwcu szczęśliwie wyszła za mąż za Wiktora Barskiego. Prócz Amelii towarzyszyła im Justyna Kownacka. Gertruda wraz z Eulalią pozostały w domu, a z nimi cała reszta rezydentów stałych i tymczasowych.

Mąż po raz ostatni sapnął i poruszył się pomiędzy jej nogami. Przewrócił się na plecy i przez chwilę odpoczywał jak po jakimś znacznym wysiłku. Nieobecny myślami, milczący. Kilka minut później szepnął:

– Oddałę się do siebie. Dobrej nocy, Cecyljo.

I odszedł z cichym skrzypieniem podłogowych desek, zostawiając ją samą w zadziwiającym niespełnieniu, z zaciśniętymi kurczowo udami, pomiędzy którymi pozostało jego nasienie.

Kobieta odwróciła się na bok i podciągnęła kolana niemalże pod brodę. Za nic miała przestrogi matki, że od spania w tej pozycji nabawi się w przyszłości zmarszczek na policzku. Było jej smutno, dręczyło ją poczucie osamotnienia.

Czy wolałaby, żeby Antoni został z nią na całą noc? Aby szepnął jakieś ciepłe słówko, przytulił ją, ukołysał do snu w swoich ramionach? Czy takie rzeczy były w ogóle możliwe?

ROZDZIAŁ 2.

ŁUDZIE O DOBRYCH
SERCACH



Przydrożna kapliczka

Mijał dzień za dniem, a Betka wciąż snuła się po obejściu z nosem zwieszonym na kwintę. Nic nie poprawiało jej nastroju – ani prace, które wyszukiwała jej Maria, by zająć czymś głowę snesзки, ani bezczynność, gdy dla odmiany świekra dochodziła do wniosku, że młoda potrzebuje wytchnienia. Nie pomogła modra chustka przywieziona przez Prokopa z następnego targu, ani słodkie kukielki z miodem wypiekane przez Kachnę, komornicę posługującą u Trzosów. W obejściu znowu zrobiło się ponuro jak niegdyś, umilkły wesołe piosneczki. Nawet burkliwy Jakub przestał wyszukiwać powodów, dla których mógłby dokuczyć synowej w myśl zasady, że kto się lubi ten się czubi.

– To już wołałem, jak rozstawiała wszystkich po kątach i wtrącała się w nie swoje sprawy – wzdychał, odkładając zamaszystymi ruchami całe pokosy zboża.

Tego dnia Bernadeta została w domu. Maria – choć w czasach, gdy sama była brzemienna, wychodziła do żniw – wołała nie ciągnąć dziewczyny w pole na skwar i znojną robotę. W obejściu było dość innego i łżejszego zajęcia.

– Jak urodzi, to poweseleje – powiedziała z nadzieją, schylając się raz po raz, by podbierać żyto i ręcznie ukręconymi powrósłami wiązać snopy, które następnie parobkowie ustawiali w kucki. Szła tuż za mężem, więc od czasu do czasu trochę gwarzyli, zwłaszcza wtedy, gdy Jakub przystawał, by przejechać oselką po ostrzu kosy. – Wierzę, że dzieciak będzie zdrów, bo z takiej krzepkiej dziewczuchy i chłopca, co wygląda jak dąb, nie mogłoby być inaczej. Zajmie się maluchem, to przestanie się smucić. Zapomni o słowach Goczałowej. Co ona winna, że koń gnał wprost na nią?

– Obyś miała rację – stwierdził Jakub. – A co ten Prokop tak pędzi? – westchnął, widząc że syn odszedł z robotą daleko do przodu. – Ech... Młodość! Kiedyś i mnie tak gnał wichler po polach. Jakem złapał za kosisko, to nie ustawałem, póki nie przeszedłem przez cały zagon.

– Dobrze, że tak się spieszy. Zobacz na zachód, jak się kłębią chmury. Idzie na burzę.

Faktycznie od zachodniej strony wychodziły na niebo obłoki. Zerwał się wiatr, który przyniósł nieznaczną ulgę w skwarze. Ale dla Jakuba zapowiedź deszczu nie stanowiła powodu do radości. Żniwa wciąż były w toku, gdyż brakowało mu rąk do pracy. Teraz, zerkając na ciemniejące niebo, żałował, że nie najął więcej parobków.

Ech... Że też człowiek nie ma liczniejszej rodziny – myślał zafrasowany, bowiem coraz trudniej było obrobić wszystkie pola. Z łezką w oku wspominał czasy, gdy mógł liczyć na pomoc dwóch młodszych braci i na siostrę, a także na córki. Cóż, gdy oni wszyscy już dawno spoczęli na cmentarzu. Przetrzebiła się rodzina Trzosów przez różne dziwne wypadki. Ludzie coraz częściej gadali, że wisi nad nimi klątwa znacznie większa od tej, którą rzuciła Goczałowa. Choć teraz, prócz rąk do roboty, niczego im nie brakowało, bo byli zamożnymi gospodarzami, to Jakub martwił się, że niebawem nie będzie komu uprawiać ziemi i oporządzać inwentarza.

Z oddali dobiegało bicie dzwonu.

– Słyszysz? – zagadnęła Maria, której coraz trudniej było się schylać, ponieważ coś ją łupnęło w krzyżu.

– Ano. Benedyktynki dzwonią dla odegnania burzy. Jak nic zanoszą się na silną nawałnicę.

Z dawien dawna istniał zwyczaj, że gdy zakonnice z klasztoru w Staniątkach widziały gwałtownie pogarszającą się pogodę, zanosiły modlitwy do swej bolesnej patronki, by odeгнаła chmury. Towarzyszył temu odgłos dzwonów oraz dzwoneczków.

– W Staniątkach już chyba leje. Zobacz, jak tam czarno i pioruny biją! Popatrz, jak się błyska!

– Lepiej nie zawracaj głowy, ino podbieraj, trzeba skończyć robotę, nim burza dotrze do nas.

Choć czuł już zmęczenie w każdej kości, ponownie chwycił za kosisko. Niestety nie dane mu było zżąć zagon do samej miedzy, gdyż w pewnym momencie zerwał się wiatr, wokół pociemniało, a z nieba zaczęły padać grube krople deszczu – początkowo w dużych odstępach, by już po chwili zamienić się w oberwanie chmury. Nim Trzosowie z parobkami zdążyli dobiec do swych zabudowań, przemokli do ostatniej nitki, zresztą podobnie jak i inni żniwiarze uciekający z pól.

W domu szybko przebrali się w suche rzeczy. Przemoczone łachy rozwiesili nad piecem. Kachna od razu podłożyła drew do paleniska. W garnku już perkotała nastawiona przez Betkę kasza, w rondlu skwierczały solidne skwarki. Młoda gospodyni zakrzętnęła się, by podać obiad. Gratulowała samej sobie roztropności, miała bowiem nastawić kaszę znacznie później, a następnie zanieść posiłek w pole, by rodzina i parobkowie mogli się pożywić podczas przerwy w pracy. Coś ją jednak podkusiło, by zrobić to szybciej. Już miała wychodzić z domu, gdy zwalili się znacznie wcześniej, niż mogłaby przypuszczać, na dodatek przemoknięci i głodni. Szczęśliwie uniknęła więc spotkania z nawałnicą.

Przy jednym stole jadła zawsze rodzina. Zasiadali w czwórkę wokół misy z parującą kaszą szczodrze polaną skwarkami. Nie musieli jeść z niej pospołu, ponieważ każdy miał swój talerz – to była jedna z wielkopańskich fanaberii Bernadety, która sukcesywnie zaprowadzała w ich domu nowe zwyczaje. Przy drugiej ławie zajmowali miejsca parobkowie i komornicy. Ich także karmiono szczodrze, bo na jedzeniu u Trzosów nigdy nie trzeba było oszczędzać, nawet gdy nastawał przednówek.

Po obiedzie obydwie gospodynie przycupnęły nad kądzielami, Kachna krzątała się w tym czasie po izbie, zmywając naczynia i szorując podłogę oraz ławy. Maria wydała dyspozycje reszcie babskiej służby. Chłopi rozłożyli się na werandzie z kosami i już po chwili rozległy się odgłosy klepania i ostrzenia. Przez jakiś czas kobiety pracowały w milczeniu. Za oknem wciąż lało. Deszcz bębnił o szyby niewielkich okienek, spływał chlupoczącymi strugami z krytego strzechą dachu i rozbryzgiwał się w kałużach.

– Ale się zaniosło! – westchnęła Maria. – Zanuciłabyś coś i odgoniła ten smętny nastrój.

Młoda również westchnęła ciężko.

– Kiedy mi się nie chce. Nie ma we mnie ani krzty radości.

– Betko, dziecinko! Nie można się tak zadręczać – skarciła ją łagodnie teściowa.

– Kiedy ludzie we wsi gadają, żeśmy są wszyscy przekłęci.

– Jacy ludzie? – obruszyła się Maria, nieprzerwanie turkocząc kołowrotkiem.

– Ano wszyscy już chyba o tym mieli. I organiścina, i kowalowa, i Franka z Zalipia.

– Ech, pleciugi! Nie ma sobie czym zaprzętać głowy. Pomiela ozorami i przestaną. Ludzie już tacy są, że potrzebują się czasami nakarmić cudzą krzywdą. A nam przecież nic złego się nie dzieje.

– Ale klątwa...

– Jaka tam klątwa? Bzdury.

– Wcale nie bzdury! – Młoda pociągnęła nosem, aż zafurczało. – Nie słyszeliście nigdy o zapadniętym kościele na Studzieńcu?

Maria zamyśliła się na chwilę, świeciło jej w głowie, że już kiedyś słyszała tę nazwę, ale nie była całkiem pewna, czy właśnie o to chodzi. Parę wieków wstecz, gdy jeszcze nazywano Puszczę Niepołomicką lasem Kłaj, oznaczoną na mapach benedyktynek jako las Clay, doszło do zadziwiającego wydarzenia. W dawnych czasach okoliczny teren był

bardziej podmokły. Zresztą wokół wciąż znajdowało się wiele bagien, choć część z nich została osuszona. Teren puszczy nadal pozostał dość grząski, podobnie jak mnóstwo okolicznych łąk. Zapewne właśnie stąd wzięła się nazwa Podłęże dla wsi, która położona była na północ i graniczyła z Zakrzowem. Właśnie gdzieś w tamtych stronach, przed laty jeszcze pełnych trzęsawisk i uroczysk, na niewielkim wzgórzu stała kiedyś świątynia, po której została jedynie powtarzana z ust do ust legenda.

– Matula coś mi tam bajała w dzieciństwie, że dawno temu na obrzeżach naszej kniei stał kościół. Ponoć pewnego dnia idąca z niego baba zniszczyła w błocie nowiusieńkie trzewiki. Rozzłoszczona poniesioną stratą, odwróciła się i zawołała: żeby się ten kościół zapadł! Jakiś zły duch musiał usłyszeć jej słowa, bo nagle huknęło, trzasnęło i kościół zniknął pod ziemią, a w miejscu, gdzie stała kropielnica, wybiło źródółko z cudowną wodą^[12].

– A widzisz? – zapytała z triumfem Bernadeta. – Skoro jakaś kobieta potrafiła urzec cały budynek tylko dlatego, że utyliła sobie trepy, to tym bardziej Goczałowa mogła mnie przekląć za śmierć swego syna.

– Bajanie! Już ty nie wierz, dziecko, w te brednie – odparła Maria.

Betka na chwilę umilkła, ważąc w duchu zarówno słowa świekry, jak i to, co kilka dni wcześniej usłyszała od Franki Zalipiaczki.

– Matko, a może powinnam poszukać tego źródła? Skoro jego woda ma cudowną moc, to ani chybi odwróci zły czar.

– Oj nie wiem, nie wiem – westchnęła Maria i energiczniej zaczęła uciskać stopą na człapiej, by nadać szybszy ruch kołu zamachowemu kołowrotka. – Ja słyszałam tylko tyle, że woda ma lecznicze właściwości, bo pomaga cierpiącym na suchoty.

– No ale jak źródło bije z dawnej kropielnicy, to przecież zawiera wodę święconą. A to odeгна zło, które nad nami zawisło – obstawała przy swoim dziewczyna. – Poszłabym na ten Studzieniec.

– Ale to tylko legenda.

– W każdej legendzie tkwi ziarenko prawdy. Niech no przestanie padać, pójdę! – zdecydowała.

– Wybij to sobie z głowy, Bernadetko! Gdzie w twoim stanie łązić po bagnach? Jeszcze cię błocko wciągnie i bieda gotowa!

– Wezmę kijaszka, by macać drogę. Pójdę tylko po twardym gruncie.

– Drogi na bagniskach znają ino bandziory. Mało się słyszy o napadach w okolicy?

– Zbóje rabują tych, co jeżdżą furami, bo liczą na łupy. Jak powędruję pieszo i bez żadnego tobołka, to mnie zostawią w spokoju. Zresztą Prokop mógłby ze mną pójść.

– A robota w obejściu? Przecież są zniwa i wciąż brakuje rąk do pracy.

– Nie zbawi go pół dnia. Mało mamy parobków? Zadysponuje, co jest do zrobienia, i już! A zresztą po co ma się odrywać od gospodarki? Sama pójdę – stwierdziła, widząc, że jej koncepcja nie spodobała się świekrze.
– Las znam.

– Ale nie tamten, tylko lasek na Winnicy i skraj puszczy.

– Nie szkodzi. Wystarczy, że wiem, jak chodzić po kniei, by nie zgubić drogi. Z trzęsawiskiem też sobie poradzę. Cała sztuka w tym, by iść ostrożnie. Zbójników się nie boję. A niech to! – jęknęła, ponieważ rozproszyła się i niechcący przerwała pasmo włókien. A tak nie lubiła wiązać supelków na przędzy!

– Ja nie pozwalam!

– A bo mnie potrzebna czyjaś zgoda. – Dziewczyna wzruszyła ramionami, a potem ostrożnie zawiązała przerwaną nitkę.

– Czyjej zgody nie potrzebujesz i na co? – zagadnął Prokop, który właśnie skończył klepać kosę i wszedł do izby.

– Wyobraź sobie, że Betka chce iść na Studzieniec!

– W te bagna? – zdziwił się. – A na jaki czort?

– Nie na czort – poprawiła go ślubna – tylko po to, by przepędzić czorta.

Zaraz mu przedstawiła swój plan, ale Prokop, podobnie jak matka, uznał pomysł ślubnej za niedorzeczny.

– Ale ja muszę! – zaparła cię brzemienna. – Bo mi Franka powiedziała, że jak zajrzę do źródła i zobaczę w nim odbicie monstrancji, to czar prysnie. Tylko jeszcze będę musiała przyłożyć ucho do ziemi i posłuchać bicia dzwonów. Jeśli mi się powiedzie, będzie to oznaczało, że jestem osobą o prawym i szlachetnym sercu, a więc klątwa Goczałowej mnie nie dotyczy.

– A kto mówi, że jest inaczej? – burknął świekr, który przyszedł do izby za synem. – To prawda, że serce masz prawe i szlachetne, ale ozór nieco za długi, bo pleciesz trzy po trzy. Wiesz, czym się różnią Trzosowie od reszty pospólstwa? – zapytał młódkę.

– Wolnością i majątkiem? – próbowała odgadnąć.

– To też. – Mężczyzna pokiwał głową, a następnie podkręcił sumiastego wąsa. – Ale ten, kto ma pieniądze, winien się kształcić, by odróżniać zabobony od prawdy. Posyłali więc mnie rodzice do szkoły, ja też żem Prokopa posyłał. A tam panowie nauczyciele w głowę kładli różne mądrości, a za głupoty prali linijką po łapie i gonili do kozy. To po pierwsze. A po drugie, myśmy nie są pierwsi lepsi zagrodnicy. Nas wyniósł nad innych sam król dobrodziej.

O królu dobrodzieju Bernadeta słyszała już nieraz. Przytaknęła więc, uznając poniekąd swą wyższość nad ciemną, niekształconą Franką. Wszak sama także przez trzy lata uczęszczała do przyklasztornej szkółki, gdzie za srebrne talary zakonnice nauczyły ją czytać, pisać, rachować i przekazały jej sporo wiedzy o świecie. Stanowiła w tej szkole wyjątek, ponieważ była jedyną dochodzącą uczennicą. Pozostałe zamieszkiwały w internacie i pochodziły z samych szlacheckich rodzin. Gdy Trzos przysłał do Kołodzieja swatów, sąsiedzi tylko spoglądali z podziwem i mówili, że stary wyczuł pismo nosem, kształcąc Betkę w Staniątkach. Ona jedna z całej gromady rodzeństwa cieszyła się tym przywilejem. Być może wybór padł właśnie na nią dlatego, że ojciec od początku planował korzystne wydanie córki za mąż. Najładniejsza była

z czterech sióstr, najrezolutniejsza i obrotna. Ją najlepiej wyposażył i jej czujnie strzegł, by się nie zmarnowała z jakimś chłystkiem.

Przez moment wydawało się, że burza odchodzi. Niebo zaczynało się delikatnie przecierać, mignął na nim nawet podwójny łuk tęczy. Cóż, gdy nie minęły trzy zdrowaśki, a znowu zagrzmiało, powiał wiatr i lunęło z jeszcze większym impetem. Krople deszczu szybko zamieniły się w grad.

– Olaboga! Nieszczęście! – zawodziła Maria, wyglądając na podwórze zasłane lodowymi grudami wielkości orzechów włoskich. – Toć nam całe zboże wymłóci! Owoce zesiecze, przemrozi warzywa. Gdzie gromnica? Trza postawić na oknie dla odegnania złego!

Trzosowie, ich parobkowie i komornicy łapali się za głowy z przerażeniem. Jak żyli, żadne z nich nie widziało takiej nawałnicy.

Maria postawiła zapaloną świecę na parapecie i jęła się głośno modlić, by piorun nie trafił w dom.

To szaleństwo, by znowu tam jechać – wzdychał raz po raz Antoni Parnicki, kłusując w stronę dworu Żelechowskich. Z każdym ruchem konia nieprzyjemnie obijała mu się o plecy nieodłączna dubeltówka. Powinien być może zatrzymać się i poprawić taśmę, by lepiej ją do siebie dopasować i uniknąć dyskomfortu, jednak celowo tego nie robił. To była forma samobiczowania.

We własnym mniemaniu zasługiwał na karę, przyjeżdżając wciąż do domu przyjaciela w nadziei, że spotka tam Kornelię. Odwiedzał Tadeusza pod pretekstem prowadzenia dysput politycznych lub gry w karty, ale tak naprawdę liczył na to, że choć z daleka ujrzy kobietę, której sam widok wywoływał żywe bicie serca.

Przejechał przez bramę wjazdową, której właściwie nigdy nie zamykano. U Parnickich podchodzono roztropniej do problemu nieproszonych gości, zawsze jakiś chłopak czuwał nad wjazdem do

domu. Tutaj dopiero odźwierny witał przybysza w drzwiach. Antoni złożył w jego ręce broń, kapelusz i rękawiczki. Szpicruty nigdy nie używał.

Śmigły był należycie ułożonym koniem małopolskim, rasą uzyskaną stosunkowo niedawno poprzez mieszanie wytrzymałych koników polskich ze szlachetniejszymi końmi orientalnymi, głównie persami czy arabami. Umaszczony kasztanowato wierzchowiec doskonale reagował na wodze oraz napór kolan. Antoni miał ogiera od dziesięciu lat, dosiadał go niemalże każdego dnia, znali się więc wybornie. Od codziennej przejażdżki nie odstraszała Parnickiego najgorsza pogoda, choć oczywiście nie zawsze skręcał ku majątkowi przyjaciela.

– Antoni! Dobrze cię widzieć! – Tadeusz złapał go za bary. – Co nowego? Co dobrego? – zagadnął. – Jak żniwa? Zdążyliście zrobić zwózki przed burzą?

– Jakoś poszło. Zdążyliśmy. Moim chłopom narobiło sporo szkód, ale dworskie plony zostały zebrane na czas. A jak u ciebie?

– Podobnie. No, chodźże na pokoje. – Przyjaciel wskazał uchylone drzwi.

Parnicki skwapliwie skorzystał z propozycji, licząc właśnie na to, że Tadeusz zaprosi go do salonu, skąd dobiegało brzdąkanie fortepianu, a nie do gabinetu, choć nie mógł być pewny tego, czy to Kornelia zasiada przy instrumencie.

A jednak to nie była ona, lecz Zofia – matka Tadeusza.

W mrocznej bawialni unosił się dym orientalnych trociczek. Pani domu często okadzała nimi pomieszczenie, pozbywając się starych zapachów. Unikała wietrzenia pokoi, jak większość dam nie lubiła przeciągów. Mawiała, że wywołują u niej migreny i są bardzo niezdrowe.

– Dzień dobry, *madame*. Słucham pani gry z prawdziwym zachwytem. Co za raj dla duszy, gdy słyszę Chopina!

– Witaj, Antoni. Dziękuję za komplement, ale ręce już nie te, więc i wykonanie niezgrabne. Mam nadzieję, że nie wzgardzisz filiżanką kawy?

– Z pani rąk? Gdzieżbym śmiał odmówić!

Zofia wstała od instrumentu i opuściła salon, by wydać dyspozycję służbie. Panowie zostali sami. Zasedli w wygodnych fotelach i wrócili do zaczętego wcześniej tematu.

– Udane miałeś plony? – zapytał Tadeusz.

– Przeciętne. Wiosna była trochę za sucha, kłosa niezbyt hojnie sypnęły ziarnem.

– Ech... U mnie to samo. Mam wrażenie, że coraz trudniej się żyje – stwierdził. – Potrzeby i oczekiwania duże, ale skąd na to brać? A jeszcze ci okropni chłopci! Coraz opieszalej pracują. Roi im się zniesienie pańszczyzny. Cygaro? – Podsunął przyjacielowi elegancką drewnianą skrzyneczkę.

– Chętnie.

Sięgnął do zawartości. Po chwili nad ich głowami unosiły się smużki dymu.

Tymczasem do salonu weszła panna służąca ubrana w skromny, ciemny uniform oraz biały fartuszek. Podała mężczyznom kawę i zapowiedziała podwieczorek za pół godziny. Potem odeszła, zostawiając ich samych.

– Chłopi z natury są leniwi i tylko szukają sposobu, by wkładać w pracę jak najmniej wysiłku. Problem w tym, że bez chłopca nie da się prowadzić gospodarstwa, a oni dobrze o tym wiedzą – zauważył Parnicki, lekko wciągając w usta gryzący, aromatyczny dym. – Coraz częściej podnoszą się głosy, że trzeba znieść pańszczyznę, bo kmieć też człowiek i potrzebuje swobody.

– Bzdury! – zachnął się Żelechowski. – Na cóż im swoboda? Co oni by z nią zrobili? Do wojaczki się nie nadają, bo nie potrafią władać bronią. Jak trzeba ich wystawić do poboru, to tylko wynikają z tego problemy,

bo każdy chce się wymigać. I mało który wraca z wojny cały i zdrów. Kupcy byliby z nich żadni, bo trzeba mieć kapitał, by nim obracać. Fabrykanci? Karczmarze? Też coś! Chłop z natury uwiązany jest do ziemi i do niczego innego nie jest zdatny – powiedział dobitnie.

– To prawda. Ale ja już niejedną raz słyszałem, że pańszczyzna to wyzysk, bo należy im się taka sama płaca, jak robotnikom najemnym.

– Rachunek ekonomiczny nie puszcza. Nawet bez uwłaszczeń człowiek musi się dobrze nagłówkować, by jakoś związać koniec z końcem. Jak zacznę płacić chłopom, to wnet mi cały majątek przecieknie pomiędzy palcami. Co wtedy zostawię dla dzieci?

Żelechowscy w ciągu czterech lat małżeństwa doczekali się dwójki drobiazgu. Dziesięć miesięcy po ślubie żona obdarowała Tadeusza synem, półtora roku później córką. Antoni trochę zazdrościł przyjacielowi skuteczności poczynąń. Sam daremnie podejmował wysiłki z Cecylią. Minął rok od wesela, a żona wciąż nie przekazywała mu dobrej wiadomości.

A może to była kwestia nastawienia? Nie kochał jej, a ich pożycie było nudne i mechaniczne. O wiele więcej przyjemności miewał z komediantkami z teatru albo z prostymi wiejskimi dziewczuchami o jędrnych, krzepkich ciałach. Cecylia była zbyt chuda, wręcz koścista. Choć tak naprawdę nigdy nie widział jej w pełnej krasie, przeczuwał, że nie ma w sobie nic apetycznego. Czasami mdła poświata księżycy wdzierająca się przez okno ujawniała to i owo, lecz dla niego nagie biodra czy uda żony nie stanowiły podniety.

Czy z Kornelią byłoby tak samo? Równie nudno, mechanicznie i monotonnie?

Wątpił. Kornelia miała w oczach ogień, którego brakowało Cecylii. Sam jej widok burzył krew w jego żyłach. Gdyby tylko wolno mu było się do niej zbliżyć! Szeptalby jej na ucho najczulsze wyznania. Całowałby różane usta i ciężkie powieki o długich rzęsach. Całowałby całe jej ciało, skrawek po skrawku, nie opuszczając żadnego fragmentu. Pieściłby tak,

jak nie należy dotykać żony, by nie budzić w niej niezdrowych, grzesznych pragnień.

– Odpłynąłeś myślami do Wiednia? – Głos przyjaciela wyrwał go z zadumy.

– Nie, skądże. Po prostu zastanawiam się nad tym, jak wyglądałyby moje dobra, gdybym musiał zrezygnować z pańszczyzny – skłamał.

– Zapewniam cię, Antoni, że szybko uległyby znaczącemu skurczeniu na korzyść takich przecher jak sąsiadujący ze mną Trzosowie. To są dopiero zaradni spryciarze! – powiedział ni to z uznaniem, ni z pogardą. – Robić u nich tak za bardzo nie ma komu, bo w chałupie jest tylko stary Trzos, młody gospodarz, ich dwie kobiety i komornicy. Najmują więc małorolnych parobków. Nie słyszałem nigdy, żeby sobie z tego powodu krzywdowali. Często gęsto wykupują moich chłopów od pańszczyzny. Mają do obrobienia siłę areału. Masz pojęcie, Antoni? Chłop, który posiada swój grunt! Nie włościański, ale własny! I to na tej ziemi ma wybudowany dom, więc może się ze mnie śmiać.

– Jakże to możliwe? – zdziwił się Parnicki.

– Ano tak, że mają akt nadania od samego króla. Przechowują go od wieków i strzegą jak oka w głowie. Kto widział, by kmieć był ziemianinem? Przecież to wbrew logice i rozsądkowi. Jak świat światem, kmieciom powinna wystarczyć wyłącznie ziemia włościańska.

– A może prócz aktu nadania ziemi jego przodek dostał również patent szlachecki?

– Nic z tych rzeczy. Drobnej szlachty jest w okolicy dość i każdy kurczowo trzyma się swoich praw. Gdyby Trzos był szlachcicem, z całą pewnością byłoby to powszechnie wiadome. A oni nawet nie próbowali zdobyć przywilejów podstępem, jak te farbowane lisy, o których do dzisiaj się mawia.

– A tak – odparł Parnicki. – Słyszałem o Janie Kokotowskim, mieszczaninie z Wieliczki, który przybrał sobie nazwisko od Kokotowa i sam się zaczął tytułować szlachcicem.

– Ano. Niejeden zamożniejszy mieszczanin czy rzemieślnik przekształcał swoje nazwisko. Był przecież tu niedaleko Wilkobodzki, co się dorobił na tkactwie i zachciało mu się żony szlachcianki, ale na krakowskiej ziemi nikt nie chciał dać mu swojej córki, bo każdy wiedział, że nazwisko wziął stąd, że podczas pasienia bydła grywał na trąbce, budząc przy tym okoliczne wilki. – Pan domu się zaśmiał.

– Ja na ten przykład słyszałem o synu furmana z Wierzbicy, Siuda go zwali. Przemianował się na Wierzbickiego i zrobił pyszną karierę. Został podstarościm w Niepołomicach i mocno urósł na swojej posadzie^[13].

– No widzisz? Trzosowie przynajmniej nie mają wielkopańskich aspiracji. Gospodarni są i robotni, więc przymykam oko na to, że wykupują mi ludzi od pańszczyzny. Młody Trzos nie ma rodzeństwa, żadnych stryjów ani pociotów^[14]. Wszystko, co posiada, przekaże swoim dzieciakom, nie rozdrobni mu się gospodarka. Diabeł mu chyba jest oraczem i zniwiarzem. I co: taka cwana bestia nie spojrzy łakomym okiem na moje zagony? – mówił w nerwowym uniesieniu. – Jak mi przyjdzie wypłacać dniówki każdemu robotnikowi, to będę zmuszony w całości puścić ziemię w dzierżawę, bo nie wyrobię na wypłaty. Albo zacznę sprzedawać. Jak Habsburg zniesie pańszczyznę, dziadami robi nas wszystkich! Sam nie ma dzieci, więc nie wie, co to rodzicielska troska o przyszłe pokolenia. Zresztą co ja mówię? Czy poza naszym Stasiem^[15] jakiś król kiedykolwiek stracił swoje włości? – palnął niefrasobliwie pan domu.

– Ech, przyjacielu! Teraz to już cię poniosło! A taki choćby Ludwik Szesnasty? Wszak Burbon stracił nie tylko majątek, ale również głowę. Nasz przynajmniej przez jakiś czas zachował życie.

– Nie dałbym sobie dwa razy powiedzieć, czy nie został otruty – bąknął zbity z pantałyku Żelechowski. Ogarnął go wstyd za wcześniej plecione androny.

– Cesarz chyba za wiele nie ma do powiedzenia w interesującej nas kwestii. Tak naprawdę wszystko zależy od Rady Regencyjnej. Powiadają

przecież, że Ferdynand nie jest w pełni władz umysłowych.

– Ktokolwiek będzie o tym decydował, lepiej, by zostawił nasze sprawy w naszych rękach – stwierdził Tadeusz. – Zmiana istniejącego stanu rzeczy mogłaby doprowadzić do katastrofy.

Rozmowę zakłóciło ponowne przyjście służącej.

– Pani prosi do jadalni – oznajmiła, dygając.

– Zapraszam. – Żelechowski wstał i wskazał ręką drzwi. – Nie każmy damom czekać.

– Oczywiście.

Znowu ją zobaczę. Kocham się w niej niczym gołowąs. Tym gorzej dla mnie, że beznadziejnie – pomyślał Parnicki. Zbyt wiele ich dzieliło, a każdy dzień oddalał od siebie jeszcze mocniej. Antoni nawet nie miał pewności, czy może liczyć na jakąkolwiek wzajemność. Być może żył wyłącznie urojeniem zbudowanym na kilku chwilach. Na kłamstwie rzuconym nawet nie w rozmowie, lecz w paru spojrzeniach, gdy wydawało mu się, że obydwójce zajrzeli sobie w głąb duszy.

Nagle halsztuk zaczął go dziwnie mocno uwierać. Znowu pożałował, że jest takim słabeuszem, i wrócił do majątku Żelechowskich pod płaszczykiem przyjaźni, by na nią spojrzeć.

– Uszanowanie pięknym paniom – wysilił się na swobodny ton, skłaniając głowę i wodząc wzrokiem po jadalni.

Przez ułamek sekundy pochwycił spojrzenie Kornelii. Jej brązowe oczy pały łagodnym ciepłym blaskiem. Gdy zatonął w ich głębi, odczuł osobliwe mrowienie w okolicy serca.

– Pan znowu odwiedza nas samotnie? – zapytała.

– Tak się złożyło – odparł krótko.

– A jakże się miewa Cecylia? Czemu jej pan ze sobą nie przywiezie? Z przyjemnością znowu byśmy ją ugościli – wtrąciła Zofia. – To taka urocza osóbka!

– Dzisiaj było dla niej zbyt gorąco na wycieczkę – odparł wymijająco. Rzeczywiście zagadnął żonę o to, czy nie miałyby ochoty wraz z nim

pokłusować, ale ani przez moment nie zająknął się, że celem miał być dwór Żelechowskich. Zresztą gdyby na to przystała, zapewne objechaliby ziemie należące do ich majątku. Nie lubił zabierać Cecylii ze sobą, wiedząc, że może spotkać Kornelię. Jeszcze zauważyłaby zdradziecki błysk w jego spojrzeniu i uznała, że zbyt uważnie wsłuchuje się w tembr głosu innej kobiety.

– Ach, szkoda! – odparła Kornelia. – Gdy pan się żenił, liczyłam, że znajdę w niej przyjaciółkę. Obydwie opuściłyśmy rodzinny Kraków, by zamieszkać w tej okolicy. Na pewno łączy nas także wiele innych podobieństw.

Nie przypuszczam – miał na końcu języka. Z Cecylią nigdy nie rozmawiał o polityce, ekonomii czy sztuce. Z Kornelią można było śmiało podjąć wiele spośród tych tematów. Była zadziwiająco światłą kobietą, chłonęła każdą ciekawostkę, dużo czytała, a gdy mieszała się w dyskusję, przemawiał przez nią rozsądek. W jego odczuciu Cecylia wypadła na jej tle niczym głupiutka gąska, która potrafi tylko prawić o perkalikach, atlasach i strusich piórkach.

– *Madame*, dołożę starań, by nadrobić to uchybienie, gdyż przyznaję, że poniekąd z mojej winy Cecylia zaniedbuje obowiązki towarzyskie. Jestem zbyt mało stanowczy, gdy proponuję jej wizytę w czyimś domu. A ona zawsze znajduje sobie jakieś wymówki.

Niewiele rozmijał się z prawdą, choć zwykle gdy zapraszał żonę na przejażdżkę, to zabierał ją na eskapady po swoich włościach albo do Wimmerów, z którymi nie znajdowała wspólnego języka – być może z uwagi na różnicę wieku dzielącą ją i panią Matyldę. Jedne i drugie ją nużyły, czemu także był winien, ponieważ mało się troszczył o to, czy odpowiada jej taki rodzaj rozrywki. Wystarczająco dużo czasu poświęcił żonie w Krakowie, obwoząc ją po balach, teatrach i wystawach muzealnych. Wizytując tamtejszych znajomych i przyjmując rewizyty. W tamtym okresie uznał, że ją zaledwie znosi, nie ma z nią interesujących tematów do dyskusji i zdecydowanie nie jest w stanie zapalać do niej miłością. Zresztą po co miałby zmuszać się do takiego

wysiłku? Wszak „serce nie jest sługa, nie zna, co to pany, / I nie da się przemocą okuwać w kajdany”^[16].

Znowu wracał do domu galopem, spinając konia ile wlezie do jak najszybszego biegu. Gnał, jakby go coś goniło. Wiatr targał mu odzież i włosy, dziw, że nie zdarł kapelusza. Wpychał z powrotem w płuca to samo powietrze i zabierał im dech.

Nie powinienem jej spotykać. Ona nigdy nie będzie moja. Miałbym najbliższemu przyjacielowi przyprawić rogi? Niedoczekanie!

Nigdy nie zapomniał chwili, gdy pęczniejący z dumy Tadeusz przedstawił mu swoją narzeczoną. Do tamtej pory Antoni sądził, że jest wolny od dyrdymałów, o których tak szumnie rozpisywali się romantyczni poeci. Nie wzdychał, nie płakał, nie wypatrywał sobie oczu, nie tęsknił za niczym widokiem. A gdy raz spojrział w głębię tęczy Kornelii, wróciły wszystkie wersy pisane przez zropaczonego Mickiewicza, gdy los rozdzielił go z Wereszczakówną. Już rozumiał ten bezmiar uczucia.

Marzył wówczas, by Kornelia nie była zaręczona. Albo żeby wydarzyło się coś, co uniemożliwiłoby jej ślub z Żelechowskim, choć to zapewne wywołałoby skandal. Zerwać zaręczyny? Wszak to nie wypada! To niedorzeczne, by cofać raz dane słowo, kompromitacja dla panny lub dla kawalera. Dla Tadeusza może trochę zszargana reputacja, dla Kornelii raczej kiepskie widoki na przyszłość, prawdopodobniejsza klasztorna furta. Ale on, Antoni Parnicki, z chęcią wybawiłby ją od perspektywy zasilenia szeregów mniszek.

Marzył o tym, by uwolnić ją od słowa danego Tadeuszowi, choć wiedział, że to najprędzej musiałoby oznaczać śmierć przyjaciela. Rzadko bowiem zdarzało się, by para narzeczonych zrywała zaręczyny ot tak. A już absolutnie nie należało tego czynić, tłumacząc się

porywami serca. Raz dane słowo wiązało nie mniej niż przysięga złożona przed ołtarzem.

Sam był wówczas wolny, choć już wtedy rodzice usiłowali mu naraić osiemnastoletnią Cecylię. On jednak nie chciał słyszeć o mariażu tak długo, jak długo żył złudzeniami, że wydarzy się cud i Kornelia nie wyjdzie za mąż. A potem stało się najgorsze: wymieniła z Tadeuszem dozgonną przysięgę, na zawsze grzebiąc nadzieje Antoniego.

Choć stracił nadzieję, wciąż nie chciał słyszeć o Cecylii. A gdy już nawet nagiął się do wyboru rodziców – cóż, w tamtym czasie był absolutnie ślepy na wszystkie kobiety świata, nawet na najponętniejsze aktorki – odwlekał ślub tak długo, jak tylko było to możliwe. Dla niej: dla Kornelii.

A przecież ukochana nigdy nie dała mu jednoznacznie do zrozumienia, że coś mogłoby ich ze sobą połączyć! On wpatrywał się w jej oczy, gdy udawało mu się ich spojrzenie podchwycić na dłużej. I te oczy były wymowniejsze niż milczące usta, niż dłonie ściskane o chwilę zbyt długo, niż uśmiechy posyłane zza wachlarza ze strusich piór. Tak! Karmili się spojrzeniami, muśnięciami dłoni, niby przypadkowymi, a jednak wyrażającymi coś więcej niż tylko powitanie bądź pożegnanie. Czasami zdradzały ich nieznaczące westchnienia. Lubili ze sobą rozmawiać. Niekiedy przekomarzali się nawet życzliwie. Tańczyli ze sobą tyle, na ile pozwalał dobry ton. Dalecy i bliscy, owładnięci jedynie przeczuciami. Być może wytrawny obserwator dawno temu zauważyłby, jak na siebie patrzą w chwilach trwających zaledwie mgnienie oka.

Posłuszna żona, sfrustrowany mąż. Dwie dusze uwięzione w labiryncie konwenansów i układów rodzinnych.

Antoni zeskoczył ze Śmigłego na podjeździe dworu. Rzucił wodze masztalerzowi.

W domu ominął salon, w którym siedziały kobiety, haftując, muzykując lub po prostu pograżając się w szlachetnej nudzie.

Przeskakując po dwa stopnie, pognął na piętro i wpadł do swej sypialni. Z książki, która zawsze leżała pośród innych lektur na etażerce, wyjął kawałek wstążki upuszczony niegdyś przez Żelechowską.

Zamknął oczy i przypomniał sobie tamten moment z każdym detalem. Widział jej niebieską popołudniową suknię. Smutne, tęskne spojrzenie. Jasnobrązowe anglezy opadające kaskadami na delikatną skórę ramion. Haftowała coś pracowicie, wykorzystując przy tym skrawki wstążek, z których układała kwiaty. Zauważyła, jak się schylił po ścinek, który jej upadł. Ich spojrzenia się zetknęły. Uniósł tasiemkę do ust i złożył na niej lekki pocałunek, a następnie wcisnął ją do kieszeni na piersi.

Nie zaprotestowała. Jej delikatnie rozchylone usta wydały subtelne westchnienie, a w oczach zamigotało to samo światło, które czasami zapalało się na widok Antoniego.

– Mogę? – zapytał ponieważ, a ona w odpowiedzi tylko skinęła głową.

Ich spojrzenia powiedziały sobie wszystko, choć usta jak zawsze milczały.

Zaczarowaną chwilę przerwał wchodzący do bawialni Tadeusz.

Nikt niczego nie zauważył. Ani on, ani Zofia wygrywająca na fortepianie, ani pozostałe mieszkanki dworu: Kazimiera de domo Żelechowska, czyli starsza, zameężna siostra Tadeusza, której obecnego nazwiska Parnicki nie mógł zapamiętać, Leontyna Żelechowska oraz niegdyśiejsza guwernantka panienki Kazimiery.

Nie nosił tej wstążki na sercu, ponieważ bał się, że mógłby ją jakoś niefortunnie stracić. O wiele bezpieczniejsza wydawała mu się za okładką *Zbioru potrzebnych wiadomości*, nie przypuszczał, by żona sięgnęła po encyklopedię, ponieważ czytywała jedynie poezje oraz romanse.

Muszę coś zrobić z tym opętaniem, bo inaczej do reszty zwariuję – stwierdził, odkładając książkę na miejsce.

Uwadze Cecylii nie umknął powrót męża. Zgadywała, gdzie był, choć tak naprawdę mógł pojechać w każde miejsce. Ona jednak miała przeczucie, że ostatnimi czasy celem wycieczek męża jest nie Puszcza Niepołomicka, ale majątek Żelechowskich.

Która? Kazimiera, Leontyna, Kornelia czy może wreszcie ta chłopka mieszkająca z nimi po sąsiedzku? – zastanawiała się, biorąc pod uwagę kolejno: zamężną siostrę Tadeusza, która nawet po ślubie większość czasu spędzała pod bokiem matki, jego owdowiałą niedawno bratową, nad wyraz piękną kobietę o posągowym typie urody, niebieskich oczach i lokach w kolorze pszenicy, ewentualnie żonę Tadeusza, istotę w jej odczuciu nazbyt mdłą wizualnie i zdecydowanie zbyt mocno wyemancypowaną w pogawędkach. Nie wiedzieć czemu, największą zgrozą przejmowała ją myśl, że Antoniemu może chodzić o prostą kobietę z gminu i że to nie jest jednorazowy afekt, lecz coś nieporównywalnie silniejszego.

Nie zniósłabym takiego upokorzenia – pomyślała, nacierając igłą na robótkę tak zaciekle, że zamiast w batyst, wbiła ją sobie w palec. Na opuszcze momentalnie pojawiła się szkarłatna kropla, więc Cecylia wsunęła palec do ust, zerkając dyskretnie w stronę teściowej, czy czasami tego nie widzi. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wielkim upokorzeniem musiałyby być plotki o jej mężu tarzającym się z jakąś prostytutką. Nie jestem zazdrosna – usprawiedliwiała samą siebie. Ale są jakieś granice, których nie powinno się nigdy przekraczać.

Ziarno raz posiane w umyśle Bernadety mocno w nim osiadło, zapuszczając korzenie. Młoda kobieta wciąż wyczekiwała sposobności,

by udać się do cudownego źródła. Tylko w tym posunięciu upatrywała nadziei na odwrócenie klątwy rzuconej przez Goczałową. Chociaż mąż, świekra i inni domownicy wciąż usiłowali jej przetłumaczyć, że nie powinna brać sobie do serca tamtych strasznych słów, ona nie mogła zaznać ani chwili spokoju. Wciąż szalała ze strachu, że coś złego przydarzy się jej dziecku, i to zanim wyda je na świat. Gdy przez dłuższy czas nie poruszało się w jej łonie, wpadała w panikę. Gdy bywało bardziej ruchliwe, ogarniała ją groza, że coś złego się dzieje. Nocami śniła o kołysce, w której miejsce rozkosznego różowego bobaska zajmuje martwy pięciolatek, a pod głową zamiast poduszki ma głąz spływający krwią.

Szansa na eskapadę do Zakrzowa nadarzyła się podczas dożynek. Bernadeta wykręciła się od udziału, tłumacząc, że nie w głowie jej hulanki i woli ten czas spędzić w Słomirogu u matuli. A ponieważ od dłuższego czasu unikała gwarne go towarzystwa, nikt jej nie namawiał, by zmieniła zdanie.

Gdy mąż z resztą domowników szykował się na zabawę ludową, ona wzięła trzewiki i paradnie się wystroiła, jakby faktycznie miała w perspektywie wizytę u matuli. Łudziła się nadzieją, że nie podrze spódnic, gdy będzie się przedzierała przez las, a butów nie zgubi w jakimś bajorze. W razie czego, postanowiła, kiedy dotrze w knieję, zdejmie z głowy chustkę i zawinie w nią buty, a dalej pójdzie boso. Będzie tylko musiała uważać na spódnice, ale te zawsze może zakasać, by ich nie utyłać.

– Weźże matce jakiegoś gościńca – pouczyła ją teściowa. – Kawalek ciasta chociażby. Nie wypada iść z pustą ręką.

– A to wezmę kukielkę – odparła, ciesząc się w duchu, bo do przejścia miała około mili^[17], z czego znaczną część przez las. Do Słomirogu było odrobinę bliżej, ale i wędrowało się lepiej, bo ubitym traktem. Przekąska przyda się więc dla wzmocnienia sił. Bernadeta już sobie zaplanowała, że z powrotem trochę nadłoży drogi i faktycznie zajrzy do rodziców. Tam odsapnie i doprowadzi się do ładu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

A później, po powrocie do domu, powie, jak naprawdę spędziła dzień. O ile rzecz jasna jej misja się powiedzie. Betka była jednak dobrej myśli, ponieważ w ostatnich czasach wciąż rozpytywała ludzi o ów Studzieniec i mniej więcej wykoncypowała sobie, gdzie go znajdzie. To musiało być gdzieś pomiędzy Piaskami Zakrzowskimi a Pozogami.

– A uważajże, sneszko, na zbójów. Ponoć znowu pojawiali się w lasku. Pobili niedawno jakiegoś parobka, obłupili go ze wszystkiego, co miał przy sobie, na ostatek w samych gaciach ledwo żywego puścili. Cud, że nie został przez nich ukatrupiony.

– Słyszałam, że od tamtej pory jęgrzy mają oko na to miejsce – rzuciła dziewczyna. – Nie bójcie się, matko, poradzę sobie. A jak będzie trzeba, to mnie Błażej odwiezie z powrotem – wspomniała o kuzynie.

– No dobrze, dobrze. Niech cię przywiezie. Wieczory coraz szybciej zapadają. Lepiej, żeby towarzyszył ci jakiś parobek.

– Oj, wiecie co? A czy ja jestem jakaś panienka ze dworu, żeby mi była potrzebna eskorta?

– A bo to mało zbójców? – Świekra obstawała przy swoim.

– Niech no który się zbliży! Zaraz takiego postraszę, że go myszy zjedzą.

– Myślisz, że na łotra to podziała?

– Z całą pewnością. Zresztą gruba już jestem jak ta rozciągnięta ozwora^[18], więc żadna ze mnie atrakcja dla chłopów.

Zapewne gdyby Bernadeta nie była w ciąży, nie wykręciłaby się od udziału w dożynkach, ponieważ, jak co roku, Trzosowie zostali zaproszeni do Żelechowskich, a przodownicy, którym przypadło w udziale ścięcie kozy, czyli pozostawionej specjalnie w tym celu kępy dorodnych kłosów, zaproponowali wspólne uwicie z nich wieńca zwanego plonem.

Kłosa uroczyście zżął Marcin Zalipiak, przy czym asystowali mu synowie, parobcy oraz Jakub i Prokop, a następnie złożył je na ręce swej żony Franciszki. Zalipiaczka, którą los obdarował samymi synami, poprosiła o pomoc Trzosową i jej sneszkę. We trzy uplotły z kłosów piękny wieniec w kształcie korony. Kobiety wspomogły się ususzonymi roślinkami, z których część zebrały na święto Matki Boskiej Zielnej, kiściami czerwonych jarzębinowych koralików, orzechami i kwiatami. Nie pożałowały na ten cel wstążek ani kurzych piórek, które od wielu miesięcy gromadziła gospodyni. Z tych ostatnich Franka uformowała nawet zgrabnego koguta z pięknym pióropuszem i umieściła go pod sklepieniem korony.

Tego roku plon wyszedł okazale. A ponieważ w obejściu Zalipiaków brakowało kobiet, ich synowie byli nieżonatymi podrostkami, o pomoc w niesieniu plonu Franciszka poprosiła Trzosową oraz najzaciejsze gospodynie z włości Żelechowskiego. I tak w drodze do kościoła towarzyszyły jej również organiścina oraz żona kowala Dorota Marcińczyk.

Ruszyli przez wieś całą gromadą. Daleko niósł się gromki śpiew:

– *Czas pracy zniwnej skończony / Poświęcić trzeba więc plony / Żeby nam chleba nie brakowało / Życie w dostatku upływało // Więc się dziś wszyscy radujemy / Chleba z tych zbiorów spróbujemy / Niech śpiew i zgoda zdrowia nam doda / Weselmy się dziś, radujemy*^[19].

Na czele szły zniwiarki ze swoim wieńcem, za nimi reszta gospodarzy. Wszyscy wystrojeni w najlepsze przyodziewki. Aż się w oczach mieniło od kwiecistych spódnic i chust, od pasiastych białoczerwonych portek, od bogato zdobionych gorsetów, jasnych sukman z purpurowym podszyciem, od pawich piór, haftowanych wstęg i pstrych wianków. Choć panował niemiłosierny skwar, nikt sobie nie krzywdował, że trzeba włożyć paradny strój, a do niego trzewiki lub buty z cholewami. Jak święto, to święto! W promieniach słońca połyskiwały starannie wyczyszczone sierpy i kosy ozdobione wstążkami oraz buketami kwiatów.

– Jak wasze zbiory? – zapytał Zdzisław Czop Jakuba, gdy ramię w ramię zmierzali w stronę kościoła.

– Marnie latoś. Najpierw było zbyt sucho, więc zboża słabo wiązały. A potem nie zdążyliśmy ich zżąć przed burzą. Nie zebrałem wszystkiego, bo zabrakło mi pomocników. Każdy, komu proponowałem zarobek, tłumaczył, że najpierw musi odrobić pańskie. A Żelechowski wyjątkowo nie chciał nikomu odpuszczać pańszczyzny – westchnął gospodarz. – Być może liczył, że jak mnie przetrzyma, to więcej zapłacę za parobków. A potem nie było już czego zbierać. Grad wymłócił mi kawał areału.

– U mnie to samo. Gdyby nie odrobek, miałbym ładniejszy plon. Tfu – splunął na gościniec – na psa urok z tą pańszczyzną. Człek całe życie haruje jak ten wół roboczy. Na przednówku głód ściska. I w imię czego? Żeby dziedzic obrastał tłuszczem? A dziedziczka miała białe rączki nieskalane żadną pracą? Gdzie na tym świecie znajdę sprawiedliwość?

– Sprawiedliwości nigdy nie było i nie będzie – rzucił Jakub. – Taki los. Pan rodzi się, żeby rozkazywać, chłop, aby tyrać w pocie czoła.

– Tyś mądry, bo nie odrabiasz pańszczyzny. Na swoim gospodarujesz!

– Ale za to płacę słone podatki.

– Ja to bym inaczej wszystko urządził – sapnął Zygmunt Filuś, kmiiec obrabiający dziesięć mórg. – Pogoniłbym do roboty i panny, i panów. Niechby zażyli prawdziwego życia.

– A gdzież oni się do tego nadają? Widziałeś baby z dworu? Chude, ladace^[20], białe, jakby słońca nie oglądały. Cienkie w biodrach, cienkie w pasie. A jak im przyjdzie rodić, to biorą ze wsi mamki do wykarmienia paniątek. A i pan nie poradziłby sobie w polu. Ani kosy to nie umie trzymać, ani cepa. I też ręce ma delikatniejsze niżli nasz organista. Bo Ambroży, prócz tego, że potrafi grać na organach, ma dość roboty w obejściu i nie wszystkie obrządki robią za niego parobkowie.

- No to może czas najwyższy, żeby z tym skończyć?
- Szaleju się najadłeś? Niby jak? – zdziwił się Trzos.
- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że na przednówku zaś będzie u nas bieda z nędzą. Zbiór był słaby, cała nadzieja w kapuście i ziemniakach, choć kapustę grad mocno potrzaskał i wymroził. Ale samymi kartoflami człowiek nie wyżyje.
- Ano nie – przytaknął Jakub.
- Trzeba coś zrobić. Pańszczyzna musi być zniesiona – wtrącił Alojzy Dyl, ubogi chłopina.
- Łatwo mówić. Przecież to odwieczny porządek świata. Zawsze tak było, że panowie paśli się na robocie maluczkich.
- Bronisz dziedziców? – zaperzył się Alojzy.
- Skąd! Ja tylko uważam, że na to nie macie wpływu.
- Mówisz tak, bo to nie u ciebie dzieciaki będą wiosną pisać z głodu. Tyś nigdy prawdziwej biedy nie zaznał.
- Bajesz! Myślisz, że bieda to tylko głód? – burknął Trzos.
- Z pełnym żołądkiem łatwiej znieść inne niedole. – Czop stanął po stronie Dyla. – A wyście zawsze byli inni i łatwiej wam było. Aniście chamy, aniście pany. Ty nawet nie musisz pańskiego obrabiać, bo masz własny grunt. A w czymżeś od nas lepszy? Czego nam nikt nie pozwala mieć ziemi na własność? – rzucił z goryczą.

Dotarli pod kościół, więc zamilkł ten złowrogi szmer, który towarzyszył żniwiarzom przez całą drogę. Zdjęli czapki z głów, wstępując w progi świątyni. Gospodynie złożyły plon przed ołtarzem. Rozpoczęło się nabożeństwo, po którym kobiety ponownie wzięły wieniec. Tym razem chłopci skierowali się ku dworowi bielejącemu za drzewami parkowymi.

Szli z pieśnią na ustach, chwając gospodarność pana, wytykając surowość ekonomowi, sławiąc urodę dziedziczki, która mimo wydania na świat dwójki dzieci wyglądała krucho niczym kołysana wiatrem trzcinka. Zabrakło im odwagi, by ułożyć nowe zwrotki o nędzy

przednówków, znoonej pracy i wyzysku. Nie chcieli na siebie ściągać gniewu dziedzica, lecz w rzeczywistości żalowali, że zarząd nad włościami przejął młody Żelechowski. Jego ojciec był odrobinę łaskawszym panem, czasami pochylał się nad chłopską niedolą, a gdy nadciągało widmo głodu, uchylał drzwi własnego spichrza.

Na podjeździe już czekały suto zastawione ławy i przygrywała kapela. W dwuskrzydłowych drzwiach dworu stanął młody Żelechowski z małżonką, zza ich pleców wyzierał zaciekawiony synek, trzymany za rączkę przez nianię. Służba czekała na zewnątrz, tym razem gotowa, by posługiwać chłopom.

Franciszek Zalipiak odczekał, aż nadejdą wszyscy ziomkowie, umilkną śpiewy i pogawędki, a potem przemówił donośnym głosem.

– Przyszliśmy, dziedzicu, by staropolskim zwyczajem złożyć panu w ofierze dożynkowy wieniec. Przyjmij również chleb wypieczony z nowej mąki. Niech się darzy!

– Dziękuję wam, gospodarze, za trud. Dał Bóg, że mimo suszy kłosa sypnęły zbożem. To był nie najgorszy rok. Oby i następny okazał się dla nas równie szczodry, choć życzyłbym sobie, aby był znacznie lepszy – odparł Żelechowski, przyjmując bochen chleba.

– Dla kogo był nie najgorszy, to był – bąknął Dyl pod nosem. Oczywiście tak, by mógł go usłyszeć wyłącznie Czop. – Jemu sypnęło ziarno, nam poleciał grad.

Wieniec dożynkowy złożono na przygotowanym wcześniej stole nakrytym białym obrusem.

Dziedzic zerknął na stojące najbliżej kobiety – pierwsze gospodynie na jego włościach. Zgodnie z panującym obyczajem miał teraz wziąć w tany tę, która była najwydajniejszą żniwiarką, czyli zezowatą Franciszkę. To jej rodzina od dawna wiodła we wsi prym. Skrzywił się nieznacznie, wołałby pohulać z młodką o gładkiej twarzy. Nie mógł jednak urazić chłopów, którzy przynosili mu największe profity.

– Oj popieściłbym go drzewcem od kosy – szepnął Alojzy, nachylając się nad uchem Czopa, który już zdążył zasiąść na ławie.

– Sam kijaszek to mało. Na niego trza dobrze wyklepanego ostrza – bąknął inny parobek.

– Dajcie spokój – syknął Zdzisław. – Dzisiaj się bawmy, korzystajmy z pańskiej hojności. Da Bóg, kiedyś cysorz zdejmie z nas to jarzmo, a wtedy pokażemy dziedzicowi, ile warte są włosci bez pracy naszych rąk.

Słuchający w milczeniu Prokop porzucił towarzystwo rozgoryczonych chłopów. Podszedł do dziedziczki, zdjął z głowy czapkę z pawimi piórami i uklonił się w pas. Pani Kornelia wyciągnęła w jego stronę drobną dłoń obleczoną w koronkową rękawiczkę, więc już po chwili poprowadził ją w tany, nie mogąc się nadziwić temu, jak bardzo różnią się dworskie kobiety od wiejskich bab. Żelechowska sprawiała wrażenie, jakby stworzona została z lekkiej mgiełki: cienka w pasie, bladolica i tak krucha, że strach byłoby ją mocniej przycisnąć w tańcu.

Ech... nie ma to jak moja Bernadetka: krzepka, powabna, gospodyni co się zowie! – pomyślał, choć ślubna też miała w sobie jakieś wielkopańskie cechy, bo i rączki zachowała bieluchne, delikatne, mało spracowane, i zęby lśniące jak u damy, i włosy puszyste. Gdyby to jego żonę przebrać w takie jedwabie i koronki, wyglądałaby pewnie w nich jeszcze ładniej niż dziedziczka.

W czasie gdy Prokop tańczył z Kornelią, zadowolona z siebie Bernadeta wędrowała traktem wiodącym ku Balachówce. Była już od siedmiu miesięcy brzemienna i dobrze było po niej znać, że oczekuje maluszka. Wierzyła, że z Bożą pomocą dotrze szczęśliwie na miejsce i zdoła odwrócić zły urok. Owszem, trochę bała się rozbójników, którzy mogliby ją napaść, zrabować korale i obrączkę, zażądać kolczyków z bursztynami, które dostała od Prokopa. Poniewczasie przyszło jej na myśl, że nie powinna była wkładać kosztownych rzeczy, tylko codzienne łąchy, nadające się bardziej do roboty w polu lub oborze. Sęk w tym, że wtedy mogłaby wzbudzić podejrzenia u świekry, że nie idzie do matuli

w Słomirogu, ale do lasu w okolicach Zakrzowa. Dość się już na ten temat nasłuchiwała od domowników, którzy usiłowali wybić jej z głowy pomysł wyprawy na Studzieniec. Ona swoje wiedziała i nie zamierzała nikogo słuchać. Żywiła nadzieję, że w razie spotkania ze zbójami będzie nad nią czuwała Opatrzność. Może nie skrzywdzą brzemiennej kobiety?

Szła dziarsko, bo na samą myśl o misji, którą miała do zrealizowania, przybyło jej energii. Wypatrywała, czy gdzieś nie czają się bandyci, nadstawiała uszu na wszelkie podejrzone odgłosy. Stawała przed każdą przydrożną kapliczką, czyniła znak krzyża i odmawiała zdrowaśkę. Dotarła właśnie do okrytego złą sławą lasu na Winnicy pomiędzy Gruszkami i Staniątkami. To był jeden z niebezpieczniejszych odcinków drogi, tutaj wiodła głębokim wąwozem, który po deszczach bywał nieprzejezdny i mocno rozmyty. Trzosowa wiedziała, że dla rozbójników to doskonałe miejsce na zasadzki. Wypadali znienacka spośród gęstych zarośli, zeskakiwali z nisko zwieszających się gałęzi, zjeżdżali po stromych ścianach jaru. Przy złej pogodzie strach było się tutaj zapuszczać, zwłaszcza wozem grzęznącym w gliniastych koleinach. Tego dnia było jednak w miarę sucho, choć gdzieś tam lśniły kałuże, odbijając zmęczoną zielen drzew. Wokół unosił się zapach runa leśnego i grzybów.

Bernadeta szczęśliwie przedostała się przez parów i wyszła na niewielką równinę usianą z rzadka chatami, poprzecinaną pręgami ściernisk, zagonami kapusty i ziemniaków. Z oddali widziała dach przyklasztornego kościoła. Bliżej niego znajdowało się większe skupisko domów i zabudowań gospodarczych. Betka jednak nie zmierzała w kierunku klasztoru, lecz szła dalej prosto. Po lewej ręce miała zagórzańskie wzniesienia, po prawej Staniątki. Przed nią w oddali znajdowały się Zakrzowiec i Balachówka, gdzie na rozstajnych drogach stała żydowska karczma. Stamtąd było już blisko do owego lasu, w którym biło cudowne źródło. Na razie miała przed sobą bezpieczniejszy kawałek drogi. Mijała pola, z których zebrano już zboże, krowy pasące się na zrudziałych, przekwitłych łąkach. Słońce odbijało

promienie od oczek wodnych na pobliskich mokradłach, a wiatr kołysał wysokimi pałkami.

– *Dobranoc Jasiu, ja już idę do domu. / O tym wianuszk, coś mi go zabrał / Nie mów tego nikomu*^[21] – podekscytowana kobieta nuciła pod nosem piosenkę. Śpiewała dość cicho, oszczędzając gardło. Ot, tyle, by było jej różniej.

Przeszła przez kolejne rozstaje, tym razem wiodące na Słomiróg. Balachówka była coraz bliżej, wiódł do niej solidnie rozjeżdżony trakt. Jakiś chłop zaproponował jej podwózkę, na co z ochotą przystała, choć chabeta zaprzężona do wozu wlokła się niespiesznie.

– A dokąd wiedzie droga? – zagadnął chłopina, pykając fajkę.

– Na Węgrzce – odparła wymijająco.

– Aż tam nie jadę. Wysadzę was przy karczmie na rozstaju. Może dalej ktoś inny was podwiezie. Nie ciężko wam tak się telepać?

– Nie, jeszcze trochę zostało do czasu – odparła, oglądając przy tym trzewiki, czy nie ucierpiały zbyt mocno podczas wędrówki wąwozem. – Jak człowiek musi, to nie ma rady.

– Ano nie ma. – Cmoknął.

Przy karczmie panował spory ruch. Bo i okoliczni kmiecie przyszli na gorzałkę, i przyplątało się kilku jegrów, szwargocących coś w niezrozumiałym dla Betki języku, z całą pewnością nie był to jednak niemiecki, tego zdążyła się trochę osłuchać. Z pięknej kasztanki zsiadała jakaś dama w cylinderku z długą przejrzystą woalką. Ubrana była w gładką, aksamitną suknię z trenem, zapinaną na niezliczone drobne guziczki, pod którą mignęły białe falbany halek. W talii mocno ściśniętej sznurówką była tak cienka, że Betka nie mogła się nadziwić jej kruchości.

Och! Gdyby i ona mogła kiedyś wystroić się po wielkopańsku! To nic, że strój szlachcianki nie był barwny niczym ukwiecona łąka. Ale ten szyk, ta postawa, te śliczne koronkowe kołnierzyki i mankiety! Te

powiewne woalki pokryte misternym haftem! Dałaby sobie i ona ścisnąć ciało gorsetem, by wyglądać smukło niczym młoda brzoźka.

Prokop objąłby w pasie tę damę samymi dłońmi – pomyślała bez większej przesady, gdyż mąż faktycznie miał krzepkie dłonie o długich, mocnych palcach. Żartował sobie nawet niekiedy, że natura go tak obdarowała, by mocno nimi trzymał to, co do niego należy.

Elegantce towarzyszył dżentelmen wystrojony po pańsku, z finezyjnie zawiązanym halsztukiem oraz z dubeltówką przewieszoną przez ramię.

Aha! Pewnie byli na polowaniu – pomyślała, zezując na nich, dopóki nie zniknęli w drzwiach karczmy. Rzuciła jeszcze okiem na konie, dziwując się siodłu na klaczce. Nie mogła pojąć, jakim cudem chuda paniusia utrzymuje się bokiem na wierzchowcu. *To musi być pieruńsko trudne* – stwierdziła. Sama czasami jeździła na oklep, mocno ściskając gniadosza kolanami. Wprawdzie Prokop miał również siodło i jednego konia pod wierzch, ale prócz niego nikt go nie dosiadał.

Minęła karczmę chylącą się nad lustrem stawu i przystanęła na kolejnych rozstajach. Znała dobrze to miejsce, nie było odległe od rodzinnego Słomirogu. Wiedziała więc, jaki obrać kierunek dalszej wędrówki.

Polowanie jeszcze nie dobiegło końca, lecz Parnicki pożegnał się ze znajomymi i wymówił od późniejszej biesiady u Niedzielskich. Ponieważ niczego nie ustrzelił, nie zależało mu na tym, by zostać przy dzieleniu zdobyczy. Nie miał ochoty na gwarne towarzystwo, w którym tego dnia wyjątkowo zabrakło Żelechowskich. Akurat tak się złożyło, że u przyjaciela wypadły dożynki, a to, jak wiadomo, rzecz święta.

Do domu siłą rzeczy go nie ciągnęło. Postanowił więc, że jeszcze trochę pobłąka się po kniei. Wokół płątały się dwa charty. Kilka razy na nie zagwizdał, gdy podchodziły zbyt blisko kopyt Śmigłego. Koń niby

był przyzwyczajony do psów, ale mogło go coś spłoszyć. Las w tym miejscu nie był gęsty, poszycie niskie, niewiele krzaków, więc dało się jechać wierzchem. Antoni wielokrotnie miał okazję, aby tutaj polować, wiedział więc mniej więcej, który rejon ominąć, by nie natrafić na bagno.

Nagle psy zaczęły ujadać. Parnicki rozejrzał się i zobaczył jakiś ruch za pobliskimi krzakami.

– Azor, Kajtek, spokój! – krzyknął, sięgając po dubeltówkę przewieszoną przez ramię. Złożył się jak do strzału, lecz odczekał chwilę. Słyszał trzask gałązek i chrzęst wyschniętej ściółki. Był już prawie pewien, że ma po prawej stronie zwierza spłoszonego przez nagonkę. Żaden chłop nie zapuściłby się w pański las w dniu polowania. Można było ewentualnie spodziewać się rozbójników, choć o nich krążyły słuchy, że na siedlisko obrali sobie dla odmiany las w Kokotowie.

Jeśli ustrzelę zbója, to oddam przysługę pocziwym ludziom. Ale mogę też ściągnąć sobie na głowę resztę bandy, a wraz z nimi poważne kłopoty – stwierdził, wciąż wahając się przed naciśnięciem na spust.

Już miał pociągnąć palcem za cyngiel, gdy krzaki się rozsunęły, a zza zieleni listowia wychynęła gruba baba w odświętnym stroju krakowskim. Szła boso, opierając się o żerdkę, przez ramię miała przewieszone czerwone trzewiki. Jej pojawieniu się towarzyszyło ujadanie psów, gotowych, by skoczyć do gardła intruzowi.

– Na litość boską! – zdenerwował się Parnicki, opuszczając broń. – Co za czort przywiódł was do lasu? Nie słyszeliście nagonki, psów i strzelania?

– Ady oni są daleko. – Machnęła niecierpliwie ręką w kierunku, z którego dobiegały mocno wytłumione odgłosy.

– Mogłem was zabić! – burknął mężczyzna, a potem spojrzał uważniej na swe niedoszłe trofeum. – Znam was. Wyście żona Prokopa Trzosa z majątku Żelechowskich.

– Zgadza się, z małym wyjątkiem. My, Trzosowie, nie jesteśmy z niczyjego majątku. Mieszkamy po sąsiedzku z Żelechowskimi. Ale żyjemy na swoim! – odparła hardo.

Parnicki zeskoczył ze Śmigłego.

– Co brzemienna kobieta robi sama w lesie daleko od chałupy? – zagadnął łagodniejszym tonem.

– Idę do źródła bijącego na Studzieńcu.

– Po co? – wyraził zdziwienie, ponieważ nazwa nie była mu obca.

Betka, by nie tracić czasu, ruszyła przed siebie, on poszedł za nią, trzymając konia za uzdę. Zagwizdał na psy, które odbiegły na bok. Trzosowa opowiedziała mu legendę krążącą wśród ziomków i wspomniała o wiązanych ze źródłem nadziejach.

– I ty naprawdę wierzysz zarówno w klątwę, jak i w ludzkie bajanie? – zapytał bezpośrednio.

Teraz szli znacznie wolniej, gdyż grunt stawał się grząski, a zarośla gęstsze.

– Trzeba w coś wierzyć, łaskawy panie – odparła. – Tylko nadzieja trzyma nas czasami przy życiu.

– No dobrze, skrećmy zatem tutaj. – Wskazał dłonią kierunek.

– Pan zna drogę?

– Znam. Zapędziliśmy się tam parę razy podczas polowań. A tak przy okazji, to nader nierozważne, aby kobieta w twoim stanie błąkała się po lesie.

– Cóż gorszego może mnie spotkać nad klątwę, która zawisa nad moją głową? – Wzruszyła ramionami.

– Rozbójnicy chociażby – podsunął.

– Ach! Rozbójnicy! Wszyscy mnie nimi straszą, ale ja się nie boję.

– Myślisz, że taki łotr, który rabuje i z zimną krwią zabija, będzie miał dla ciebie uszanowanie?

– Jakby mnie ubił, to przynajmniej przerwałaby się klątwa. Prokop na pewno znalazłby sobie nową żonę. Młody jest, majątny i gospodarny, niejedna poszłaby za niego.

– Nie wiem, czy będąc na jego miejscu, chciałbym owdowieć tak młodo – odparł, zezując na idącą obok kobietę. Mimo figury zdeformowanej przez wydatny brzuch wciąż wyglądała apetycznie niczym maślana bułeczka, którą w jego domu kucharka serwowała do porannej kawy. Znowu wróciła myśl o tym, jak by sobie pożyczył jej krzepkiego ciała, zwłaszcza tych krągłości wyzierających z rozchełstanego dekoltu haftowanej koszuli. – Zawsze się tak stroisz na przechadzki po lesie? – zapytał nieco zgryźliwie, widząc, jak błoto oblepia dół jej spódnicy, a gałęzie zahaczają o rękawy.

– Nigdy. Ale w domu myślę, że poszła w gości do matuli – wyznała szczerze. – Nikt nie chciał puścić mnie do lasu, a ja musiałam, jaśnie panie. Musiałam. – W jej głosie zabrzmiała stanowczość.

Błoto coraz mocniej kłaskało pod butami Antoniego. Koń parskał niespokojnie.

– Śmigły, zostań tutaj. – Pogłaskał zwierzę po pysku w okolicy chrap, a następnie zahaczył wodze o gałąź. Nie chciał, by wierzchowiec wszedł nieopatrznie w bagno, trudno byłoby go stamtąd wyciągnąć. – Azor, Kajtek! Warować!

Bernadeta wciąż szła przodem, słuchając jego wskazówek. Spódnice zakasała tak wysoko, że widział nie tylko zgrabne łydki. Gdyby nie była w stanie błogosławionym, kto wie, czy nie pchnąłby jej na jakiś obalony pień albo pomiędzy kępy paproci, by pokosztować wdzięków ukrytych pod kwiecistymi tkaninami.

– To powinno być gdzieś tutaj – rzucił w końcu, siłą odrywając oczy od śmigających dziarsko nóg. Szczerze podziwiał jej krzepę i wytrwałość. Wątpił, by którakolwiek dama z towarzystwa znalazła w sobie choć połowę energii rozpierającej tę chłopkę.

Wyszli na maleńką polankę, na której rozlał się niewielki staw. To tutaj było źródło.

Uszczęśliwiona Bernadeta osunęła się na kolana, wsparła na rękach i utkwiała wzrok w lustrze wody.

– Dałby dobrotliwy Bóg, abym zobaczyła monstrancję – wyszeptała.

Bała się tknąć powierzchni stawu choćby czubkiem palca, by go nie zmącić. Na tafli i tak rozchodziły się niewielkie kółka, tworzone przez owady. Tkwili nad bajorkiem dłuższą chwilę w kompletnej ciszy, jeśli nie liczyć świergotu ptaków, dźwięcioła bodącego dziobem o pień i szelestu liści kołysanych lekkim wiatrem.

Co ja tutaj robię? – śmiał się sam z siebie w duchu Parnicki.

Powinien był wracać do domu. Tam czekała na niego Cecylia – mdła istotka, z którą łączyło go wyłącznie małżeńskie łóżko oraz nazwisko.

Silniejszy podmuch poruszył gałęziami. Słońce odbiło się mocniejszym refleksem od ciemnej toni stawu.

– Widział pan? – wykrzyknęła podekscytowana Bernadeta. – Widział pan monstrancję?

Nie chciał pozbawiać Trzosowej złudzeń, skoro tak mocno wierzyła w legendę. On dostrzegł jedynie promienie muskające zmarszczoną taflę stawku.

– Możesz już wracać do domu, Bernadeto – stwierdził. – Kłątwa zażegnana.

– Tak, zażegnana – odparła, prostując się. Nim powstała z klęczek, zaczerpnęła dłonią wody i uniosła ją do ust. Potem uczyniła znak krzyża. – Teraz mogę czekać na rozwiązanie – powiedziała uszczęśliwiona.

Gdy wstała, jej twarz jaśniała błogim spokojem.

Ona naprawdę w to wierzy!

– Chodźmy – rzucił krótko, opuszczając polankę.

Śmigły zarżał cicho, słysząc nadchodzącego pana. Psy dopadły do Antoniego z radosnym skomleniem. Pogłaskał jednego i drugiego po łbie. Następnie odplątał wodze i przeczesał dłonią końską grzywę. Gdy

grunt stał się pewniejszy, a stopy przestały grzęznąć w błocie, mężczyzna wskoczył na konia i wyciągnął rękę do Bernadety.

– Dawaj! – rzucił. – Zawiozę cię do domu.

– No co też pan? – wyraziła zdziwienie.

– Przecież nie puszczę cię samotnie przez las. Słyszysz? – Zamilkł na chwilę. – Niedzielscy wciąż polują.

Koń parsknął z niezadowoleniem, gdy przytłoczył go dodatkowy ciężar, lecz posłusznie ruszył w dalszą drogę.

Dziwnie było przemierzać dzicz w otoczeniu cudzych ramion. Betka jeszcze nigdy nie jechała konno z żadnym mężczyzną. Siedziała więc sztywna, spięta, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Ładna dziewczka z tej Trzosowej – westchnął w duchu Parnicki.

Czasami myślał, że prości ludzie, niespełnani żadnymi konwenansami, są znacznie szczęśliwsi od takich jak on – niewolników swoich rodów, tradycji i płynących stąd powinności.

Gdy wyjechali z lasu, oślepiło ich ostre, popołudniowe słońce. Z nieba nadal lał się skwar. Minęli rozstaje przy karczmie na Balachówce. Gdy dotarli do świątka przy skrzyżowaniu ze Słomirogiem, Betka poprosiła Parnickiego, by zatrzymał konia.

– Niech mnie pan tutaj zostawi. Pójdę odwiedzić matulę – oznajmiła.

– A z powrotem przywiezie mnie jakiś parobek ojca – dodała szybko, widząc jego wahanie.

Betka wróciła ze Słomirogu promienna niczym słońko odbite w stawie. Zabawa dożynkowa trwała w najlepsze, więc dziewczyna, ogarnąwszy się wprzód z błota i kurzu, postanowiła dołączyć do krewnych. Zanim jednak wyszła z chałupy, z podwórka dobiegły ją gromkie śpiewy oraz krzyki. To Prokop wracał z całą zgrają parobków, wiedziony przez nich pod ramiona, gdyż po wypiciu sporej ilości gorzałki ledwo mógł ustać

na nogach, a o postawieniu kilku prostych kroków nie było mowy. Za nimi leciała Maria, łajając syna, jakby był smarkaczem.

Ech... zabawa skończona – pomyślała z żalem Bernadeta. Choć sama nie dałaby już rady hulać, chętnie popatrzyłaby, jak inni tańczą. Pojadłaby słodkich kołaczy i mięsów sprawionych na tę okazję. Posłuchałaby, o czym ludzie gwarzą między sobą. Po kilku tygodniach, gdy pożerał ją strach przed klątwą Goczałowej, zapragnęła towarzystwa i rozrywki.

– Piękna Alfreda poszła do lasu / na ślubny wieniec nazbierać róż / przyjechał rycerz piękny i młody / Zeskoczył z konia, uściśnął dłoń / Alfreda zbladła, poczęła uciekać / Serce jej mocno zaczęło bić / On się jej pyta, czy ma zaczekać / Ona odrzekła; Idź sobie, idź!^[22]

Następnego dnia Maria ze zdumieniem spoglądała na synową, która ze śpiewem kręciła się po obejściu. Dawno nie widziała jej równie pogodnej. W końcu nie wytrzymała i zapytała o powód tej odmiany, na co Betka opowiedziała domownikom zgromadzonym przy śniadaniu o tym, jak faktycznie spędziła poprzedni dzień. Pominęła milczeniem jedynie spotkanie z młodym Parnickim, gdyż czuła, że to mogłoby się nie spodobać rodzinie. Nie powinna wchodzić w żadne poufałości ze szlachcicem, nawet jeśli nie jest jej panem.

– Olaboga! – Świekra złapała się za głowę na samą myśl o zagrożeniach, z jakimi mogła się zetknąć sneszka. Ostatecznie jednak zamiast ją łajać, co po fakcie już nie miało sensu, cieszyła się razem z młodą, gdyż radość Bernadety była po prostu zaraźliwa.

Może to i dobrze, że ją poniosło na Studzieniec? Odetchnie teraz z ulgą, przestanie się wciąż smucić. W domu znowu zapanuje radość. Och... Niech no już przyjdzie do rodzenia!

Po śniadaniu rozeszli się do codziennych zajęć. Prokop wprawdzie stękał, że dudni mu we łbie, ale Jakub najpierw zganił go, że zbyt tego popił podczas zabawy u dziedzica, a potem kazał brać siekierę i iść

w puszczy, by przygotować drzewo opałowe. Czas był najwyższy ku temu, by zatroszczyć się o jego zwózkę – nim zaczną padać deszcze, czyniąc leśny dukt nieprzejezdnym dla wozu. Sam wziął się do młócenia reszty zboża, z czym dość prędko zdołał się uwinąć.

Po robocie zasiadł na ławie, aby trochę odetchnąć. Później zamierzał dołączyć do syna. Na razie z zadowoleniem obserwował sneszkę krzątającą się przy piecu. W ostatnich tygodniach dość miał jej dąsów.

– A obiad zjecie? – zagadnęła młoda gospodyni.

– Jeszcze czas, nie ma nawet południa – mruknął. – Masło ubiłaś?

– Ubiłam.

– Ser odcedzony?

– Odcedzony – odparła, zdziwiona, że rozpytuje ją o babskie roboty, które zwykle nie obchodziły żadnego chłopca.

– To zjem skibkę chleba z twarogiem – oznajmił.

– A co tam będziecie zapychali się chlebem? Zaraz zrobię coś lepszego – obiecała.

Prędko zamieszała wodę z mąką, mlekiem i jajkiem. Sypnęła szczyptę soli.

– Co pitrasisz? – zagadnął świekr.

– Naleśniki.

– No! Będzie z ciebie gospodyni, jak ty leśnioki wypiekasz – rzucił kąśliwie, jak za starych dobrych czasów, gdy na porządku dziennym były przekomarzania ze sneszką. – Nie szkoda na to czasu?

– Wam to sam diabeł nie dogodzi – burknęła. – Człowiek chce dobrze, a słyszy jedynie zrządzenie.

– Nie gadaj, ino wypiekaj, jak już obiecałaś. Ino miodu nie żałuj, suto polej.

– Ho, ho, ho! – Podparła się pod boki i spojrzała na niego z przekorą. – A gospodarnie tak bez żadnego święta pałaszować słodkie? A czym zaprawię kukielki i kołaczki na Gody?

ROZDZIAŁ 3.

RODZINA



Tradycyjna zabudowa wiejska z okolicy Niepołomic

Nawet jesienna plucha nie zniechęcała kmieci do wychodzenia z domów. Bez względu na stan pogody ochoczo zaglądali do karczmy. Człowiek potrzebował przecież jakiejś rozrywki, a nie tylko roboty. Dobrze było przysiąść ze szklanicą piwa albo flaszką gorzałki i posłuchać, o czym ludzie rozprawiają.

U Eliasza Mojsiejowicza panował ścisk i gwar. Stary Żyd stał za szynkwasem, bacząc na wszystko i wydając dyspozycje dwóm córkom, które, zgrzane z wysiłku, przeciskały się pomiędzy zgromadzonymi ludźmi, roznosząc wódkę, napitki i przekąski. Ludzi było tak dużo, że nie dla wszystkich wystarczyło miejsc przy ławach. Część po prostu stała w gromadach wokół stołów. Zaduch panował taki, że wilgoć osiadała na szybach małych okienek.

Dla Prokopa miejsce musiało się znaleźć. Gdy przychodził, wiadomo było, że przy dobrym humorze zamówi gorzałkę i poczęstuje niejednego. Na jego widok szczerbaty Alojzy poderwał się z ławy, przetarł nawet rękawem fragment zajmowanego wcześniej stołu.

– A siadźcie, Prokopie – zachęcił.

Rzadko się zdarzało, by z takim szacunkiem ustępowano miejsca znacznie młodszemu. Ale Trzos był nie lada figurą, bo wybijał się nad innych majątnością. Jego rodzina od pokoleń cieszyła się szacunkiem ziomków, a szacunek ów podszyty był nawet odrobiną strachu, bo od dawna gadano, że taki dobrobyt musi być spowodowany jakimś nieczystym układem. I choć Trzosowie zasiadali w pierwszej ławie podczas sumy, niejeden uważał, że muszą się bratać z czartami.

Prokop skwapliwie zasiadł, zrzuciwszy wcześniej sukmanę, gdyż mimo chłodu panującego na zewnątrz w izbie było gorąco. Przywołał karczmarkę i zgodnie z przewidywaniami znajomków od razu zamówił całą flaszkę okowity.

– Co dobrego powiecie? – zagadnął, sięgając za pazuchę po machorkę i bibułkę, by skrócić papierosa.

– Co może być dobrego? – Czop wzruszył ramionami. – Zima idzie, a z nią kolejne biedy. Człowiekowi zawsze wiatr wieje w oczy.

– Ciężki los – poparł go Alojzy, wychylając się zza pleców Czopa. – Plony latoś nie były udane. Burza wymłóciła dużo zboża, deszcze zmarnowały ziemniaki. Na przednówku będziemy piszczeć jak myszy kościelne. Nic dziwnego, że tyle zbójowania na traktach. Ludzie z nędzy kradną. A Austriaki nie puszcza jęgrów, by ze zbójami zrobili porządek.

– Widać jęgrzy sami trzęsą ze strachu portkami. Zresztą co ich obchodzi zbójcy? Na wojaków nie napadają. A ci siedzą w Niepołomicach, żeby pilnować granicy z Moskałem. Jakby im kopytkowego ubyło, to pewnie by interweniowali. Ale bandziory są cwane. Nie kręcą się z tamtej strony miasta, wolą siedzieć w lesie i na bagniskach, gdzie mają najlepsze kryjówki.

– Prędzej by ich nasi panowie wykurzyli – stwierdził Trzos – gdy urządzają sobie polowania.

– Ciężko byłoby ich wysledzić. Las w Kokotowie, w którym podobno najwięcej przebywają, zajmuje kawał ziemi. A oni panoszą się wszędzie: i na Winnicy, i na Małej Wsi, i w Sułkowie. Przy rozdrożu zaraz za karczmą na Balachówce też mają swoje posterunki. Niejeden tam stracił majątek, zdrowie, a nawet życie.

– Ano. To ja wam powiem – wtrącił kowal, chłop jak tur o dłoniach tak silnych, że bez wysiłku zginał w nich podkowry – com zasłyszał od kuma. Ino piwa łyknę, by mi w gardle nie zaschło, bo to dłuższa gawęda.

Pokiwał dłonią do Esterki i ryknął, by przyniosła mu kufel napitku. Gdy postawiła przed nim naczynie, od razu pociągnął zacny łyk, otarł pianę z wiecznie osmolonego wása i zaczął snuć historię.

– Nie dalej jak ze dwie niedziele temu jechał Maciek z Wieliczki. Wracał z targu, miał przy sobie sporo gotówki, bo sprzedawał furę ziemniaków. Patrzy wtem, a drogą lezie jakaś babina kulawa, ledwo nogami powłóczy. Niosła ze sobą kosz, który wyglądał na ciężki. Jak usłyszała turkot, przystanęła i jęła machać na Maćka, aby się zatrzymał i zabrał ją na furę. Chustkę miała mocno zamotaną, bo dzień był chłodny. Maciek ma dobre serce, więc ulitował się nad starą. Pomógł jej wleźć na wóz, bo jęczała, że już ledwo dycha. Wypytywał, dokąd ją

wiedzie droga, a ona mu rzecze, że do Bochni. On jej na to, że w takim razie będzie ją musiał wysadzić za jakiś czas, bo on zmierza tylko do Kłaja. Zagadywał jeszcze, ale nie była rozmowna, głos miała jakiś taki skrzekliwy. W ogóle coś mu w niej nie pasowało.

– Ha, ha, ha! – przerwał mu Czop. – Jakby wziął na wóz młódkę, to pewnie liczyłby na wdzięczność za podwiezienie. A ze starej żadnego pożytku.

– A jużci! Stare baby to tylko ozorami mielą – parsknął Alojzy.

– Dobrze, chłopcy, dajcież mi dokończyć – odparł Marcińczyk. – Na czym ja to stanąłem? Ano na tym, że mu się ta wiedźma nie widziała, więc coraz mocniej zaczął się jej przypatrywać. No i nagle zauważył, że w koszyku, który postawiła obok siebie, coś błyska w promieniach słońca. Bo jak wóz podskoczył na koleinie, to się trochę odchyliło wieko i Maciek zobaczył, że stara trzyma w nim wielgaśny nóż. Kum nie jest w ciemnię bity, nie dał niczego po sobie poznać, ale jak spod chustki wylazł babie wąs, to przeraził się nie na żarty. Odgadł, że se wziął na furę zbója w przebraniu. Niewiele myśląc, przechylił się z kozła, że niby patrzy, czy mu się ozwora nie poluzowała. W tej samej chwili wypłuł fajkę z gęby i zaczął się drzeć do babki, żeby zlazła i mu ją podniosła. Baba zaczęła labidzić, że nie zejdzie, bo jest słaba, niech on lepiej zeskoczy i wydobędzie lulkę spod wozu, a ona w tym czasie potrzyma mu konie. Na to ten przechera mówi, że nie da jej trzymać koni, bo są bardzo silne i narowiste i taka ladaca lichota jak ona na pewno im nie poradzi. Przezbywała^[23] się z nim jeszcze chwilę, w końcu franca zlazła. A on tylko na to czekał, konie zaciął biczem i ruszył z kopyta tak szybko, że zbój przebrany za dziadówę nie zdążył złapać się wozu i nazad na niego wleźć. Maciek zaś bata koniom nie żałował i już nigdzie więcej się nie zatrzymywał. Tamten jeszcze go gonił na tych niby kulawych nogach, ino się za nim kurzyło, aż w końcu ustał. Dopiero jak Maciek wjechał wozem na swoje boisko^[24], to zajrzał do kosza i struchlał, bo noży było więcej, a prócz nich jeszcze pistolet i zawiniątko z kulami^[25].

– A to ci bestie! Takich się imają sposobów? – krzyknął Prokop. Od razu zadygotał z nerwów na myśl o tym, jak to Betka wyprawiła się samotnie w dożynki właśnie tą samą drogą, o której wspomniał kowal.

– Ech... Świecie, świecie! Będzie to dobrze? – westchnął Alojzy.

Tuż przez Bożym Narodzeniem do dworu Parnickich zawitał brat Cecylii, Gustaw, który od kilku lat wciąż kursował pomiędzy Paryżem a Krakowem pod przykrywką kupieckich interesów. Owszem, handlował sukniem i wszelkiego rodzaju galanterią, ale przy okazji pełnił rolę emisariusza przenoszącego wieści z Galicji do Francji i z powrotem.

– Co dobrego w świecie, drogi szwagrze? – zapytał Antoni, biorąc go w objęcia.

– Dużo by opowiadać.

– Mamy czas. Przecież nie wypuszczę cię stąd ani dzisiaj, ani nawet jutro.

– Aż tyle tutaj nie zabawię, jutro muszę ruszać w dalszą drogę, mam pilną misję do wykonania.

Mężczyźni wymienili braterski uścisk, wcześniej gość przywitał się z damami.

Zasiedli całym towarzystwem w bawialni przy ogniu trzaskającym na kominku.

– Uważaj na suknię, Eulalio. – Gertruda w ostatniej chwili zatrzymała córkę, która chciała precyzyjnie się zbliżyć do paleniska. – Zajmą ci się falbany i nieszczęście gotowe!

Eulalia wciąż nie mogła nawyknąć do „dorosłych”, szerokich dołem sukni, na które nieustannie trzeba było mieć baczenie. Jeszcze do niedawna nosiła dziecięce ubiory – znacznie krótsze, mniej strojne. Tego dnia miała na sobie popołudniową toaletę w jasnym kolorze, mocno dopasowaną w talii, z gorsetem, który tak bardzo ujarzmił jej

piersi, że wydawały się niemalże płaskie. Smukłość szyi podkreślał owalny dekolot wykończony bertą – szeroką plisą z kremowej koronki. Rozszerzające się od łokci rękawy ujęte zostały w nadgarstkach mankietami, tworząc powyżej zgrabne bufki i nadając pożądaną spadzistość ramionom, choć tego akurat nie było widać, gdyż z uwagi na znaczny chłód panna musiała okryć się szalem. Strój ten, choć piękny, nie należał do najwygodniejszych, lecz eleganka z godnością znosiła wszelkie uciążliwości.

– Panna Eulalia wygląda niczym róża w pełnym rozkwicie – zauważył gość, taksując szwagierkę siostry spojrzeniem pełnym zachwyty.

Podobała mu się młoda Parnicka, lecz miał przeczucie, że nie byłby pożądanym konkurentem. O ile Antoni pojął za żonę Cecylię, a raczej jej posag, o tyle dla Eulalii szukano dobrze urodzonego kawalera z odpowiednim majątkiem. *Z jej urodą na pewno nie będzie to trudne* – stwierdził, zerkając na smukłą postać. Żałował, że tak trudno niektórym osobom dysponować swobodnie swymi uczuciami. Być może przy odrobinie zachodu Eulalia, choć wciąż nieopierzona i trochę trzpiotowata, obdarzyłaby go wzajemnością. W życiu Gustawa nadszedł bowiem czas na stabilizację, choć najbliższa przyszłość rysowała się w dość niepewnych barwach.

– Pan Zaleski nadto łaskawy. – Dygnęła zgrabnie i zajęła miejsce w fotelu tak, by móc dobrze widzieć gościa, a jednocześnie nie sprawiać wrażenia nadmiernie zainteresowanej.

Towarzystwo rozlokowało się wygodnie. Pokojówka przyniosła kawę i ciastka, Teofil zaproponował brandy na rozgrzewkę.

– Jakie wieści przywozisz z Paryża?

– Mimo chłodu gorące – oznajmił. – Szykujemy się na wiosnę, ale już w lutym trzeba poderwać naród do walki. Dostałem od moich mocodawców polecenie, by jeździć po okolicznych dworach i nieść nowiny. To będzie potężny zryw, obejmie i Galicję, i Wielkie Księstwo Poznańskie, i Królestwo Polskie. Chcemy podjąć walkę nocą z dwudziestego pierwszego na dwudziesty drugi lutego. Najpierw za

broń chwyci szlachta, a później, jeśli zajdzie potrzeba, wezwiemy do boju również prosty lud. Wierzymy mocno, że widząc nasze poświęcenie dla sprawy, chłopci także dołączą, by walczyć o wolną ojczyznę.

– O dobry Boże! To pewne? – zapytał podekscytowany Antoni.

– Pewne. Musimy odzyskać niepodległość! Zbyt długo jesteśmy pod jarzmem zaborców.

– Ale czy konieczne jest w tym celu rozpętywanie kolejnej zawieruchy? – zmartwił się Teofil.

– Mieliśmy już Kościuszkę, który nic nie zdziałał. Na przełomie trzydziestego i trzydziestego pierwszego roku też ponieśliśmy sromotną klęskę – przypomniła zafrasowana Gertruda. – Wszak mój brat poległ na polu chwały, i kuzyn Teofila, i wielu innych zacnych ludzi. Potrzeba nam kolejnej zawieruchy?

– Mamo! Inaczej tego nie rozegramy, ponieważ z zaborcami nie da się pertraktować. Oni nas drenują. Nakładają podatki, obsadzają wszystkie placówki i urzędy swoimi ludźmi. My dla nich nic nie znaczymy.

– Racja! Nawet Rzeczpospolita Krakowska nie posiada pełnej autonomii, tam jest tylko namiastka wolności. Wszak po wcześniejszym zrywie usunięto z senatu większość naszych ludzi, zaostrzono cenzurę i wprowadzono nową konstytucję, bardziej restrykcyjną od poprzedniej – przypomniiał Teofil, który ochłonął po pierwszym ułuciu sceptycyzmu, jaki go dopadł.

– Otóż to! Coraz trudniej swobodnie oddychać, a co dopiero działać, bo siedzą nam na karku nie tylko Austriacy, ale również Prusacy i Moskale – wtrącił Gustaw. – Jeżdżę i po Galicji, i na tereny pozostałych zaborów. Jestem oczami i uszami tych, których zmuszono do emigracji. Na zachodzie siłą germanizuje się dzieci. Na wschodzie Moskal próbuje wypłenić nasz język i nasze tradycje. A u nas Austriacy tak gospodarują, żeśmy już dawno nie są Galicją i Lodomerią, bo nawet w Paryżu mawia się Golicją i Głodomeria. Jeśli nie zaczniemy działać, to każde następne

pokolenie będzie miało coraz trudniej. W końcu zapomnimy ojczystej mowy i utracimy resztki tożsamości. To ostatni dzwonek, by odbić Polskę intruzom, którzy się tutaj rozpanoszyli.

– Czyli znowu czeka nas rozlew krwi – podsumowała Gertruda.

– Nie patrz na to w taki sposób, matko! – zaprotestował Antoni. – Musimy walczyć o lepsze jutro dla naszych dzieci.

– Jakich dzieci? – westchnęła Gertruda, załamując ręce. – Chyba, że...
– Spojrzała z nadzieją na milczącą jak zwykle Cecylię, lecz ta tylko zaprzeczyła ruchem głowy. – Synu! Masz powinności wobec rodziny – przypomniiała.

– A czy my jesteśmy królewskim rodem, żeby za wszelką cenę utrzymywać swoje nazwisko w kolejnych pokoleniach? – zachnął się Antoni, którego już świerbiło, by wziąć szablę w dłoń, a za pas zatknąć nowe rewolwery Colt Paterson. Zakładał, że dobrze ujeżdżony Śmigły idealnie sprawi się w boju.

Cecylia spoglądała na mężczyznę z niepokojem. Widziała entuzjazm ślubnego i już wiedziała, że jego nic nie odwiecie od wstąpienia w żołnierskie szeregi. Gdy padnie hasło wzywające do walki, pójdzie z innymi, nie bacząc na nią ani na niczyje prośby. Z całą pewnością nie zdoła go powstrzymać. Tylko czy wtedy, gdy on wyjedzie, będzie bardziej osamotniona, niż jest teraz?

– Czyli na koniec zimy szykujemy powstanie – upewnił się Teofil.

– Tak. Zapewne główne walki potoczą się wczesną wiosną. Nie ma co odkładać na później. Zimą warunki ciężkie, a lato i jesień to pora zbiorów.

– Wiosna to czas zasiewów – przypomniiał Parnicki senior.

– Chłopi poradzą sobie z obsianiem pól. Ekonom dopilnuje pospołu z damami – stwierdził Antoni. – Wiosna to wyborna pora na wojenkę. Człowiek nie będzie zamarzał z zimna, gdy przyjdzie mu się kryć po lasach i polach. Kościuszko nie bez powodu poderwał rodaków

w marcu. Przeczuwał, że wojowanie zimą stanowiłoby większą uciążliwość.

– Co z tego, gdy insurekcja i tak się nie powiodła?

– Bo nasi dziadowie nie byli do niej gotowi.

– A my jesteśmy? – drążyła Gertruda.

– Skoro pan Zaleski tak twierdzi – wtrąciła Eulalia – to na pewno wie, o czym mówi.

Gustaw uśmiechnął się do dziewczyny.

– Panna Eulalia ma rację. Jesteśmy gotowi. Emigranci gromadzą fundusze i kupują broń. A obowiązkiem szlachcica jest stanąć do walki o wyzwolenie ojczyzny. I każdy powinien na ten cel sięgnąć do pugilaesu.

– Nie inaczej!

– Ech... młodość! Głowa zapalczywa – westchnął Teofil. – Ale jeśli teraz nie podniesiemy się z kolan, to z każdym rokiem trudniej będzie to zrobić. Nie możemy dopuścić, by polskie dzieci zapomniały ojczystej mowy.

– I nie dopuścimy – oznajmił Zaleski. – Tylko trzeba nam się spieszyć, bo już od dłuższego czasu krecią robotę robi nam Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Jego emisariusz, Edward Dembowski^[26] od roku organizuje sieć konspiracyjną wśród chłopów. Chce wywołać własne powstanie, bez udziału szlachty. Także wśród ludu wrze. Chłopi coraz zapalczywiej domagają się zniesienia pańszczyzny. Jeśli oni wygrają i wykurzą zaborców z Rzeczypospolitej, to będą chcieli ustanawiać własne prawa.

– Nie można do tego dopuścić – zaperzył się Teofil.

– Ano nie, choć wszyscy wiemy, że dla nich konieczność odrabiania pańszczyzny wiąże się z krzywdą. Owszem, przyjdzie czas i na to, ale wszelkie swobody trzeba nadawać z zachowaniem rozsądku. Historia już nieraz pokazywała – perorował Antoni – że nadmierne przywileje bywają zgubne. Kto wie, co by było, gdyby nasi przodkowie nie mieli

prawa *liberum veto*. Może do dzisiaj bylibyśmy wolnym narodem? Potęgą w samym sercu Europy!

– Racja, Antoni – odparł Zaleski. – Zbyt dużo swobody demoralizuje. Owszem, trzeba chłopów pociągnąć do walki, ale na naszych zasadach.

Następnego dnia rano Cecylia znalazła sposobność, by rozmówić się z bratem sam na sam. Przyjęła go w swoim buduarze, ponieważ zależało jej na dyskrecji. Albo raczej na swobodnej możliwości zmycia Gustawowi głowy.

– Nie powinienes namawiać Antoniego do udziału w powstaniu. To nie nasza rzecz.

– Mylisz się, siostrzyczko, nasza – odparł, przypalając cygaretkę.

– Nie. A już na pewno nie twoja. Nie jesteś szlachcicem, lecz kupcem bławatnym – przypomniała. – Po co ryzykujesz? Po co wikłasz się w cudze sprawy?

– Przede wszystkim jestem Polakiem. I tak, masz rację, nie jestem szlachcicem, ale to nie przeszkadza mi kochać ojczyzny nade wszystko. Dziwię się tobie, że nie popierasz idei zrywu narodowościowego. *Noblesse oblige*, moja droga. Skoro zachciało ci się być szlachcianką, to teraz zachowuj się jak przystało na wielką damę.

– Pff... – fuknęła gniewnie Cecylia, zrywając się z fotela.

Przeszła parę kroków po buduarze, zerkając w stronę starannie zamkniętych drzwi, a następnie zniżyła głos niemalże do szeptu.

– Naprawdę myślisz, że mi się zachciało? Nie miałam nic do gadania. Tato ułożył się z Teofilem Parnickim. Moje i Antoniego zdanie niewiele znaczyło. Dobrze wiesz, że zostałam szlachcianką, bo Parniccy potrzebowali ratować swój majątek. Zostań i ty szlachcicem – zakpiła. – Na pewno znajdzie się jakaś zubożała rodzina, która z chęcią przygarnie cię na swoje łono. Może trochę będą się ciebie wstydzili na salonach

i nikogo nie będzie interesowało, co masz do powiedzenia, ale jakaż to będzie nobilitacja dla naszej rodziny!

– Zrobiłaś się zgryźliwa – stwierdził. – Małżeństwo w ogóle ci nie służy – dodał dwuznacznie, ponieważ ubrana w poranny strój kobieta prezentowała się mizernie. Miała pergaminowo białą twarz, ale nie był to koloryt skóry tak upragniony przez dobrze urodzone panie, czyli jasny z leciutkim rumieńcem, lecz trupi. Głębokie cienie pod oczami nie nadawały jej wyglądu eterycznej, uduchowionej istoty, ale nasuwały skojarzenie, że cierpi na suchoty lub inną przewlekłą przypadłość.

– Nie najlepiej się czuję – odparła szczerze. – W tym domu nie można swobodnie oddychać. Niewolą mnie konwenanse. Tęsknię za naszą kamienicą przy ulicy Floriańskiej, za miejskim gwarem, magazynami mód i rozrywkami.

– Zapomniałaś wspomnieć o cuchnących rynsztokach, malarii i wszechobecnej nędzy. Aha! I jeszcze o tych wszystkich obskurnych budach, które zmieniły Sukiennice w ohydną rudere, a Rynek Główny w najbrzydszy plac targowy Europy.

– Och... To mało istotne naprzeciw potwornej nudy, która mi tutaj doskwiera.

– Brakuje ci zajęć? Zawsze słyszałem, że żony ziemian mają moc obowiązków.

– Może w innych dworach. Tutaj rządzi Gertruda. Ona dyryguje służbą, domem i wieloma sprawami, o których ja nawet nie mam pojęcia. Antoni przejął powinności swego ojca, a ja, zamiast panią, jestem tutaj nikim. Służba nieszczególnie się mnie słucha. Zwykle moje polecenia potwierdzają u teściowej. Bardziej się liczą z Eulalią. Ileż można ślęczeć nad robótkami? Mam już dość haftowania i szycia! Nie przepadam za jazdą konną, a sąsiedzi mieszkają grubo ponad milę stąd. Zresztą mój dobrze urodzony małżonek niechętnie zabiera mnie pomiędzy wyższe sfery. Może mu wstyd, że zamiast ze szlachcianką, ożenił się ze złotówkami krakowskimi?

– Cóż ci na to poradzę? – westchnął brat. Chętnie wyruszyłby już w dalszą drogę, choć akurat jemu w gościnie u Parnickich było przyjemnie i nie odczuwał żadnych afrontów związanych z niższym pochodzeniem społecznym. Nie miał jednak ochoty na wysłuchiwanie siostrzanych pretensji. – Muszę jechać – oznajmił, licząc, że urwie dalszą rozmowę.

– Jedź. Tylko nie namawiaj już Antoniego na wojaczkę. Bo jeśli on zginie, to przepadnie wszystko: moje małżeństwo, posag i pewnie nawet miejsce w tym domu. Kto mnie wtedy zechce? Nie mogę zostać wdową!

– A kto mówi, że zostaniesz?

– Intuicja mi to podpowiada. Braciszku! Zapomniałeś, czym skończyły się dwa poprzednie powstania? To ja ci przypomnę: żałobą w wielu domach, konfiskatą majątków i wielką emigracją! Ja tak nie chcę! Nie chcę! Rozumiesz? Nie potrafię żyć w nędzy! Nie mogę pojąć, po co tak bardzo ryzykujesz. W imię czego? Przecież tacy jak my zawsze będą pogardzani przez szlachtę. Choćbyś zbił fortunę większą, niż ma cesarz Ferdynand, oni i tak będą cię mieli za nic. Dla nich będziesz tylko kupczykiem!

Podeszła do brata i złapała go za kołnierz surduta. Mężczyzna ujął jej nadgarstki i delikatnie ją od siebie odsunął.

– Mylisz się, Cecyljo. Jesteś głupia i zaślepiona! Jeśli chcesz wieść wygodne życie, nie zatrzymuj Antoniego w domu. W przeciwnym razie zawsze będziemy zniewolonym narodem. Tylko szlachta jest gwarantem suwerenności naszego kraju. Zaborcy nie dają nam wytchnienia. Chcą coraz więcej i więcej! Pojmij to w końcu. Jeśli nie zrobimy powstania, to już zawsze będziesz płacić kopytkowe, wjeżdżając do Krakowa. Bo teraz mieszkasz tak jakby za granicą. Nie w Polsce, czy może raczej nie w Rzeczypospolitej Krakowskiej, ale w Galicji. Żeby nie powiedzieć, że w *Kaisertum Österreich*^[27]. Ech... kobiety! Wy nigdy nie pojmiecie, czemu mężczyźni tak ciągnie do

wojowania. Dla was ważniejsza jest wygoda, toalety i cały ten łabędzi puch!

– Na dniach będziem rodzić – oznajmiła akuszerka, obejrzawszy wcześniej ciężarną. – Brzuch wam już opadł, Prokopowa, tylko patrzeć, jak małe zacznie pchać się na świat.

– O najświętsza Maryjo! – Maria klasnęła w dłonie. – Spraw, by wszystko gładko poszło.

– Pójdzie, bo młoda krzepka jest jak rzepa. Ino włosów niech już nie tyka grzebieniem aż do porodu. Kolczyki z uszu też trza wyjąć.

– A po co to wszystko? – zdziwiła się Betka, której obce było takie zaniedbanie. Wszak zarówno matula, jak i staniąteckie siostrzyczki zawsze powtarzały, że należy dbać o włosy i regularnie je rozczesywać, bo inaczej zalęgną się w nich wszy albo zrobi się odrażający, cuchnący łojem kołtun.

– Tak trzeba – skwitowała babka, biorąc się pod boki. – To dla odegnania złego. A także po to, by małe nie bawiło się teraz pępownią. Nie chcesz chyba, by okręciło ją sobie wokół szyi i przyszło na świat uduszone?

Bernadeta zadygotała na samą myśl o tym i wyjątkowo postanowiła posłuchać zaleceń akuszerki. Wszak kobieta, która odebrała dziesiątki porodów, musi znać się na rzeczy. Mimo wyprawy na Studzieniec ciężarna odczuwała czasami drobne niepokoje.

Faktycznie kilka dni później, gdy ubijała masło, poczuła nieprzyjemne mrowienie najpierw w krzyżu, potem w dole brzucha. Stęknęła, trochę pobladła i pisnęła wystraszona, gdy odeszły jej wody, mocząc spódnice.

– To już – wysapała, zerkając na ślubnego, który akurat zajrzał do izby. Ten jak na złość ręce miał urobione aż po łokcie, ponieważ rano

zaszlachtowali wieprzka i właśnie sprawiali mięsiwo. – Trzeba zawołać akuszerkę.

– Michał! – ryknął Prokop, choć smarkaty parobek plątał się obok niego z ostrym nożem.

– Słyszę, słyszę! – odparł.

– Leć po Czopową, powiedz, że na Betkę przyszedł czas. A po drodze wstąp do Dylów, matka tam skubie pierze, daj jej znać, że może być potrzebna – zarządził, a potem z konsternacją zwrócił się do ślubnej, która jęczała, obejmując dłońmi brzuch. – Mogę coś zrobić? Ulżyć ci jakoś? Zaprowadzić cię do łóżka?

Kobieta pokiwała głową. Położyła się wśród pościeli, lecz wyjątkowo nie poczuła ulgi od przyłożenia głowy do poduszki, a siennik, zamiast dawać wygodę, kąsał przez prześcieradła. Znowu ogarnął ją strach, czy nie wypełni się klątwa Goczałowej. Choć od tamtej pory nie spotkała przyczyny swych zgryzot, dręczyło ją przeczucie, że poszkodowana kobieta nie zapomniała o swoim nieszczęściu i wciąż odczuwa nieuzasadniony żal za śmierć swojego synka.

– O Matulu Przenajświętsza, czuwaj nad moim dzieciaczkiem – jęknęła, gdy złapał ją kolejny, jeszcze mocniejszy skurcz.

Tak bardzo chciała mieć przy sobie własną matkę albo chociaż teściową. Nawet obecność Czopowej dałaby namiastkę pocucia bezpieczeństwa. Jak na złość w obejściu byli sami mężczyźni, wszystkie baby poszły drzeć pierze. Ją też chciały ze sobą zabrać do Dylów, by przynajmniej trochę się rozerwała, ale jakoś nie ciągnęło jej tego dnia między ludzi, choć od powrotu ze Studzieńca tylko patrzyła, by swoje w domu odrobić i wyfrunąć na wieś.

– O matulu, jak boli – zawyla.

Siedzący przy żonie Prokop miał bezradną minę. Odgarniał włosy z jej twarzy, gdyż zdarła chustkę z głowy. To znowu chciał ją poić wodą, lecz odtrąciła jego rękę z kubkiem. Najchętniej dałby nogę do karczmy, byle dalej od krzyków ślubnej, na którą sam sprowadził ból i łzy.

Z ulgą przywitał matkę, za którą w ślad przyczłapała Dylowa, taszcząca ze sobą tobolek z jakimś zieleńcem.

– Pójdę – mruknął cicho, sięgając po sukmanę wiszącą na kołku, lecz Maria złapała go za ramię i pociągnęła do drugiej izby przed obraz Staniąteckiej Pani.

– A dokąd to? Kielbasy się wędzą!

– Michał dokłada do ognia, to i dopilnuje, by na czas je wyjąć z wędzarni.

– No i dobrze. A ty zostań w domu, trza się modlić!

– O co? Przecież zawsze jak baby rodzą, chłopcy urzędują w karczmie, by nie pchać się w paradę akuszerce.

– O kłątwe Goczałowej zapomniałeś? – syknęła złowieszczo.

– No co też, matko, bajacie? – zdziwił się Prokop. – Przecież sami mówiliście, by nie wierzyć w te bujdy!

– Przy Betce tak gadałam, żeby się nieboga nie denerwowała – odparła cicho. – Niby nie można dawać wiary zabobonom, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Ja idę do snesзки. A ty się módl! – rozkazała. – I niech cię żadne lichy nie skusi, żebyś mi się wymknął do gospody. Inni jak chcą, niech idą, byle w obejściu wszystko zostało zrobione.

Rad nierad został w domu, klękając przed świętym wizerunkiem. Z drugiej izby raz po raz dobiegały go krzyki oraz pogwar polecen wydawanych przez Czopową. Kachna goniła wte i wewte, uwijając się niczym w ukropie. Ogień na piecu buzował taki, że we wszystkich izbach czuć było jego gorąc. Prokop zaciskał powieki, usiłując odmawiać pacierz, lecz nie był w stanie się skupić, jęki ślubnej działały na jego wyobraźnię.

Czas włókł się niemiłosiernie. Nawet w najbardziej skwarne dni, gdy Trzos zmagiał się ze żmudną robotą i wyglądał zachodu słońca, nie dłużyło mu się tak jak w tych chwilach, gdy czekał na swego pierwszego dzieciaka. Co by dał za to, by z innymi siedzieć teraz u Mojsiejowicza

i popijać gorzałę? Po powrocie do domu zastałby odpoczywającą żonę i nowego członka rodziny.

– Ech... Też se umyśliła – burknął pod adresem matki – by mnie z chałupy nie puszczać. Potępione dusze w piekle nie jęczą chyba równie głośno.

W końcu usłyszał ruch przy drzwiach izby. Odwrócił głowę.

– Kachna! Co z Betką?

– Już po wszystkim. Powiła zdrowego syneczka – oznajmiła dziewczyna, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Tfu! Od początku żem wiedział, że ta klątwa to tylko głupie bajanie!

Zerwał się na równe nogi i kilkoma susami wypadł z izby do sieni, a stamtąd do drugiego pomieszczenia, gdzie we wciąż skotłowanej pościeli leżała wyczerpana Bernadeta. Maria dreptała pomiędzy sprzętami, kołysząc w ramionach maleńkie zawiniątko.

– Masz syna, Prokopie. Urodził ci się chłop na schwał!

Prokop cmoknął ślubną w czoło i delikatnie uścisnął jej zwiotczałą po wysiłku dłoń. Potem zerknął na dziecko – wciąż pomazane krwią i pomarszczone. Wzruszająco maleńkie i nieporadne, ale jego!

– Ot, malutki Trzosek – odetchnął z ulgą. – Jak mu damy na imię?

– Może Antoś? – zasugerowała Betka. – Na pamiątkę człowieka, który ocalił nam dwojgu życie.

– A nie lepiej Wojciech albo Zygmunt? Wolałbym zapomnieć o niefortunnym zdarzeniu w Niepołomicach – stwierdził mężczyzna.

– Niech i tak będzie, twoja wola – odparła uszczęśliwiona matka. Dla niej najważniejsze było, że dziecko przyszło na świat całe i zdrowe. *I oby się dobrze chowało*, pomyślała, wodząc wzrokiem za świekrą lulającą maleństwo.

– W takim razie mamy Wojtusia – zdecydował, nachylając się nad synkiem. – Odpoczywajcie, ja muszę iść między ludzi. Trza postawić kumom pępkowe.

– No leć, leć! – powiedziała Maria. – Żaden chłop nie wysiedzi w domu, jak mu się rodzi dzieciak. A tu jeszcze pierworodne to zdrowy chłopczyk, więc jest co opijać. Ino żebyś nam wrócił o własnych siłach, a nie jak po dożynkach, gdy cię parobcy wlekli niczym worek ziemniaków.

A więc będzie potomek – pomyślała Cecylia, dotykając wciąż płaskiego brzucha.

Od niedawna była brzemienna. Czuła się źle, nieustannie ją mdliło i gdyby tylko mogła, wciąż leżałaby w łóżku, drzemiąc. Choć jeszcze nie przybrała w talii, wręcz przeciwnie, musiała nawet schudnąć, gdyż doskwierał jej brak apetytu, gorset zrobił się nad wyraz niewygodny. Kiedy tylko mogła, zostawała w swoim buduarze, by nie wkładać sznurówki i nie obnosić w domu cierpiętniczej miny.

Właściwie powinna powiedzieć Antoniemu, że oczekuje dziecka. Zapewne ucieszyłby się z takiej wieści, oczywiście na swój powściągliwy sposób. Ale to oznaczałoby, że przestałby do niej zaglądać wieczorami. Nie miałyby dla siebie nawet tej małej namiastki bliskości.

Czy go kochała? Czy tęskniła za jego obecnością, dotykaniem, powierzchownymi rozmowami?

Może trochę. Wszak miłość pojawiała się z czasem w małżeństwach, choć do dobrego tonu należało trzymanie uczuć na wodzy. Mama wciąż jej to powtarzała.

A może wieść o ciąży zatrzymałaby go wiosną w domu? Ostatnio on i teść nie rozmawiali praktycznie o niczym innym, tylko o szykowanym zrywie niepodległościowym. Cecylia drżała na samą myśl o tym, że mąż może zginąć. Albo że powtórzy się historia z wcześniejszego powstania, a wtedy ich rodzinie zostanie skonfiskowany majątek. Dlaczego nikt o tym nie mówił? Po pierwszym napadzie strachu nawet Gertruda

przyklaskiwała pragnieniom Antoniego, twierdząc, że dobro narodowe stoi ponad interesy rodziny.

Cecylia ułożyła się wygodniej na szezlongu. Poprawiła okrywający ją pled. Wcześniej nakazała służącej, by solidnie napaliła w kominku, lecz i tak na wskroś przenikało ją zimno. By odwrócić swą uwagę od związanego z chłodem dyskomfortu, sięgnęła po lekturę. Zamiast jednak zgłębiać jej treść, oddała się rozmyślaniom.

Ci wszyscy piewcy uczuć to niemożliwi kłamcy – westchnęła. Łżą na temat miłości, bo ta w rzeczywistości zastrzeżona jest wyłącznie dla mężczyzn. Mężowie są trudni w pożyciu i chyba częściej zdarzają się tacy, którzy nie kochają. Wątpię, by Antoni poświęcił dla mnie cokolwiek w imię miłości.

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi.

– Proszę! – powiedziała niezadowolona, że ktoś próbuje zakłócać jej samotność. Zakładała, że to teściowa lub szwagierka, ewentualnie pokojówka. Ani teść, ani mąż nie zachodzili do jej pokoju w ciągu dnia.

Ku jej zaskoczeniu do pomieszczenia wszedł Antoni.

– Nie było cię na śniadaniu. Marta powiedziała, że znowu źle się czujesz. Coś ci dolega? Może potrzebujesz doktora?

Do tej pory nie interesował się jej drobnymi niedyspozycjami.

Czy powinna wyznać mu prawdę?

– Nie wydaje mi się, aby już teraz potrzebny był doktor – odparła, płonąc się. – Jestem przy nadziei.

– Przy... nadziei? – powtórzył. – Ach tak! Co za radość. Oby to był chłopiec, który przedłuży ciągłość rodu. Spokojniejszy będę, wyjeżdżając na wojaczkę ze świadomością, że nie wszystek umrę – zacytował Horacego. – Jeśli zginę w boju, ślad jakiś po mnie zostanie. Wybornie. Winszuję. Nie będę cię więc niepokoił, moja droga. Wypoczywaj.

To mówiąc, wyszedł.

– Tylko tyle miał mi do powiedzenia? Wybornie? Winszuję? – zmartwiła się Cecylia, a potem ukryła twarz w dłoniach i zanosła się

płaczem.

Wiedziała, że nawet dziecko nie zatrzyma Antoniego w domu.

Gdyby choć trochę mnie kochał! Może wtedy nie wybierałby się na wojnę!

Tuż po Bożym Narodzeniu Trzosowie wyprawili chrzciny swego pierworodnego. W charakterze kumów zaprosili kowala, z którym byli spokrewnieni w jakimś dalszym stopniu, oraz siostrę Bernadety. Do późnego wieczora siedzieli w paradnej izbie, gawędząc, popijając i zakąszając kołaczami oraz mięsiwem.

– Bogato jakby u jakichś dziedziców – westchnęła zadowolona Zenobia Kołodziej, matka Bernadety, nakładając sobie na talerz kolejną porcję. – Dobreście te kielbasy i boczki zrobili, Jakubie – pochwaliła.

– Ja tam mało z tym miałem wspólnego. To z Prokopa taki wyborny rzeźnik, choć mało brakowało, a świniak nie miałby należytego sprawienia, bo Wojtuś zaczął się pchać na świat w samym środku roboty.

– Ano! Zaraz wszystkich chłopów z domu wymiotło – przytaknęła Maria. – Jeden Michał został przy kielbasach. Prokopa też wodziło, by iść do karczmy, alem go nie puściła za próg, nim Betka nie powiła.

– Chłopom zawsze pali się do gospody, gdy kobieta cierpi – zauważyła Zenka.

– A! Bo ty myślisz, że miło słuchać, jak baba wyklina człowieka podczas porodu? – zapytał ją ślubny.

– Ja tam cię nie wyklinałam – oznajmiła.

– Betka też ani jednego złego słowa nie pisnęła – wtrąciła Maria. – Zuch dziewczyna!

– No, to zdrowie mojego wnusia! – Jakub wstał i wzniósł kieliszek. Potem wlał sobie gorzałkę prosto w gardło.

Reszta poszła za jego przykładem, choć kobiety krzywiły się i piły po połówce.

– Ech... Na baby szkoda okowity, marnotrawstwo, ot co!

– Nie sztuka się opić tak, by o bożym świecie zapomnieć – fuknęła Maria, ale bez gniewu, bo na kolanach trzymała powijak z dzieciaczkiem. Wciąż spoglądała na małego, to go huśtała, to coś mu nuciła.

– A dalibyście i mnie pobawić! – Zenobia szturchnęła ją delikatnie.

– Kiedy żal mi go z rąk puszczać, bo to takie moje paniątko. Mój mały królewicz – zaśmiała się Maria.

– Rozpieścicie chłopaka, jak go tak będziecie ciągle ciućkać! Sprawicie matce kłopot. Nic przy nim nie zrobi, bo mały wciąż będzie chciał na ręce – zauważyła organiścina.

– A bo to Betka nie ma się kim wysłużyć? Jak ją najdzie ochota, cały dzień może niańczyć małego. Pierwszy wnusio, to i babunia mu nieba przychyli – zaświergotała znowu Trzosowa.

Bernadeta cała w skowronkach podawała do stołu. To dolewała napitków, to dokrawała mięs, chleba i kołaczy. W końcu matka złapała ją za rękaw koszuli.

– A spocznijże w końcu, dziecko. Gonisz i gonisz.

– Siadę sobie, siadę, bo zaraz trza będzie pokarmić Wojtusia.

– Robotna ta moja dziewczeczka – uśmiechnęła się Kołodziejowa.

– Robotna? – zaśmiał się teść. – W dyrygowaniu przoduje. A jak trza iść do krówek albo świnek, to zaraz wyciąga patelnię i smaży leśnioki. Ot, gospodyni!

– A! Bo pewnie chce wam się przypochlebić – skwitowała Zenobia. – Mało macie parobków i komornic? Mieliście nie gonić Betki do ciężkiej roboty – zauważyła, wyciągając ręce po wnuczka. Maria z żalem oddała chłopca Zeni, by i ona nacieszyła się małym. – O moje śliczne paniąteczko. Mój cudny chłopaczek – zagruchała do dziecka.

– A kto ją goni? – rzuciła Trzosowa. – Może sobie odpoczywać, ile dusza zapagnie. A do obory i tak zawsze chodzi Kachna. Ano właśnie – rozejrzała się za komornicą, która zachęcona przez Bernadetkę, przycupnęła w kącie – zdaje się, że to już czas dojenia.

– Ano czas – westchnęła żałośnie dziewczucha – ale tak mi się nie chce, gospodyni! Nie mógłby mi ktoś tej krowy przyprowadzić? Ziąb na dworze, psa żal byłoby wypędzić.

Biesiadnicy parsknęli śmiechem.

– A jużci! – Prokop trącił łokciem kuma. – Nalejcie Kachnie kielicha na jedną i na drugą nóżkę. Jak się nieboga rozgrzeje, to nie będzie jej żal opuszczać cieplej izby.

Kowal wstał z ławy i podał dziewczynie gorzałkę.

– Pijcie no, Kasieńko!

Komornica sięgnęła po kieliszek i wychyliła zawartość. Nie co dzień dopuszczano ją do biesiadowania z gospodarzami, więc póki mogła, korzystała z niespodziewanego przywileju.

W izbie zrobił się ruch, bo również Prokop wstał, by rozprostować kości. W tym samym czasie zakwilił Wojtuś, więc Bernadeta wzięła go od matki.

– Głodny mój królewicz? – zagruchała do małego, odchodząc w spokojniejszy kąt.

– No to żem się nacieszyła wnusiem – westchnęła Zenobia, poprawiając koszulę na piersi, bo jej się dziwnie rozchełstała. – Ale zaraz? A gdzie mój guzik? – Zerknęła na lnianą tkaninę haftowaną misternie w kwiatki.

– Możecie wcześniej zgubili? – bąknął Jakub.

– E nie – stwierdziła siedząca naprzeciw niej Dorota Marcińczyk, żona kowala. Dość się zdążyła napatrzeć na koszulę Kołodziejowej, bo ozdobne guziki ciągnęły jej wzrok. – Miała wszystkie, gdy brała Wojtusia. Pewnie się urwał i zaplątał w spódnicę.

Zenobia wstała i zaczęła wytrzępywać odzienie, lecz nic nie pacnęło na podłogę. Na wszelki wypadek dała jednak nura pod stół, razem z nią zaczęli się schylać inni, lecz ozdobnego guzika nigdzie nie było widać.

– Szkoda go – jęczała Zenia – kosztował krocie. Kupiłam cały komplet w ubiegłym roku na targu w Niepołomicach.

– Nie martwcie się, nie zginie. Jak upadł gdzieś, to go znajdziemy – pocieszał ją Prokop. – Może poleciał pod łóżko albo skrzynię?

– A co my tutaj mamy? – zachichotała Betka, siedząca z dzieckiem u piersi.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę. Kobieta jedną ręką delikatnie rozgięła paluszki synka i wyjęła z nich guzik.

– O macie zgubę! – oznajmiła.

– A to mała sroczka! Błyskotek zachciało się Wojtusiowi? – Zenobia cmoknęła dziecko w główkę, odbierając od córki drobiazg.

– Wie, co wartościowe, bo ja widzę, że te guziki to nie lada jakie. – Kowalowa się zaśmiała. – Trzosom diabeł pola obrabia, w komorze żadna mysz się nie zagnieździ, a krowy dają mleko zasobne w śmietanę. To i Wojtuś pewnikiem wyrośnie na pana wielkiego, skoro od pierwszych chwil życia ciągnie się do bogactwa.

– Racja, Dorotko, dobrze mówicie! – przyklasnęła jej Zenobia. – Niech to będzie przyjęte za dobrą wróżbę dla naszego aniołka, skoro w dniu chrzcina od razu złapał skarb do tej maleńkiej rączyny.

– No to zdrowie małego! – Jakub wzniósł kolejny toast.

– A naszej Kasiuleńce na drugą nóżkę! – zarządził tymczasem Marcińczyk, nalewając następny kieliszek komornicy i pilnując, by gorzałka została wypita do dna.

Kaśka przełknęła zbyt łapczywie, bo aż ją zatchnęło, więc Maria pospieszyła na ratunek z pajdką chleba i boczkiem. Biedna nie mogła jeszcze przez chwilę złapać oddechu, więc o zakąszeniu w ogóle nie było mowy. Kaszlała i prychała tak, że poczerwieniała na twarzy. Maciek doskoczył, łupnął ją kilka razy w plecy, aż zadudniło.

- Olaboga! – jęknęła, ocierając łzy z oczu. – Byłabym wyzionęła ducha.
- Naści! Przegryź. A potem idź do stajni – poleciła gospodyni.

Kachna skwapliwie przyjęła kromkę. Ledwo ją ugryzła, znowu w oczach stanęły jej łzy. Poczerwieniała na twarzy i zaczęła dygotać niczym w febrze.

- Ratujcież ją! Dyć dziewczucha się dusi! – wystraszyła się Trzosowa.

Kachna tylko pokręciła głową na znak, że nic jej nie dolega, i z ogromną niemocą wskazała drzwi do sieni.

– Ktoś sobie życzył, by mu sprowadzić krówkę do wydojenia? – zapytał Prokop z szelmowskim uśmiechem na ustach, trzymający Krasulę na krótkim łańcuchu.

– O ty szelmo! – pisnęła Maria, łapiąc się pod boki i trzęsąc ze śmiechu. – O ty huncwocie! O ty żartownisiu! Natychmiast zabieraj mi stąd to bydlątko! Nazad ją wyprowadź!

- Nastąp się, Krasula! – zawołał psotnik. – Nazad! Nazad!

Cóż, gdy sień była ciasna i bydlę nijak nie mogło się w niej wykręcić.

– A niech mnie! – zarechotał kowal. – Na to bym nie wpadł, by przyprowadzić komu krowę do wydojenia! Toć to ludziska będą na wszystkich targach i odpustach opowiadać!

– Tyłem ją trzeba wyciągnąć – zauważył Jakub. – Skaranie boskie! Tegom, jak żyję, jeszcze nie widział, żeby Krasula chodziła do tyłu.

ROZDZIAŁ 4.

MIŁOSNY ZAWRÓT
GŁOWY



Na polowaniu w Puszczy Niepołomickiej

Rok 1846

Zima trzymała tęgo. Mróz skuł Wisłę tak mocnymi okowami lodu, że można było po niej przejechać saniami. Ponieważ ziemia odpoczywała pod pierzyną śniegu, roboty było teraz znacznie mniej. Kobiety spędzały czas na darciu pierza, przy kołowrotekach lub warsztatach tkackich albo sięgały po igły, by naprawić lub uszyć przyodziewek. Częściej można było wyprawić się na targ czy pójść do karczmy, by posłuchać wieści napływających z różnych stron świata. A te dobre nie były, przynajmniej dla chłopów, którzy z dawien dawna marzyli o zniesieniu pańszczyzny.

Ochoczo podejmowano ten temat również we włościach Żelechowskiego. Rzadziej w gospodzie, prędziej, gdy gdzieś pokątnie zeszło się parę osób.

Zdarzyło się pewnego zimowego dnia, że w dzień handlowy zjechało kilku chłopów z okolicy. Po ubiciu interesów stanęli całą grupą. Nie chcieli iść do karczmy, bo tam mógłby ich ktoś podsłuchać, wszak na gorzałkę wstępowali i fornale, i dworscy ekonomowie, a i panowie czasami zaglądali, gdy naszła ich fantazja. Wiadomo, kto, co i komu doniesie? Niby prawo zakazywało stosowania chłosty, ale w niejednym majątku wciąż karano w ten sposób niepokornych bądź gnuśnych robotników.

U Żelechowskich nigdy nie żałowano batów, zarządca słynął z ciężkiej ręki. Służba we dworze, nawet na pokojach, do lekkich i przyjemnych nie należała. Niejeden desperat próbował uciec, lecz zwykle kończyło się to odnalezieniem zbiega, publiczną chłostą i gniewem pańskim.

Chociaż mróz szczypał w nosy i policzki, Prokop Trzos, Alojzy Dyl i paru chłopów z innych majątków zatrzymało się gromadnie na rynku

w Niepołomicach. Raz po raz spoglądali, czy od strony zamku nie nadchodzą jęgrzy albo czy nie płacze się w pobliżu ktoś obcy.

– Słuchajcie, co wam powiem, mam ciekawe wieści – odezwał się Włodek Konopka, zagrodnik z Kłaja.

– No to mów, na co czekasz? – zapytał Dyl, któremu Konopka był kumem.

– Aż jęgrzy przejdą. – Pokiwał głową w stronę niewielkiego oddziału, prawdopodobnie zmierzającego w stronę puszczy. Gdy wojskowi się oddalili, rozejrzał się jeszcze, czy ktoś nie strzyże ciekawskimi uszami w pobliżu. Żydami się nie przejmował, ci mało interesowali się chłopskimi sprawami. Dla nich ważniejsze było, żeby sprzedać gorzałę, obojętnie, czy panu, czy chamowi, byle kasa pełna była pieniędzy.

– Poszli. A ci tam – stwierdził Prokop, wskazując żołnierzy, którzy przy zamku uwijali się z jakimiś beczkami, ładując je na wóz – nie są szkodliwi. Mają niezłą rozgrzewkę, te antałki do lekkich chyba nie należą.

– To ani chybi gorzałka – stwierdził Edmund Filuś, chłop wiecznie czerwony na gębie niezależnie od pory roku i ilości spożytej okowity.

– Niech ta będzie, co chce. Może lepsza gorzała od prochu, bo jeszcze wysadziliby zamek w powietrze – zauważył Trzos.

– Kto by się przejmował tą ruiną? – Dyl wzruszył ramionami. – Do tej pory nie odbudowali spalonego piętra.

– Bo króla brak. Nie ma pana, to i siedziba zbędna – skwitował Dyl. – No to mówcie, kumie, co za nowiny żeście przynieśli – zwrócił się do Konopki.

Rad z zainteresowania Konopka podkręcił sumiaste wąsy.

– Stryj mój, dawno temu, ożenił się w cyrkule tarnowskim.

– Olaboga! A gdzież go tak daleko poniosło? Żelechowski go puścił?

– A puścił, bo wiecznie mieli ze sobą zatargi. No więc siedzi chłopina pod Tarnowem już ze dwajścia lat, lepiej mu tam niż u nas.

– To się wie. Nie ma w okolicy większego ancykrysa nad naszego Karłowicza. Tfu, na psa urok! – Dyl splunął na samą myśl o ekonomie Żelechowskiego, drabie nad drabami, który nie szczędził bata nikomu, przy czym najpierw prał, a potem wnikał, czy słusznie użył siły.

– No to słuchajcie, co mi stryj opowiedział. Otóż w ich cyrkule, w sąsiednim powiecie mieszka jeden średnio zamożny chłop, bo nie żeby chodziło o jakiegoś biedaka, o nie! Jakub Szela go wołają. No i ten ci człeczyna ma solidny zatarg ze swoim panem, Boguszem. Ponoć Jakub, choć niepiśmienny, jest plenipotentem całej gminy Swarzowa i jeszcze z drugim takim, Białasem, staje do jakichś procesów. Porozumienia nie mogą dojść z Boguszami, bo to też zawzięci ludzie, jak wasi Żelechowscy. Doszło do tego, że Bogusz kazał skuć Szelę, uwięzić go i solidnie batogiem oćwiczyć. Trzymali chłopą w niewoli i jak go w końcu zabrali na mszę, to nie zdjęli mu kajdan. Co więcej, nie dali mu nawet wejść do kościoła, tylko zostawili nieboraka na polu, aż się nabawił odmrożeń.

– A to łotry! Za nic mają ludzkie życie – zdenerwował się Dyl, naciągając mocniej czapkę na uszy, bo chłód go przeniknął na wskroś, gdy pomyślał o Szeli tkwiącym na tym zimnie w kajdanach. – Traktują nas jak bydło. Jak woły robocze!

– A żebyście wiedzieli! – przytaknął Filuś. – Słyszałem niedawno, że ponoć sam cysorz chciał nas wyzwolić spod pańskiego bata, ale nasze dziedzice nie chcą odpuścić pańszczyzny. Mają nas za niewolników, darmo człek im pola obrabia!

– A darmo! Szela też o tym ponoć ciągle mówi i nawołuje teraz do buntu.

Tak się zagadali, że nie zwrócili uwagi na przysłuchującego im się żołnierza.

– Prawdę prawicie – odezwał się nagle młodziutki jegier. – Austriacy dawno temu daliby wam wolność, ale wasi panowie nie pozwalają. Miłościwy cesarz powiada, że chłop jest takim samym człowiekiem jak

pan i nie powinien być w niewoli. – Nieźle władał językiem polskim, bo zabrzmiało to całkiem zrozumiale.

– A skąd ty to wiesz, dzieciaku? – zwrócił się do niego Prokop.

– A od dowódcy. Przecież w koszarach teraz nie mówi się o niczym innym, jak tylko o ciężkiej doli chłopów.

– No patrzcie, ludziska! Niby wojskowy, a jak dobrze nas rozumie! – Dyl zagwizdał z podziwem. – I jeszcze po naszymu gada!

– No ba! Znam waszą mowę, bo moja matka pochodzi spod Tarnowa. I o tym całym Szeli też żem już słyszał. Przyszedłem tutaj na rozkaz dowódcy, a ten dostał wytyczne z samego Wiednia. Nasz miłościwie panujący Ferdynand Habsburg rozkazał, by przesłać galicyjskim chłopom najlepszą okowitę.

– Co? – Edmund ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

– Okowitę. O tam, szanowni kmiecie, stoi beczka, częstujcie się do woli. – Wskazał ławę, na której przed momentem dwóch jegrów ustawiło antałek sporej wielkości. – A wypijcie za zdrowie najjaśniejszego pana, któremu wasze dobro od zawsze leży na sercu!

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Jak świat światem, gorzałki od samego cysorza jeszcze nie piłem – mlasnął wymownie Filuś.

– Ja bym zachował ostrożność – stwierdził sceptycznie Trzos.

– Że niby zatruta?

– Zatruta, niezatruta. Tak czy siak może w gardle stanąć.

– Bez obaw, kmiecie! Śmiało! To najlepsza okowita z cesarskich piwnic. Można pić do woli, głowa nie będzie boleć – zachęcił jeden z jegrów. W dowód prawdziwości swych słów nabrał gorzałki do kubka i na ich oczach wlał sobie w gardło. Otrzeptał się, a następnie spojrzał na nich wyczekująco. – No, chłopcy? Nie odmówicie przecież miłościwie panującemu – judził.

Pierwszy odważył się Edmund, za nim podreptał Dyl oraz cała reszta. Trzos odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę swoich sań. Odmotał

lejce z kołka, pogłaskał konia po chrapach.

– Czas wracać do domu – powiedział sam do siebie. Nie podobało mu się, że żołnierze nagle zaczynają się bratać z chłopami i na dodatek częstują gorzałką. *Oj, żeby z tego jakaś draka nie wyszła.*

Tymczasem gromada wokół beczki rosła, wciąż przybywało chętnych na darmowy napitek. Pomiędzy popijającymi tego mężczyznami kręcili się Austriacy, którzy od dłuższego czasu stacjonowali w Niepołomicach. Kilku z nich niezgorzej władało językiem polskim.

– Pijcie, chłopcy, pijcie na zdrowie! A nie zapominajcie, kto was ugościł. Nie wasi panowie, nie szlachta! Sam cesarz Franciszek z wojskiem austriackim – wołał tubalnym głosem zażywny niski jegomość o czarnych jak smoła, bardzo ruchliwych wąsikach. Ubrany był po cywilnemu. Szeptano więc w tłumie, że to jakiś urzędnik, jeden z tych, co zajmują piętro zamku królewskiego.

– Zdrowie cysorza! – wykrzyknął Filuś, który mocno już miał w czubie.

– Zdrowie! – zawołali inni.

– Cesarz zawsze rad był swoim poddanym. Nie darmo go zwą Dobrotliwym. I nad waszym losem się użala, bo to wasi panowie nie dopuszczają do reformy. Wyście są niewolnikami szlachciców!

– Dobrze prawi! – stwierdził Konopka. – Znęcają się nad nami jak nad robactwem. Co uczynili z Szelą? A ilu jeszcze takich jak on łaknie sprawiedliwości?

– To ja wam powiem, dobrzy ludzie – wąsacz przechadzał się pomiędzy gospodarzami w kozuchach i baranicach, w lichej przyodziewie i wytartych sukmanach, w zdartych butach i w skórzanych cholewach suto natartych tłuszczem, pomiędzy starymi i młodymi, mężczyznami i kobietami – że wolność po prostu wam się należy. Ale nie liczcie na ziemian, bo oni patrzą tylko swoich interesów. Dla nich chłop tyle jest wart, ile pańszczyzna, którą odrabia. Wasze życie nisko cenią i chcą was posłać jako mięso armatnie na rzeź!

– Na jaką rzeź? – pytano wśród tłumu.

– Ano w wojenny tumult! Zamierzają was oderwać od roli i zmusić do wojny z cesarzem. Popchną was na śmierć za sprawę daleką waszym interesom! Im się marzy, by władać Galicją bez udziału miłościwego pana. Bo jak wymkną się spod jego kontroli, to nadal będą mogli rządzić po swojemu, trzymając was w okowach. Pójdziecie się za nich bić o to, by dalej tkwić w niewoli – gardłował dobitnie.

– Nie może być! – W przypiływie emocji Alojzy zdarł z głowy baranicę i cisnął nią o śnieg. – Jakże to? Znowu chcą krew przelewać?

– Znowu, gospodarzu! Zaś wam będą tratować końmi uprawy i zabierać najdorodniejszych synów na bój. I co wtedy? My do was nie chcemy strzelać, zacni Galicjanie! Ale jak Wiedeń da rozkaz, to nie będzie odwrotu.

– Toć nie można dopuścić – ryknął Konopka – by znowu się paniczne tłukły!

– Ja mojego syna nie puszcę na zatracenie! – zaperzyła się jakaś gospodyni. – Starczy, że mi zaszlachtowali brata w trzydziestym pierwszym. Jeszcześmy dobrze nie okrzepli po tamtym, a im znowu się zachciewa?

– Tfu, co za psubraty!

– Wiedźcie, kmieciowie – ciągnął dalej Austriak – że szlachta się zbroi. Rychło i was wezwą pod broń. A czym będziecie walczyć? Znowu gołymi rękami lub kosami? Wam nikt nie da pistoletów ani nawet szabel. Pójdziecie bezbronni na armaty, żeby do was strzelano, podczas gdy paniczne będą się chować za waszymi plecami? A zważajcie na swoich panów, bo chodzą słuchy, że oni się zbroją, by wystąpić także przeciwko wam. Jeśli nie ruszą na bój z nami, to was zaczną mordować, bo wam się zachciewa wolności! Jakbyście więc zobaczyli maszerujące oddziały szlachciców, to wiedźcie, że coś złego będzie się działo!

– Już my im pokażemy, gdzie raki zimują! – burknął jakiś mocno podchmielony chłopina. Widłami rozniosę, a nie dopuszczę, by z kimkolwiek poszli się bić! Nieważne, czy z cysorzem czy z nami!

– A my z tobą! – poparli go inni, zapewniając solennie, że jeśli gdzieś zauważą formujące się oddziały, to sami je rozgromią, by zapobiec rewolcie.

Pomimo że galicyjska szlachta szykowała się do zrywu przeciwko zaborcy, z nastaniem karnawału w majątku Parnickich wyprawiono bal. Przy tej okazji miała się odbyć ostatnia kwesta przed powstaniem, wciąż bowiem kupowano broń i konie, potrzeby były bardzo duże. Być może gdyby nie konieczność pozostawania w gotowości, cała familia wyjechałaby na sezon do Krakowa, tak jak miało to miejsce w poprzednich latach.

– Nie wiem, czy to odpowiedni czas na bale – stwierdziła Gertruda, gdy już wszystko zostało dopięte na ostatni guzik i pozostało jedynie oczekiwanie na gości.

– Ależ mamó! To najlepszy moment na zabawę. Mamy karnawał, trzeba się weselić i wierzyć, że następny będzie znacznie huczniejszy, bo w wolnej Polsce. Ponadto musimy coś organizować dla zmylenia przeciwnika – tłumaczył Antoni, wygładzając nieistniejące fałdki na jedwabnym żupanie. – Gdybyśmy poniechali zabawy, Austriacy zaczęliby podejrzewać, że coś szykujemy. Czasami dla dobra spisku konieczne są nawet tańce. Zresztą to dla naszych dam, by miały za czym tęsknić, gdy już ruszymy na wojenkę. I oby ta wiosna należała do nas!

Stojąca przy nich Eulalia promieniała ze szczęścia, ponieważ dla niej był to debiut towarzyski. Miała na sobie skromną toaletę w jasnych barwach. Za całą ozdobę służyły jej krótki sznurek pereł oraz satynowe kwiatki wpięte w gładko zaczesane włosy, rozdzielone po środku przedziałkiem ponad starannie zakręconymi anglezami.

– Mamó, przecież nie odmówiłabyś mi przyjemności wejścia w świat – skomentowała słowa Gertrudy. – Sama zawsze mawiałaś, że najlepsze partie znajduje się podczas karnawału. I że trzy sezony wystarczą

niemalże każdej pannie na znalezienie narzeczonego. A skoro szykuje się powstanie, to ten rok praktycznie mamy stracony. Każdy przyzwoity kawaler pójdzie na wojnę. Niejeden pewnie zginie, a gdy już ustanie zawierucha, może się okazać, że na jednego mężczyznę przypada kilka panien. Zwłaszcza że moja konkurencja rośnie i już szykuje się na następny sezon.

– Jesteś jeszcze tak młoda, że nie martwię się o twoje zamążpójście – stwierdziła matka. – Nie musisz zaręczać się tej wiosny.

– Bądź dobrej myśli, siostrzyczko. Nie damy się tak łatwo wystrzelać. Jak Bóg da, większość powróci cała i zdrowa. A jak zwyciężymy, to dopiero nastanie czas zabawy. Szlachta wtedy odżyje, bo teraz, jak sama widzisz, każdemu doskwierają jakieś niedostatki.

Cecylii od rana dokuczało kiepskie samopoczucie, lecz pozostanie w buduarze w ogóle nie wchodziło w grę. Nawet jeśli to nie ona miała czynić honory, witając gości, to i tak nie wypadało się ukrywać. Z rezygnacją pozwoliła, by pokojówka mocniej dociągnęła sznurówkę gorsetu. Wciąż jeszcze była płaska jak deska, mogła nosić dotychczasowe suknie i prezentować gościom nienaganną figurę. Przynajmniej tym dane jej było się szczycić, ponieważ twarz miała całkiem pospolitą. Nie wyróżniała się niczym z tłumu, a grube rysy znamionowały mało szlachetne urodzenie. Braki w urodzie mogła sobie zrekompensować piękną biżuterią. Ojciec, wydając ją za mąż, zadbał, by miała w czym błyszczeć na salonach. To była chyba najlepsza strona zamążpójścia – teraz mogła nosić strojne toalety i klejnoty, które niedostępne były dla panienek, lecz zarezerwowane wyłącznie dla statecznych mężatek. Ale właśnie to stanowiło jedną z jej trosk – żywiła poważną obawę, że może stracić brylanty, gdyby powstanie upadło. Zastanawiała się nawet, czy nie oddać ich ojcu na przechowanie, lecz to raczej nie byłoby roztropne posunięcie, ponieważ Gustaw po uszy tkwił

w spisku. Gdyby wpadł, pogrążyłby wiele osób, zapewne włącznie z rodziną.

Czy tylko ja jestem taką sceptyczką? – rozmyślała, wodząc wzrokiem po napływających gościach. Na wszystkich twarzach dostrzegała nadzwyczajne ożywienie, a z urywków rozmów, które dochodziły do niej z każdej strony, mogła wywnioskować, że już o niczym innym się nie mówi. I że ta gorączka udzieliła się również kobietom. Jak nigdy, na dalszy plan zeszyły towarzyskie plotki.

Z każdą chwilą przybywało zgromadzonych. Pierwsze pary ruszyły do poloneza. Cecylia ustawiła się z Antonim, wypadało, aby to oni zainaugurowali bal. Później, w równych odstępach czasowych, miała zapisane w karneciku jeszcze dwa tańce z mężem. Prócz niego zanotowany był Gustaw oraz teść i kilku sąsiadów. Właściwie notesik świecił pustkami, gdyż poza Antonim każdy z mężczyzn poświęcał jej jeden taniec. Tego wymagała grzeczność. A ponieważ gości nie było wielu, czekała ją raczej nudna noc, podczas której będzie smętnie spoglądała na inne mężatki oblegane przez dżentelmenów, w tym również przez jej męża.

Może dzisiaj się dowiem, która z nich skradła serce Antoniego – stwierdziła. Była pewna, że ślubny się w kimś kocha, ponieważ ich relacjom towarzyszył dojmujący chłód. A odkąd wyznała Antoniemu, że spodziewa się dziecka, ani razu nie zajrzał do jej sypialni. Rozmawiał z nią grzecznościowo przy stole i dość często wyjeżdżał, czasami nawet na kilka dni. Tłumaczył, że to w sprawach powstańczych.

Po pierwszym polonezie nadeszła pora na inne tańce. Cecylia, gdy nie miała w karnecie zapisanego partnera, usiłowała pełnić honory pani domu. Przypominała sobie wszystko, co na ten temat usłyszała bądź przeczytała w różnych poradnikach. Podchodziła więc do samotnie stojących kawalerów i zachęcała ich, by prosili do tańca panienki. To znowu próbowała bawić starszawe matrony pogawędką lub częstować łakociami rozłożonymi na tacach. Co jakiś czas z zazdrością zerknęła na Eulalię, która tego wieczoru święciła triumfy. Jej debiut okazał się

wielkim sukcesem, a w karneciku zabrakło miejsca na kolejne wpisy. Młodzież, świadoma tego, że za kilka tygodni rozrywki takie jak ta będą zaledwie wspomnieniem przywoływanym na polach bitwy, bawiła się zapamiętane, jakby świat miał się zaraz skończyć.

Pierwszy taniec dla żony, drugi dla matki, trzeci dla siostry, czwarty i piąty dla sąsiadek – liczyła w duchu Cecylia, spoglądając na męża tańczącego z kolejnymi damami. *A który dla kochanki?* Była pewna, że nie poprosił damy swego serca od razu, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Usiłowała więc zgadywać, czy chodziło o Florentynę Ostrowską czy o Kornelię Żelechowską. A może w grę wchodziła Matylda Wimmerowa? Tak się do niej nachylał podczas mazura, coś sobie szeptali... czy umawiali się na potajemną schadzke?

Niemożliwe! Matylda musi być mniej więcej w wieku Antoniego! – stwierdziła. Podejrzewała go o wdzięczniejszą metrese.

– *Madame*, pięknie pani w tym błękie.

– Pan Antoni jak zawsze łaskawy – odparła Kornelia, delikatnie wachlując dekolt. Po ostatnim tańcu wciąż odczuwała gorąco, choć w bawialni Parnickich z całą pewnością nie było duszno.

– Czy i pani będzie dla mnie równie łaskawa, znajdując jeszcze jakąś lukę w swym karnecie?

– Może – odparła krótko, podając mu balowy notesik.

Wraz z karnetem złapał dłoń ukochanej. Mimo rękawiczek czuł żar bijący od jej skóry. Sam odnosił wrażenie, jakby w jego żyłach płynęła nie krew, lecz wrząca lawa. Przez chwilę spoglądali sobie w oczy z tą samą tęsknotą, która dręczyła ich od dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy.

– Chętnie wpisałbym swoje imię w każdą pustą przestrzeń – oznajmił mężczyzna. – Albo podarłbym ten spis tancerzy na kawałki. Na drobny mak!

– Dlaczego? – zagadnęła filuternie, kryjąc częściowo twarz za wachlarzem ze strusich piór oprawionych w misternie grawerowaną kość słoniową.

– Dlaczego? – powtórzył za nią. – By zawłaszczyć panią tylko dla siebie. Przetańczyć z panią całą noc aż po błądy świt.

– Pozwalając na to, byłabym egoistką. Skradłabym przyjemność innym damom oczekującym na swoją kolej.

– Ech... ta niewola konwenansów! Cóż za przyjemność można czerpać z tańca z nielubianą sąsiadką? Albo z matroną w koronkach woniejących naftaliną? – Zniżył głos, by nikt inny nie mógł go usłyszeć.

– Pani jest jak wonny kwiat. Albo jak niezapominajka rozkwitła nad modrym ruczajem. Przy pani inne kwiaty więdną. Zresztą coż to za kwiaty? Same osty i baśnica. Ach, Kornelio! Jakże miłym wspomnieniem będzie dla mnie ta noc, gdy już otoczy mnie bitewny zgiełk i kurz.

– Proszę na siebie uważać w tym zgiełku i kurzu – napomniała go łagodnym głosem. – Przeraża mnie myśl o czekającej nas wszystkich próbie. Będę się modliła, by każdy powstaniec wrócił szczęśliwie do domu.

– Każdy... A czy i mnie obejmie pani swą modlitwą?

– Tak, panie Antoni. Nie może być inaczej. Będę drżeć z obawy, by Austriacy nie okazali się celnymi strzelcami.

Z zachwytem spoglądał na jej falującą pierś oraz delikatny rumieniec pokrywający policzki.

– Wspomnienie pani oczu będzie mnie chronić przed złem. Kornelio... Gdyby tylko pani wiedziała... gdyby zajrzała pani w głąb mojej duszy – szeptał gorączkowo, licząc na to, że Żelechowska w lot odgadnie jego uczucia.

– Gdyby pan wiedział... Gdyby potrafił pan czytać w moich myślach... – odparła równie cicho, zerkając niespokojnie na boki.

Czy nie za długo tutaj razem stoimy? Czy ktoś nas zauważył? – zmartwiła się możliwym skandalem.

– Kornelio... powabny aniele... Czy nie będzie nadmierną śmiałością z mojej strony, gdy zapytam, czy wybiera się pani na polowanie u Wimmerów?

– Ależ oczywiście – odparła. – Jeśli tylko dopisze pogoda, z przyjemnością się na nie wybiorę.

– Serce mocniej mi zabiło – wyznał. – Zapewne to będzie ostatnia okazja przed wyruszeniem na bitwę, by spojrzeć w pani piękne oczy.

Bała się zapytać o to, czy Antoni będzie z Cecylią. Zapragnęła, by przyjechał na łowy sam. I aby nadarzyła się okazja do zabłądzenia we dwoje wśród kniei.

– Oby dopisała pogoda i polowanie doszło do skutku. Rzeczywiście będzie to czas na pożegnanie się z wieloma dżentelmenami, którzy lada dzień dosiądą swoich rącznych koników i odjadą, by walczyć o wolną ojczyznę.

– Czy mogę i ja mieć nadzieję na jakieś dobre słowo na drogę?

Kobieta mrugnęła powiekami. Bała się wykonać jakikolwiek inny gest, by ktoś tego nie zauważył. Słuchała Antoniego z bijącym mocno sercem. Wiedziała, że nie wolno jej tego robić, ale pragnęła spotkać się z nim sama. Skąd mogła wiedzieć, co przyniosą kolejne dni? Być może miała jedyną i niepowtarzalną okazję, by zaznać odrobiny miłości. Pragnęła ulec w końcu uczuciom, które od dawna targały jej duszę.

Nie była szczęśliwa w małżeństwie z Tadeuszem, który w domowym zaciszu zrzucał maskę dżentelmena i przeistaczał się w cynicznego gbura o zapędach tyrańskich. Gdyby miała bardziej melancholijną naturę, pewnie dawno temu popadłaby w czarną rozpacz. Żyła jednak dla takich chwil jak obecna, ciesząc się drobiazgami i marząc o szczęściu.

Antoni już dawno skradł jej serce swym taktem i kurtuazją. Sprawiał wrażenie równie zagubionego jak ona, zmuszonego sztywnymi ramami konwenansów do wypełniania roli, jaką mu odgórnie narzucono. Choć do tej pory nie była pewna jego uczuć, miała zaledwie przecucie, pokochała go miłością niepojętą dla samej siebie. Wyglądała okazji, przy

których mogliby się spotkać, nawet jeśli to oznaczało jedynie zdawkową pogawędkę czy uścisk dłoni. Wiele oddałyby za to, by zatonać w jego ramionach i przeżyć z nim chwilę prawdziwego uniesienia. Karciła samą siebie za grzeszne myśli, lecz mimo wszystko nie przestawała śnić na jawie.

A teraz dochodziła jej troska o jego bezpieczeństwo, ponieważ każdy dzień przybliżał Polaków do wyznaczonego terminu powstania. Ile łez, ile bólu i rozpaczy czeka ją w najbliższej przyszłości?

Żony mają łatwiej! One pierwsze dostają listy i wieści o mężach – pomyślała. Kobieta, która tylko kocha, skazana jest na oczekiwanie, aż ktoś przyniesie jakąś plotkę. Albo aż własny małżonek wspomni coś mimochodem w swoim liście. Ach... Dlaczego nie dane mi było poznać Antoniego, nim przyjął oświadczyzny Tadeusza? Nie wyszłabym za tego drania.

– Zna pani pochyły dąb z kapliczką rosnący nad potokiem?

– Tak – szepnęła przejęta.

– Zatem spotkajmy się tam w sobotę w południe. Do tej pory myśliwi odejdą głęboko w las, nikt nie zauważy naszego zniknięcia. A mnie bardzo zależy na tym, by zamienić z panią parę słów na osobności – wyznał cichym głosem.

Spoglądał na nią z takim żarem, że czuła dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

U Mojsiejowicza jak zwykle panował ścisk i zaduch. Zimą, gdy roboty nie było tak wiele, a wieczory dłużyły się w nieskończoność, chętniej zaglądano do karczmy, by pogwarzyć ze znajomkami i wypić kwaterkę piwa albo flaszkę gorzałki. Niejeden zostawiał u Żyda ostatniego krajcara^[28], który pewnie bardziej by się przydał głodnym dzieciakom i wychudłej babie. Bieda wyzierała niemalże z każdej zagrody, spoglądając w oczy chłopom. Szukali więc zapomnienia choć na chwilę.

Dyl przeciskał się pomiędzy ławami w stronę kuma. Przed Skoczyłasem stała napoczęta flaszką. Alojzy, nie bacząc na smród unoszący się znad kołtuna, usiadł przy Adamie, zdjął z głowy baranicę i rozpiął kozuch. Zerknął łakomie na butelkę, a potem powiedział na tyle donośnie, by usłyszeli go również inni:

– Ej, chłopcy, a co wy tak tutaj siedzicie i płacie Eliaszowi za gorzałę? To nie wiecie, że w Niepołomicach jegrzy za darmo częstują okowitą?

– A co ty gadasz, bajoku! – zachnął się Skoczyłas. Nie jeździł ostatnio do miasta, ponieważ nie miał takiej potrzeby.

– Nie wierzysz mi? Zapytaj Prokopa. On też był wczoraj w mieście. I na własne oczy widział antał gorzały, który wynieśli dla nas z zamku.

– A jużci! Słyszał kto, by jakiś żołnierz częstował człowieka wódką?

– Jak mi Bóg miły, prawdę mówię. O! Tam siedzi Prokop. – Wskazał Trzosa, który zajmował ławę na drugim końcu obszernej izby. – A prócz niego był ze mną jeszcze Konopka i Filuś. Poza Prokopem wszyscyśmy tego popili. Dobrze, że moja chabeta zna drogę do domu, bo nijak sam bym nie przyjechał. Do tej pory mnie suszy, tylem wyżłopał z tej beczki! Dobra gorzała, ponoć pochodzi z piwnic samego cysorza – mlasnął wymownie.

– A niby czemu cysorz miałby dostarczać nam wódkę? – huknął tubalnym głosem organista Ambroży.

– Ano temu, że to swój chłop, chociaż wielki władca. Żołnierze gadali, że on dawno temu darowałby nam pańszczyznę, ale nie pozwalają na to nasi panowie.

Opowiedział ze szczegółami o wszystkim, co zasłyszał na niepołomickim rynku. Powtórzył też historię chłopca spod Jasła, Jakuba Szeli, któremu szlachta mocno dała się we znaki. Wspomniał o Edwardzie Dembowskiem, człowieku wydalonym z Poznańskiego, próbującym wzniecić bunt wśród prostego ludu. O nim zasłyszał od innego kmiecia, gdy kilka dni wcześniej bawił w Bochni.

– Powiadają, że trzeba będzie walczyć. Ale nie z Austriakami, jak tego chcą nasi szlachcice, a właśnie z nimi. Bo im Ferdynand Dobrotliwy jest solą w oku. Sami chcą o sobie stanowić, a przy okazji i o nas. Jeśli ich nie powstrzymamy, nigdy nie wyzwolimy się z jarzma. Dalej będziemy chodzić po pańskich polach jak to bydło, co stworzone jest wyłącznie do roboty.

– Jeśli będzie trzeba, wyjdziemy na nich choćby z kosami, widłami i siekierami. Będziemy bronić dotychczasowego porządku, bo jak szlachta odłączy Galicję od cesarstwa, to zobaczycie, chłopcy, że jeno mocniej przykręcą nam śrubę i zamiast znieść, zwiększą pańszczyznę. Już teraz ledwo zipiemy!

– Racja! – krzyknął ktoś wśród tłumu. – Nie wolno nam dopuścić, by panowie poszli na wojnę z cysorzem!

– Jutro łowy u Wimmerów – przypomniał Antoni podczas wieczerzy.

– Wybierasz się na nie? – zagadnął Teofil, choć dla niego sprawa była oczywista, ponieważ syn nigdy nie przepuszczał podobnych okazji. Jako jedyny z Parnickich uwielbiał polowania, wyprawiał się na nie za każdym razem, gdy nadarzała się sposobność. Zresztą równie ochoczo błąkał się samotnie po Puszczy Niepołomickiej lub po rozległych polach, z psami i dubeltówką, by przywieźć kucharce zające, czasami dziką kaczkę lub bażanta. Jadali więc nader często dziczyznę.

Niegdyś Teofil także ochoczo jeździł w las, lecz odkąd nasiliły się ataki podagry, paraliżujące mu dotkliwie palce u prawej stopy, musiał zrezygnować z rozrywki.

– Ależ oczywiście! Jak mógłbym zostać w domu, skoro wszyscy tam będą? Dobrze byłoby trafić jakiegoś ładnego lisa, choć oczywiście przed wyprawą na Austriaków bardziej potrzebujemy mięsa.

– A ty, Cecyljo? – zagadnęła Gertruda, zezując na synową.

W oczach młodej damy od razu zapaliły się iskry. Ona także miała ochotę, by wyruszyć na łowy. Chociaż wciąż odczuwała mdłości i była senna, łaknęła rozrywek. Nużyła ją monotonia życia na wsi i bardzo żałowała, że tego roku nie zdołała namówić Antoniego na spędzenie karnawału u jej ojca w Krakowie. Mąż kategorycznie zaprotestował przeciwko wyjazdowi, tłumacząc, że większość okolicznej szlachty pozostaje w domach po to, by szykować się do powstania. Wszak z tego właśnie względu większość zabaw odbywała się na miejscu i ze znacznie mniejszym rozmachem.

– Właściwie poczułam się na tyle dobrze, że mogłabym pojechać – odparła.

Przecież nie mogła spuścić Antoniego z oczu! Dla niego była to być może ostatnia okazja do schadzki z kobietą, która skradła mu serce i odarła małżeństwo Parnickich z choćby odrobiny czułości. Wbrew naukom, jakie matka kładła jej w głowę, Cecylia wierzyła, że pomiędzy małżonkami może istnieć głębokie uczucie, a małżeńskie powinności nie muszą być tak rutynowo przykre.

– Nie wiem, czy powinna brać w tym udział. – Zamiast do połowicy, Antoni zwrócił się do Gertrudy. – Zapomniałaś, matko, czym skończyło się polowanie dla Bony?

– Ach... – westchnęła Parnicka. – Rzeczywiście, synu. Musisz wiedzieć, moja droga, że przed czterema wiekami niedaleko stąd odbywało się polowanie. Król Zygmunt wraz z Boną uwielbiali łowy. Pewnego dnia przywieźli do Puszczy Niepołomickiej pochodzącego aż z Litwy olbrzymiego niedźwiedzia. Zwierza wypuszczono do gaju w pobliżu Wisły. By nie uciekł zbyt daleko, osaczono go psami, a wszędzie rozstawiono chłopów zaopatrzonych w widły i oszczepy. Zwierz, gdy poczuł wolność, zaatakował ludzi. Poranił mnóstwo psów, a i nagonce dał mocno w kość. Przewrócił wraz z koniem nawet Ożarowskiego, samego podkoniuszego królewskiego. By go ratować, jakiś śmiałek rzucił się na potwora z oszczepem, ale niedźwiedź wydarł mu broń i byłby nieboraka rozszarpał, gdyby w porę nie uratowali go

chłopi. Odstraszyli jednak miśka tak niefortunnie, że ten rzucił się w kierunku królowej. Bona zaczęła uciekać, ale jej koń potknął się i zrzucił niebogę z grzbietu. Jak łatwo się domyślić, całe zajście miało niefortunny finał – skwitowała Gertruda.

– Królowa straciła dziecko, które miało być dziedzicem korony. Maleńki Olbracht zmarł w chacie smolarza Klimka. A tamta ziemia na uroczysku, gdzie upadła królowa, nazywa się dzisiaj Posyna^[29] – uzupełnił Teofil.

– Posyna? – powtórzyła młoda mężatka.

– Tak. Wtedy mawiano, że to „po synu królowej”. Niedobre miejsce – odparła Gertruda, otrzepując się, jakby dotknęła ją zimna dłoń kostuchy.

– Kto wie, jak ułożyłyby się losy Rzeczypospolitej, gdyby królowa nie wzięła udziału w łowach? – westchnął Antoni. – Z dużym prawdopodobieństwem przetrwałaby wówczas dynastia Jagiellonów. Zygmunt August, jak wiadomo, zmarł bezpotomnie, ale może Olbracht przedłużyłby ród? Przecież królowie elekcyjni dbali bardziej o własne, rodowe interesy niż o sprawy Polski. Skoro nie mogli przekazywać tronu następnym pokoleniom, nie wkładali wysiłku ani w umacnianie władzy, ani w rozwijanie potęgi kraju. A już na pewno nie na taką skalę, na jaką czyniliby to władcy dynastyczni.

Cecylia spoglądała na męża i jego krewnych z rosnącym zdumieniem. W tej chwili sprawiali wrażenie nawiedzonych. Już wcześniej słyszała o tym, jak ważne jest podtrzymanie ciągłości nazwiska, ale żeby przyrównywać drobną szlachtę do Jagiellonów? To przekraczało granice jej pojmowania rzeczywistości.

– Oj tak! – wtrąciła się w to Eulalia. – Być może do tej pory mielibyśmy monarchię, a ja byłabym damą dworu! A przynajmniej bywałabym od czasu do czasu na królewskich komnatach. Zapewne władcy nadal zjeżdżaliby tutaj z całą świtą na łowy.

– Jest to możliwe – przytaknęła Gertruda. – Wszak Parniccy są zacnym rodem. Twoi przodkowie nie wypadli sroce spod ogona.

A wracając do polowania – zwróciła chłodne spojrzenie na synową – faktycznie lepiej będzie, jeśli pozostaniesz w domu. To pierwsza szansa na nowe pokolenie Parnickich, więc nie można podejmować ryzyka. Zwłaszcza w świetle obowiązków Antoniego wobec Polski.

– Dobrze – odparła pokornie Cecylia, walcząc z napływającymi do oczu łzami. – Zostanę.

Być może właśnie przepadła niepowtarzalna okazja, by sprawdzić, kto tak mocno zajmuje serce i myśli męża.

Antoni Parnicki z niepokojem oczekiwał polowania. Rano, tuż przed wyjazdem, dla spokoju sumienia zaproponował Cecylii udział w łowach, mimo że poprzedniego dnia sam pokierował rozmową tak, by wymusić na żonie pozostanie w domu. Cecylia z miejsca odmówiła, przypominając, że w jej stanie dosiadanie konia mogłoby być nierozważne.

– Przecież nikt nie każe ci galopować. Ponadto nie polujemy w puszczy, ale w lesie, gdzie można się natknąć co najwyżej na dziką. Gdybyś zachowała ostrożność... – zawiesił głos, błagając ją w duchu, by wytrwała w pierwszej decyzji.

– Nie chciałabym, aby spotkało mnie to samo co Bonę. Na cześć naszego dziecięcia nikt nie nazwałby wioski. Zresztą cóż by to była za smutna pamiątka? – zakończyła z goryczą.

Antoni miał powody do zadowolenia, ponieważ przez cały tydzień utrzymywała się piękna pogoda. Ścisnął niewielki mróz, tężając nocami i łagodniejąc za dnia, kiedy to wychodziło słońce. Obyło się nawet bez opadów śniegu, choć wspólny galop wśród wirujących płatków miałby niepowtarzalny urok.

Zima nie jest sprzyjającą porą roku dla kochanków – stwierdził Parnicki, dosiadając Śmigłego. Gdybyśmy chociaż mieszkali w Krakowie! Łatwiej byłoby się spotkać w bardziej sprzyjających okolicznościach.

W porę sobie przypomniał, że właściwie mogliby znaleźć schronienie w jakiejś karczmie, najlepiej oddalonej i od jego dworu, i od włości Żelechowskiego. Dobrym miejscem byłby znajdujący się w bezpiecznej odległości Zakrzów, gdzie na Balachówce stała karczma, w której czasami popasał po łowach u Niedzielskich. Dla bezpieczeństwa, prócz dubeltówki dobrej na grubego zwierza, wziął ze sobą pistolety, gdyż na tamtym terenie grasowali rozbójnicy, łupiąc przejezdnych i nierzadko odbierając swym ofiarom życie.

Ponieważ wyruszył z domu dość wcześnie, jechał stępą, by nie zmęczyć Śmigłego. Droga była dobrze ubita, rozjeżdżona sańmi, widać sporo ludzi przemieszczało się pomiędzy Niepołomicami a Krakowem lub Wieliczką. Od paru dni utrzymywał się kilkustopniowy mróz i w tym czasie nie było opadów śniegu. Biały puch skrzył się w promieniach słońca tak mocno, że mężczyzna musiał mrużyć oczy. Na szczęście nisko zawieszony ognisty glob raz po raz znikał za wzgórzami, więc znaczna część traktu znajdowała się w przyjemnym zacieleniu.

Łowy urządzono w zalesionych okolicach Zakrzowa. Ustrojone w białą okiść drzewa nisko chyliły gałęzie, które potracone przez jeźdźców uwalniały się od puchowego ciężaru. Gdy Antoni dotarł na miejsce, dostrzegł sporo znajomych twarzy, a pomiędzy nimi tę, w którą bez końca pragnął się wpatrywać.

Kornelia ubrana była w ciepłą aksamitną amazonkę w granatowym kolorze, futrzaną czapkę oraz kożuszek. Jechała stępą u boku Żelechowskiego. Parnicki ponaglił konia, by zrównać się z sąsiadami.

– Witam drogich przyjaciół! – powiedział, gdy ich dogonił. – Jak miło panią widzieć, Kornelio! Pięknie pani wygląda z tym rumieńcem na policzkach. Dzień dobry, Tadeuszu. Widzę, że szykujesz się na grubego zwierza. – Wskazał ruchem głowy dubeltówkę przyjaciela, z której ustrzelone zostało sporo zdobyczy. Żelechowski słynął z celnego oka.

– Dobrze byłoby coś trafić. Jak ruszymy na wojnę z Austriakami, przyda się każda sztuka mięsiwa. Trzeba siły, by toczyć boje – stwierdził

pragmatycznie.

– Wierzę, że tym razem nam się powiedzie. I że zaskoczymy ich na tyle, by udało się szybko wyprzeć armię cesarza poza granice Galicji.

– Wszyscy sobie tego życzymy, ale sam wiesz, że Austriacy mają w dyspozycji również Węgrów. Bez wahania ściągną posiłki huzarzy.

– Huzarzy może dałoby się przeciągnąć na naszą stronę. Wszak Polak, Węgier dwa bratanki... – rzucił Antoni.

– ... i do szabli, i do szklanki – dokończył za niego Tadeusz. – To jest myśl! Przecież Węgrzy też mogliby w ten sposób uzyskać suwerenność. Z dwoma narodami jednocześnie trudno byłoby Austriakom walczyć.

– Panowie wybaczą, ale dołączę do Matyldy Wimmerowej – rzuciła Kornelia, przeczuwając, że temat rozwinie się w dłuższą rozmowę. Ostatnio o niczym innym nie było słyhać na salonach. Owszem, cieszyła ją perspektywa odzyskania niepodległości przez ojczyznę, lecz tego dnia pragnęła choć na chwilę zapomnieć o czekających szlachtę wyzwaniach.

Liczyła zresztą na to, że w razie czego Matylda zaświadczy, iż spędziły razem sporo czasu. Niełatwo będzie zniknąć ot tak choćby na parę minut, ale wierzyła, że znajdzie sposób, by spotkać się z Antonim sam na sam. Teraz, gdy on zrobił pierwszy krok, wiedziała, że nie jest osamotniona w swej tęsknocie. I pragnęła wszystkimi zmysłami ukoić pragnienie bliskości z tym człowiekiem. Choćby miał im wystarczyć uścisk dłoni czy skradziony w pośpiechu całus.

Półtorej godziny później udało im się spotkać nad brzegiem ruczaju, w cieniu potężnego dębu. Mężczyzna zsiadł z konia i wyciągnął dłonie ku Kornelii, by pomóc jej zejść z siodła. Nie wypuścił kobiety z objęć, lecz stał, spoglądając w jej lśniące oczy.

To ona pierwsza oprzytomniała i odsunęła się nieco.

– Co my robimy, panie Parnicki?

– Płyniemy pod prąd, na przekór konwenansom i układom, w jakie obydwójce zostaliśmy wpłątani bez naszej woli.

– Pan także? – zdziwiła się, choć już wcześniej docierały do niej plotki, że tak naprawdę Antoni wziął ślub z posagiem Cecylii.

– Tak, Kornelio. Ja także jestem zniewolony przez wyższe racje. Dobro rodziny musiało wziąć górę nad moimi marzeniami. A te przecież okazały się nieosiągalne w dniu, gdy zgodziłaś się zostać żoną Tadeusza. – Lekko przeszedł do bezpośredniej formy, choć powinien zapytać ją, czy mu wolno tak się do niej zwracać. – Nawet pani nie wie, jak trudno mi go teraz nazywać przyjacielem. Sprzeniewierzam naszą wieloletnią przyjaźń samym myśleniem o pani – dokończył bardziej oficjalnie.

– Myśli pan, że łatwo jest być jego żoną? Ach... to przygnębiające, że ludzie z naszej sfery tak często muszą kierować się w życiu nie uczuciami, ale rozsądkiem.

Mężczyzna uścisnął jej dłoń, a następnie przytulił ją do swego policzka.

– Kornelio, Kornelio... Gdybyś wiedziała, jaka gorączka trawi moją duszę od chwili, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy – powiedział.

– Wiem. Bo i mnie dręczy uczucie, którego nigdy wcześniej nie zaznałam.

– A więc mam twą wzajemność? – zapytał, nie dowierzając własnemu szczęściu.

– Tak.

Nachylił się, by delikatnie ucałować jej drżące wargi. Zelektryzował go dotyk jej chłodnych ust.

– Niechby już była wiosna! Niechbyśmy czym prędzej powrócili z wojny! A wtedy uprowadzę panią, Kornelio, daleko stąd. Pogalopujemy konno tam, gdzie nikt nas nie wypatrzy. Potem będę całował pani dłonie, czoło i powieki. A na ostatek te słodkie usta!

– Wróci pan cały i zdrów?

– Wrócę, przysięgam! Teraz, gdy jestem pewien wzajemności, wiem, że mam dla kogo. Gdyby mi pani poskąpiła dzisiejszego spotkania,

szedłbym w pierwszym szeregu, celowo wystawiając się na kule. Może któryś jegier ułatwiłby mej duszy wyzwolenie się z ciała?

– Niech pan tak nie mówi! Antoni! – skarciła go czułym głosem.

Zamknął ją w objęciach ramion i przytulił do siebie ze wszystkich sił, żałując, że aura nie pozwala na więcej czułości.

– Z pani dobrym słowem w pamięci będę uważniejszy – zapewnił.

W oczach Antoniego pojawił się nowy blask. Być może Cecylia złożyłaby go na karb choroby złapanej podczas polowania, gdyby nie to, że mąż nie miał nawet kataru. Niby próbował ukrywać ekscytację, tłumacząc, że związana jest z czekającą go wyprawą przeciwko cesarzowi, lecz Parnicka mu nie wierzyła. Mógł raczyć bajeczkami ojca, matkę i siostrę. Aż do dnia, gdy wydawali bal, Antoni pozostawał w melancholijnym nastroju. Później żona dostrzegła ożywienie, a w kilka dni przeszedł znaczną przemianę.

Głupia jestem. Powinnam była ruszyć z nim na łowy. Przynajmniej wiedziałabym, kim jest moja rywalka.

Właściwie sama nie pojmowała, czemu to jest dla niej aż tak istotne. Przecież nie rzuci się na tamtą z pięściami, nie rozorze paznokciami jej policzków. Choć nie była szlachetnie urodzona, wychowywano ją na prawdziwą damę. A dama musi panować nad emocjami.

Lała więc w ukryciu gorzkie łzy. Czuła rozpacz i bezsilność. Z każdym dniem uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że zakochała się w swoim mężu, choć właściwie powinna go nienawidzić za obojętność, z jaką ją traktował.

Kilka dni po połowie lutego, tuż przed zaplanowanym rozpoczęciem powstania, do Parnickiego dotarły przygnębiające wieści. Przywiózł je

nad wyraz podminowany Gustaw.

– Koniec marzeń o wolności, przynajmniej na razie. Aresztowano najważniejszych spiskowców w Poznańskim. Nie ma co czekać na Wielkopolskę, tamtejsi szlachcice nie staną do walki, posypała się cała organizacja. Zabór rosyjski też nie ruszy, tam już wiedzą. Musimy odłożyć nasze plany na dogodniejszy czas. Potrzebujemy, by wszyscy stanęli pod bronią. Zryw niepodległościowy w części kraju nie przyniesie takiego efektu, na jaki liczymy.

– Fatalnie – westchnął mocno zafrasowany Parnicki. – Nie mogę w to uwierzyć! Tyle zachodu na darmo?

– Nie na darmo. Trochę się to odsunie, ale pewnego dnia stawimy czoła naszym wrogom. Poczekamy na kompanów ze Śląska i Wielkopolski. Oni muszą się na nowo zjednoczyć, obrać przywódcę, stworzyć struktury. Gdy będą gotowi, ruszymy.

– Cóż począć? Możemy jedynie uzbroić się w cierpliwość, choć śniliśmy już o wolnej ojczyźnie.

– Czas na mnie – oznajmił Gustaw, wstając.

– Już? – zdziwił się szwagier. – Nie zobaczysz się nawet z Cecylią?

Parnicka nie zdążyła zejść do bawialni, gdyż Zaleski zawitał z samego rana, gdy większość domowników dopiero wstawiała z łóżek. Antoni był już na nogach, wydał nawet polecenie służącemu, by osiodłać Śmigłego. Niewiele brakowało, a rozminąłby się z Gustawem, gdyż wybierał się na objazd włości. Tak więc to jemu przypadło w udziale przyjęcie niespodziewanego gościa.

– Innym razem. Mam dzisiaj kawał drogi przed sobą. Trzeba odwołać powstanie, Muszę się spieszyć.

– Cóż, zatem jedź. Z Bogiem!

Gdy wyszedł, Antoni przytłoczony niepomyślną wieścią przycupnął na kanapie. Wszystkiego mógłby się spodziewać, lecz nie takiej zmiany planów. Przecież dopiero co tak żarliwie jego bliscy i znajomi modlili się o szczęśliwe wygranie wojny z najeźdźcami. Przez cały okres

bożonarodzeniowy kościoły i salony rozbrzmiewały słowami osiemnastowiecznej *Pieśni o Narodzeniu Pańskim* Franciszka Karpińskiego. Czwarta strofa utworu napisanego niegdyś na zlecenie księżnej marszałkowej Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej stała się w tych czasach szczególnie aktualna. *Podnieś rękę, Boże Dziecię, / Błogosław ojczyznę miłą, / W dobrych radach, w dobrym bycie / Wspieraj jej siłę swą siłą* – śpiewali nabożnie. Nie chcieli żyć w jarzmie niewoli, łupieni przez zaborcze rządy. Pragnęli suwerennej Polski rosnącej w potęgę jak w czasach Piastów i Jagiellonów.

Nieco później, jadąc poprzez swoje ziemie, rozmyślał o apetycie na wolność, który na razie musi pozostać niezaspokojony. Potem jego uwaga wróciła do tematów bliższych – jeśli nie sercu, to przynajmniej szarej codzienności.

Mężczyzna zatrzymał konia na obrzeżach Puszczy Niepołomickiej. Na jazdę po leśnych ostępach wyjątkowo nie miał ochoty. Właściwie czuł, że mierzi go wszystko. Konieczność tkwienia w domu z niewłaściwą kobietą u boku. Powinności wobec rodziny. Przyjaźń z Żelechowskim.

Moje życie to jeden wielki fałsz. Okłamuję siebie i innych. Udamę nieistniejące szczęście. Tak naprawdę, gdyby nie świadomość wzajemności ze strony Kornelii, nie miałbym po co i dla kogo żyć. Cóż, gdy obydwoje jesteśmy zniewoleni przez konwenanse. Ani nam stąd uciec, ani nam tutaj pozostać. Nie opuszczę rodziców, nie porzucę Cecylii i dziecka, które nosi pod sercem. Nie powinienem także bałamucić Kornelii. To żona mojego najlepszego przyjaciela! Nie wolno mi o tym zapominać.

Zeskoczył z konia. Śmigły parsknął niecierpliwie na postój w chłodzie. Antoni pochylił się i nabrał garść śniegu. Nie czuł jego zimna przez skórzaną rękawicę, lecz gdy przytknął biały puch do rozognionej twarzy, przeszył go dreszcz.

– Powinienem zanurzyć łeb w zaspie – stwierdził. – Może to by mnie ocuciło.

Wracał do domu w poczuciu klęski, jakby absolutnie wszystko przepadło. Dręczyła go myśl o tym, że namącił w głowie Żelechowskiej. Co chciał w ten sposób osiągnąć? Mieliby zdradzić Tadeusza? Jak po czymś takim mógłby mu spojrzeć w oczy? Jak miałby żyć z myślą, że sprowadził tę kobietę na drogę grzechu?

– Poniecham, dobry Boże. Poniecham! – wykrzyknął na całe gardło. Mógł sobie na to pozwolić, jechał pustkowie. W oddali snuły się dymy z wioskowych kominów.

Czuł, że winien jest Kornelii przeprosiny. Słowo wyjaśnienia. Zapewnienie, że nie była kaprysem ani chwilą igraszki, choć nie dane im było pokosztować zakazanego owocu. Postąpił wobec niej nad wyraz podle, rozbudzając nadzieję na coś, co nigdy nie miało prawa się wydarzyć.

Szafowałem słowami, bo dręczyło mnie przeczucie, że nie wyjdę cało z powstańczej zawieruchy. Wbrew dawanym jej zapewnieniom, zamierzałem się narażać. Chciałem bohaterskiej śmierci, która uwolniłaby mnie od tego nieznośnego ciężaru istnienia. Gdybym zginął, ona prędzej czy później przebolewałaby stratę i zapomniała o moich obietnicach. A ja umierałbym z jej imieniem na ustach. Ha! Cóż ze mnie za głupiec!

Kilka dni później, gdy Antoni już nieco ochłonął, napisał liścik do Kornelii. Prosił w nim o pilne spotkanie w dogodnym dla niej terminie. Nie chciał pisać wprost, o co mu chodzi. Nie zamierzał także ucinać tego, co między nimi było, bez choćby jednego słowa wyjaśnienia. Zależało mu na tym, by się z nią pożegnać należycie. A potem... Sam jeszcze nie wiedział, co zrobi. Rozum mu podpowiadał, że powinien poczekać, aż Cecylia powije dziecko. Jeśli to będzie syn, jego misja dobiegnie końca, uwolni się od absurdałnej konieczności życia z kobietą, do której nie odczuwał nawet odrobiny miłości. Może wyjedzie w dłuższą podróż? Może zamieszka na trochę w Krakowie i pomyśli o prowadzeniu jakichś interesów? Ostatnio zawiązywało się

sporo różnorodnych spółek, niekoniecznie handlowych. Czemu i on nie miałby poszukać szczęścia przynajmniej w zarabianiu pieniędzy? Skoro przejął po ojcu zadłużony majątek i teraz zdołał go wyprowadzić na prostą, kto wie, czego jeszcze mógłby dokonać?

O udziale posagu żony w spłacaniu wierzycieli nie chciał pamiętać.

Wezwał zaufanego sługę i poprosił, by bilet został doręczony do rąk Żelechowskiej, ale tak, by nikt tego nie odkrył. Wincenty towarzyszył mu czasami w majątku sąsiadów, gdy jechał z wizytą powozem, zabierając ze sobą Eulalię, matkę lub żonę, znał więc tamtejszą służbę, co więcej, durzył się w jednej pokojówce, zdaje się nawet, że z wzajemnością, ponieważ ostatnio przebąkiwał, że chciałby się żenić, lecz tamtejsza dziedziczka nie wyraża na to zgody.

– Jedź, a wracaj jak najprędzej z odpowiedzią od pani Kornelii. A gdyby ktoś cię zaskoczył z listem, to skłam, żeś się chciał widzieć z Helą. Jak dobrze spełnisz misję, wstawię się za tobą u Żelechowskiego – obiecał, choć zdawał sobie sprawę, że trudno mu będzie wywiązać się z tej obietnicy. Tadeusz miał radykalne podejście do swoich ludzi i do wszystkich jednakowo twardą rękę: zarówno do wyrobników pańszczyźnianych, jak i posługaczy domowych.

Wincenty dobrze wywiązał się z powierzonego mu zadania. Jeszcze tego samego dnia Antoni trzymał w dłoni bilecik, w którym Kornelia wspominała o przejażdżce konnej nazajutrz po obiedzie. Mieli się spotkać na skraju Puszczy Niepołomickiej, obok stodoły, w której przechowywane było siano zebrane na tamtejszych łąkach.

Antoni pogalopował konno we wskazanym kierunku. Jego serce ścisnął ból, lecz wiedział, że nie może postąpić inaczej. Nie chciał oszukiwać przyjaciela. Nie mógł zwodzić Kornelii. Nie widział dla niej i dla siebie wspólnej przyszłości. Ucieczka we dwoje nie wchodziła w rachubę, ponieważ oznaczałaby wyrzeczenie się własnych rodzin i życie w nędzy.

Brnięcie w romans przysporzyłoby cierpienia obydwójgu, a gdyby zostali zdemaskowani, pociągnęłoby to za sobą zbyt wiele ofiar.

Poprzedniego dnia wieczorem Antoni dostał od Gustawa wiadomość, że potrzebny jest mu w Krakowie. Mimo odwołania akcji powstańczej w mieście oraz okolicy wrzało. Dla Parnickiego była to być może jedyna okazja, by stanąć do walki o wolność ojczyzny i zasadniczo powinien bezzwłocznie wyruszyć na wezwanie. Czuł jednak, że nim pójdzie na bój, powinien uporządkować galimatias, jaki sam stworzył, umawiając się na pierwszą schadzke z Kornelią.

Co mnie opętało, by uwodzić żonę Tadeusza? – wyrzucał sobie po drodze, lecz gdy dotarł na miejsce i zobaczył nadjeżdżającą z naprzeciwka Żelechowską, opadły go wątpliwości. Byli parą zagubionych dusz, wtłoczonych w sztywny pancerz zasad arystokratycznego środowiska, które odnalazły się na przekór przeciwnościom losu.

– Kornelio! – wydusił z siebie, gdy zatrzymała konia.

Zeskoczył ze Śmigłego, pomógł jej zsunąć się ze Strzałki. Nim zabrzmiał głos rozsądku w jego głowie, wziął kobietę w ramiona, i zaczął ją całować do utraty tchu. Pragnienie wypełniło jego umysł i pulsowało boleśnie w krwiobiegu. Zamiast rozmawiać, ujął dłoni ukochanej i podprowadził Żelechowską do wysokich wierzei. Stodoła była zamknięta wyłącznie na skobel, ponieważ większość siana przewieziono już do dworu. Została niewielka sterta, tyle co na jedną furmankę, lecz wystarczająco dużo, by wygodnie się na niej ułożyć.

Antoni zrzucił z ramion podbitą futrem pelerynę i okrył nią siebie oraz Kornelię. Nie przestając całować ukochanej, po omacku odnajdował drogę pod jej suknię oraz sute halki. Rozcięte w kroku pantalony, mocowane bezpośrednio do gorsetu, nie stanowiły żadnej przeszkody na drodze do ciała Żelechowskiej.

– Tak bardzo cię pragnę, Kornelio – wyszeptał, wodząc opuszkami po wewnętrznej stronie ud.

W przeciwieństwie do Cecylii nie sztywniała w jego objęciach, nie leżała także nieruchomo jak kłoda i z zamkniętymi oczami. Wplotła

palce pomiędzy jego ciemne włosy, drugą ręką obejmowała go w pasie. Rozchyliła przyzwalająco nogi, była gotowa na jego pieszczoty. Wyczuł palcami przyjazną, ciepłą wilgoć. Widać nie wszystkie damy strugały skromnisie. Ciało Cecylii reagowało podobnie, lecz żona w intymnych chwilach pozostawała całkowicie bierna, nie wiedziała nawet, co ze sobą zrobić.

Odpędził natrętne niczym muchy porównania i skupił się na obecnej chwili. Niecierpliwie rozpinał spodnie, marząc o momencie spełnienia. Nie odczuwał już ukąszeń mrozu, zresztą pod peleryną było przyjemnie ciepło, choć jeszcze nigdy nie kochał się w tak mało komfortowych warunkach. Nawet gdy czasami zatracił się z jakąś dorodną chłopką, robił to w ciepłym zaciszu. Tutaj chłód wdzierał się pomiędzy szczeliny w deskach, więc stodoła nie dawała schronienia przed zimnem, lecz jedynie przed ewentualnymi ciekawskimi spojrzeniami.

Wszedł w Kornelię jednym gładkim pchnięciem. Wzdychała z każdym jego ruchem. Całował ją głęboko, z pasją, z użyciem języka. Tak jak całowałby skorą do uciech kokotkę lub aktoreczkę. Cecylii nigdy nie pieściłby w podobny sposób, by nie wzbudzać w niej zbędnych emocji. Jej miał tylko spłodzić potomka. Z ukochaną kobietą pragnął zatracić się bez reszty.

Przetoczyli się na stercie siana. W ich żyłach zdawał się płonąć ogień, przestali odczuwać ziąb. Zbędna peleryna zsunęła się z rozgrzanych ciał. Kornelia usiadła na nim okrakiem, niczym amazonka jadąca na oklep. Nie zaprotestowała, gdy zaczął rozpinać guziki w jej sukni, odsłaniając popiersie z zachwycająco delikatną linią obojczyków. Spoglądając w roziskrzane oczy Żelechowskiej, pociągnął za tasiemkę przy koszuli, rozchylając jej poły. Ukochana miała drobne, kształtne piersi o sterczących dumnie brodawkach. Ich widok pobudził go jeszcze mocniej, zapragnął je ssać i całować, więc uniósł się do pozycji siedzącej i odchylił Kornelię tak, by jej plecy wygięły się w łuk. Na chwilę zastygła w tej pozie, zaprzestając poruszania biodrami. Nie tłumiała rozkosznych jęków, gdy obsypywał pieszczotami jej delikatną skórę.

Znowu przetoczyli się na stercie siana i to Antoni nadawał teraz rytm ich ruchom. Coraz szybciej zanurzał męskość w rozpalonym wnętrzu kochanki, aż w końcu zadygotał wstrząsany spazmami rozkoszy i opadł na jej drżące ciało. Od razu wymacał pelerynę i pociągnął ją na siebie oraz Żelechowską.

– Kocham cię, Kornelio. Dopiero teraz poczułem, czym naprawdę jest miłość, jak słodki i niepowtarzalny ma smak.

– Ja też cię kocham, Antoni – wyznała, wtulając się w jego ramiona. – Chciałabym, aby ta chwila trwała wieki.

Parnicki jeszcze nigdy nie odczuwał w stosunku do Tadeusza równie głębokiej nienawiści. Zazdrościł mu posiadania kobiety przepelnionej pasją. Wszystkich uniesień, które były ich udziałem, każdego pocałunku i dotyku.

A przecież miał się z nią spotkać, by jak najdelikatniej uciąć tę potajemną znajomość!

Leżeli ściśle spleceni, szepcząc sobie czułe słówka i wymieniając delikatne pocałunki. Jeszcze nie doskwierał im chłód, wciąż byli rozgrzani po miłosnych zmaganiach.

W stodole zrobiło się całkiem ciemno, gdyż na zewnątrz zaczął zapadać zmrok.

ROZDZIAŁ 5.

KREW NA ŚNIEGU



Łąka pod zamkiem królewskim w Niepołomicach

Ludzie! Ludzie! – krzyknął Dyl, wpadając do karczmy. – Powstanie wybuchło! Pod Krakowem się biją, chcą wyprzeć z miasta Austriaków!

– Na miły Bóg! Co ty gadasz, człowieku? – zapytał kowal.

– Prawdę gadali jegrzy, że panowie chcą wystąpić przeciwko cysarzowi! Już przelewa się krew! Już walczą!

– Olaboga! Dyc jak zwyciężą, nie zniosą pańszczyzny – jęknął Skoczylas, drapiąc się agresywnie za uszami. W kołtunie, którego znachorka nie pozwalała mu obcinać pod żadnym pozorem, wciąż lęły się wszy i nijak nie był w stanie ich wytępić.

Chłopi zgromadzeni w karczmie spoglądali po sobie. Miny mieli nietęgę.

– Zaraz zaczną brać pod broń parobków – odezwał się skwaszony Konopka.

– A żebyś wiedział. Żelechowski na pewno zaciągnie największych chwatów. Pójdą biedaczyska na zatracenie!

– Nie! Nie pozwólmy! Nie można do tego dopuścić! Mamy w domu przekute na sztorc kosy. Weźmy widły, topory i noże. Dawno temu szykowaliśmy się na tę chwilę, więc czas teraz złożyć wizytę dziedzicowi.

– A jest we dworze? – zapytał z powątpiewaniem Alojzy. – Pewnie poszedł się już bić!

– Jest. Widziałem go przed południem, jak radził nad czymś z ekonomem. Łazili po gościńcu, deliberując tak, że na nic nie zważali. Karłowicz wlaź w blocko po kostki, a potem kłął tak siarczyście, że sam diabeł w piekle musiał być zadziwiony.

– Jedno jest pewne: z ich gadaniny nic dobrego nie wyniknie. Bo rzeczywiście albo znowu powołają naszych parobków do wojska, jak nie austriackiego, to swojego, albo nałożą jakiś nowy podatek. A człek i tak już piszczy cienko jak mysz na przednówku! Więcej serca mają urzędnicy, bo wysłuchają skarg i nierzadko staną po stronie prostego

człowieka. Jakby nie nasi dziedzice, dawno bylibyśmy swobodni! – Kował zerwał się z ławy. – Samiście słyszeli, chłopcy, niejedno rozporządzenie cysorskie czytane przez urzędników. Jak wół w nich stało, że miłościwy pan pamięta o naszej niedoli. Przecie Habsburg ważniejszy jest od szlachty!

– A ważniejszy! – poparł go zapalczywie Skoczylas, zapominając z przejęcia o swędzącej skórze. – Wiadomo, że cysorz ma większą władzę niż właściciel naszej wsi. Może trzeba o tym przypomnieć dziedzicowi? Ja bym mu przeciągnął kosą po żebrach, by go nauczyć moresu! Zanim będzie za późno i dziedzic wciągnie się w powstańczą kabałę.

– Racja! Dobrze gadasz. To samo prawili jegrzy na rynku w Niepołomicach, gdy częstowali gorzałą – judził Dyl.

– I Szela o tym mówił między swoimi. Nawoływał do buntu przeciwko krwio pijcom, którzy wysysają z nas ostatnią kroplę krwi. Wieści niosą się szybko i po całej Galicji, jeden drugiemu przekazuje nowiny z ust do ust. Czas położyć kres uciskowi! – wykrzyknął Marcińczyk, wznosząc toast. – Na pohybel Żelechowskiemu!

– Na pohybel! – poparli go pozostali kmiecie.

– W innych wioskach już się biją chłopcy ze szlachcicami!

– Idziemy na dwór! – ryknął Konopka. – Chodźcie za mną, chłopcy, zanim będzie za późno! Trzeba zwołać parobków i naszykować broń! Dobrze naostrzyć siekiery i widły!

Przysłuchujący się ich naradom stary Mojsiejowicz zmarszczył czoło. Widział wzburzenie wśród mężczyzn, ich determinację, wręcz zaciekłość. Bał się, że lud może spełnić groźby i faktycznie przypuścić atak na dwór. Czasy były niespokojne, w Krakowie i okolicznych miejscowościach wrzało, choć krążyły słuchy, że najwięcej ognisk zapalnych znajduje się w obwodzie tarnowskim. Ale i wokół Wieliczki czy Limanowej dochodziło do krwawych zamieszek. Widząc, że goście zgromadzeni w gospodzie zajęci są swoją sprawą, a na niego nie

zwracają uwagi, ruchem ręki przywołał Lewiego, swojego najstarszego wnuka.

Część ciżby zaczynała opuszczać gospodę, zakotłowało się w drzwiach.

Stary najpierw się upewnił, że nikt nie patrzy w ich stronę, a potem nerwowo zaczął szeptać na ucho wyrostka.

– Leć no do dworu, żądaj widzenia z panem. Upieraj się przy tym, choćby cię odganiał. Musisz ostrzec dziedziców przed chłopskim gniewem. Widzisz, że się zapalają i szykują do bitki. Nie trzeba nam rozlewu krwi. Jak zaszlachtują pana, to rozochoceni i nas mogą stąd wykurzyć, bo dzięki pańskiej łasce gospoda we wsi prosperuje.

Dwunastolatek pokiwał głową. Jazgot zagłuszał częściowo słowa dziadka, ale młody wylapał pomiędzy nimi to, co najważniejsze.

– A jak mi pan nie uwierzy?

– Musi. Powiedz, że ja cię przysłałem. Powtórz, coś usłyszał w gospodzie o tym, że chłopcy chcą iść z kosami na dwór, że ostrzą siekiery. Niech się Żelechowski szykuje do obrony. Tylko uważaj na siebie, żeby cię nikt z tych tutaj nie zobaczył koło pańskich budynków. Jak będziesz wracał, rozglądaj się dobrze. A w razie potrzeby ukryj się w jakiejś dziurze – napomniał chłopaka. – Nie daj się wciągnąć w żadną drakę. Pamiętaj, że Żyd, by mu się dobrze wiodło, musi żyć w zgodzie z każdym. I z bogaczem, i z biednym. I z panem, i z chamem.

Lewi włożył szubę, choć przypuszczał, że trudno będzie w niej biegać, lecz było zbyt zimno, by mógł lecieć w tym, co miał na sobie. Wymknął się z karczmy tylnym wyjściem i rozejrzał wokół.

Chłopi już wylegali na podwórze rozgniewanym tłumem, zwołując gospodarzy z pobliskich chałup. Smarkacz na moment przyczał się przy płocie, spoglądając z niedowierzaniem na znajome twarze wykrzywione nienawiścią. Słyszał przekleństwa i krzyki nawołujące do szturm na dwór. Kmiecie chodzili od domu do domu, stukając w okna i drzwi, zbierając kosy, widły oraz siekiery. Od razu pojął, że słowa dziadka nie są ani trochę przesadzone i szykuje się rzeź.

W promieniach zachodzącego słońca połyskiwały kosy i inne narzędzia. Z niektórych obejść dobiegały odgłosy ostrzenia tego prostaczego arsenału.

Przemykał ostrożnie, by nie rzucić się w oczy. Gdy nie mógł się schować za płotem, drzewem lub stodołą, zwalniał, udając, że po prostu łązi po wsi. Nabierał garściami śnieg, lepił z niego kule. Sprawiał wrażenie chłystka zajętego zabawą. Oddalał się powoli, by nie wzbudzać zainteresowania. Dopiero gdy znikł chłopom z pola widzenia, ruszył pędem w stronę dworskich zabudowań.

Spokojny wieczór zakłóciło łomotanie do drzwi.

– A kogóż tam niesie? – zdziwiła się Maria, unosząc głowę znad kądzieli. Zerknęła w stronę okna. Za szybką, na której mróz wymalował cudne esy-floresy, zobaczyła blask ognia.

Prokop powstał z ławy i wyszedł do sieni. Gdy podniósł skobel i wyjrzał na zewnątrz, dostrzegł grupę ziomków z pochodniami. Ich twarze wyglądały złowieszczo. Mieli przy sobie kosy, widły, w rękach kilku z nich połyskiwały noże, ktoś nawet zatknął siekierę za pas na wyświechtanej sukmanie.

– A co wy? – zdziwił się gospodarz.

– Idziemy na dwór, bić Żelechowskich! Dołącz do nas, Prokopie! – zawołał Dyl. – Przyszedł czas, by walczyć z wyzyskiem i pańszczyzną.

– Chcecie bić Żelechowskich? – powtórzył za nim, nie dowierzając temu, co słyszy. Za jego plecami wyrósł Bartek, strzygąc uszami.

– A tak! Przyszła kryska na matyska! Nie damy sobie więcej wkładać kajdan. Chodź, w grupie siła, dołącz do nas.

– A na cóż mi walczyć z Żelechowskimi? To nie są moi panowie.

– Nie idziesz?

Pokręcił głową.

Próbowali go przekonywać, lecz w końcu dali spokój, uznając jego rację. Ostatecznie odeszli.

Gdy wrócił do izby, w której przy buchającym ciepłym piecu zgromadzeni byli wszyscy domownicy, nie musiał nic wyjaśniać.

– Olaboga! Toć oni planują rzeź – jęknęła Bernadeta, lulająca na rękach Wojtusia.

Mężczyzna przytaknął.

– Mają dość żalu do Żelechowskich, by puścić ich z dymem. Są zaciekli w gniewie i uzbrojeni po zęby.

– Trzeba ostrzec dziedzica – stwierdził stary Trzos.

– Za późno. Z tego, co wywnioskowałem, część chłopów poszła prosto do dworu. Bartek! – zwrócił się do jednego z parobczaków. – Bierz gniadego i śmigaj do Niepołomic, ściągnij jegrów i policjantów. Tam tylko zbrojni pomogą. I oby Żelechowscy zdołali ich doczekać – uzupełnił z grobową miną. – A ty, Michale – spojrzał na wyrostka – leć pod dwór i popatrz, co tam się wyrabia. Ino uważaj, by nie stała ci się jaka krzywda. A nie wdawaj się w bitki, bo to nie jest nasza wojna – przestrzegł.

Sam nie zamierzał ruszać się z domu. Na razie jego ziomkowie odpuścili i poszli dalej, ale skąd mógł wiedzieć, czy nie wrócą bardziej stanowczy i rozjuszeni, i nie skierują swego gniewu również przeciwko niemu? Wszak niejedną raz od nich słyszał, że ani z niego pan, ani cham. Ani swój, ani obcy. Choć wiedział, że mając przeciwko sobie całą wieś, nie zdoła obronić swoich bliskich, postanowił, że w razie czego nie odda im łatwo skóry.

Lewi biegł co tchu w płucach, rozpinając po drodze okrycie, gdyż momentalnie się zgrzał. Serce waliło mu młotem, a na karku cierpła skóra, ponieważ przed momentem zobaczył, że to ani nie są przelewki, ani czcza gadanina podchmielonych kmieci. Na szczęście brama

dworska była otwarta, więc bez zatrzymywania się pomknął podjazdem zwieńczonym fontanną. Zziębnięty chłopak dopadł do dwuskrzydłowych drzwi i zaczął w nie łomotać pięściami.

– Otwórzcie! Otwórzcie – krzyczał, oglądając się za siebie, gdyż w każdej chwili mogli nadejść zbuntowani chłopci. Zapewne gdyby zobaczyli, że przyszedł ostrzec dziedzica, srogo by się z nim rozprawili.

– Czego tam? – Drzwi się uchyliły i wyjrzała przez nie tęga ochmistrzyni, kobieta nader swarliwa, wzbudzająca postrach pośród służby domowej.

– Ja do jaśnie państwa! Niech mnie pani wpuści, niosę ważne wieści – rzucił, usiłując wepchnąć się do środka, co było trudne, gdyż Barbara skutecznie zatarasowała sobą wąską szczelinę przejścia.

– Gdzie się pchasz, łachmyto! Taki oberwaniec na pokoje? Wynocha mi stąd! – ryknęła gromko.

– No niech mnie pani puści! Chłopy się buntują, trzeba ostrzec państwa!

– Abo to pierwszy raz? – Wzruszyła ramionami. – Im wieczna krzywda. To się w polu nie chce robić, to iść do wyrębu w puszczy. Przed daninami się migają, najchętniej wszystko przetrwaliliby w karczmie. Tyś jest od Mojsiejowicza? – zapytała, przyglądając się czarniawemu wyrostkowi z wydatnym nosem.

– Tak, to mój dziadek. On mnie tutaj przysłał. Mówił, że to nie żarty. Poleje się krew!

– Co tam się dzieje? Co za jazgot u drzwi? – huknął nagle ktoś za plecami ochmistrzyni.

– Ten chłystek straszy nas chłopską rebelią – burknęła kobieta, wskazując młodego Żyda.

Ekonom wykazał większe zainteresowanie sprawą. Posłuchał chłopaka, a potem poprowadził go do salonu, gdzie państwo spożywali podwieczorek. Wśród domowników zabrakło jedynie pani Kornelii, ta zażądała po obiedzie wierzchowca i pojechała na przejażdżkę. Lada

moment spodziewano się jej powrotu, gdyż na zewnątrz zapadał już zmrok. Lewi kolejny raz powtórzył, co widział i słyszał.

– Nie odważą się – burknął Tadeusz, niezadowolony, że zakłóca mu się popołudniowy spokój.

– Niech mi jaśnie pan dziedzic uwierzy. Idą przez wieś całą chmarą. Stukają w okna każdej chałupy i wywołują ludzi, których nie było dzisiaj w karczmie. Wszyscy kmiecie, parobkowie i komornicy gotowi są do bitki. Tylko im kosy i widły połyskują! Panie, zaufajcie mi i szykujcie się do obrony.

Żelechowski spojrział na ekonoma. Pokiwał głową.

– Dobrze, faktycznie lepiej się przygotować. Doszły mnie słuchy, że Austriacy podburzali chłopów na niepołomickim rynku. Ponoć częstowali ciemnotę gorzałką i tłumaczyli, że to szlachcice są wrogami prostaków. No to im pokażemy, czemuśmy są panami. Zwołuj służbę. Kto żyw, niech łapie za dubeltówki i pistolety. Damy do wiwatu motłochowi! Niech Bożydar natychmiast zamknie bramę, może jej nie sforsują.

– Wrócą z drabinami – zauważył ekonom.

– Ale to ich opóźni, a nam da czas na załadowanie broni. Mamo, Kaziu! Zabierzcie kobiety i dzieci, ukryjcie się w pokojach na piętrze. Oni mają tylko kosy i widły, nie zrobią wam nic, ale na wszelki wypadek nie pokazujcie się w oknach. Nikt nie będzie do was strzelał, ale zawsze może któryś czymś rzucić w waszym kierunku, kamieniem chociażby. Gdzie jest Kornelia? – wykrzyknął zdenerwowany, uświadomiwszy sobie, że żony wciąż nie ma w domu. Mogła w każdej chwili nadjechać, nieświadoma zagrożenia ze strony poddanych.

Lewi, widząc, że jego słowa odniosły skutek, pokłonił się i wycofał do wyjścia. Zbiegł po czterech stopniach nieosłoniętego ganku. Ledwo stanął na rozjeżdżonym przez konie i sanie podjeździe, zobaczył, że przez dość odległą bramę wchodzi ludzie z pochodniami. W ich blasku połyskiwały ostrza kos i zęby wideł. Pomny dziadkowych przestroż nie ruszył im na spotkanie, lecz przemknął chyłkiem pod ścianami, licząc

na to, że w gęstniejącym mroku nikt go nie wypatrzy. Postanowił zaszyć się w ogrodzie i powoli podkraść pod mur okalający domostwo oraz najbliższe przyległości, a potem jakoś przez niego przeleźć i w te pędy lecieć do gospody.

* * *

Kornelia drgnęła niespokojnie w ramionach kochanka.

– Późno już, muszę wracać do domu. Będą się o mnie niepokoili – oznajmiła, zapinając drżącymi z zimna palcami maleńkie guziczki amazonki.

Spodziewała się bury od męża. Tadeusz nie lubił, gdy wracała po zmroku. Choć jeszcze nie zapadły całkowite ciemności, wiedziała, że nie zdąży dojechać za dnia. Mimo strachu przed mężowskim gniewem żał jej było rozstawać się z Antonim, więc gdy mężczyzna zaproponował eskortę do bram dworu, nie odmówiła. Żywiła nadzieję, że na nikogo się nie natkna, a choćby nawet, zamierzała skłamać, że z Parnickim to było przypadkowe spotkanie.

Zaskrzypiał śnieg pod ich butami, gdy opuścili stodołę, a w twarz chłósnał ich zimny wiatr. Antoni podsadził kobietę na Strzałkę.

– Nie żałuję – powiedziała, nim ruszyli w drogę. Mieli przed sobą około mili, lecz wiedziała, że podczas szybkiej jazdy trudno im będzie rozmawiać, a na miejscu także może nie być okazji.

– Ja też nie żałuję – odparł. – Uszczęśliwiłaś mnie, Kornelio. Teraz każdy dzień nabiera sensu. Nawet gdy znikniesz z moich oczu, gdy nie będzie mi dane choćby musnąć twojej dłoni, to i tak na samą myśl o tobie odczuję błogość.

Ruszyli przed siebie, poganiając konie. Księżyc dość mocno świecił, a zalegający wokół śnieg sprawiał, że świat nie tonął w ciemnościach. Gdy zbliżyli się do majątku Żelechowskich, obydwójce w tym samym momencie zaniepokoił się otaczającą dwór łuną. Nie dostrzegli ognia ani dymu, lecz wokół było zadziwiająco jasno.

– O dobry Boże! Dom się pali! – wykrzyknęła przerażona kobieta, spinając konia do szybszej jazdy, choć Strzałka galopowała już ostatkiem sił.

Żelechowscy nie zdążyli przygotować się do odparcia ewentualnego ataku. Wprawdzie Bożydar wybiegł, by zamknąć bramę wjazdową, lecz widząc tłum zbliżający się z pochodniami, zawrócił. Ledwo zaryglowano drzwi, już podeszli pod nie chłopci, wykrzykując jeden przez drugiego obelgi pod adresem Żelechowskich oraz ekonoma. Grozili podpaleniem budynków, jeśli natychmiast nie wyjdzie do nich dziedzic.

Tadeusz wydał dyspozycję służącej, by jak najprędzej pobiegła po rodzinę i wyprawiła ich z dworu. Żałował, że od razu tego nie uczynił, wszak z piwnicy, do której wchodziło się przez kuchnię, można było przejść wydrążonym w ziemi tunelem do spichlerza. Choć od lat nikt z tego przejścia nie korzystał, to mogła być jedyna droga ucieczki na wypadek, gdyby motłoch spełnił groźbę i wzniecił pożar. Upewniwszy się, że Hela pobiegła do pokoi, w których mieli przeczekać zamieszanie jego bliscy, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Wcześniej wsunął za pas dwa nabite pistolety, gotowe do oddania strzałów. Liczył, że ich widok zmiętyguje buntowników. Wciąż wierzył, że skończy się na krzykach. Owionął go nieprzyjemny chłód, przenikający na wskroś przez rozpięty surdut, kamizelkę i koszulę z cienutkiego batystu.

– Czego chcecie? – krzyknął, nie okazując strachu. – Wracajcie do domów, to jest rozkaz! – Wymownym gestem położył dłonie na kolbach pistoletów.

– Już nikt nie będzie nam rozkazywał! Koniec z pańskimi rządami! – krzyknął któryś parobek.

W blasku pochodni połyskiwały kosy, widły i topory. Nie tak dawno byli tutaj ci sami ludzie, z tymi samymi narzędziami, ale wtedy przyszli

ze śpiewem na ustach, bukietami kwiatów, wstążkami i wieńcem dożynkowym. Dzisiaj ten arsenał wywoływał u Tadeusza nieprzyjemne dreszcze. Nie chciałby się nadziać na któreś ostrze. Na szczęście w sąsiednich oknach i za jego plecami już ustawiali się mężczyźni z naładowaną bronią. Ojciec, szwagier, guwerner, ekonom, słudzy. Ba! Nawet kamerdyner, który sam kiedyś wyznał, że z pistoletem nigdy nie miał do czynienia. Wszyscy gotowi byli do rozpoczęcia palby. Żelechowski ufał, że to wystarczy do odparcia ewentualnego ataku. Wolałby wprowadzić uniknąć rozlewu krwi, lecz jeśli chłopci nie odstąpią, da rozkaz do strzelania. To powinno ich otrzeźwić i zmusić do odwrotu.

Niestety, jego kalkulacja spełzła na niczym, ponieważ parobkowie już okrążali dwór, podchodzili do nieobstawionych okien i rzucali w nie kamieniami wygrzebanymi z podjazdu spod warstwy śniegu. Z brzękiem poleciały szyby. Młodszy i sprawniejsi mężczyźni zaczęli podciągać się do okien, które z punktu widzenia Żelechowskiego były zdecydowanie zbyt nisko umiejscowione. Gdy koło ucha świsnął Tadeuszowi kawał żwiru, nie wytrzymał i krzyknął:

– Strzelać!

Wytargał zza pasa pistolety, wyciągnął przed siebie dłonie i nacisnął na obydwa spusty jednocześnie. Huknęło, poszedł dym, zapachniało prochem. Rozległ się przeraźliwy krzyk, który momentalnie zginął zagłuszony innymi wrzaskami. Tadeusz nawet nie spojrzał, na ile był skuteczny w strzelaniu. Musiał błyskawicznie naładować broń, ponieważ już widział ręce chwytające za parapet i chłopów wspinających się na górę. Przydeptał jedną z dłoni, lecz w jej miejsce pojawiła się kolejna. W domu rozbrzmiewały przeraźliwe krzyki i tupot nóg, sytuacja wymykała się spod kontroli. Tadeusz porzucił pistolety, nie było czasu na zabawę z nabijaniem. Nie pozostawało mu nic innego, jak bronić się szablą.

– Bracie Żelechowskich! – ryczał ktoś w tłumie, zapewne samozwańczy przywódca rebelii. – Żywcem bracie, już my się policzymy za nasze krzywdy!

Dworscy wciąż usiłowali odeprzeć atak, lecz tłum napierał, dostając się do wnętrza drzwiami i oknami. Pierwszy pod naporem padł guwerner, nienawykły do wojowania. Kamerdyner sam złożył broń w nadziei, że go oszczędzą, wszak dla rozjuszonego motłochu był nikim, pokojowcem usługującym panu, nie miał do czynienia z pospólstwem.

Obydwaj Żelechowscy bronili się mężnie, choć stary szybko opadał z sił. Izydor postanowił jednak, że nie da się wziąć żywcem, spodziewał się bowiem srogiego rozrachunku za lata swoich rządów. Choć obydwaj z synem zdołali ugodzić kilku napastników, jeden i drugi musiał się poddać. Starszy z nich został trafiony widłami w bark. Brzdęknięta upadająca na podłogę szabla. Tadeusz jeszcze przez moment zaciekle wywijał orężem, lecz któryś z parobków zaszedł go z boku i zranił nabitą na sztorc kosą. W pierwszej chwili Żelechowski nie poczuł bólu, emocje zrobiły swoje, lecz gardło zdławiła mu krew. Słaniającego się wywleczono z dworu i ciśnięto na śnieg niczym ścierwo. Tadeusz dostrzegł zbitą w gromadkę rodzinę. Przerażone dzieci tulące się w suknię babki, bladą jak śmierć bratową, siostrę w rozdartej na piersiach sukni, usiłującą osłonić nagie ciało.

Szlachcic spojrzał w stronę bramy wjazdowej, licząc na jakiś cud, lecz dostrzegł jedynie nadchodzącą kolejną grupę chłopów.

O Boże! Znikąd ratunku!

Parnicki dotrzymywał tempa Kornelii poganiającej bezlitośnie Strzałkę. Choć początkowo planował, że pożegna ukochaną znacznie wcześniej, teraz nie zważając na nic, pędził w stronę dworu. Zaniepokoiło go jednak coś innego. Nikt nie spieszył, by gasić ewentualny pożar, chociaż z daleka widać było sylwetki przemieszczających się ludzi i dolatywały stamtąd jakieś okrzyki. Od strony wsi nadchodziły całe grupy chłopów niosących pochodnie. Mężczyznę ogarnął niepokój.

Złapał Strzałkę za uzdę i zmusił, by zwolniła.

– Poczekaj. Tam może być niebezpiecznie, czuję, że dzieje się coś złego. Pozwól, że to sprawdzę – zaproponował szeptem pełnym przejęcia. – Mam wrażenie, że kmiecie napadli na dwór. Lepiej zostań tutaj, a ja pójdę z pomocą Tadeuszowi i reszcie. Od kilku dni docierały do mnie słuchy, że Austriacy podburzają okolicznych chłopów do występowania przeciwko szlachcie.

Wiedział też o innych niepokojach w Galicji. Dzień wcześniej, późnym popołudniem dotarł do niego umyślny przysłany przez Gustawa, który wzywał go do Krakowa. Wybierał się tam nazajutrz, choć przypuszczał, że mogą go próbować zatrzymać na posterunku granicznym. Teraz wyrzucał sobie brak rozwagi, ponieważ jadąc na spotkanie z Kornelią, nie pomyślał, że lud może ruszyć na dwory.

Czy i u niego doszło do rebelii chłopskiej?

Mimo targających nim lęków, nie mógł zostawić Kornelii na pastwę losu. Dla pewności uwiązał konie w niewielkim zagajniku przylegającym do muru otaczającego posiadłość. Wjechali tam w samą porę, bo gościńcem przeszli właśnie pijani i rozochoceni chłopci, wykrzykując takie słowa, od których zjeżyły mu się włosy. Zmierzali w stronę dworu, niosąc pochodnie, kosy i widły.

– Pójdę z tobą – oświadczyła stanowczo kobieta, choć ogarnęło ją przerażenie. – Tam są moje dzieci!

Wiedział, że nic nie jest w stanie jej powstrzymać, choć przedostawanie się na najbliższy dworu teren z damą ubraną w niewygodną amazonkę i trzewiki na obcasie nie było rozsądnym krokiem. Sam miał znacznie większe szanse, by pozostać niespostrzeżonym, a w razie czego salwować się ucieczką.

– Lepiej, żeby nas nie zobaczyli – stwierdził. – Czy jest jakieś dodatkowe wejście?

– Chodźmy tam. – Wskazała dłonią kierunek przeciwny do bramy. – Wiem, gdzie jest furtka ukryta pod bluszczem. Nikt nigdy z niej nie

korzysta, nie wiem nawet, czy jest otwarta, ale może przez sztachety zdołamy zobaczyć, co tam się wyrabia.

Furtka nie była zamknięta na klucz, lecz dawno nieoliwione zawiasy stawiały opór, wspomóżony dodatkowo mocnymi pędami pnącza. Antoni rozgarnął odporne witki, by choć trochę poprawić widoczność. Bramka znajdowała się zbyt daleko dworu, aby można było dobrze rozeznaczyć sytuację. Ze swego miejsca Antoni i Kornelia widzieli, że budynek jest otoczony przez chłopów nawołujących do szturm. Płonęły pochodnie, złowieszczo połyskiwały uniesione w górę kosy, widły i siekiery. Drzewa i krzewy zasłaniały znaczną część podjazdu. Obserwacji nie ułatwiały także rozrósłe odnogi zimozielonego bluszczu.

– O dobry Boże – zmartwiła się Kornelia. – Co oni wyprawiają?

Zauważyła, że ktoś otwiera jedno z okien w bawialni. Stał w nim mężczyzna, zapewne Tadeusz. Coś krzyczał do zgromadzonych, lecz jego głos zagłuszał rejwach.

– Musimy podejść bliżej – wyszeptała.

Antoni ze wszystkich sił naparł na bramkę. Zgrzytnęły zawiasy, gdy udało mu się ją trochę odchylić. Teraz przeszkodą był jedynie bluszcz. Mężczyzna przecisnął się pierwszy, odgarnął splątane witki i szarpnął za sztachety, bo poszerzyć przejście. Potem podał dłoń Kornelii. Kobiecie trudniej poszło przedarcie się przez zaporę, zahaczyła suknią i o zardzewiałe żelastwo, i o gałązki. Gdy pociągnęła spódnicę, trzasnęła oberwana falbana.

Ostrożnie podkradli się jak najbliżej domostwa. Na szczęście nikomu z buntowników nie przyszło do głowy, by buszować po zaśnierzonym ogrodzie. Plądrowali oddalone nieco zabudowania gospodarcze, usiłowali także wdrzeć się do dworu. W stronę okien leciały kamienie. Nagle obrońcy odpowiedzieli palbą, kilka osób musiało paść, gdyż pomiędzy chłopstwem zrobiło się zamieszanie. Poodciągano rannych czy też może trupy na bok, lecz wystrzały nie odstraszyły motłochu. Rozjuszeni parobkowie ruszyli do ataku, wdzierając się do budynku oknami.

– O Boże! – jęknęła kobieta. – Co się dzieje?

– Cii – syknął Antoni. – Nie możemy się ujawniać. Nie wiadomo, do czego to zmierza, a ja wyjątkowo nie mam przy sobie broni.

Czuł się zupełnie bezradny. Gdyby miał dubeltówkę albo pistolety, mógłby przyjść z pomocą sąsiadom. Cóż, gdy tego dnia nie zabrał ze sobą absolutnie nic, nawet szabli. Nie spodziewał się, że zostanie naocznym świadkiem plądrowania włości. Parnicki z rosnącą zgrozą śledził rozwój wydarzeń. Okrzyki wznoszone przez tłum nie budziły wątpliwości, cel chłopów był jasny. Zamierzali w okrutny sposób unicestwić domowników.

Mało brakowało, a Kornelia zdradziłaby swą obecność w zaroślach, gdy zobaczyła, jak motłoch wyprowadza z dworu jej bliskich.

– Moje dzieci! – zdołała wykrzyknąć, nim Antoni przytomnie złapał ją jedną ręką w pól, a drugą bezceremonialnie zasłonił jej usta.

– Nie krzycz, na litość boską! – wyszeptał. – Chcesz do nich dołączyć?

Tłum ryczał i falował groźnie w blasku płonących pochodni. Bez choćby krzty litości szarpano pojmanych szlachciców. Ktoś zawołał, by zabawić się z paniami z dworu i pokosztować, jakie wdzięki kryją pod spódnicami. Ktoś inny podchwycił tę myśl. Wśród krzyków odciągnięto na bok młodsze kobiety, na najstarszą Żelechowską nie znalazł się żaden amator. Opluwano ją pogardliwie, zwąc żyłastą czarownicą, której nie warto poświęcać uwagi. Część tłumy plądrowała dwór, słysząc było brzęk tłuczonego szkła, jakieś graty wyrzucano oknami, fruwały kartki z książek i czasopisma. Zofia tuliła do siebie wnuki, lecz już wydzierano je z jej objęć.

– Zostawcie dzieci, ulitujcież się nad nimi! – krzyczała zrozpaczona babka. – Przecież to niewinne maleństwa!

To wszystko działo się w blasku płomieni, na oczach Tadeusza. Jego trzymało kilku osiłków, zmuszając, by patrzył jak mu gwałcą kobiety, jak

podrzynają gardło jego ojcu, jak na żywca rąbią siekierami wijącego się w konwulsjach ekonoma. Gdy Karłowicz padł martwy, jednym cięciem pozbawiono ciało głowy i nabito ją na żerdź.

Żelechowska wciąż błagała o litość dla dzieci. Przyzywała Opatrzność, odwoływała się do sumień, lecz i malców nie oszczędzono, rozłupując niewiniątka toporami, roznosząc kosami małe ciała. Ich krew wsiąkała w śnieg, barwiąc go na purpurowo.

Uciszyli i szlachciankę, wbijając widły w jej pierś.

Tadeusz, osłabiony wpływem krwi, nie miał siły, by się dalej wyrywać. Z rezygnacją spoglądał na masakrę rozgrywającą się wokół. Motłoch nie oszczędzał nikogo z jego bliskich, puszczono wolno jedynie tych służących, którzy mieli we wsi krewnych.

Gdy na zaśnieżony podjazd padło pierwsze ciało zbroczone krwią i zaczęto je bestialsko ćwiartować, dla Parnickiego stało się jasne, że nic nie zatrzyma rzezi. Było zbyt późno, by gnać do stacjonujących w Niepołomicach jeźdźców po pomoc lub wzywać posiłki austriackiej policji konnej. Na okoliczne dwory też nie miał co liczyć, być może ich mieszkańcy również przeżywali właśnie ostatnie chwile swojego życia.

Z dworu wytaczano beczki z winem lub gorzałką, wynoszono zapasy żywności. Część buntowników rzuciła się na jadło i napitki, lecz większość pastwiła się nad Żelechowskimi.

Mężczyzna bezradnie spoglądał na odbywającą się kilkadziesiąt kroków dalej masakrę, walcząc jednocześnie z wijącą się Kornelią. Gdyby ją teraz puścił, podzieliłaby los swej rodziny, choć zapewne, nim dokonałaby żywota, stałaby się pastwą dla chuci kilku, może nawet kilkunastu pobudzonych parobków.

– Musimy uciekać, Kornelio – wyszeptał jej na ucho, usiłując odciągnąć ją w stronę furtki, lecz stawiała mu opór. – Chodźmy stąd, tu jest niebezpiecznie – tłumaczył.

Ona jednak nie chciała odejść. Próbowwała wyrwać się Antoniemu, chciała biec, by ratować swe dzieci. Mężczyzna trzymał ją ze wszystkich sił, bezceremonialnie tłamsząc garścią usta. Z przerażeniem patrzyła, jak chłopci mordują kolejno mieszkańców dworu. Dopiero gdy pod ciosem siekiery padła jej córeczka, zawisła bezwładnie w ramionach Antoniego.

– Psiakrew – zaklął pod nosem na dodatkowy kłopot.

Nie próbował cucić Żelechowskiej, lecz po prostu przerzucił ją sobie przez ramię i, rozglądając się, czy nie ma zbędnego towarzystwa, ruszył w stronę furtki. Ciało Kornelii niezmiernie mu ciążyło. Może sama nie ważyła dużo, lecz przemoczone od brnięcia w śniegu aksamity i kożuszek robiły swoje.

Szlag trafił! Że też baby muszą nosić na sobie tyle szmat – pomstował w duchu.

Strach podchodził mu do gardła, gdy człapał niezgrabnie pomiędzy zaroślami ogrodu, modląc się w duchu, by kmiecie ich nie zauważyli. Choć nie był spokrewniony z sąsiadami, nie wątpił, że nikt nie miałby dla niego litości. Skoro w bestialski sposób zamordowano niewinne dzieci, jego tym bardziej polectano by siekierą lub widłami. Wędrówka ciemnym, zaśnieżonym ogrodem sama w sobie nie należała do łatwych, ciężar w postaci Kornelii znacznie ją spowalniał. Ale na szczęście już majaczył w mroku mur okalający posiadłość, a zza pleców Parnickiego nie dobiegał żaden odgłos świadczący o pościgu.

Mężczyzna szczęśliwie dotarł do furtki. Ostrożnie zrzucił z ramion balast i wyjrzał poza ogrodzenie. Konie stały spokojnie. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc z wielkim wysiłkiem przeciągnął nieprzytomną Żelechowską przez szparę w bluszczu oraz bramkę. Syknął nerwowo, gdy trzasnęła rozrywana suknia.

Odplątał uwięzianego wierzchowca. W pierwszej chwili chciał porzucić Strzałkę, lecz pomyślał, że może być przydatna, gdy Kornelia odzyska przytomność. Na razie przerzucił kobietę przez grzbiet Śmigłego. Przez moment gorączkowo zastanawiał się nad dalszymi

poczynaniami. Nie mógł zostawić Żelechowskiej na pastwę losu, nie mógł też ryzykować zabierania jej do siebie, ponieważ nie miał pojęcia, co tam zastanie. Nagle przysłała mu do głowy dość racjonalna myśl, by spróbować ukryć szlachciankę w chałupie wolnych kmieci, Trzosów. Jeśli dobrze rozumował, nie powinni brać udziału w rabacji wymierzonej przeciwko Żelechowskim, ponieważ nie mieli powodów, by dyszeć nienawiścią do dziedziców. Nie powinni też paść ofiarą chłopów, ponieważ dla nich mimo wszystko byli „swoi”.

Orientował się, gdzie szukać ich chaty. Wiedział, że domostwo stoi tuż za wsią, na ziemi stanowiącej własność Trzosów, lecz niemalże na pograniczu dóbr pańskich, przy gościńcu wiodącym z Bochni do Wieliczki. Kawalek dalej były rozstaje z drogą do Niepołomic. W tamtą stronę skierował Śmigłego, ciągnąc za wodze Strzałkę. Liczył na to, że zdoła bezpiecznie osiągnąć cel, nie wpadając w ręce rozwścieczonych chłopów. Szczęściem w nieszczęściu była przewaga, jaką dawały mu konie. Kmiecie przemierzali się pieszo.

Minęło sporo czasu, gdy siedzący w ciszy domownicy usłyszeli stłumiony śniegiem stukot końskich kopyt.

– Uff... Bartek wrócił! – odetchnęła z ulgą Bernadeta.

– Daj Boże, by ściągnął jegrów do dworu – odparł Prokop, podchodząc do niskiego okienka.

Wierzył, że jeśli we wsi pojawią się żołnierze, to i oni będą bezpieczni.

Przez pomalowane szronem szyby niewiele było widać. To faktycznie musiał być parobek, bo wojsko, podobnie jak chłopci, miałoby pochodnie. Drgnął nerwowo, gdy nagle ktoś zastukał w szybę, a z zewnątrz dobiegło wołanie:

– Otwórzcie, dobrzy ludzie!

– To jednak nie Bartek – zmartwiła się Maria.

Prokop ponownie wyszedł do drzwi, za nim cisnęła się reszta.

– Pan Parnicki? Dziedziczka? – zdziwił się na widok szlachcica sąsiadującego z Żelechowskimi, obejmującego wpół słaniającą się na nogach damę, która sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. W podartej sukni, bez cylinderka i z rozczochranymi włosami wyglądała nędznie. Niepodobna była do dumnej ziemianki, którą widywali w kościele lub jak przemierza włości konno bądź bryczką.

– O dobry Boże! – wysapał szlachcic. – Wiedziałem, że prawi z was ludzie i nie poszłicie łupić dworu. Dajcie, gospodarzu, schronienie dziedziczce – poprosił. – U Żelechowskich dzieją się straszne rzeczy!

– Co tam zaszło? – zapytał Trzos, otwierając drzwi szerzej i wpuszczając przybyszy do sieni.

Jakby w odpowiedzi nadbiegł zdyszany parobek. Michał Bielak przez chwilę zapał, łapiąc spazmatycznie powietrze. Pochylił się, wspierając dłonie o uda. Uniósł głowę, spojrzał na Prokopa. Po jego twarzy płynęły łzy. Bez słowa osunął się na kolana.

– Rzeź, gospodarzu! – wykrzyknął czternastolatek, gdy trochę ochłonął. – Krew tryskała strumieniami, cały śnieg jest czerwony. Nawet paniczków nie oszczędzili. Panience odrąbali główkę, a chłopca rozdarli na strzępy.

Bernadeta zasłoniła dłonią usta i mocniej przycisnęła Wojtusia do piersi. Przestraszone dziecko uderzyło w płacz.

– Dobry Boże! Takie maleńkie pacholątka? Toć panienczka nie miała więcej niż dwa, może trzy latka! Cóż za potworność!

– Zmykaj, nie słuchaj tego, bo ci mleko odejdzie! – Świekra wepchnęła sneszkę do sąsiedniej izby. – Dejcież tutaj tę niebogę. – Wskazała Żelechowską. – Trza ją położyć do łóżka. Cała się trzęsie z nerwów, dodatkowo przemarznięta na kość. Michał, ty mi tutaj nie omdlewaj jak dziewczka na wydaniu, tylko leć po znachorkę. Ino nie gadaj Widłakowej, że jest u nas pani. Powiedz, że to nasza Betka nagle zasłała i traci zmysły. Niech weźmie jakiego ziela – dyrygowiała, zachowując zimną krew.

– Trzeba ukryć konie – stwierdził Prokop. – Lepiej, żeby nie stały na podwórku. W każdej chwili mogą tu najść jakieś chłopcy, od razu poznają, że to pańskie zwierzęta. Miałem nadzieję, że jęgrzy zdążą na czas – rzucił strapiony.

– Posłaliście po zbrojnych? – zapytał Parnicki.

Trzos skinął głową.

– Cóż, gdy dla Żelechowskich za późno. Jeśli nadjadą, to tylko po to, by uciszyć buntowników.

– Mojego konia nie chowaj. – Antoni złapał za rękaw parobka zmierzającego do drzwi. – Muszę jechać do swoich i sprawdzić, czy i u mnie... Czy moi... – Głos mu zadrgał tłumionym na siłę szlochem. – Chciałem tylko powierzyć dziedziczkę waszej opiece. Nie mogę jej teraz ze sobą zabrać, bo skąd mam wiedzieć, czy nie powiodłbym jej na śmierć? Jeśli Bóg da, wrócę po nią tak prędko, jak tylko będzie to możliwe. Przenocujecie ją, dobrzy ludzie? – zapytał z nadzieją w oczach, choć wiedział, że wystawia Trzosów na poważne ryzyko. Jeżeli nie nadejdzie austriackie wojsko, a zamiast niego przybłąkają się tutaj chłopcy, może dojść do kolejnej masakry.

– Ostawcie ją tutaj, panie Parnicki – odparł Jakub. – U nas włos nie spadnie jej z głowy. Zawsze żyliśmy w zgodzie i z kmieciami, i z panem, liczę więc na to, że jesteśmy bezpieczni.

– No to z Bogiem! – rzucił Antoni.

Ostatni raz spojrzął na Kornelię, nie wiedząc, czy jeszcze kiedykolwiek dane mu będzie ją zobaczyć. Ufał, że zostawia ukochaną w dobrych rękach.

Antoni z duszą na ramieniu galopował w stronę swoich włości, omijając szerokim łukiem ziemie Żelechowskiego. Nie zważając na to, czy ktoś dostrzeże go na wyludnionym gościńcu, poganiał Śmigłego ile wlezie. Nieliczne mijane domostwa tchnęły spokojem. Z kominów unosiły się

smugi dymów, a za okiennymi szybami migotały chybotałe płomienie świec bądź kaganków. Parnicki nie dawał się zwieść pozornemu wyciszeniu, równie dobrze mieszkańcy owych chałup mogli już być pod jego dworem, pozostawiając w obejściach jedynie kobiety i dzieci. Gdy dotarł do kolejnej wsi, sytuacja nie uległa zmianie. Koło gospody kręcili się ludzie, lecz nie było widać wśród nich nerwowości. Gdy go rozpoznali, pochylili się w pokłonie, z szacunkiem zdejmując czapki z głów.

Śmignął przez bramę wjazdową dworu i przeciął podjazd zwieńczony fontanną, która, zasypana śniegiem, przypominała puchar z ubitą pianą z białek. Wokół panowała błoga cisza. Pogrążona w mroku aleja pokryta była świeżym białym puchem, nieskalanym choćby kroplą krwi. Jakiż niepodobny był ten sielankowy widok do scen, które wciąż miał przed oczami! Szlachcic z ulgą zsunął się z wierzchowca, padł na kolana i oparł dłonie o zaśnieżony grunt.

– O dobry Boże! Po stokroć jestem ci wdzięczny! – wyszeptał nabożnie.

Potem poderwał się na równe nogi i wbiegł po stopniach do wejścia. Już go dostrzeżono, Wincenty wybiegł, by zająć się Śmigłym. Antoni natomiast wpadł niczym burza do bawialni, w której jak każdego wieczoru zgromadzona była jego rodzina.

– Antoni! Jak ty wyglądasz! – wykrzyknęła na jego widok Gertruda.

– Co się stało, synu? – zapytał Teofil, przypatrując się uważnie jedynakowi.

Młody Parnicki prezentował się jak obraz nędzy i rozpaczy. Bez nakrycia głowy, rozchełstany pod szyją, z pałającymi oczami i zaczerwienionymi policzkami. Miał zwichrzone włosy, nogawki spodni brudne w okolicy kolan, a poniżej doszczętnie przemoczone.

– Dzięki Bogu, żyjecie! – wykrzyknął.

Domownicy spojrzeli po sobie z zaskoczeniem.

– Postradał zmysły – jęknęła Cecylia.

– Gdzie byłeś? Co robiłeś? O czym ty mówisz? – Ojciec zasypał go pytaniami.

Antoni opowiedział o przeżyciach minionego wieczoru, naciągając nieco fakty, gdyż w swej relacji napomknął, że Kornelię spotkał przez przypadek, a ponieważ zapadał zmierzch, postanowił eskortować ją do domu.

– Dlaczego nie przywiozłeś tutaj tej nieszczęśnicy? – zapytała zdjęta grozą Gertruda.

– Bałem się, że mogę zabrać ją z deszczu pod rynną – wyznał. – Nie czas na pogawędki. Choć we wsi panuje spokój, mimo wszystko uważam, że powinniśmy się sposobić do obrony. Nawet jeśli dzisiaj nic się nie dzieje, skąd możemy wiedzieć, co nastąpi jutro?

– To prawda. Trzeba wołać ludzi pod broń – stwierdził Teofil.

– Zamknąć bramę na klucz, postawić kogoś dodatkowego na straży. Musi być w pogotowiu człowiek, który widząc nadciągających chłopów, popędzi galopem do Niepołomic po jeźrów.

– A nie lepiej od razu ich tu sprowadzić? – pisnęła przerażona Eulalia.

– Wątpię, czy wojsko wesprze nas bez powodu, o ile w ogóle zechcą przyjść z pomocą. Wszak dopiero co szykowaliśmy przeciwko Austriakom powstanie. Pewnie mieli na ten temat jakieś przecieki. Co więcej, pod Krakowem i w samym mieście toczą się walki. O ile wiem, część regimentu ruszyła na pomoc Moskalom, bo i w zaborze rosyjskim doszło do starć – oznajmił Antoni, krążąc nerwowo po salonie. Zrzuconą z jego ramion pelerynę zabrał służący.

– Słuchajcie! Trzeba jakoś przygotować się na odparcie ewentualnego ataku. – Teofil powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych domowników. – To jedno. Ale może być tak, że zostaniemy zmuszeni do ucieczki z dworu. Panie muszą się przebrać. – Skinął głową w stronę dam.

– Ale w co? W chłopskie przyodziewki? – podłapała córka.

– Nie. Lepiej w męskie. Przypuszczam, że w waszych gorsetach i halkach trudno o swobodę ruchu.

– Ależ Teofilu! Mamy włożyć spodnie? – zgorszyła się żona. – Przecież to nieprzyzwoite!

– Jeśli tylko ocalą wam życie, to tak! – zdenerwował się mąż. – Do diaska z przyzwoitością!

W czasie gdy młodszy Parnicki wydawał kolejne dyspozycje służbie i zarządzał przeglądem całej broni, jaką mieli we dworze, Teofil odesłał kobiety po wygodniejsze ubrania.

– Obyśmy szczęśliwie przetrwali noc – westchnął, gdy odeszły.

– Nawet jeśli nikt nie zaatakuje nas dzisiaj, to co będzie jutro, pojutrze, za tydzień? – zafrasował się Antoni.

– Może powinniśmy ekspediować stąd damy?

– Dokąd? Kraków nie wchodzi w grę. Podobno w całej Galicji wybuchają niepokoje. *Sacrebleu!* – zaklął. – Powinienem był to przewidzieć i dawno temu pomyśleć o ochronie dla naszych pań.

Teofil potarł twarz dłońmi. Przez chwilę kuśtykał po salonie, ignorując dokuczliwe kąsania podagry. Potem zatrzymał się i spojrzał na syna.

– Fatalnie byłoby zginać z rąk własnych chłopów – stwierdził.

– To prawda, fatalnie. Zwłaszcza że chyba nie najgorzej ich traktowaliśmy. Nigdy nie pozwoliłem ekonomowi, by używał bata lub zakuwał wałkoni w kajdany.

– U Żelechowskich to było normą – przypomniał ojciec. – My obchodziliśmy się z ludźmi inaczej.

– Prawda. Ale czy gniew rozlewający się po kraju nie jest zaraźliwy? Czy i nasi chłopie nie powstaną przeciwko nam? Może ich skusić wizja splądrowania dworu, obrabowania nas choćby z inwentarza, jedzenia czy jakichś innych rzeczy.

– Daj Boże, abyśmy przetrwali te ponure czasy. Może nie wszędzie kmiecie łupią dwory i masakrują szlachtę?

– Może. Trzeba oczekiwać wieści. I pozostawać czujnym.

Zapadła cisza. Z głębi domu dobiegały odgłosy krzątania. Słudzy znosili do bawialni broń pozdejmowaną ze ścian. Układali wszędzie stare muszkiety, dubeltówki z saloniku myśliwskiego, rapiery, szable, a nawet liczący ładnych parę wieków obosieczny miecz rycerski. W pośpiechu zatrzaskiwano okiennice, choć wiadomo było, że to na niewiele się zda, bowiem cienkie deszczułki łatwo ulegną pod ciosami siekier. Antoni odszedł, by przetrząsnąć szuflady w poszukiwaniu prochu i kul. Wcześniej przygotował dwa lśniące nowością rewolwery Colt Paterson, z których każdy dawał możliwość oddania pięciu szybkich strzałów. Przy odrobinie szczęścia mógłby więc położyć aż dziesięć trupów.

Szczęścia?! – pomyślał ze zgrozą.

Nie chciał zabijać ludzi, którzy od pokoleń żyli na jego ojcowiznie.

Wciąż przepelniały go potworne lęki o pozostawioną u Trzosów Kornelię. To znowu martwił się o swoich bliskich. Jednego był pewny: nie chciał ginąć w tak przerażający sposób jak Żelechowscy. Postanowił, że jeśli nie utrzyma dworu, zastrzeli po kolei domowników, by zginęli szybką śmiercią, a na ostatek palnie sobie w głowę. Nikt nie będzie go ćwiartował za życia. Nie pozwoli także, by pohańbiono którąkolwiek kobietę.

W czasie gdy Antoniego dręczyły przerażające wspomnienia z majątku sąsiadów, Teofil oglądał każdą przyniesioną sztukę, łamał ją, oliwił, nabijał. Osobno odkładał broń gotową do oddania strzału.

Dobry Boże – wzdychał. Kto widział, by człowiek musiał się szykować do mordowania własnych kmiaci?

Wciąż się głowił, gdzie mógłby ukryć damy. Jedynym miejscem, jakie mu przychodziło na myśl, był klasztor w Staniątkach, wystarczająco potężny i zabezpieczony kratami, by dał bezpieczne schronienie wielu ludziom. Sam nie zamierzał z niego korzystać – jeśli pisana mu była przedwczesna śmierć, wolał skonać we własnym domu.

Tej nocy nikt nie zmrużył oka. Kobiety, ubrane w męskie rzeczy, siedziały w salonie, gotowe w każdej chwili, by salwować się ucieczką. Tylko Cecylia, zmęczona ciążą, zapadała w krótkie nerwowe drzemki. Czas włókł się nieubłaganie, lecz wskazówki, ponaglane niecierpliwymi spojrzeniami, nie chciały przyspieszyć. Wszyscy wyczekiwali świtu, choć wiadomo było, że dzień nie przyniesie ulgi, a poczucie bezpieczeństwa nie wzrośnie. Antoni nie chciał nikogo straszyć na wyrost, lecz szanse ewentualnego umknienia za dnia oceniał znacznie gorzej niż pod osłoną nocy. Ustalił wcześniej z bliskimi, że gdyby doszło do najgorszego, kto żyw ma się przedzierać do klasztoru.

ROZDZIAŁ 6.

ZGLISZCZA



Dąb Batory na Gibieli w Puszczy Niepołomickiej

Poranek zastał Parnickich zmęczonych i wciąż niespokojnych. Mężczyźni zadecydowali o zmianie wystawionych wartowników, a po śniadaniu odesłali kobiety na odpoczynek, nadmieniając jednakże, by miały w pogotowiu męskie przebrania i najwygodniejsze buty, jakimi dysponują. W jadalni została Gertruda, która mimo znużenia troszczyła się o losy sąsiadki.

– Co będzie z tą nieszczęśnicą?

– Trudno powiedzieć – westchnął syn. – Zaraz wybiorę się do Trzosów. Ich sytuacja także jest skomplikowana, ale ten dom uznałem za jedyne miejsce, w którym Żelechowska może bezpiecznie spędzić noc.

– A nie lepiej było odwieźć ją do Staniątek, skoro nie chciałeś sprowadzać jej do nas?

– Bałem się, że po drodze przydarzy nam się coś złego. Kornelia nie była w stanie jechać konno, więc musiałbym skorzystać z gościńca i kierować się do Staniątek przetartym szlakiem. Sęk w tym, że w tamtym rejonie przewalały się hordy pijanych chłopów. Boże... Czas na mnie. Muszę sprawdzić, co z nią i co z... – zająknął się, następne słowa nie chciały mu przejść przez gardło. – Co z... ciałami naszych sąsiadów. Trzeba zapewnić godny pochówek temu, co z nich pozostawiono.

Obawiał się, jaki widok zastanie w majątku Żelechowskich. Czy Austriacy zdążyli rozgromić buntowników? I czy w ogóle dotarli do dworu?

– Przywieź Kornelię tutaj – zadecydowała matka. – Może i u nas nie będzie całkowicie bezpieczna, ale to biedactwo przeżyło prawdziwy wstrząs, potrzebuje troskliwej opieki. Przecież jest sierotą, która nie ma absolutnie żadnych krewnych! Jeśli spalono dwór, a można tak przypuszczać, to pozostała bez choćby jednej koszuli. Lepiej jej będzie między nami niż w chłopskiej chacie lub u zakonnic, których nie zna. Da Bóg, że unikniemy najazdu, a ona powoli dojdzie do siebie na tyle, by postanowić, co dalej.

– Mamo, to wielkodusze – odparł syn, całując jej dłoń. – Nie boisz się, że goszcząc ją w naszym domu, ściągniemy na siebie nieszczęście? Wszak kmiotkowie wiedzieli, że brakuje dziedziczki. Słyszałem, jak krzyczeli, że trzeba ją znaleźć.

– Wierzę, że nie zapędzą się aż tutaj w poszukiwaniach. Pojedziesz już teraz? – zapytała.

– Nie wiem, co mam robić – przyznał. – Bo z jednej strony boję się o nią i poniekąd o Trzosów. Wiele ryzykowali, przyjmując Żelechowską pod swój dach. Z drugiej strony nie chcę was opuszczać, bo gdyby doszło do napaści, każde ręce mogą być potrzebne do obrony. Myślę ponadto, że łatwiej byłoby przedrzeć się nocą.

– A ja uważam, że nie przyjdą za dnia. Ciemność jest sprzymierzeńcem złoczyńców.

– Obyś się nie myliła.

– Trzeba wierzyć.

– Weź dla Kornelii męskie przebranie – poradził milczący dotąd Teofil. – Jeśli chłopom nie wywietrzała z głowy chęć mordu, to raczej będą szukali kobiety. W tym przypadku nawet prostacze przyodziewki mogą nie wystarczyć.

– Tak zrobię.

Kwadrans później, uzbrojony w dubeltówkę, dwa pistolety oraz szablę, dosiadł Śmigłego. Przytroczył do siodła tobolek z ubraniami. Przeżegnał się nabożnie i wyruszył do Trzosów. Za bramą swej posiadłości zawahał się, czy jechać krótszym gościńcem przecinającym wieś, czy raczej nadłożyć drogi i objechać zabudowania, poruszając się polami, a następnie puszcza. W oddali widział chaty, dymiące kominy, dzieciaki dokazujące na zamrzniętym stawku. Spowite zimową okrywą sioło wyglądało wręcz idyllicznie. Jak okiem sięgnąć zalegał nienaruszony biały puch, jedynie trakt był nieco przetarty przez sanie

i rozjeżdżony końskimi kopytami. Nikt więc nie próbował podchodzić pod dwór, okrążając ogród.

Mimo wszystko Antoni postanowił nie ryzykować i wybrał trudniejszą drogę. Poklepał Śmigłego po szyi.

– Dasz radę, koniku!

Bezpiecznie przejechał przez swe włości. Czasami mijał jakichś ludzi, kłaniali mu się z daleka. Nie zauważył niczego niepokojącego. Również na ziemiach Żelechowskich panował spokój. Antoni nie dostrzegł przy majaczących w oddali chałupach większego ruchu. Nikt się nie gromadził, nic nie połyskiwało złowrogo w promieniach nisko zawieszonego, zimowego słońca. Postanowił więc, że spróbuje podjechać pod dwór. Jeśli uzna, że nic mu nie zagraża, to sprawdzi, czym skończyła się rabacja kmieca.

Trakt wiodący do majątku był mocno rozjeżdżony. Gdy Parnicki zbliżył się do celu, odetchnął z ulgą, ponieważ dostrzegł patrol jeźdźców tyrolskich. Maszerowali gościńcem, w ich bagnietach odbijało się słońce. Oczywiście go zatrzymali, zaczęli wypytывать, kim jest i czego szuka. Wy tłumaczył im, co go sprowadza. Pozwolili mu jechać na teren posiadłości. Zbliżając się, czuł nieznośny swąd spalenizny. Nad ogrodem unosił się dym.

Zamarł, mijając bramę. Dwór został doszczętnie spalony, w niebo sterczały osmalone kikuty belek. Wokół leżały porozrzucane sprzęty, jakieś szmaty, strzaskane beczki. Śnieg zamarzał karminowymi plamami. Ciała pomordowanych, a raczej to, co z nich pozostało, złożono w jednym miejscu w makabryczny rząd. Z wyglądu zwłok można było wywnioskować okrucieństwa, jakich dopuścili się rozjuszeni chłopci. Parnicki miał okazję zobaczyć zaledwie próbkę ich poczynąń. Zadygotał na myśl, że on i jego bliscy także mogą podzielić los sąsiadów.

Antoni zbliżył się do policjantów konnych. Przedstawił się, zapytał o najstarszego rangą. Potem wyluszczył dowódcy, z czym przybywa.

– Czyli powiadacie, panie Parnicki, że z pogromu ocalała jedna osoba. No i dobrze, będzie komu pogrzebać tych tam – wskazał głową szczątki – nim kruki dokonają dzieła.

Uzgodniwszy sprawę pochówku z oficerem, pojechał do Trzosów, by zobaczyć, co z ukochaną.

Obecność Austriaków we wsi dawała mu nadzieję, że żołnierze zdołali stłumić bunt, choć z wypowiedzi oficera wywnioskował, że tamten niechętnie mieszał swych podkomendnych w sprawy Polaków. I że raczej nie będzie szukał winnych zbrodni ani osób, które najgorliwiej podżęgały do rebelii. Antonim targała wściekłość, bowiem stróże prawa podeszli do masakry dość lekceważąco i tak właściwie interesowało ich tylko scedowanie na kogoś pogrzebu ofiar oraz uporządkowania powstałego chaosu.

Jest im na rękę, że tłuczemy się między sobą. Każdy ukatrupiony szlachcic oznacza jednego potencjalnego powstańca mniej – rozmyślał przygnębiony.

Zgodnie z oczekiwaniami Antoniego dom Trzosów oparł się rebelii. Być może chłopci uznali wolnych kmieci za swoich i w ogóle nie brali pod uwagę napadania na ich chałupę.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się Parnicki, wchodząc przez niskie drzwi do izby.

– Na wieki wieków – usłyszał w odpowiedzi.

– Siadajcie, panie – zachęcił Prokop, robiąc miejsce na ławie blisko ognia, by zmarznięty przybysz mógł się zagrzać.

– Ja tylko na chwilę. Przyjechałem, by zabrać stąd panią Kornelię.

– Pan cały i zdrow, dzięki Bogu! – wykrzyknęła na jego widok Maria.

– Szczęście dopisało mi wczoraj. Ale co będzie dziś? – powiedział zmartwiony ziemianin. – Wracam z pogorzeliska. Strasznych rzeczy dopuszczono się wobec Żelechowskich.

– Panowie byli srodzy, nie mieli litości dla prostego człowieka. Niejednego zakuli w kajdany za drobną przewinę. Bata nigdy nie żalowali, a wymagania mieli wielkie – przypomniał Jakub rozparty na zapiecku. – A o panu, mości Parnicki, chłopci gadają, że masz serce prawe i litościwe dla maluczkich.

– Naprawdę? – ucieszył się nieznacznie Antoni, siadając na ławie, którą dla wygody wyścielono kozuchem.

– Sami żeśmy się o tym przekonali, gdy uratował pan przed stratowaniem Bernadetkę. A i wsparł pan tę nieszczęśnicę, której dziecko zabił wtedy koń, choć nie miał pan takiego obowiązku, bo to nie była chłopka z pana włości. Bóg wynagradza dobrych ludzi.

– Ech... Czy takie drobne sprawy wystarczą? Bunt chłopski może i do mnie dotrzeć – odparł.

– Niekoniecznie. Byłem skoro świt w Niepołomicach – oznajmił Prokop. – Chciałem trochę wybać nastroje. Spotkałem pańskich poddanych. Ubolewali nad tym, co spotkało Żelechowskich, i mówili, że nie podnieśliby ręki na swego dobrodzieja.

– Daj Boże, by to się nie zmieniło – westchnął Antoni. – A co z panią Żelechowską?

– Betka przy niej czuwa. Sprowadziliśmy wczoraj znachorkę, dała dziedzicze zioła na uspokojenie i na sen, bo po pana wyjeździe wróciła jej przytomność i strasznie rozpaczała.

– Utraciła całą rodzinę. Widzieliśmy z ukrycia, jak okrutnie mordowano jej dzieci.

– Dla matki nie ma chyba większego cierpienia – zauważyła Maria z głębokim smutkiem, odrywając się na moment od maselnicy, w której pracowicie ubijała śmietanę.

– Pójdźcie za mną, panie Parnicki – powiedział Prokop, wstając.

Po przeciwnej stronie sieni, w paradnej izbie, zastali Bernadetkę kołyszącą jedną ręką synka. W pomieszczeniu rozlegał się jej cichy, ciepły głos:

– *Uśnijże mi, uśnij / Pan Jezus cię uśpi / mama cię utuli / w malowanej luli // Uśnijże mi, uśnij / Pan Jezus cię uśpi / janiełek obudzi, / pójdziemy do ludzi*^[30].

Drugą ręką chłopka głaskała dłoń leżącej na łóżku Kornelii. Kobieta miała otwarte oczy, zaszkłone łzami, i spieczone usta, z których wydobywało się cichutkie łkanie.

Mężczyzna podszedł bliżej i kucnął przy posłaniu.

– Kornelio...

Nawet na niego nie spojrzała, pogrążona w świecie własnych doznań.

– Kornelio, przyjechałem po ciebie. Zabieram cię do mojego domu – oznajmił. – Nie możesz zostać tutaj dłużej.

– Chcę umrzeć – jęknęła.

– Nie mów tak. Wstań, musimy jechać. Nie możemy narażać gospodarzy. Przywiozłem dla ciebie męskie przebranie. Betko, pomożesz pani Żelechowskiej? – zapytał Trzosową.

– A jużci – odparła, odkładając śpiące niemowlę na drugi siennik.

– Poczekam w kuchni – oznajmił, wciskając w dłonie Bernadety tobolek.

Gospodyni chciała go częstować mlekiem, kukielką, miała nawet herbatę. Odmówił. Jego żołądek zaciśnięty był w supeł.

Gwarzyli jeszcze o sytuacji w Galicji. Antoni, choć miał dość własnych trosk, słuchał o bolączkach prostego ludu. Coraz wyraźniej widział konieczność zniesienia pańszczyzny, choć dla ludzi takich jak on, czyli przedstawicieli drobnej szlachty, byłby to dotkliwy cios ekonomiczny.

Jakiś czas później do izby weszła Kornelia. Jej blada twarz ściągnięta była cierpieniem.

– Jesteś w stanie jechać konno? – zapytał.

– Tak – odparła słabym głosem.

Parnicki wyjął z kieszeni kilka monet, podszedł z nimi do Jakuba.

– To dla was, gospodarzu – oznajmił, usiłując wcisnąć mu pieniądze w dłonie.

– Nie trzeba, panie Parnicki. Nie dla pieniędzy pomogliśmy pani dziedzicze, a tak po prostu.

– Dobrzy z was ludzie. Wiem, żeście bezinteresowni, ale przyjmijcie choć tyle.

– Nie ma mowy – obstawał przy swoim stary. – Nam grosza nie brakuje, a nie mogliśmy pozwolić, by i tę niebogę zamęczyli.

– Szlachetne macie serca. Na waszym rodzie wyznał się sam król Kazimierz. – Położył pieniądze na ławie. – Jeśli wy nie potrzebujecie, weźcie dla wnuka. Kupcie coś dziecku. Czas na nas! Zostańcie z Bogiem!

– Z Bogiem, panie Parnicki! – odpowiedział Jakub.

– Pomyślności, pani dziedziczko! – pożegnały się kobiety.

Kornelię tak bardzo osłabiły ostatnie przeżycia, że nie była w stanie dosiąść Strzałki. Antoni uznał, że bezpieczniej będzie wziąć ją na Śmigłego, a jej kłacz poprowadzić luzem. Gdyby nawet posadził kobietę na koniu, mogłaby się zsunąć z siodła i nieszczęście gotowe. Mimo zapewnień Trzosa, że jest bezpieczny, Parnicki nie ufał udeptanym gościńcom i wołał wrócić do domu tą samą drogą, którą przyjechał. Teraz, gdy wiedział, że ukochana przetrwała noc, niepokoił się o swoich bliskich. Żywił nadzieję, że podczas jego nieobecności nie doszło do napaści na dwór. Na szczęście okoliczne wsie wyglądały sielankowo.

Przez całą podróż obydwój milczeli. Właściwie nie było słów, które nadawałyby się do wypowiedzenia w tak trudnych chwilach. Dopiero gdy zbliżyli się do posiadłości, Antoni napomknął Kornelii o swoim drobnym kłamstwie związanym z ich wczorajszym, niby przypadkowym, spotkaniem.

Śmigły, obciążony dodatkowym balastem, nie był w stanie mknąć tak chyżo jak wcześniej. Niemniej dotarli do domu w porze, gdy zwykle zasiadano do obiadu. Już z daleka Antoni widział, że wszystko jest

w najlepszym porządku. Z komina snuł się leniwie dym, przy bramie tkwił na warcie parobek.

Ledwo wjechali na podjazd, otwarto drzwi. Wybiegła z nich Eulalia wraz z odźwiernym. Siostra, przebrana w męski strój, przywodziła na myśl chłopca w cudacznym uczesaniu, gdyż rano służąca jak zwykle ufryzowała ją na gładko, rozdzielając włosy przedziałkiem pośrodku głowy, a na wysokości uszu upinając po bokach warkocze zawinięte w precelki. We dwoje pomogli Kornelii zsiąść z konia. Antoni zwinnie zeskoczył ze Śmigłego, wziął słaniającą się kobietę na ręce, a zwierzę powierzył słudze.

W salonie Żelechowską otoczyły damy. Gertruda poleciła przygotowanie kąpieli. Proponowała posiłek, lecz Kornelia nie była w stanie przełknąć absolutnie nic. Pograżona w głębokiej apatii, biernie pozwoliła, by się nią zajęto.

W tym czasie Antoni powtórzył ojcu to, co zasłyszał od Trzosa.

– Daj Boże, aby to była prawda – westchnął Teofil.

– Trzeba wierzyć. Jednak arsenału stąd nie ruszę, póki nie nabiorę pewności, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Zachowajmy czujność.

– A co z majątkiem Żelechowskich?

– Zostały tylko zgliszcza. Po obiedzie muszę jechać do księdza i załatwić sprawę pochówku. Trumny obstaluję u naszego stolarza.

– A może zamiast tam się kręcić, weźmiesz naszego prałata, by odprawił nabożeństwo pogrzebowe? – zaproponował ojciec. – Po co się narażać, kłuć w oczy motłoch? Sam mówiłeś, że Austriacy nie byli szczególnie zainteresowani tłumieniem buntu.

– Nie jestem tchórzem – bąknął Antoni, choć przed południem nie ryzykował przejazdu przez tamtejsze wsie. Kościół, jak na złość, stał na niewielkim wzgórzu i otaczały go chłopskie zabudowania.

– To nie jest żadne tchórzostwo, lecz rozsądek. Synu – Teofil położył dłoń na jego ramieniu i spojrzał mu w oczy – nie odmawiam ci odwagi,

wczoraj i dzisiaj wykazałeś się męstwem. Nie kwestionuję także tego, że na nas spoczywa obowiązek zajęcia się sprawami Żelechowskich. Ale to nie jest dobry czas na posyłanie umyślnych do ich krewnych i przyjaciół, by zrobić uroczysty pochówek. Trzeba jak najprędzej i w miarę dyskretnie pogrzebać ciała, kiedyś przyjdzie czas na godną mszę w ich intencji. Nie szarżuj ponad miarę. Serce by pękło Gertrudzie, gdyby cię straciła. Mnie także – uzupełnił, gdyż z natury nie był skory do okazywania uczuć.

– Masz rację. Tak zrobimy. Zaraz pošlę Wincentego na wieś, by zamówił u stolarza trumny. Oby Partyce starczyło desek, bo do pochowania mamy aż jedenaście osób. A jak będzie gotowy, zapręgnę bryczkę, wezmę prałata, Kornelię i kilku parobków dla obstawy i pojedziemy na pogrzebiny. Trzeba będzie złożyć Żelechowskich na wieczny spoczynek w ich własnym ogrodzie, o ile wiem, mają tam kapliczkę, urządzimy więc przy niej cmentarzyk.

Następnego dnia po południu pogrzebano Żelechowskich. Bez obecności krewnych i bez żałobnego nabożeństwa, jedynie z krótką modlitwą.

Po powrocie Kornelia zamknęła się w przydzielonym jej pokoju i nie wyrzała z niego przez następnych kilka dni. Zachodziły do niej kobiety – współczujące, troskliwe, usiłujące jakoś podtrzymać ją na duchu.

W tym czasie Parnicki jeździł do Niepołomic oraz Wieliczki, by zasięgnąć informacji o sytuacji prawnej Żelechowskiej. Szukał także plenipotentą, któremu mógłby powierzyć pieczę nad majątkiem zamordowanego sąsiada. Wciąż zajmował czymś głowę, by jak najmniej myśli poświęcać wyrzutom sumienia, te bowiem kąsały go niczym wściekłe psy.

Uwiódł żonę swego najbliższego druha. W czasie gdy oni figlowali w stodole, chłopci już szykowali się, by dokonać rzezi.

Nocami, gdy leżał w łóżku, przebiegały mu przed oczami przerażające sceny. Widział tryskającą krew, parujące ciepłem wnętrzności, leżące w śniegu okaleczone ciała, ułożone rzędem. Korpusy częściowo pozbawione rąk i nóg. Z odrąbanymi głowami.

Kornelia nie miała pojęcia, że kilkoro spośród jej bliskich pochowano w stanie niekompletnym. Nikt nie wiedział, co rozjuszeni chłopcy zrobili z głowami Tadeusza, Izydora i Karłowicza.

To wszystko wracało do niego falami wspomnień i koszmarными snami. Bóg jeden wiedział, w jaki sposób Antoni zdołał przeżyć kolejny miesiąc.

Wieści, które w tym czasie napływały do Parnickich, były zatrważające. Otóż okazało się, że emisariusze nie zdążyli w porę odwołać powstania, i w wielu miejscach połała się krew. Sprawy marnie przedstawiały się w cyrkule krakowskim – tam Polacy na jakiś czas zdołali wyprzeć Austriaków i Moskali z miasta, powołali Rząd Narodowy Rzeczypospolitej Polskiej i uchwalili manifest znoszący przywileje stanowe. Na jego mocy chłopcy mieli otrzymać na własność uprawianą przez siebie ziemię, a i bezrolnym obiecywano grunt. Cóż, gdy postulaty te nie trafiły do wiadomości kmieci, a powstanie szlacheckie krwawo stłumiono przy ich dużym udziale.

– Cóż za bezczelność! – irytował się Antoni, rozmawiając z ojcem. – Austriackie wojsko i policja, zamiast pilnować porządku, podburza chłopów do buntu. A lud ponoć masowo plądruje dwory i wyrzyna w pień mieszkańców!

– Czyli Żelechowscy nie byli odosobnionym przypadkiem – skwitował Teofil.

– Ano nie. Słuszne były nasze przygotowania do odparcia ewentualnego ataku. Smutno o tym mówić, lecz mimo wszystko nie ufam naszym chłopom. I oni mogą dać się podburzyć.

– Źle się dzieje. Powstanie upadło, aresztowano wielu spiskowców!

– Kwiat inteligencji, sami ludzie czynu!

– Wciąż skazują kolejnych to na śmierć, to na katorgę. Edward Dembowski poległ, gdy przekłeci Austriacy ostrzelali procesję patriotyczną. Tamci ludzie szli na Podgórze, bo chcieli przekonać chłopów, by stanęli po naszej stronie i dołączyli do powstania.

– Szkoda go. To był piękny umysł, mimo radykalnych poglądów. Gdyby „czerwony kasztelan” trzymał z nami, zapewne zdziałałby wiele dobrego. Miał moc porywania tłumu, był zręcznym organizatorem i emisariuszem jakich mało. Wyrzucili go z Poznańskiego, zaczął działać u nas. Gorąca głowa!

– Co zrobić? Nie odwołano akcji na czas, zabrakło koordynacji. Nie wsparło nas ziemiaństwo z pozostałych zaborów. Austriacy dogadali się z Moskalami i pospołu stłamsili to, co próbowało wybuchnąć.

– Gdyby choć nie podżegali chłopów! – denerwował się ojciec. – Może naszym udałoby się odbić Tarnów? Przeklęty Szela! To on podburzał do buntu!

Szczególnie przygnębiające były wieści, że to właśnie kmiecie rozgromili oddziały powstańcze w tamtym rejonie.

– Nic dziwnego, że Austriacy zlekceważyli napaść na Żelechowskich. Wojsko cesarskie nie potrzebowało zbyt brudzić sobie rąk, bo chłopci ochoczo rozbijali każdą grupkę szlachciców, którą napotkali na drodze. Za pojmanych żywcem dostawali po dziesięć złotych reńskich, a za każdego trupa po dwadzieścia. Ponoć przed wjazdem do Tarnowa mordowali schwytanych powstańców, by więcej zarobić. Słyszałem, że w innych miejscowościach Austriacy płacili rzeźmieszkom za każdą przyniesioną głowę polskiego ziemianina.

– No to już wiesz, czemu ciała sąsiadów składaliście w trumny w niekompletnym stanie.

Antoni zwiesił ramiona.

– Czuję się taki bezsilny! Taki wściekły! Żeby bezsensownie przelać tyle krwi! Na Boga! Czy chłopci nie czują się już Polakami? Wszak mówimy tym samym językiem! Żyjemy od pokoleń na tej samej ziemi! Czy to mało?

Od dłuższego czasu Antoni poszukiwał sprawnego i rzetelnego ekonoma, który objąłby zarząd nad majątkiem Kornelii. Na anons zamieszczony w prasie nie odpowiedział żaden chętny. Parnicki uznał za niemożliwe, by w całym cyrkule nie znalazł się właściwy człowiek.

– Może to kwestia miejsca? – zastanawiał się na głos.

– Tak myślę – odparł ojciec. – Ludzie się boją. Do tej pory jest niespokojnie, echo rzezi jeszcze długo będzie się rozlegało w Galicji. Nikt nie chce podejmować ryzyka.

– Trudno, zmienię treść ogłoszenia – zdecydował mężczyzna. Czuł się zobligowany do tego, by pomóc wdowie. Choć sam nie był w stanie zarządzać jej dobrami, poczucie odpowiedzialności nie pozwalało mu na to, by zostawić ziemię Żelechowskich na pastwę losu.

Zmodyfikowanie treści faktycznie przyniosło pożądany efekt. Do dworu Parnickiego przyjechało kilku kandydatów. Antoni liczył, że podczas rozmowy twarzą w twarz łatwiej przekona jakiegoś delikwenta do pracy, ale nic z tego.

– Panie! Życie mi jeszcze nie zbrzydło – powiedział wprost jeden z nielicznych mężczyzn zainteresowanych ofertą, krępy jegomość, po którym widać było zamiłowanie do pierzyny i dobrej kuchni. – Słyszałem, co się stało u Żelechowskich. Poprzedni ekonom skończył bez głowy. Dom puszczono z dymem. Inwentarz rozszabrowano. To jak odbudowa całego majątku z popiołów. Na domiar złego musiałbym się użerać z gnuśnym i krnąbrnym chłopstwem. Nie, panie! Nic z tych rzeczy.

– A może jednak pan spróbuje? – nalegał Parnicki.

– Szanowny panie, powiem wprost. Człowiek, jak pracuje na wsi, to wciąż jest na świeżym powietrzu. A to zaostrza apetyt. Przydałyby się więc regularne posiłki. Po jeździe konnej chciałoby się wygodnie spocząć, tymczasem na zgłiszczach nie ma co liczyć na wygody. Gdzie niby miałbym odpoczywać po trudach całego dnia? W stajni?

– Można nająć przyzwoitą kwaterę u Żyda – bąknął Parnicki.
– U Żyda? Toć starozakonny do szczeru by mnie zrujnował. Ostatniego krajcara by wycisnął.

– Pani Żelechowska nie poskąpi wynagrodzenia – obiecywał nieco na wyrost, gdyż w rzeczy samej nie omówił drobiazgowo tej kwestii z Kornelią. – Wystarczyłoby i na pokój w gospodzie, i na sute jadlo, i jeszcze sporą sumkę miałby pan dodatkowo.

Spoglądał z nadzieją na tłuszciocha, choć wiedział, że płonne są jego nadzieje. W innych okolicznościach w ogóle nie brałby pod uwagę takiego kandydata do pracy, bojąc się jego gnuśności. Teraz stał niejako pod murem, gotów był zatrudnić każdego, kto wyraziłby chęć administrowania majątkiem.

– Za żadne skarby świata – mruknął grubas, wstając. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie wkłada głowy w paszczę lwa!

Padające przez okno promienie wiosennego słońca ujawniły tłuste plamy na jego surducie.

– Szlag trafił! – zdenerwował się Parnicki, gdy został sam w kantorku.

Rozmyślał przez dłuższy czas, co robić. Swojego Zadory nie chciał obciążać dodatkowym zobowiązaniem, miał dość pracy. A tam na gwałt potrzeba było kogoś na stałe, przebywającego na miejscu, a nie dojeżdżającego raz na kilka dni.

Sytuacja była patowa. Ziemia należała do Żelechowskich. Chłopi byli do niej przypisani, lecz nie mieli do niej prawa. Teoretycznie nie powinni uprawiać włościańskich gruntów bez zgody Kornelii. Buntowali się przeciwko pańszczyźnie, lecz bez szlachty nie byli w stanie funkcjonować. Do Parnickiego docierały plotki, jakoby ludzie z majątku Tadeusza odgrażali się, że rozniosą kosami każdego, kto spróbuje im narzucać konieczność odrobku na pańskich gruntach. Istniało ryzyko, że faktycznie spełnią swe zapowiedzi i zamordują kolejnego zarządcę. Problem w tym, że ziemia pilnie potrzebowała gospodarza. Lada dzień należało zrobić zasiewy. Ktoś musiał zdecydować, czym obsiać pola, ile gruntu przeznaczyć na ziemniaki

czy kapustę. Las wymagał pewnie jakiejś przecinki, uprzątnięcia wiatrołomów, nowych nasadzeń. To wszystko samo się nie robi.

No i był jeszcze problem pogorzeliska. Osmolone, zwęglone kikuty nie mogły w nieskończoność straszyć swym widokiem. Kiedyś trzeba będzie odbudować dwór. Kornelia była młoda. Choć teraz wegetowała, pogrążona w rozpacz, pewnego dnia być może zechce ponownie wyjść za mąż.

Ta koncepcja była mu nienawistna. Nie wyobrażał sobie ukochanej w ramionach innego mężczyzny.

Absurd! Miałaby mieszkać na ziemi, w którą wsiąknęła krew jej bliskich? – zżymał się w duchu na wcześniejsze myśli. To oczywiste, że należałoby wznieść nowe budynki, lecz nie w tym miejscu.

Na razie jednak dużo pilniejsza była sprawa gospodarstwa.

– Nie ma wyjścia – stwierdził w końcu Antoni. – Pojadę tam i sam podłożę lwu łeb.

W niedzielę Antoni zaskoczył domowników, ponieważ oznajmił, że jedzie na sumę do sąsiedniej parafii. Choć sytuacja w Galicji uległa znacznej poprawie i zapanował względny spokój, jego decyzja wpędziła w popłoch kobiety, które z miejsca zaczęły mu odradzać eskapadę na teren, gdzie mordowano szlachtę. On jednak zawział się, że rozwiąże problem zarządzania ziemiemi wdowy.

Po śniadaniu kazał zaprzęgać powóz. Zabrał ze sobą Zadorę i dwóch parobków, pilnując, by każdy miał przy sobie nabitą broń. Wierzył, że nie będą musieli jej używać do obrony przed zbuntowanymi kmieciami. Zarządził wyjazd na tyle wcześnie, by przed mszą rozmówić się z miejscowym plebanem. Żywił nadzieję, że zdoła upiec przynajmniej dwie pieczenie na jednym ogniu.

Proboszcz okazał się skory do współpracy. Szczerze ubolewał nad zajściami sprzed kilku tygodni i obiecał Parnickiemu wszelką pomoc.

Wyraził nawet chęć udostępnienia pokoju na plebanii dla potencjalnego zarządcy majątku.

– Gospodynię mam pierwszorzędną. Gotuje tak, że palce lizać. Przy niej łatwo o grzech nieumiarkowania w jedzeniu i piciu. Jeśli kandydatowi do pracy nie będzie odpowiadał pokój w karczmie, u mnie znajdzie schronienie.

Odkąd Żelechowscy stracili życie, ksiądz Wilczyński zmagał się z poczuciem winy. Regularnie odprawiał to nabożeństwa przebłagalne, to znowu msze w intencji spokoju dusz bestialsko pomordowanych. Grzmiał z ambony o grzechu śmiertelnym, jakiego dopuściły się owieczki z jego stada. Nie, nie owieczki! Barany rogate, o czarnych, brudnych duszach! Straszyl swą trzodę wizjami mąk piekielnych i wiecznego potępienia. Nawoływał, by zbrodniarze przystąpili do sakramentu pokuty.

Nie inaczej było tej niedzieli.

Parnicki zajął ławkę Żelechowskich. W mrocznej świątyni czuł na sobie dziesiątki spojrzeń. Czy wiedzieli, kim jest? Jak przyjmą jego misję? Na pewno przyciągał ich uwagę wielkopańskim ubiorem, wyróżniał się pośród barwnego tłumu odzianego w tradycyjne stroje krakowskie, wełniane sukmany i pasiaste portki.

Kapłan kończył głoszenie kazania.

– Choć to niezgodne z porządkiem mszy świętej i nie powinno mieć miejsca w domu Bożym, chcę, abyście teraz posłuchali człowieka, który przybył tutaj ze szczególną misją. – Skłonił głowę w stronę Parnickiego.

Antoni opuścił ławkę i wszedł na ambonę. Wciąż wahał się nad tym, co ma do przekazania zgromadzonym w kościele ludziom, lecz czuł, że to jedyna droga do rozwiązania problemu, który zatruwał mu życie. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że osoby najbardziej zaangażowane w rebelię przestały przychodzić do świątyni, bojąc się słów o wiecznym potępieniu, które głosił pleban. Być może zamiast do kościoła, chodzili do gospody, by zalewać gorzałą jątrzącego robaka wyrzutów sumienia.

– Wiecie, kim jestem? – zapytał, wodząc wzrokiem po twarzach chłopów. Kilka osób przytaknęło ruchem głowy, lecz mimo to postanowił, że się przedstawi. Tak nakazywała grzeczność. Sprawa, którą miał tutaj do załatwienia, wymagała wyłącznie dobrej woli, siłą mógłby nic nie osiągnąć. – Jestem waszym sąsiadem. Antoni Parnicki. Przybywam do was w imieniu dziedziczki, pani Kornelii Żelechowskiej, wdowy po Tadeuszu Żelechowskim, matki, która złożyła w mogiły swe dzieci.

Przez kościół popłynął szmer ni to współczucia, ni to dezaprobaty. Baby raczej żałowały pani, którą spotkała taka niedola. W rabacji brali udział przede wszystkim ich mężowie i synowie, mało kobiet zapędziło się tamtego wieczoru pod dwór. A te, które na własne oczy widziały rzeź, opowiadały straszne rzeczy podczas darcia pierza i przy kołowrotekach. Chłopi niewiele mówili. Burczeli zwykle, że to nie babska rzecz, a z Żelechowskimi należało zrobić porządek, bo byli wyzyskiwaczami.

Teraz w kościele też coś tam burczeli, nie bacząc na powagę świątyni.

– Uciszcie się, chłopcy! – odezwał się w końcu Prokop, ciekawy, z czym tak ważnym przybywa Parnicki, że ksiądz mu ustąpił ambony.

Jego mocny głos skutecznie uciszył ziomków.

Antoni odczekał jeszcze chwilę, a potem kontynuował:

– Jestem tutaj, ponieważ na mnie spoczął obowiązek uporządkowania spraw pani Żelechowskiej. Pozbawiliście ją rodziny, męskiego oparcia i dachu nad głową. Rozszabrowaliście gospodarstwo, kradnąc bądź wyrzynając inwentarz. Zostawiliście ją z niczym, w jednej sukieneczynie. Nikt nie rozliczył was za popełnione zbrodnie, za gwałt i rabunek. I ja nie jestem od tego – oświadczył. – Moim zadaniem jest ocalenie reszty schedy przed ostatecznym upadkiem. Ziemia nie może leżeć odłogiem, bo zaraz zarosną ją chwasty, potem krzewy, a na ostatek zagarnie ją puszcza. Trzeba uprawiać cały areał, a nie tylko te okrawki, na których z łaski Żelechowskich mogliście do tej pory gospodarować.

– Też mi łaska! – nie wytrzymał chłop, wokół którego było zadziwiająco luźno, jakby nikt nie chciał stanąć w jego bezpośredniej bliskości. – Łaskawy pan szczerze traktował nas batogiem, zakuwał w kajdany i ciemniżył tak, że człek nie miał sił, by obrabiać przydzielone poletko.

– Jak się nazywacie, kmieciu? – zapytał Parnicki.

Chłop przestąpił z nogi na nogę, obracając w rękach czapkę. Jego włosy skleione w niechlujny kołtun musiały okropnie cuchnąć. Nie był chętny do udzielenia odpowiedzi. Antoni machnął ręką, to i tak nie miało znaczenia.

– Skoro nie chcecie mówić, to nie mówcie. Ja też nie będę łgał, że dziedzic był święty. To i owo doszło również do moich uszu. Chcę was jednak, gospodarze, zapewnić, że tamto nie wróci! Już nikt nie będzie na was podnosił bata, nie będziecie zakuwani w kajdany! Ja na to nie pozwolę. Ja! Ręczę za to swoim nazwiskiem. Jakem Parnicki!

– A czego pan od nas oczekuje? – zapytał potężnie zbudowany kmieć.

Antoni znał go z widzenia, wiedział, że to kowal. Marcińczyk słynął w okolicy z krzepy i niezwykłego kunsztu. Zajmował się nie tylko podkuwaniem koni i wyrobem urządzeń rolniczych. W nielicznych wolnych chwilach produkował ozdobne kraty na ażurowe altanki czy podpórki dla pnączy. Swego czasu Parnicki sam się zastanawiał, czy mu nie zlecić wykucia pergoli.

– Co się stało, to się nie odstanie. Nikt was sądził nie będzie, chyba że sam Pan Bóg na sądzie ostatecznym. Chodzi o to, żebyście nie utrudniali wdowie zarządzania majątkiem. Przyjedzie tu za jakiś czas ekonom z jej plenipotencjami. Być może na razie zamieszka u plebana.

– A na co nam ekonom? – wykrzyknął ponownie Skoczył, bez skrępowania drapiąc się za uchem.

Aha! Jeden z wichrzycieli – pomyślał Parnicki.

– Każdy majątek potrzebuje zarządcy.

– Niepotrzebny nam kolejny tyran!

W kościele podniósł się gwar, ludzie gadali coś między sobą. Antoni przez chwilę usiłował ich uciszyć. W końcu odzyskał posłuch.

– Przecież wam mówię, że nie będzie tyranii. Ziemia należy do Żelechowskiej. Ona jest tutaj panią i bez jej zgody nie wolno nikomu tknąć choćby źdźbła trawy. Chcecie pomrzeć z głodu? – urwał i wymownie powiódł wzrokiem po kmieciach. – Mieszkacie na ziemiach Żelechowskiej! Jeśli chcecie żyć spokojnie, musicie się ugiąć. Gdy przyjdzie nowy ekonom, będziecie go szanować i słuchać. Ja go będę rozliczał z pracy, póki pani Kornelia nie odzyska zdrowia. Nie pozwolę, by was ciemniżył. Ręczę za to moim szlacheckim honorem!

– To kiedy on tu nastanie? – zapytał ktoś z tłumu.

– Jak tylko znajdę odpowiedniego człowieka. Na razie nikt nie chce się podjąć zarządzania, bo chodzą o was słuchy, żeście są rzeźnicy, zbójcy i rabusie! Ci z kokotowskiego lasu mogliby się od was uczyć rzemiosła! Ludzie! Chłopy! Kary boskiej się nie boicie? Jeszcze nie jest za późno, abyście się zrehabilitowali!

– Jak? – bąknął Marcińczyk. – Przekłęte nasze dusze.

– Ksiądz dobrodziej odpuści wasze winy. Jest Wielki Post, najlepszy czas na oczyszczenie serc i okazanie skruchy. Ja wam kazań prawić nie myślę. Jestem tutaj tylko po to, by się dowiedzieć, czy przyjmiecie dobrowolnie nowego ekonoma. Wolałbym, żeby się obeszło bez sprowadzania do wsi jęgrów, którzy zaczęliby was kuć w kajdany za popełnione zbrodnie. Chłopy! Jak będzie? Dojdziemy do porozumienia?

– Niech będzie, jak pan mówi! – krzyknął Marcińczyk, odwracając się do ziomków. – Ludzie, ja mu wierzę. Pan Parnicki jest poczciwym człowiekiem! Honor ma i serce prawe!

Zaraz poparli go inni, zagłuszając głosy sceptyków.

Antoni odetchnął z ulgą. Czuł, że może zaufać kmieciom. Gdy przyśle plenipotentą, nie odstraszą go marsowymi minami.

Kolejne tygodnie mijały nieubłagane, a ziemia Żelechowskich wciąż nie miała nowego zarządcy. Antoni dwoił się i troił, by dopilnować gospodarstwa Kornelii. Całe dni spędzał poza domem, nadzorując to swoje włości, to sąsiedzkie. Spędzał w siodle tak wiele czasu, że chwilami się zastanawiał, czy z zapachu jego ubrań można wyczuć, jakiej rasy i umaszczenia jest Śmigły. Od czasu do czasu ujeżdżał Strzałkę, by się nie zastała. Eulalia nie kwapiła się do przejażdżek na kłaczce Żelechowskiej, twierdziła, że ta krnąbrna kobyła w ogóle jej nie słucha. Antoni śmiał się z siostry, ponieważ jemu kasztanka nie sprawiała żadnych kłopotów. Dawała się siodłać, nie ponosiła, słuchała poleceń. Tylko drogi do nowego domu nie chciała jakoś zapamiętać. Gdy pogrążał się w rozmyślaniach i pozwalał, by koń sam go niósł i obierał kierunek, Strzałka zawsze kierowała się w stronę spalonego dworu.

– Mądra bestia, wie, skąd pochodzi – rozczulał się nad koniem.

W tym czasie prawie nie widywał Kornelii, choć usiłował uporządkować wszystkie jej sprawy. Jeździł więc do sądu, pilnował wpisów w księgach wieczystych, dbał o interesy wdowy, zabezpieczając jej przyszłość. Na szczęście Tadeusz miał w banku rachunek, a na nim dość okrągłą sumę. Parnicki bez trudu rachował w myślach, że gdy już Żelechowska wyrwie się z apatii, faktycznie zdoła odbudować dom. Może nie tak przestronny jak ten, który spalono, ale na początek wystarczy. Przecież pewnego dnia będzie musiała wziąć się do życia. Każda żałoba dobiega kiedyś końca.

Planował za nią, ponieważ pragnął czymś zajmować głowę. Byle oddalać wspomnienia *tamtego* popołudnia. Nie myśleć o tym, co pomiędzy nimi zaszło, choć wiedział, że ocalił ją właśnie grzech, który wówczas popełnili. Gdyby została w domu, podzieliłaby los swej rodziny – zgwałcona, upokorzona, a na ostatek zamęczona na śmierć.

Choć nie chciał, wciąż o tym pamiętał.

Tego dnia Strzałka znowu poprowadziła go w kierunku ziemi sąsiadów. Było wczesne niedzielne popołudnie, gdy dotarli na skraj

gospodarstwa Trzosów. Parnicki pomyślał, że zatrzyma się na chwilę u Prokopa.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – wykrzyknął na jego widok Jakub, stojący na podwórzu. – Co sprowadza pana w nasze skromne progi?

– Witajcie, gospodarzu. Ano kręcę się po okolicy i jakoś tak koń sam mnie tutaj przywiódł. Pomyślałam więc, że zajrzę i o zdrowie zapytam.

– Zapraszam do chałupy. Sneszka leśnioki wypieka, ma dryg do tego – pochwalił synową.

Antoni, choć nie wiedział, czym są owe leśnioki, postanowił skorzystać z gościny. Chciano go prowadzić do wielkiej izby, lecz stwierdził, że wystarczy mu ława w kuchni. Tam od razu odkrył, że smakowity zapach, który powitał go w drzwiach, to nic innego, jak naleśniki. Nie odmówił poczęstunku i z przyjemnością obserwował, jak młoda gospodyni uwija się przy piecu, nucąc pod nosem:

– *Za Krakowem na Podolu / Tam się biją w szczerem polu. / Tam się biją szabelkami, / Krew się leje strumieniami. / Jeden woła konia, konia / Bo pojedzie do Turonia. / Drugi woła szabelecki, / Nie ustąpi wojenecki. / A ten trzeci woła soli, Po kolana we krwi stoi*^[31].

W kącie siedziała Maria, uciskając jedną stopą biegun kołyski. Zajęta była łataniem odzieży.

– Jak się miewa dziedziczka? – zagadnął Prokop.

– Marnieje w oczach. Nie je, nie sypia, pogrążona jest w apatii.

– Spadła na nią prawdziwa tragedia – przypomniała gospodyni.

– Tak. W rzeczy samej. Nie wiadomo, jak jej pomóc. Kobiety nad nią czuwają, ja wziąłem na barki sprawy majątkowe.

– Ktoś musi gospodarować. Ziemia bez pańskiego dozoru będzie marniała. Chłopy nie garną się, by orać i obsiewać grunty. Ziarno rozkradzione, nikt nie sypnie swoim.

– Wiem. – Zmartwiony Parnicki pokiwał głową. – Kłopot mam z tym niemały, bo na razie nie mogę znaleźć żadnego zarządcy. Ludzie nie chcą słyszeć o majątku Żelechowskich. Czas mija, a gospodarza jak nie

było, tak nie ma. Z kimkolwiek bym rozmawiał, wciąż słyszę to samo. Nikt dobrowolnie nie nadstawi karku pod topór – przytoczył wielokrotnie zasłyszana odpowiedź.

– Ale przecież kmiecie zapewnili, że nowemu ekonomowi nic nie zagraża.

– To samo powtarzam kandydatom. I że osobiście ręczę za bezpieczeństwo delikwenta.

– Nie pomogło – odgadł starszy Trzos. – Chociaż jestem przekonany, że okoliczni chłopci nie wystąpią przeciwko panu.

– Niestety, strach skutecznie paraliżuje ludzi. Obcy nie dają wiary moim słowom. A tam na gwałt potrzebny jest dobry gospodarz, chociaż ostatnio pomyślałem, że wezmę każdego, kto się zgodzi do pracy. Cóż, gdy nawet najgorzej rokujący ludzie odmawiali objęcia posady, gdy słyszeli, o jaki majątek chodzi.

– Niedobrze – stwierdził Prokop, podsuwając Parnickiemu talerz z naleśnikami nasmażonymi przez Betkę. – Żal ziemi. Urodzajna, szkoda, by leżała odłogiem.

– A może ty byś się podjął? – zapytał Antoni.

– Ja? A gdzie mnie tam do zarządzania włościąństwem.

– Rachować potrafisz, wiem, żeś jest kształcony. Masz swoją ziemię, to i pewnie księgę rachunkową umiesz prowadzić – zapalał się dziedzić.

– Niby tak. Ale co innego siedzieć na dwóch i pół łana, a co innego rządzić całym majątkiem! Nie... – Pokręcił głową.

– Ludzi najmujesz do roboty, więc wiesz, jak gadać z chłopami, by robili.

– Ale ja im płacę – zauważył Trzos.

– Co za różnica? Przecież każdy chłop wie, że pańszczyzna rzecz święta. Byłeś w kościele, gdy kmiecie zapewniali, że nie będzie więcej buntów.

– Gdzie mnie tam do zarządzania? – Prokop wzruszył ramionami. – O nas zawsze ludzie gadali, że aniśmy pany, ani chamy.

– No to może przyszła pora na to, by w końcu zadbać o swój status? – kusił Parnicki. – Macie szansę, Prokopie, by zapewnić awans społeczny sobie i swoim dzieciakom. Może ten malec – spojrzał wymownie na kołyskę – będzie się kształcił w Krakowie i wyrośnie na pana? Dobrze zarobisz, gruntu dokupisz, zostaniesz ziemianinem co się zowie. A w przyszłości i dom postawisz murowany...

– Na salonach jaśniepańskich i tak będą mnie mieli za nic. Dla szlachty zawsze będę nikim.

– Czasy się zmieniają, Prokopie. Dużo się mówi o uwłaszczeniach i zniesieniu pańszczyzny. Co ci szkodzi, abyś się wprawił w zarządzaniu większym arealem? Mój ekonom pomoże ci przy księgach. A na czym jak na czym, ale na uprawie znasz się przecież świetnie.

Zauważył, że Bernadeta przysłuchuje się ich dyskusji. Być może widziała się już w murowanym dworku, jedwabnej sukni i kapeluszu. Ładna z niej była kobieta, niegłupia, kształcona. Kiedy Antoni odwoził ją ze Studzieńca, wspomniała mu po drodze o tym, jak ją ojciec posyłał na edukację do staniąteckich siostrzyczek. I że uczono ją wtedy rzeczy mało przydatnych w niskiej chałupie.

Kiedyś pociągała go ta krzepka dziewczyna. Teraz stwierdzał ze zdumieniem, że przeszła mu chuć i stracił chęć na pokosztowanie jej wdzięków. Chyba raz na zawsze wyleczył się z uwodzenia mężatek.

– Prokopie... – Młoda Trzosowa uznała za słuszne wtrącenie się do męskiej rozmowy. – Na moje uznanie powinienes spróbować.

– Daj spokój, babo! Gdzie tam? Nie będę miał posłuchu. Za bardzo jestem swój, choć w gruncie rzeczy obcy.

– Zgódź się, Prokopie – naciskał Parnicki, czując, że opór młodego gospodarza mięknie. – Tak to się chłopom przedstawi, że radzi będą twoim rządom. Przynajmniej spróbuj do czasu, aż znajdę jakiegoś godnego zaufania człowieka. Może jak majątek będzie miał ekonom, choćby tymczasowego, to zła fama przeminie?

– Synu, może to i racja? Chyba trzeba wziąć byka za rogi – odezwał się Jakub. – Skoro dziedzicze potrzebna jest pomoc... Przecież dałbyś sobie

radę!

Poparła go reszta domowników i tak żarliwie zaczęli Prokopa namawiać, że ustąpił, zaznaczając jednak, że to rozwiązanie przejściowe. Bo serce mu się kraje na myśl, że tyle gruntu miałoby się zmarnować.

Parnicki odetchnął z ulgą i uściskał mu dłoń. Obiecał, że wróci za kilka dni z wszelkimi pełnomocnictwami i zadatkem pensji. Choć tego ostatniego raczej się nie praktykowało, wszak najpierw należało wykonać robotę, czas wypłaty był później, Antoni pomyślał, że nie zawadzi, jeżeli przypieczętuje umowę żywą gotówką, bo to z całą pewnością podziała Trzosowi na wyobraźnię i rozbudzi jego apetyt na więcej.

Liczył, że przed następną niedzielą będzie gotów z kwestiami formalnymi. A po sumie zaprezentuje kmieciom Żelechowskiego nowego zarządcę. O zgodę Kornelii nie musiał się obawiać, kobieta była pogrążona w tak wielkiej rozpacz, że z obojętnością przyjmowała absolutnie wszystko, o czym się do niej mówiło.

Gdy dosiadł Strzałkę, poklepał ją czule po boku.

– Dobry koniś – pochwalił. – Wiedziałaś, dokąd mnie przywieźć.

Czuł w tym wszystkim palec boży. Odnosił wrażenie, że nagle został nieomal demiurgiem, który bierze w swoje dłonie los wielu osób. I Kornelii, i jej kmieci, i jeszcze rodziny Prokopa, dla której nadszedł czas wielkich zmian.

Stan głębokiej apatii nie opuszczał Kornelii. Parniccy uznali, że dobrze byłoby sprowadzić do niej lekarza, gdyż kobieta nie jadła prawie nic i niemalże niktęła w oczach. Niestety, w Niepołomicach leczyli jedynie znachorzy i zielarze, nie było nawet apteki. Rad nierad, Antoni wyprawił się do Wieliczki, by stamtąd przywieźć medyka, lecz i on nic

nie mógł zaradzić, gdyż ogólne osłabienie organizmu wiązało się bezpośrednio ze stanem jej ducha.

Pewnego popołudnia Antoni zajrzał do zajmowanego przez Żelechowską pokoju z zamiarem pomówienia o sprawach majątkowych oraz o przyszłości.

Odziana w czerń wdowa siedziała na fotelu. W dłoni gniotła chusteczkę, lecz oczy miała suche, ponieważ już dawno wyczerpała zasoby łez.

– Kornelio...

Podniosła na niego wzrok. Jej twarz tchnęła zadziwiającym, pełnym rezygnacji spokojem.

– Witaj, Antoni – wyszeptała.

– Mogę usiąść? – Wskazał fotel stojący naprzeciwko.

– Oczywiście.

– Musimy porozmawiać o kilku sprawach – zagaił.

– Tak.

– Majątkiem zarządza młody Trzos, wspominałem ci już o tym. Nieźle sobie radzi, ma posłuch u chłopów. Traktują go trochę jak swojego, wiedzą, że nie będzie stosował przemocy. Wiedziałaś, że Tadeusz nie szczędził bata kmieciom? – zapytał.

Kobieta skinęła głową.

– Był okrutnym człowiekiem – wyszeptała. – Wiem, że to grzech mówić źle o zmarłym, ale taka jest prawda. Sam na siebie ściągnął gniew chłopski. Zgubił i siebie, i innych, i niewinne dzieci. Ci ludzie zamordowali mojego syna i córkę, bo bali się, że Staś i Oleńka wyrosną na takich samych tyranów jak Tadeusz. – Ostatnie słowa zdławił szloch.

– Ciebie też krzywdził? – zapytał przerażony mężczyzna.

Przytaknęła.

– Obiecywał mi przed ślubem, że będę miała u jego boku raj na ziemi. Ale on w piekło mnie powiodł. A ja nawet nie miałam komu wypłakać się

w rękaw, bo jestem sierotą. Ciotka, która mnie wychowywała po śmierci rodziców, zmarła tuż po moim zamążpójściu. Nienawidziłam męża – wyznała skruszona. – Życzyłam mu wszystkiego najgorszego.

– Dobry Boże! I ja go zwałam przyjacielem? – Zerwał się z fotela, szybkim krokiem przeszedł pokój wzdłuż i wszerz. Wyrzuty sumienia, które dręczyły go od wielu tygodni, znacząco zmaląły. – O gdybym tylko wiedział! Gdybym wiedział...

– To przeszłość. Błagałam Boga, by mnie od niego uwolnił. Bóg mnie wysłuchał, lecz przy okazji srogą wymierzył mi karę, ponieważ grzeszyłam na każdym kroku, pragnąc, by Tadeusz umarł. Czeka mnie wieczne potępienie, bo przeklinając męża, ściągnęłam gniew Pański również na moje dzieci.

Przez moment Antoni odnosił wrażenie, że Kornelia znowu pogrzeży się w apatii, lecz nagle go zaskoczyła.

– Nie o tym chciałeś rozmawiać – zmieniła temat. – Niech zgadnę: przyszedł czas, aby postanowić, co dalej ze mną będzie.

– Przecież wiesz, że możesz tutaj zostać.

– W jakim charakterze? Rezydentki?

– Tak.

– Nie. Nie mogę. Za każdym razem, gdy spoglądam w oczy Cecylii, ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Wiesz, jak podle się czuję? Ona jest taka życzliwa, wyrozumiała, troskliwa... Dobry Boże! To dama w każdym calu, choć zdawać by się mogło, że skoro kupcówna, to parweniuszka o prostej duszy. Wyrządziliśmy jej wielkie zło – załkała.

– Nie kocham jej. Nie jestem w stanie nic na to zaradzić. Wiedziała, wychodząc za mnie, że to małżeństwo z rozsądku.

– Jakie to bezduszne – westchnęła.

– Owszem. – Antoni przyznał jej rację. – Ubolewam nad tym, więc o ile nie jest to konieczne, staram się jej nie naprzykrzać. Jesteśmy ofiarami naszej wysublimowanej cywilizacji – stwierdził z przekąsem. – Odrzucamy romantyzm i duchowość, pozostawiając wzniosłe uczucia

poetom, na korzyść szeroko pojmowanych interesów społecznych. Do diaska! Wszystkim rządzą układy. – Zdenerwował się, ponieważ nie o tym chciał z nią rozmawiać.

– Tak. I dlatego dziękuję, że dopilnowałeś moich spraw. Nadeszła pora, abym uporządkowała to, co mi pozostało. Życie trwa nadal i tkwię w nim po czubki uszu, choć mnie pierwszą powinni byli ukatrupić. Dopuszczałam się śmiertelnego grzechu, Bóg szybko zesłał na mnie karę. To moja wina, przeze mnie oni nie żyją! – wróciła do poprzedniego tematu.

– Nie mów takich rzeczy! Kornelio! To nie była kara boska, wszak cudem uniknęłaś męczeńskiej śmierci!

– I po co? Bym już zawsze musiała nosić ciężar wyrzutów sumienia? By z każdym zamknięciem oczu wracał obraz mojej maleńkiej Oleńki rozłupywanej siekierą? O przekłety mój los! – zawyła z rozpacz. – Czy ty wiesz, jaki to ból? O moje biedne dzieciaczki! Już nigdy ich nie utulę!

Mężczyzna upadł przed nią na kolana i ujął jej dłonie.

– Nie wiem, Kornelio, lecz Bóg mi świadkiem, że gdybym tylko mógł, podłożyłbym głowę pod topór, by ocalić twoją córeczkę. Nie jesteś winną tej kaźni, a cudzołóstwo powstało z mojej winy – wyszeptał. – To ja cię uwiodłem, bo jesteś dla mnie jedyną miłością.

– Przestań! – odtrąciła go gwałtownie. – Nie wspominaj tego, co było! To grzech! Odejdę stąd niebawem – oznajmiła.

– Dokąd chcesz pójść?

– Do klasztoru. Nie widzę dla siebie innej drogi życia niż pokutowanie za naszą przewinę.

– Nie... Błagam! Nie podejmuj pochopnej decyzji. Jesteś wciąż oszołomiona...

– Klamka zapadła. Napisałam już list do ksieni w Staniątkach. Nie odwiedzisz mnie od powziętego postanowienia.

Nie potrafił sobie tego wyobrazić, choć siedząca naprzeciw niego kobieta nie była już tą samą damą, z którą tak niedawno tańczył

mazura. Prosił ją, zaklinał, lecz jego wysiłki były daremne.

– Skoro taka jest twoja wola. – Wstał. Pochylił przed nią głowę, a potem wyszedł z pokoju.

Kornelia z sykiem wypuściła powietrze z płuc. Wiedziała, że musimy prędzej opuścić ten dom, ponieważ przebywanie w dworku Parnickich rozdzierało rany w jej sercu. Od kilku dni nieustannie o tym rozmyślała. Powoli zaczynała godzić się ze swoim losem. Ból nie przemijał, lecz wracał trzeźwy osąd sytuacji. Targana poczuciem winy, dusiła się pod dachem Antoniego.

Teraz miała dodatkowy powód, by odejść.

Niedawno uświadomiła sobie, że jej złe samopoczucie, brak apetytu, senność, apatia i mdłości nie są tylko i wyłącznie następstwem przerażających przeżyć.

Nosiła pod sercem dziecko. Lekarz potwierdził jej przypuszczenia.

Ojcem nie mógł być Tadeusz, ponieważ od dnia balu do schadzki z Antonim unikała zbliżeń. Tuż przed balem krwawiła, więc ostatnie intymne chwile z mężem nie zaowocowały.

ROZDZIAŁ 7.

CZAS ŁEZ



Gaj w Puszczy Niepołomickiej

Rok 1848

Wiosna budziła się do życia chlupotaniem wody kapiącej z sopli wiszących u powały, zaczynała zielenieć pierwszymi żdźbłami trawy wyrastającej w osłoniętych od porywów zimnego wiatru, lecz dobrze nasłonecznionych miejscach, pierwszymi kępami podbiałów, które żółciły się nawet na najbardziej nieurodzajnych glebach. Mimo to zima jeszcze nie chciała odpuszczać, ścinając na noc kałuże skorupką lodu i nie pozwalając bosym stopom na komfort – poczerwieniałe z zimna wciąż potrzebowały trzewików.

Ubogo żyło się w galicyjskich wioskach, gdy nadchodził przednówek. Głód zaglądał w oczy komornikom i chłopom pańszczyźnianym. Nawet u Franki Zalipiaczki zaczęła popiskiwać bieda. Franka, choć uchodziła za krezuskę, dobrze musiała liczyć każdego kartofla. A skoro jej było ciężko, to co mieli powiedzieć tacy biedacy jak Adam Skoczylas, Zdzisiek Czop czy Alojzy Dyl? Oni w komorach od dawna mieli pusto, czego sami nie zjedli, to przetrzebiły im myszy.

Dla Prokopa Trzosa, od dwóch lat zarządzającego majątkiem wdowy, też był to poważny problem. Nie chciał, by ludzie głodowali i w związku z tym wyładowywali na nim swój gniew. Administrowanie ziemią, która właściwie nie miała pana, stanowiło spore wyzwanie. Nie miał z kim konsultować decyzji, ponieważ Kornelia od dwóch lat przebywała w klasztorze. Niby nie składała ślubów i wciąż pozostawała osobą świecką, lecz kontakt z nią był mocno utrudniony. Przyjmowała wizyty kilka razy w roku i musiały wiązać się z czymś naprawdę ważnym.

Dobrymi radami wspierał Trzosa Parnicki lub jego ekonom, lecz w obliczu wyzwań, jakie rzucał los, czasami to nie wystarczało. Nikt nie był w stanie dać Prokopowi gotowej recepty na umiejętne rozmawianie z ludźmi. Niby miał posłuch u ziomków, ale gdy próbował wymagać choć trochę więcej, zaczynały się trudności. Szydzono z niego, że

z chama usiłuje wyrosnąć na wielkiego pana. On i tak traktował ich znacznie pobłażliwiej niż Karłowicz. Nie stosował kar, ograniczył dni, które mieli przeznaczать na odrabianie pańszczyzny. Mimo wszystko zawsze znajdował się ktoś stający okoniem.

– Przydałoby się ostateczne zniesienie pańszczyzny – stwierdził pewnego dnia po powrocie do domu. Najpierw objeżdżał włości Żelechowskich, potem zajrzał do Staniątek, by się rozmówić z Kornelią.

– Wciąż o tym się gada, ale cysorz nie podejmuje kroków. Sam gubernator obiecywał chłopom, że niebawem będą wolni – odparł Jakub. On także stał po stronie kmieci.

– Franz Stadion^[32] nie ma dość władzy, by uwłaszczyć ludzi na własną rękę – zauważył Prokop. – A szkoda. Może gdyby ludzie otrzymywali wynagrodzenie za pracę, lepiej wywiązywaliby się ze swoich powinności. Teraz każdy tylko patrzy, by robić swoje na łapucapu i jak najwięcej odpoczywać. Byłe zleciała dniówka, bo przecież nie są rozliczani z wykonanej roboty, a z czasu, który mają poświęcić na obrabianie pańskich pól.

– Darmo nikt nie lubi robić – stwierdziła przysłuchująca się im Bernadeta. – Ojciec z matulą wciąż sobie krzywdują na konieczność przedkładania interesów cudzych nad własne. Ludzie usychają z nędzy, a szlachta obrasta w sadło. Nie ubyłoby im, gdyby zaczęli płacić dniówki, zamiast ciemnić biedotę, bo za pieniądze każdy pracowałby lepiej.

– Niegłupiaś – mruknął Jakub. – Chłopi nie są gnuśni z natury. Sęk w tym, że każdy kombinuje, by się za wiele nie narobić. Ludzie oszczędzają siły na pracę w swoich obejściach.

– My to wiemy – odparł Prokop. – Od zawsze najmowaliśmy parobków do roboty za uczciwą zapłatę. Człek może uzyskiwał mniejsze profity, ale i tak lepiej na tym wychodził. Bo i wdzięczność miał u tych, którym trzeba było pieniędzy, i obywało się bez nieprzyjemnego poczucia, że na ludzkiej krzywdzie zbijamy majątek.

– Ano tak. Skorośmy z dziada pradziada potrafili utrzymać to, co zawdzięczamy miłościwemu królowi, to i panom niczego by nie zabrakło, gdyby mieli wzgląd na potrzeby chłopów – ciągnął stary, pykając fajkę.

Zakwiliło niemowlę w kołysce. Benia rzuciła się, by wziąć córkę na ręce.

– Głodna moja królewna? – zagruchała do malej.

– Ucz ty ją, ucz, że z niej jaśnie pani – zakpił świekr, zezując na synową.

– A pewnie, że z niej będzie dama. Coraz lepiej nam się wiedzie. Jak Bóg da, pošlemy dziatwę do szkół, niech się obydwójce kształcą. Moja Agusia nie będzie chodziła za krowimi ogonami. Takie śliczności zasługują na lepszą dolę. Na samego panicza z dworu!

– Pokręciło się babie w łepetynie – stwierdził Jakub, kreśląc palcem kółko na czole i zerkając wymownie na Betkę.

– Wy to zawsze tacyście zgryźliwi – fuknęła synowa, przystawiając córkę do pełnej piersi. – Powiedzże lepiej, Prokopie, jak się miewa pani Żelechowska? – zagadnęła męża.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nic się nie zmieniło, wciąż jest taka sama, jakby pozbawiona życia. Wszystko obojętnie przyjmuje. Sprawy majątkowe interesują ją tylko tyle, żeby starczyło jej pieniędzy na utrzymanie. Nie myśli o niczym więcej, a szkoda, bo rośnie młody panicz, więc przydałoby się, by zapewniła mu coś więcej niż zrujnowane dziedzictwo.

– A może Maksymilian też wstąpi do zakonu? – zasugerowała milcząca do tej pory Maria.

– To możliwe – przyznał Prokop. – Skoro mały chowa się w klasztorze przy siostrach, to pewnie wykierują go na mnicha. A wtedy cała ziemia pójdzie na rzecz Kościoła, bo pani Kornelia wniesie część we wianie, a resztę przejmie opactwo, w którym osiadzie paniczyk. Jeśli pani

Żelechowska zdecyduje się na składanie ślubów, odpadnie mi część pracy i zarobków.

– Całe wieki żyliśmy wyłącznie z roli, to i teraz sobie poradzimy. – Jakub machnął lekceważąco sękatą dłonią powykręcaną przez starość. Ostatniej zimy wciąż chorował, podupadł mocno i widać to było po jego wyglądzie.

– Niby tak – bąknął Prokop – ale jak jest okazja, to trzeba korzystać. Grosz do grosza składam, żeby było za co dzieciaki kształcić. A i o budowie domu też żem ostatnio rozmyślał...

– O budowie? A na cóż ci to? – obruszył się Jakub. – Nie masz dachu nad głową? Na łeb ci się leje?

– Chałupa już stara, a skoro są pieniądze, to trzeba je w coś włożyć, by nie przeleciały przez palce.

– To chyba lepiej gruntu dokupić – stwierdziła Maria. – Co ziemia, to ziemia. A chata jeszcze i twoim dzieciakom posłuży. Ino trzeba będzie strzechę poprawić, bo nad komorą zaczyna przeciekać.

– Dokupi się i gruntu – odparł Prokop, zezując na Betkę, gdyż to właśnie ślubna wierciła mu dziurę w brzuchu o nowy dom. – Ale jakbym postawił murowankę, to wytrzymałaby i z tysiąc lat!

– Murowankę? Olaboga! A na co ci taka chałupa?

– A na to, żeby zostawić przyszłym pokoleniom. I niechby każdemu było wygodnie, by nie trza było upychać się do snu na ławach.

– A przecież u nas nikt nie śpi na ławie. Każdy ma wygodny siennik, nawet komornicy – zauważyła Maria, której taka rozrzutność nie mieściła się w głowie.

Wszak dom nie był mały, miał dużą izbę z piecem, mniejszą przy niej, komorę na wprost wejścia i po przeciwnej stronie pokój zwany wielką izbą. W paradnej izbie sypiali młodzi. Ona miała łóżko w mniejszym pomieszczeniu, bo Jakub, odkąd zaczął narzekać na podagrę i łamanie w gnatach, sypiał na zapiecku, tam było mu najcieplej. W komorze ulokowane były Kachna i dwie dodatkowe dziewczki służące częściej

w polu niż w obejściu, które też nie narzekały na ciasnotę. Jakby zaszła potrzeba, to pomieściłoby się ich w domu znacznie więcej. W przeciwieństwie do innych chłopów nie dzielili mieszkania z żywym inwentarzem, do domu przylegała bowiem spora stajnia, w której stały dwa konie – jeden pociągowy, drugi pod wierzch, trzy krówki i świnię. Osobno trzymali kaczki, gęsi i kury. Bogactwo, jakiego mało! Niejeden kmieć im zazdrościł, a i baby chętnie przychodziły na darcie pierza, bo w każdym kątku zawsze było czyściutko. Pobielone ściany starannie omiatano z kurzu i pajęczyn, polerowano szybki świętych obrazków. Bernadeta nie lubiła niszczyć rąbek pracą w polu czy przy bydełku, ale za to w domu trzymała taki porządek, jakby żyli w pańskim dworze. I zawsze się wydzierała, by zawierać drzwi, żeby do domu nie wchodziły koty, psy lub drób. Zresztą ten ostatni, za jej sprawą, też nie grzebał w poszukiwaniu robaków na podwórzu, ale miał wydzieloną zagrodkę.

Maria i Jakub, choć początkowo trochę się krzywili na porządki zaprowadzane przez młodą gospodynię, radzi byli tym innowacjom, bo jakoś przyjemniej było wyjść wiosną czy latem przed chałupę, przy której nie było kurzych odchodów, lecz jedynie słoneczniki i dalej wyrastające pod płotem. Jakub oczywiście przekomarzał się ze sneszką, że u siostrzyczek staniąteckich wychowano ją na wielką panią, ale i on doceniał jej starania. Wprawdzie do babskich robót trzeba było najmować dodatkowe dziewczki, ale za to każdy miał łachy uprane, starannie załatane robocze i wymuskane odświętne. Ot, synowa na pokaz!

Ale żeby aż tak w głowie się poprzewracało, by myśleć o murowanym domu?

– Rodzina rośnie w siłę – wmieszała się w to Bernadeta, broniąc swojej pięknej wizji – to i chałupa większa się przyda. A co wy myślicie – podparła się pod boki, zerkając na świekrów – że poprzestaniemy na Wojtusi i Agniesi? Wybudujemy nowy dom, by było nam wygodniej. A w tym zamieszkają komornicy i najemni parobkowie, bo jak się pola dokupi, to trzeba będzie pomyśleć i o dodatkowej służbie.

– Ot, wielka pani! Patrzeć jak zażąda, by kupić jej bryczkę i jedwabne sukienki! – zakpił Jakub.

– Dajcie już spokój! – zachnął się Prokop. – Za swoje zbuduję. Na to człowiek robi, by żyło się lepiej.

– Za dużo czasu spędzasz z Parnickim. On ci nakładł głupot do łba. Naprawdę myślisz, że szlachta uzna cię za równego sobie?

– Nie zależy mi na tym – odparł młody gospodarz, tarmosząc wąsy. – Ale kiedyś, gdy chłopci zostaną uwłaszczeni i zostanie zniesiona pańszczyzna, powstanie nowa klasa społeczna, coś pomiędzy szlachtą a zwykłymi kmieciami. Bo takich jak my, zaradnych, będzie przybywało. I kiedyś to my będziemy solą tej ziemi, a nie zgnuśniała szlachta, siedząca w kieszeni żydowskich lichwiarzy – podsumował dobitnie.

– Żeby cię ta chytrość kiedyś nie zgubiła – przestrzegł ojciec.

– Nie zgubi. Trzeba mieć w życiu cel, który chce się osiągnąć. Chodzi o coś więcej niżli tylko napełnienie brzucha i utrzymanie w garści tego, co się dostało po dziadach.

– Chłopy! Chłopy! Pańszczyznę zniesiono! – ryknął Czop, wpadając do karczmy jak burza.

Na chwilę w gospodzie zapadła cisza jak makiem zasiał.

– A skąd wiesz? – zapytał ktoś z nadzieją w głosie. – To pewne?

Na Zdzisława spojrzało wiele par oczu. Ten zdjął z głowy czapkę i huknął pięścią w pierś, dla uwierzytelnienia swych słów.

– Jak Boga kocham! Chłopy! Wracam z Niepołomic. Wy tu siedzicie i labidzicie nad ciężką dolą, a tam na rynku naczelnik odczytał patent cysorza. Ferdynand Dobrotliwy pochylił się nad naszym losem. Koniec pańszczyzny! Koniec stróży^[33], podwodów^[34], sypania grobli i innych prac na rzecz dworu. Już nie będzie nas rozstawiał młody Trzos po kątach! Wolni jesteśmy! Wolni!

– Ale jak to? Nie musimy obrabiać ziem pańskich?

– A nie, nie!

– No ale z czego teraz będziemy żyli? – zmartwił się Marcin Zalipiak, mąż Franciszki, człowiek tak niepozorny, że nikt nigdy nie zwracał na niego uwagi. To jego żona, kobieta pyskata i zaradna, była prawdziwą głową rodziny. – Przecież każdy dostawał grunt do uprawy w zamian za robotę na dworskim.

– No to teraz wam powiem najlepsze. – Czop aż spuchł z dumy, że od niego wyjdą wyborne nowiny. – Szlachta musi nam oddać grunta, z których korzystaliśmy do tej pory.

– Ale jakże to? Darmo?

– Darmo. Dziedzicom zostaje to, cośmy obrabiali jako pańszczyznę. Ponoć rząd im wypłaci jakieś odszkodowania, ale to nie nasz frasunek.

W karczmie zapanował trudny do opisanego gwar. Chłopi wołali Mojsiejowicza, by im doniósł gorzałki. Wznoszono toast za toastem, nie przejmując się tym, że przepijane są ostatnie krajcary. Wszak z utęsknieniem wyglądali tej chwili. Niejeden wieczór w gospodzie upłynął im na snuciu marzeń o słodkiej wolności. Lała się więc okowita wartkim strumieniem – kieliszek za kieliszkiem wprost w spragnione gardła ochryple od radosnych okrzyków.

W końcu pierwsza euforia opadła i przyszedł czas na dogłębne omówienie kwestii.

– Nie wierzę! – jęknął czerwieńszy niż zwykle na gębie Filuś, który szybko sobie porachował, że oto został właścicielem dziesięciu mórg. Czemu nie całego łana? – Nie wierzę, że w końcu to nastąpiło! O dobry Boże, nareszcie człek będzie miał coś własnego, a nie tylko koszulę na grzbiecie.

Ktoś poklepał Marcina Zalipiaka po ramieniu, gratulując mu szczęścia. Temu bowiem przypadło w udziale sporo areału.

– Tyś jest teraz krezus niewiele biedniejszy od Trzosa! Tylko patrzeć, jak i z ciebie zrobi się wielkie panisko i kupisz sobie konia pod wierzch.

– A cóż mnie z wierzchowca? – Wzruszył ramionami. – Pola takim nie zaorze, wozu nie pociągnie. Mnie nie w głowie pańskie fanaberie.

– Ja tam nie wiem, czy dobrze, że nas uwłaszczyli – sapnął zafrasowany Dyl, który jak był biedakiem, tak biedakiem pozostał. – Nikt nikomu niczego za darmo nie daje. Przedtem mieliśmy jednego pana. Jaki był, to był, ale służyliśmy tylko jemu. Zresztą odkąd Trzosi rządzi pańskim majątkiem, nie jest najgorzej. Trochę nam ulżył w niedoli. A teraz co? Komu będziemy służyć?

– Sami sobie – burknął Skoczylas.

– I co: pańskie będzie leżało odłogiem?

– Ee... chyba nie – stwierdził Czop. – Pewnie będą najmować parobków. Komu będzie mało własnego gruntu, ten pójdzie na zarobek u dziedziczki. Tyle że nie musowo, a dobrowolnie i za krajcary.

– Ja tam się boję, że zaraz nas obciążą jakimś podatkiem. Zapomnieliście, jak Karłowicz wciąż o tym mówił? Że trzeba płacić, płacić i płacić. I dlatego pan nie obniża wymiaru pańszczyzny.

– Ty nas, Alojzy, nie strasz! – warknął na niego Czop, zły, że ziomek umniejsza radość, jaką zapanowała, gdy obwieścił nowiny. – Teraz będzie już tylko coraz lepiej. Już nas żaden panicz nie pociągnie na wojnę!

– Ba! Ale skąd wiesz, czy cysorz nie zażąda od ciebie, byś mu wystawił na wojaczkę swojego syna? I czy nie będziesz musiał sam wyposażyć go w mundur i cały ekwipunek? – labidził Dyl, dostrzegając w carskim dekreście same negatywne konsekwencje.

– Chłopy! Chłopy! – krzyknął Marcin. – Nie ma co gdybać. Lepiej wypijmy za cysorza! Niech nam żyje jak najdłużej i cieszy się dobrym zdrowiem!

– Zdrowie! Zdrowie! – rozległy się gromkie okrzyki.

Wróciła powszechna radość z niespodzianki, jaką Ferdynand Dobrotliwy sprawił im tuż przed Wielkanocą. Choć mieli pewne obawy, spoglądali w przyszłość z nadzieją.

Świat nieustannie się zmieniał, jakby nie mogło istnieć nic trwałego. Najpierw mieszkańcy Krakowa pożegnali namiastki swobody, gdy jesienią, tuż po upadku powstania krakowskiego oraz stłumieniu buntu chłopów zlikwidowano Wolne Miasto, a ziemie stanowiące Rzeczpospolitą Krakowską przyłączono do Austrii. Niespełna dwa lata po tych wydarzeniach zaborca ponownie zagrał na nosie polskiej szlachcie. Niby obiecywano ziemianom jakieś drobne spłaty jako rekompensatę za utracone włości, lecz na razie nie było to nic pewnego. Krążyły słuchy, że środki na ten cel będą pochodziły z podatków, a nie od chłopów przejmujących grunty.

– No to nam znieśli pańszczyznę – rzucił Antoni, moszcząc się na zydlu w izbie u Trzosów.

Odkąd Prokop objął zarząd nad włościami Kornelii, często zaglądał do kmiecej chałupy, okazując żywe zainteresowanie jego poczynaniami. Sam był zaskoczony łatwością, z jaką znalazł wspólny język z nim i jego rodziną. Nic sobie nie robił z docinków Eulalii, że zaczął gustować w towarzystwie prostaków i częściej niż na salonach bywa pod strzechą. Cecylia także spoglądała na niego nieufnie, ilekroć wspominał, dokąd się wybiera. Nie komentowała tego jednakże, jak zawsze pozostawała taktowna i powściągliwa.

– Ano znieśli – odparł Prokop. – Muszę znowu wybrać się do dziedziczki, by uzgodnić z nią, co będzie dalej. Trzeba ustalić, jak będziemy wynagradzać chłopów. Sprawa jest pilna, bo i czas chyba najgorszy z możliwych. Ludziom trzeba lada dzień w pole wychodzić. Zawsze byłem przeciwko pańszczyźnie i wyglądałem dnia, gdy ją zniosą, ale teraz mam nie lada ambaras.

– Doskonale cię rozumiem. Sam się głowię, jak ściągnąć ludzi do roboty. Teraz każdy będzie dawał pierwszeństwo swoim gruntom.

Mężczyźni z zafrasowanymi minami spojrzeli po sobie.

– Okowity? – zaproponował gospodarz.

Parnicki nie odmówił.

Bernadeta podała kieliszki i flaszkę. Potem odeszła do spiżarni, by ukroić kielbasy, która została im od świąt.

– Wojtuś, nie płacz się pod nogami – skarciła synka, który wszędzie jej towarzyszył, czepiając się spódnic. Chłopiec był dość niesforny, rozpieszczony ponad granice zdrowego rozsądku. Maria czasami załamywała ręce nad wnukiem, że niby co z niego wyrośnie, skoro już teraz potrafił wiele wymuszać krzykiem. Ciągłe wymagał uwagi, zabawiania, pokazywania różnych rzeczy. A zazdrosny był o małą, że aż strach! Niechby matka wzięła w ramiona Agusię, zaraz był obok i też domagał się utulenia. Na szczęście w przeciwieństwie do niego córcia miała mniej oczekiwań. W chwili gdy nadjechał Parnicki, spała słodko jak aniołek w malowanej kołysce, ustawionej w rogu izby. Nie przeszkadzały jej odgłosy rozmowy. Zresztą nawet gdyby zakwiliła, łatwo ją było ululać, babcia czuwała nad wnuczką, turkocząc monotonnie kołowrotkiem.

Gdy Bernadeta wróciła do izby, mężczyźni opróżniali kieliszki z gorzałki. Nawet Jakub zlaźł ze swego zapiecka, choć od rana go nie opuszczał, bo dzień był mglisty, wilgotny i ponury. Stary narzekał na łupanie w kościach i ziąb, choć ogień na piecu buzował aż miło.

Kobieta postawiła na stole talerz z poczęstunkiem, sama przysiadła bliżej teściowej i zajęła się szyciem koszuli. Wojtuś kręcił się po izbie, dawał nura pod ławy, zaglądał za skrzynię. W końcu wlaźł i pod zydel, na którym siedział szlachcic.

– A czego to szukasz, młody człowieku? – zagadnął Antoni, głaszcząc jego płowe włoski.

Chłopczyk pokazał mu małego konika, wydobytego z jakiegoś zakamarka.

– Patataj – oznajmił.

– Ach! Konik, tak? Zmyślny – pochwalił Parnicki.

– Wojtuś, odejdz od pana. Pan będzie się gniewał – skarciła Betka synka.

– Ależ nic nie szkodzi. Też mam w domu takiego malucha – przypomniał. – No nie, mój jest jednak trochę młodszy. Ale także ciekawski i ciągnie do ludzi. Ach! Te dzieciaki. Nasza przyszłość i nadzieja na lepsze jutro. To dla nich musimy mozolnie budować świat, by im żyło się choć trochę łatwiej. Ty, Prokopie, od zawsze najmowałeś parobków, tobie łatwiej przestawić się na nowe – wrócił do tematu.

– Tak. Dla mnie to żadna różnica. Jak płaciłem za robotę, tak dalej będę płacił. Zawsze znajdzie się ktoś, komu będzie mało tego, co wyciśnie z uprawianej przez siebie ziemi.

– No widzisz? Dlatego dzisiaj wyjątkowo to ja przyjechałem do ciebie po dobrą odpowiedź. Zdradź mi, jak sobie radziliście przez tyle czasu. Utrzymaliście ojcowiznę, nie tracąc absolutnie nic. Wasze gospodarstwo wręcz kwitnie – stwierdził z uznaniem.

Podbudowany tymi słowami Prokop podkreślił wąsa. Napełnił kieliszki gorzalką, a potem nachylił się nad Antonim i zaczął mówić o swym codziennym trudzie.

Zapadł zmierzch, gdy odjechał Parnicki. Kobiety porzuciły kołowrotki, by przygotować wieczerzę. Wojtuś siedział w kącie, bawiąc się zadziwiająco grzecznie. Bernadeta krzątała się po izbie, zadowolona z chwili spokoju. Przynajmniej raz nie musiała opędzać się przed synkiem. Odesłała Kachnę do stajni na wieczorny udój. Jakub wrócił na zapiecek, bo znowu zaczęła go trząść febra. Prokop wstał, przeciągnął

się, by rozprostować kości. Podszedł do niskiego okienka i wyjrzał na podwórze.

Mżyło. Świat zdawał się rozmywać za niewielkimi szybkami.

– Zaniesione na kilka dni – westchnął. – Narobi błota, ciężko będzie wyjść z pługiem.

– Nie martw się, może pogoda nastanie w miarę szybko – odparła Maria. – Jest jeszcze dość czasu na orkę i zasiewy.

– Czas jest, ale ludzi do roboty może tym razem zabraknąć. Oj... żeby nie przyszło na to, abym sam musiał tyrać na polach Żelechowskiej.

– Nie frasuj się, synu – odezwał się Jakub. – Skoro ludzie obrobią swoje grunty, to i na pańskie pójdą, bo będą łasi na zapłatę.

– Wieczera – oznajmiła młoda gospodyni. – Wojtusi, chodź papusiać!

Synkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Apetyt miał jak ten smok, co ongiś żył w lochu pod Wawelem.

Mały podszedł do ławy, kurczowo przyciskając rączkę do klatki piersiowej, jakby coś w niej trzymał.

– A co ty tam masz, smyku? – zagadnął Prokop, widząc jakiś przedmiot połyskujący pomiędzy krótkimi paluszkami.

– Cacy – odparł malec.

– Cacy? – powtórzyła matka. – Pokaż no mamie.

– Nie.

– Nie? Ach ty łobuziaku – zirytował się Prokop. Zmarszczył gniewnie brwi i nadał głosowi zdecydowany ton. – Natychmiast pokaż, co masz w ręce.

Chłopiec niechętnie otworzył piąstkę, z której wysliznął się gruby łańcuszek zamocowany do kieszonkowego zegarka.

– O święci pańscy! – zdenerwowała się Bernadeta. – Toż to musi być pana Parnickiego! Pewnikiem mu się odpiął i upadł na podłogę, a Wojtuś go znalazł.

– Trza jechać i odwieźć zgubę, bo inaczej Parnicki gotów pomyśleć, żeśmy go okradli – stwierdził mąż. I choć był głodny, złapał kaszkiet oraz cieplejszą kapotkę, i ku rozpaczyc dziecka, które uderzyło w płacz, wcisnął czasomierz do kieszeni, a następnie pospiesznie wybiegł z domu.

Rok 1852

– Kolejny ciężki rok – westchnęła Franciszka, rozgniatając w dłoniach dojrzały żytni kłos.

Zboże znowu marnie sypało ziarnem i już teraz, tuż po żniwach, wiadomo było, że ludzi czeka głód, i to nie na przednówku, lecz znacznie wcześniej. Nawet u tak zamożnych gospodarzy jak rodzina z Zalipia oznaczało to poważne kłopoty. I co z tego, że zniesiono pańszczyznę? Człowiek nie musiał obrabiać pańskich pól, nie był zniewolony i uwiązany do cudzej ziemi niczym pies do budy, ale teraz, na własnym rozrachunku w oczy zaglądało widmo nędzy.

– Póki mieliśmy pana, mogliśmy u niego szukać pomocy. Żelechowski był surowy i bata nie żałował, ale gdy na przednówku głód wykręcał flaki, biedacy mogli pójść do niego po korzec zboża czy worek ziemniaków – stwierdził Marcin, przesypując zmłócone cepami ziarna do sąsiedka.

– Człowiek skazany jest sam na sobie. Jak sobie damy radę? – Żona załamywała ręce, spoglądając na marne zbiory. – Może zabraknąć ziarna na zasiewy.

– Prokop mówił, że u niego też słabo. U Żelechowskiej plony wypadły równie liche, na domiar złego ktoś podjechał w nocy wozem i ukradł snopy z jednego pola.

– A to dopiero! – Franciszka złapała się za głowę. – Do czego to dochodzi?

Obydwoje dobrze wiedzieli, że bieda zmusi ludzi do niejednego draństwa.

– To jest nic, Franiu – odparł zafrasowany mężczyzna. – Głód podpowiada ludziom jeszcze gorsze rzeczy. Chłopy w gospodzie gadali, że w Buchcicach pod Tarnowem dwunastoletni chłopaczek wpakował swego młodszego brata do pieca, by go upiec i zjeść. Konopka o tym mówił, on ma krewnych w tamtym cyrkule.

– Olaboga!

Kobieta przeżegnała się z przestraczem na myśl o tak ciężkiej zbrodni, choć i ona wiele słyszała o okrucieństwach powodowanych nędzą i o rodzicach, którzy próbowali zjadać własne dzieci. Jak żyła, nie pamiętała aż takiej niedoli, no może w latach trzydziestych, gdy na świecie szalała cholera.

Teraz też ludzie musieli zmagać się z zarazami, bo wraz z ubóstwem pod strzechy zaglądał jego dobry przyjaciel tyfus, który od ładnych paru lat dziesiątkował całe wsie. Nie dość, że kolejny z rzędu nieurodzajny rok przyniósł małe plony, to jeszcze myszy uporczywie niszczyły to, co chłopi zdołali zebrać z pól. Bieda aż piszczała w całej Galicji, zresztą nie tylko tam, bo i z innych stron dobiegały przykre wieści.

– Chodź, Agnieszko – Bernadeta wyciągnęła dłoń do córki – pójdziemy zbierać jabłka.

Mała ochoczo podbiegła do matki. Kobieta wzięła z ławy przygotowany wcześniej kosz i we dwie poszły do sadu. Tam, pomiędzy dorodnymi jabłonią, powoli nabierał kształtu nowy dom Trzosów.

Trzosowa, nim wzięła się do pracy, obeszła plac budowy. Odłożyła kosz u wejścia na ganek. Niewielki dworek, który w porównaniu z dotychczasową chałupą sprawiał wrażenie pałacu, stanowił jej ogromną radość i dumę.

– Zobacz, córciu! Tutaj będzie twój pokój. – Pokazała dziewczynce pomieszczenie, w którym już wysychały tynki. – A tam – wskazała wejście do następnej izby – będzie sypiał Wojtek.

– A kiedy tu zamieszkamy? – zagadnęła mała.

– Niebawem. Trzeba jeszcze zamówić trochę sprzętów u stolarza i udekorować ładnie w środku. Już nie będziemy cisnąć się w jednej izbie jak zwykli kmiecie. I nie będziemy przyjmować gości w kuchni, jak do tej pory, ale w prawdziwym salonie.

Trochę frasowało ją, kto niby będzie gościł na tych salonach. Matula, tatko, siostry... A prócz nich? Przecież nie proste chłopstwo z pobliskiej wioski! Miałaby wpuścić na paradnie urządzone pokoje Skoczylasa z jego odrażającym, cuchnącym kołtunem? Frankę z Zalipia, która choć należała do bogatszego chłopstwa, wciąż pozostawała prostą babą i dzieliła chałupę z własnym bydłem? Kazimierę Widłak, okoliczną znachorkę wierzącą w gusła i zabobony? Bo przecież nie podejmowali z Prokopem takiego wysiłku tylko po to, by przyjmować wyłącznie Parnickiego.

Kto wie? Może jak już się tutaj przeprowadzimy, to pani Cecylia zechce mnie odwiedzić? To wielka dama, pod strzechę nie zajrzy, ale nie wzgardzi chyba zaproszeniem do murowanego domu? Kupię porcelanową zastawę. I zrobię szydełkiem ładne serwety oraz obrusy. Niech se tam świekr pokpiwa, że mnie się chce między elegantsze towarzystwo – rozmarzyła się na dobre.

Z żalem opuściła mury przysłego domostwa. Wzięła kosz i wraz z córeczką poszła zbierać jabłka, snując marzenia o pięknej przyszłości. Odkąd Prokop zajmował się sprawami Żelechowskiej, dobrze im się wiodło. Pieniądzy mieli tak dużo jak nigdy wcześniej. Można więc było planować zatrudnienie przynajmniej dwóch pokojówek, by zadawać szyku.

– Stary wciąż się śmiał – mówiła ni to do siebie, ni to do małej – że ja tylko potrafię wydawać rozkazy. Ech! A ja zawsze czułam, że urodziłam się do czegoś lepszego niż pilnowanie krowich ogonów. Zobaczysz, Agniesiu, jeszcze będę z nas wielkie damy!

– Wielkie damy? – powtórzyła za nią dziewczynka.

– A tak. Będziemy nosić piękne sukienki i kapelusze, a jabłka będzie za nas zbierać służba. Pójdiesz na nauki do klasztoru w Staniątkach. Tam nauczą cię wielu ciekawych rzeczy. A jeszcze dzisiaj, jak wrócimy do domu, pokażę ci, jak się robi szydełkiem – obiecała. – Mój cudny kwiatusek nie będzie sobie niszczył rączek ciężką robotą. Cieszysz się, córeczko?

– Bardzo. Chcę wyglądać, jak te śliczne panie, które widziałam w Niepołomicach. A szydełkiem trudno jest robić?

– Nie. To bardzo przyjemne zajęcie, zobaczysz. Jak pojedziemy na targ, to nakupię ci różnych ładnych nitek i włóczek, żebyś miała z czego wykonywać kołnierzyki, koronki i inne śliczności. Bo właśnie tym zajmują się panienki z dobrych domów.

– Aha! A nasz nowy dom będzie dobry?

– Ależ oczywiście! Bo musisz wiedzieć, moja maleńka, że my, Trzosowie, nie jesteśmy pierwszymi lepszymi kmieciami. Nam ziemię nadał sam król! Pamiętasz? Opowiadałam ci o tym.

– Tak, mamusiu! Uwielbiam, gdy opowiadasz mi historie o królach i księżniczkach.

– Bo ty jesteś moją małą królewną. I zrobię wszystko, żebyś mogła żyć jak przystało na wielką panią – zapewniła ją Bernadeta.

Choć wiedziała, że sama będzie musiała podołać jeszcze wielu znojnym pracom, postanowiła sobie solennie, że nie nauczy dziecka dojenia krów i stajennych obrządków. Mała może karmić ptactwo, zmywać statki czy sprzątać w chałupie, ale nic więcej. Niech haftuje, zajmuje się szyciem i szydełkowaniem, czyli tym, co przystoi ziemiańskim córom.

Kochała tę kruszynę nad życie. Widziała bystrość jej umysłu i pociąg do piękna. Marzyła o tym, by w przyszłości wydać ją dobrze za męża, a nie za byle chłopa.

– Może panicz Żelechowski? To zubożała szlachta, byłby pewnie idealny dla mojej królowny. Bo Parniccy czy Wimmerowie z Niepołomic to raczej za wysokie progi – rozmyślała na głos, wodząc wzrokiem za uwijającą się w sadzie dziewczuszką.

Już wiedziała, że na nowe włości trzeba będzie zaprosić wdowę. Ta ponoć nie utrzymywała z nikim stosunków towarzyskich, lecz może zrobi wyjątek dla Prokopa i jego rodziny? Bernadeta wiedziała od męża, że osamotnienie Kornelii nie wynika bynajmniej z wybujałego ego, które skłaniałoby ją do wynoszenia się nad innych, ale wiąże się bezpośrednio z żałobą po zamordowanych. Może więc życzliwie przyjmie zaproszenie od Bernadety? Wszak Trzosowie pomogli jej w najtrudniejszej chwili życia, udzielając schronienia, mimo że mogli przez to ściągnąć na siebie zgubę.

Tamtej strasznej nocy Bernadeta nawet na moment nie odstąpiła posłania, na którym ułożono panią Kornelię. Trzymała ją za rękę, ocierała łzy płynące po twarzy. Tuliła do piersi, gdy ta próbowała się zrywać, by dokąś pobiec, a potem padała bez sił na siennik. Modliła się za nią i jej bliskich, a nawet śpiewała kołysanki, bowiem zauważyła, że jej głos uspokaja szlachciankę. Ilekroć Betka milkła, Żelechowska wyrывała się z letargu i zaczynała rozpaczliwie zawodzić.

Nie żeby Bernadeta uważała, że Żelechowska jest jej coś winna, o nie! Ale miło byłoby, gdyby zechciała przybyć z wizytą. I jeszcze, gdyby przywiozła ze sobą synka.

O ile Agnieszka nie przysparzała matce większych trosk, o tyle Wojtuś budził w Bernadecie pewne obawy. Był trochę niesfornym chłopcem, co zasadniczo nikogo nie dziwiło. Ot, żywe srebro: ruchliwe, ciekawe, towarzyskie. Wszędzie musiał zajrzeć, wciąż się przekomarzał z domownikami. Zwierzęta przeganiał z miejsca na miejsce, nieustannie psocił, niby dla żartu, ale nie było dnia, by nie sprawił choćby drobnego kłopotu. Matka usiłowała zajmować go na różne

sposoby. A to mu pokazywała litery, a to próbowała zaprzątnąć uwagę malca jakimś drobiazgiem, zabawką, czymkolwiek. On jednak nie okazywał zainteresowania znakom kreślonym na specjalnej tabliczce, a zabawki go szybko nudziły. Chyba że sam je sobie pozyskiwał.

Jakimś dziwnym trafem do Wojtusiowych rączek od dawna przyklejały się różne rzeczy. To pieniążek, który z całą pewnością Prokop wsunął do kieszeni surduta, to nowa spinka do włosów Agniesi, to jakieś drobiazgi gości zaglądających do chałupy Trzosów. Wkrótce domownicy nauczyli się, że jeśli w domu coś ginie, to w pierwszej kolejności trzeba przepyttać Wojtusia, czy tego nie widział.

– Chodź no tutaj, pędraku, i powiedz, czyś ty czasami nie zwinął tatulowi kluczyka?

– Jakiego? – zapytał chłopiec, spoglądając na Prokopa kręcącego się bezradnie po izbie.

– Od zegara z kukułką – odparł mężczyzna. – Trzeba go nakręcić, a bez kluczyka ani rusz.

Chłopaczek pokręcił głową o jasnych, pszenicznych włosach.

– Nie – odparł tonem tak przekornym, że ojcu zaraz dało to do myślenia.

– Ejże? Aby na pewno?

– Ale ja go znalazłem.

– Aha! Czyli jednak. Oddaj. – Wyciągnął rękę.

– Sam nakręcę zegar – oznajmił mały.

– Nie, bo popsujesz. Daj kluczyk.

Ostrzejszy ton zmusił Wojtka do uległości, gdyż już po chwili bezcenny przedmiot został wprowadzony w ruch.

Zegar stanowił upominek od Parnickiego i traktowany był niemalże jak klejnot.

Podobne sytuacje zdarzały się z dużą częstotliwością. Rodzicom trudno było w jednoznaczny sposób stwierdzić, czy dzieciak jest tak spostrzegawczy, że znajduje wszystkie porzucone bądź zagubione

drobiazgi, czy po prostu je zabiera. Nikt nigdy nie przyłapał go na gorącym uczynku, choć Prokop uważał, że samo łganie jest niechlubne. Zapytany bowiem o jakiś drobiazg, Wojtuś najpierw zaprzeczał, twierdząc, że go nie ruszał lub nie widział, a później, lekko przyciśnięty, mówił prawdę.

Momentami ojca nachodziła chęć, by wymierzyć dziecku sprawiedliwość różgą, lecz Bernadeta zawsze potrafiła wybronić pierworodnego przed karą.

Kornelia od czterech lat mieszkała wraz z synkiem w nowym domu. Dworek wybudowany został dokładnie w tym samym miejscu, w którym stał poprzedni. Tamten był znacznie okazalszy, teraz Żelechowska zadowolila się o wiele skromniejszą budowlą. Nie planowała ponownego zamążpójścia, myślała jedynie o przyszłości Maksymiliana. Nie przyjmowała wizyt, nie odwiedzała nikogo. Jedynym celem jej wypraw był kościół przy klasztorze w Staniątkach. Do zlokalizowanego bliżej, we wsi, która niegdyś była własnością męża, nie jeździła. Tylko Prokop Trzos miał prawo zakłócania jej spokoju, ceniła jego pracę i brak nachalności w kontaktach. Darzyła go pełnym zaufaniem, pozostawiała mu wolną rękę w absolutnie wszystkich sprawach gospodarczych. Po uwłaszczeniu chłopów znacząco zubożała, ale przyjmowała to z pełną obojętnością. Wierzyła, że gdy Maksymilian dorośnie, przywróci majątkowi dawną świetność.

Żyła tylko dla swego małego chłopca, był jedyną iskrą radości w jej ponurym świecie. Siłą rzeczy nie złożyła ślubów – opuściła klasztor, gdy tylko spartańsko urządzonego dworek nadawał się do zamieszkania.

Celowo poleciła wznieść budowlę niemalże na tych samych fundamentach. Każdego dnia katowała się widokiem podjazdu, na którym dokonano rzezi. Robiła to z premedytacją, karząc się za popełniony grzech i pokutując.

Skromne gospodarstwo Żelechowskiej składało się z zaledwie kilku osób. Miała piastunkę, która opiekowała się Maksymilianem. Prócz niej zatrudniała Helenkę, pokojówkę, dziewczynę ocalałą z pogromu wyłącznie dlatego, że wstawili się za nią krewni ze wsi. Dodatkowo Kornelia mogła liczyć na wiernego sługę, pełniącego funkcję i lokaja, i odźwiernego, i umyślnego na posyłki. Teodor doglądał również leciwej Strzałki, jej jedyne go wierzchowca, teraz już z rzadka dosiadanego, gdy potrzebowała dokąś jechać.

Żelechowska także mocno odczuła nieurodzaj. Z trudem wiązała koniec z końcem. To był już kolejny taki ciężki rok. Wiedziała, że chłopom we wsi głód mocno daje się we znaki, więc na ile mogła, na tyle starała się pomagać najuboższym, choć wspierała w ten sposób ludzi, którzy bestialsko zamordowali jej dzieci. Nie mogła jednak znieść myśli, że cierpią niewinne istotki. Słyszała zatrważające wieści o maluchach porzucanych przez rodziców, którzy nie mieli czym ich wyżywić. Tułały się niebożęta po wsiach, zebrząc o choćby kruszynę chleba. Czasami zakradały się do dworów, gdzie próbowały coś ukraść ze spiżarni. Szczególną trwogę wzbudziła wieść o obranych z mięsa kościach dzieciaka, który wlaźł do dworskiej psiarni, by pożywić się jedzeniem dla czworonogów. Szkolone do polowań psy rozszarpały ofiarę na strzępy i gdyby nie przyodziewek oraz ewidentnie ludzka czaszka walająca się pomiędzy szczątkami, słudzy nigdy w życiu nie uwierzyliby, że psy tak potraktowały małego rabusia.

– Bóg pani stokrotnie wynagrodzi – powiedział Prokop, przyjmując od niej kolejny worek mąki przeznaczonej dla najbardziej potrzebujących.

Ujął i z szacunkiem ucałował jej dłoń.

Z Bogiem nigdy nie wyrównam rachunków, zawsze Mu będę wiele dłużna – pomyślała z ciężkim sercem.

– To nic, panie Trzos – odparła krótko.

Zawsze tytułowała go panem, choć wiedziała, że jest jedynie zamożnym kmieciem i daleko mu do szlachty. Ale zdążyła się już

przekonać, że nie tytuł determinuje ludzką naturę, lecz wewnętrzne skłonności. Cóż z tego, że sama pochodziła z dobrej rodziny, skoro jej duszę toczyła zgnilizna?

Taka Cecylia, przykładowo, kupiecka córka, mieszcza, zdawać by się mogło, że prostaczka! A jednak w ostatecznym rozrachunku to ona okazała się prawdziwą damą. Nawet jeśli miała jakieś podejrzenia co do Kornelii, nigdy nie zdradziła się z niczym. Zawsze była jednakowa: miła w obyciu, taktowna i wyrozumiała. Z całą pewnością kochała Antoniego, widać to było w jej oczach. Nie zasługiwała na upokarzającą zdradę i bezduszość.

– Ludzie zwą panią aniołem w ludzkiej postaci – wyznał mężczyzna.

Osobiście zadbał o to, by wśród chłopów krążyły wieści o tym, że żyjąca nader skromnie dziedziczka odejmuje sobie od ust, by dzielić się z innymi. Kładł nacisk na to, że i jej się nie przelewa, bo w jego odczuciu tylko to mogło powstrzymać ludzi przed kolejną rabacją dworu lub innymi aktami desperacji. Jakoś nie dowierzał Austriakom, którzy po stłumieniu buntu przed laty mienili się gwarantami spokoju w Galicji. Wiedział aż nadto dobrze, do czego zdolni są zdesperowani głodni kmiecie.

– Żaden ze mnie anioł. – Wzruszyła ramionami. – Też mam dziecko, więc wiem, czym jest troska matki o to, by nie zabrakło mu chleba. Nie pamiętam takiej biedy – westchnęła ciężko. Jej blada twarz wyglądała jeszcze mizerniej niż zwykle, więc Trzos, domyślając się marnego samopoczucia dziedziczki, czym prędzej się z nią pożegnał, by mogła odpocząć.

Gdy plenipotent wyszedł, otuliła się szczelnie wełnianym szalem. Od kilku dni nie najlepiej się czuła. Trzęsło ją jak w febrze, bolał brzuch. Siłą woli powstrzymywała się od jęczenia i usiłowała normalnie funkcjonować. Ledwo wysiedziała z Prokopem. Celowo nie wypytywała o nic, nie zagadywała, nie proponowała herbaty, by czasami nie został choć chwilę dłużej, niż to było konieczne. Martwiła się, czy przypadkiem nie złapał jej tyfus, który siał znaczne spustoszenie

w Galicji. Poleciała niani, by miała oko na Maksymiliana i sprawdzała, czy nie dostaje gorączki. Sama nie chciała się zbliżyć do dziecka, by w razie czego nie zarazić go choróbskiem.

Poszła do sypialni i zadzwoniła na służącą.

– Helu, pomóż mi się rozebrać – poprosiła. – Niech Teodor jedzie do Wieliczki i sprowadzi doktora.

– Źle się pani czuje? – zmartwiła się pokojówka.

Przyjrzała się Żelechowskiej i stwierdziła, że faktycznie musi być z nią źle, gdyż mocno pobiła. Na twarzy dziewcziczki malował się wyraz ogromnego cierpienia. Gdy Helenka rozsznurowywała gorset, pani zacharczała, potem podbiegła do miski stojącej na toalecie. Ledwo zdążyła się pochylić, a zaraz zwróciła do niej całą treść żołądka. Kornelia przez dłuższy czas zmagala się z wymiotami. Hela czekała cierpliwie, raz po raz podając damie zwilżony wodą ręcznik, by otarła zroszoną potem twarz oraz usta, lecz gdy tylko pani go oddawała, ponownie wstrząsały nią torsje. Widać było, że mocno ją wycieńczyły: ślaniała się na nogach, w końcu opadła bezwładnie na stojący obok szeslong.

– Doktora, szybko – wyszeptała posiniałymi wargami.

Wyglądała upiornie, niczym trup, który powstał z mogiły.

Brzuch bolał ją tak, że nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Do krwi zagryzła zęby na dłoni zaciśniętej w pięść, by stłumić krzyk wzbierający w gardle.

Helenka przytomnie położyła na jej kolanach miskę. Wcześniej przelała zawartość do opróżnionego z wody dzbanka. Upewniła się, że może zostawić Żelechowską samą, i czym prędzej pobiegła, by wysłać służbę do Wieliczki. Martwiła się, że to może trwać bardzo długo, wszak do miasta był kawał drogi. No i jeszcze ci zbóje, którzy wciąż grasowali, łupiąc przejezdnych! Im niestraszna była nawet zaraza.

W czasie, gdy ona wydawała dyspozycje Teodorowi, Kornelia walczyła z niewyobrażalnym rżnięciem żołądka i gwałtownymi skurczami mięśni. Do wymiotów doszła jeszcze biegunka. Nieszczęsna

kobieta tak bardzo opadła z sił, że leżała na podłodze we własnych wydzielinach, wyjąc z bólu.

– O dobry Boże! – jęczała, gdy nadchodziły króciutkie chwile ulgi. – Wybacz mnie grzesznej, nie chcę umierać w takich straszliwych męczarniach.

Czuła nadchodzący kres. Przecież niemożliwym było znosić dłużej podobne cierpienie. Choroba postępowała gwałtownie, wykrzywiając twarz kobiety grymasem przerażenia.

Kornelia zwijała się z bólu, gryząc własną halkę. A potem przypominała sobie kaźń swoich dzieciaków i pozostałych członków rodziny.

– Słusznie mnie karzesz, Boże – łkała bezsilnie. – To ja sprowadziłam te wszystkie nieszczęścia na nich, bo modliłam się, abyś mnie uwolnił z rąk Tadeusza. Ale błagam cię, Panie w niebiosach, oszczędź mojego syneczka! Nie zsyłaj nieszczęścia na to niebożątko!

Po trzech godzinach nadszedł doktor, spowity w czarną opończę. Jego twarz przesłaniała złowroga maska z dziobem wypełnionym ziołami. Wystarczył mu tylko rzut oka na nienaturalnie bladą skórę, zapadnięte policzki i powieki, które połowicznie przykrywały gałki oczne. Ujął trupio zimną rękę chorej, obejrzał marmurową skórę, spod której przebijały wyraźnie żyłki. Spojrzał na pomarszczone wnętrza dłoni, wyglądające tak, jakby Żelechowska długi czas moczyła je w wodzie.

Choć Kornelia nic nie jadła i nie piła, wciąż targały nią torsje, a męcząca ją biegunka przypominała konsystencją wygotowaną ryżową papkę pozbawioną barwy.

– Cholera – stwierdził krótko. – To już agonia, tutaj nic nie pomoże. Nader szybko postępuje, skoro mówicie, że jeszcze przed południem pani Żelechowska o własnych siłach przyjmowała plenipotentą.

Służąca zaczęła w głos lamentować, błagać, by ratował dziedziczkę i dał jakieś panaceum pozostałym domownikom, lecz mężczyzna był bezradny. Próbował flebotomii, a gdy upuszczanie krwi nie pomogło,

przystawił jeszcze Żelechowskiej pijawki. Niestety, stan szlachcianki nie poprawiał się nawet odrobinę. Coraz częściej traciła przytomność, strasząc nieruchomymi białkami oczu, których nie były w stanie przykryć dziwnie skurczone powieki.

W końcu doktor odjechał, zostawiwszy jakąś miksturę i poleciwszy, by jak najwięcej poić dziedziczkę choćby samą wodą. Zmartwiona Hela została przy posłaniu Żelechowskiej. Przez zamknięte drzwi sypialni rozkazała niani, by wywiozła paniczka z domu. Wszystko jedno dokąd: do klasztoru, Parnickich albo choćby i do zagrody Trzosa. Byle z dala od chorej matki. Sama, choć przejęta była strachem o swoje zdrowie i życie, nie odstąpiła nawet na krok, posługując nieszczęśnicy.

– *Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko* – modliła się na głos. To znowuż odmawiała zdrowaśki.

Gdy pani uspokoiła się na chwilę, podeszła do sekretarzyka i pozwoliła sobie na drobną samowolę. Wygrzebała z szuflady arkusz papieru, otworzyła kałamarz i zanurzyła w nim pióro. Potem skreśliła kilka zdań, informując Wincentego o sytuacji.

Nie daj Boże, bym kogoś zaraziła – westchnęła, opuszczając sypialnię. Obudziła śpiącego Teodora i wysłała go do dworu Parnickich.

Nad ranem, gdy Hela z anielską cierpliwością przecierała twarz Żelechowskiej wilgotnym ręcznikiem, chora oprzytomniała na moment.

– Dobry Bóg cię wynagrodzi, żeś mnie nie porzuciła w złej godzinie. Niech pan Parnicki zaopiekuje się Maksymilianem – wycharczała ostatkiem sił w przerwach pomiędzy konwulsjami.

Antoni wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.

– Jak to nie żyje? – Podbiegł do Wincentego i złapał go za kołnierz.

Wstrząsnął sługą, jakby chciał na nim wymusić odwołanie słów, które właśnie padły. Przed nim jednym nie musiał się kryć z uczuciami.

Wierny lokaj doskonale wiedział o miłości Antoniego do *madame* Kornelii. Wszak to on swego czasu przeniósł liściki, w których umawiali się na schadzki. Potrafił dodać dwa do dwóch. Zachowywał dyskrecję przede wszystkim z lojalności wobec swego chlebodawcy. Ale istniał jeszcze jeden powód, dla którego po cichu sprzyjał tej nieszczęśliwej miłości. Od sześciu lat był żonaty z Helenką – służącą Żelechowskiej. Nie byłoby to możliwe, gdyby wciąż żył Tadeusz. Zamordowany dziedzic nie wyrażał zgody na ich małżeństwo, dopiero po jego śmierci mogli się pobrać, choć przez większą część czasu żyli na odległość: żona u pani Kornelii, on u Parnickich. Spotykali się zwykle w niedzielne popołudnia, gdyż wtedy obydwójce mieli wychodne. Nie dochowali się dzieci, być może przez nieregularność małżeńskiego pożycia, lecz i tak byli szczęśliwi. Gdy przyjechał umysłny od Żelechowskiej z zatrważającą nowiną, że *madame* cierpi na cholere, drżał ze strachu o swoją Helcię, bowiem to ona opiekowała się panią w chorobie. I to ona przysłała Teodora z hiobowymi wieściami, najpierw gdy Kornelia zapadła na zdrowiu, a potem gdy wydała ostatnie tchnienie. Te dwa bilety dotarły do niego w zatrważająco krótkim odstępie czasu.

– Przykro mi, jaśnie panie. Helcia właśnie mi to przysłała. – Podał Parnickiemu list skreślony drżącą dłonią, na którym kulfoniastymi literami napisane zostało jedno zdanie: „Przed południem skonała pani Kornelia Żelechowska”.

Antoni w osłupieniu spoglądał na liścik, wciąż nie dając wiary temu, że ostatecznie utracił jedyną miłość swego życia. Wraz z jej śmiercią umierała także nadzieja. Bo on wciąż karmił się złudzeniami, że pewnego dnia Kornelia zdejmie żałobną czerń, zakończy pokuty, które sobie wyznaczyła, i znowu zacznie udzielać się towarzysko. Nie, nie czekał, by ponownie rzuciła mu się w ramiona i stopiła z nim w jedno w rozgorzałym ogniu miłości. Wiedział, że póki żyje jego żona, Żelechowska nie dopuści go do siebie. Wszak z ogromną wdzięcznością wyrażała się o Cecylii i jej dobrym sercu, gdy na długie tygodnie po rzezi znalazła schronienie w dworze Parnickich. Podkreślała, jak ogromne

drećcą ją z tego powodu wyrzuty sumienia. I jak wielką damą w jej oczach okazała się Cecylia.

Cóż, nie był aż takim łajdakiem, by upatrywać szansy na własne szczęście w śmierci swej małżonki. Ale sama świadomość, że Kornelia jest wolna i nie wstąpiła ostatecznie do klasztoru, napawała go jakimś optymizmem.

Wstał i na chwiejnych nogach podszedł do stolika, na którym stały trunki. Ujął pierwszą z brzegu kryształową karafkę. Nie zadając sobie trudu przelewania zawartości do szklanki, pociągnął kilka łyków. Moc alkoholu na chwilę odebrała dech jego płucom. Gdy w końcu zaczerpnął powietrza, załkał niczym mały chłopiec. Byłby pewnie upadł na dywan, lecz przytomny sługa w porę złapał go w objęcia ramion. Antoni zawisł w nich na moment, wspierając ciężar swego ciała na Wincentym. Lokaj poklepał go po plecach, a następnie posadził w fotelu.

Jakże żałował Antoniego w tej ponurej godzinie!

Zapytał, czy może jakoś pomóc, usłużyć lub coś zrobić, lecz Antoni machnął ręką ze zniecierpliwieniem i polecił mu odejść.

Parnicki potrzebował samotności, by choć trochę przegryźć się z bólem. Ponieważ Żelechowska od lat żyła niczym mniszka, nie utrzymując kontaktów z nikim poza Trzosem, pomyślał, że sam powinien zająć się jej pogrzebem. A potem ponownie dopilnować wszelkich spraw majątkowych, plenipotencji udzielonych Prokopowi i podjąć jakąś decyzję co do przyszłości Maksymiliana.

Dobro tego chłopca leżało mu na sercu.

Kiedy dotarły do niego wieści, że Kornelia jest brzemienna, natychmiast pojechał do Staniątek i dotąd domagał się widzenia z Żelechowską, aż wpuszczono go na furkę. Zapytał wówczas wprost, czy nosi jego dziecko, lecz ona z wielkim zdecydowaniem zaprzeczyła. Powiedziała, że była przy nadziei wówczas, gdy mu uległa. I że ręczy za to głową, ponieważ jest kobietą, a kobiety po prostu wiedzą takie rzeczy. Uwierzył jej zapewnieniom, choć mimo wszystko wciąż drećczyła go myśl, że kochanka wprowadziła go w błąd celowo bądź nieumyślnie.

W ich świecie bastard nie miałby łatwego bytu. Gdyby Maksymilian okazał się synem Antoniego, zarówno malec, jak i jego matka zostaliby surowo napiętnowani. Ległby w gruzach świat nie tylko tych dwojga, ale również i Cecylii. Tak więc Antoni nie drążył tematu, przyjmując za pewnik słowa Żelechowskiej, którą otaczał szacunek połączony z głębokim współczuciem. Jej dziecko w oczach całej społeczności uchodziło za pogrobowca, a w przyszłości miało odziedziczyć podupadły majątek.

Tak, wątpliwości nie były wskazane w takiej sytuacji.

Nie dane mu było należyte pożegnanie ukochanej, gdyż zmarła, podobnie jak pozostałe ofiary epidemii, pogrzebano na Marudach. Przez kilka dni Antoni snuł się jak cień, usiłując załatwić wszystkie sprawy, które pozostały po nieboszczce. Wieczorami zamykał się w swojej sypialni, zdrowo pociągając. Czasami upijał się do nieprzytomności i jak stał, tak zasypiał – w ubraniu, ze zmiętą twarzą i szklanką burbona w dłoni. Na szczęście Wincenty wciąż nad nim czuwał, dbając, by każdego dnia jego pan mógł pokazać domownikom pozornie spokojne oblicze. To wierny sługa przygotowywał dla niego orzeźwiające kąpiele i pilnował, by nikt z domowników nie połapał się w sytuacji.

Czasami alkohol nie przechodził Antoniemu przez gardło. Te noce, gdy Parnicki pozostawał boleśnie wręcz trzeźwy, były zdecydowanie najgorsze. W takich chwilach tęsknota zdawała się rozdzierać jego duszę. Żałował, że to nie jego złożyła ta przeklęta cholera. Już wolałby gryźć ziemię, niż zmagać się z żałobą po Kornelii.

Mężczyzna odstawił szklankę z alkoholem na stolik. Nie pociągnął z niej nawet łyka. A choćby nawet, to któż mógłby mu zabronić wypicia we własnym domu odrobiny brandy?

Potrzebował ukojenia, bo na zapomnienie nie miał co liczyć.

Podszedł do lustra i spojrzał na swe poszarzałe odbicie. Wygładził szlafrok, przejechał dłonią po włosach. Po krótkim zawahaniu zdjął binde, którą z przyzwyczajenia wciąż zakładał do snu. A potem poszedł do sypialni Cecylii. Domyślał się, że wprawi ją w osłupienie, lecz zakładał, że nie zostanie odepchnięty przez żonę, choć dawno temu ją zapewnił, że więcej nie będzie jej niepokoił nocami.

Wiadomość o tragicznej śmierci Kornelii Żelechowskiej wstrząsnęła lokalną społecznością. Mimo obaw o przeniesienie zarazy do domu Antoni spełnił ostatnią wolę zmarłej i wziął do siebie chłopca. Mały początkowo był zdezorientowany i bardzo tęsknił za matką, lecz towarzystwo rówieśnika wpłynęło na niego kojąco. Szybko znalazł wspólny język z Juliuszem, razem spędzali czas na zabawach i stali się wręcz nierozłączni niczym bracia.

Cecylia przyjęła obecność malucha ze zrozumieniem. Wszak byli najbliższymi sąsiadami Żelechowskiej, dużo pomagali jej po śmierci bliskich i rabacji dworu. Gdy jeszcze Kornelia żyła, Parnicka nie odczuwała o nią zazdrości, ponieważ nie widziała ku temu podstaw. Wiecznie posępna, spowita w czerń wdowa nie mogła być dla niej rywalką. Wciąż pozostawała na uboczu i właściwie jedyne wieści, jakie mieli o niej Parniccy, przynosiła służba lub Prokop Trzos, który wciąż krążył pomiędzy własnym gospodarstwem a majątkami Żelechowskiej oraz Antoniego.

Zresztą Cecylia, pochłonięta swoim dzieckiem oraz kolejną, zupełnie niespodziewaną ciążą, nie miała głowy do tego, by wciąż zaprzętać sobie uwagę przypuszczalnymi zdradami.

Po kilku latach małżeństwa zdołała przywyknąć do panującego pomiędzy nimi kurtuazyjnego chłodu. Nawet jeśli Antoni miał kochanki, nie stanowiły dla niej zagrożenia. To ona była prawowitą małżonką, matką małego dziedzica. I ona nosiła pod sercem kolejną dziecinę. Z całą serdecznością zajmowała się osieroconym chłopcem,

nie szczędząc czułości Maksymiliankowi. Właściwie traktowała go tak samo jak swego Juliuszka, choć oczywiście mały Żelechowski tytułował ją nie matką, ale ciotką.

Drugim aktem miłosierdzia ze strony Cecylii było przygarnięcie Heleny. Choć w dworku Parnickich nie brakowało służby, postanowiła dać jej zajęcie, nie bacząc na protesty Gertrudy.

– Po co ją tutaj sprowadziłaś? – utyskiwała teściowa. – A co, jeśli razem z nią przyszła do domu zaraza? Przecież to ona pielęgnowała nieboszczkę w godzinie śmierci!

– Nie można zostawiać tej kobiety na pastwę losu. Na razie dałam jej zajęcie w gospodarstwie, nie pozwalam zaglądać na pokoje – odparła Cecylia.

– Ale to żona Wincentego! On może przenieść na nas cholere!

– No właśnie – podłapała synowa – żona naszego lokaja. Czy godzi się, by rozdzielać małżonków? Wszak ci dwoje od lat są po ślubie, a nie dane im było żyć razem. Co Bóg połączył... – urwała i spojrzała wymownie na Gertrudę.

Na takie dictum matrona zacisnęła usta w cienką, pełną gniewu kreskę, lecz na szczęście poniechała dalszej dyskusji. Cecylia odeszła, uśmiechając się pod nosem. Miała swoją małą, gorzką satysfakcję. W domu nareszcie zaczęto się z nią liczyć. Już nie była zbędnym bibelotem, mało atrakcyjną dekoracją salonu. Stawiała na swoim.

Choć sama nie była szczęśliwa w małżeństwie, bez wzajemności kochając Antoniego, rozumiała potrzeby innych. Trochę zazdrościła prostym ludziom, których nie trzymały w kajdanach konwenanse. Oni mogli dowolnie dysponować swym losem i ulegać uczuciom. Teraz, gdy zniesiono pańszczyznę, nikt nie decydował o chłopskich ożenkach, sami się swatali, choćby w odległych wioskach, nie potrzebując do tego pańskiej zgody.

Szalejąca epidemia cholery zbierała srogie żniwo, lecz Cecylia usiłowała zachowywać pogodę ducha. Czasami paraliżował ją strach, że również ona i jej bliscy umrą, lecz zaraza szczęśliwie omijała ich dom.

Zapadł zmierzch, gdy młodsza Parnicka odłożyła na bok robótkę. Niedokończony obrus miał w przyszłości trafić na ołtarz w Staniątkach, jako wotum dziękczynne za zdrowie bliskich.

– Czas na antidotum – oznajmiła i zadzwoniła po służbę.

Kilka minut później w salonie zgromadzili się wszyscy domownicy.

– Marto – zwróciła się do służącej – przynieś kieliszki. Jeszcze się nie nauczyłaś, że każdego dnia o tej porze zażywamy lek?

Pokojówka dygnęła, a po chwili wróciła z tacą pełną naczyń oraz pozostałymi niezbędnymi utensyliami.

Cecylia z namaszczeniem otworzyła puszkę, w której przechowywano pieprz. Ujęła srebrną łyżeczkę i do każdego kieliszka odmierzyła porcję przyprawy. Potem sięgnęła po flaszkę okowity. Dla dorosłych nalewała pełen kieliszek, dzieciom po połowie.

– Mamusiu ja nie chcę – skrzywił się Juliusz, który szczerze nie lubił przyrządzanej przez matkę mikstury.

Cecylia jednak była nieprzejeđnana. Odkąd Gustaw zdradził jej, jak cholerze zapobiegają Moskale, od razu wprowadziła w domu nowy zwyczaj. Zapobiegawczo każdego dnia wszyscy, łącznie z dziećmi i służbą, pili odrobinę gorzałki z pieprzem, która stanowiła ponoć najlepszy specyfik przeciwdziałający zachorowaniu. Alternatywą była kulczyba – tak zwane wronie oko, czyli roślina azjatycka, której nasiona zawierały strychninę, ewentualnie wyciąg z ciemżyzcy białej o silnie trujących właściwościach. Cecylia bała się eksperymentów z niebezpiecznymi ziołami, oceniła więc wódkę jako lepszy środek.

– Nie marudź, Juleczku! – skarciła chłopca. – Wypij do dna, natychmiast! Zobacz, jak Maksymilian ładnie uporał się ze swoim antidotum!

Osobiście pilnowała, by każdy z domowników wypił wszystko do ostatniej kropelki.

W tych smutnych czasach działała intuicyjnie. Trzymała się z dala od wsi, nie jeździła także do pobliskich Niepołomic. Dbała o to, by w domu dobrze się odżywiano. W jej odczuciu nie można było zrobić nic więcej. No i oczywiście pozostawała jeszcze modlitwa, czyli drugi zaprowadzony przez nią zwyczaj.

Gdy kieliszki zostały opróżnione, całą gromadą klękali: ramię w ramię – kobiety i mężczyźni, dorośli i dzieci, państwo i służba, by odmówić przebłagalny różaniec.

Odkąd Cecylia powiła Juliusza, Gertruda traktowała ją ze znacznie większą przychylnością, coraz częściej ustępując pola przy zarządzaniu dworem. Pozwalała więc młodej pani domu na wprowadzanie własnych rządów, choć jeszcze kilka lat temu skwitowałaby jej poczynania jakąś cierpką uwagą. Teraz w działaniach Cecylii upatrywano szansy na przetrwanie, szanowano więc jej rozkazy i dostosowywano się do nowych pomysłów. Miała więc Cecylia czas wypełniony po brzegi i głowę wiecznie zajętą sprawami gospodarczymi. Głód gnębiący od wielu lat ludność Galicji szczęśliwie omijał dom Parnickich, choć im także było nielekkko, a słabe plony z ostatnich kilku lat wymuszały znaczące oszczędności.

Może to i dobrze, że wzięliśmy kupcównę pod nasz dach – rozmyślała Gertruda, zerkając na pogrążoną w modlitwie synową. Kiedy przed laty Teofil zdecydował, że Antoni powinien ożenić się z pieniędzmi Zaleskich, podniosła protest, że nie godzi się, by szlachcic brał za żonę prostytutkę. Teraz jednak czuła, że może polegać na zdrowym rozsądku Cecylii.

Bernadeta niemalże każdego dnia przestrzegała Prokopa, by omijał wieś. Panicznie bała się zarazy, która bezlitośnie dziesiątkowała ludzi.

On jednak wciąż wypełniał swe powinności, doglądając majątku młodego panicza. Nieustannie był w ruchu, całe dnie spędzał poza domem. Gdy wracał, bywał tak zmęczony, że czasami zasypiał w izbie przy ławie, z głową ułożoną na rękach wspartych o blat.

– Pochoruje się z tego wszystkiego! – Załamywała ręce.

– Też się o niego martwię – westchnęła Maria.

– Ponoć cholera zabrała Adama Skoczylasa – bąknęła sneszka.

– Co ty mówisz? – zdziwiła się Maria, bowiem do niej żadne wieści na ten temat nie doszły.

– Ano tak. Ludzie gadają, że zmarł trzy dni po tym, jak mu Widłakowa obciąła kołtuna, ale ja w to nie wierzę – skomentowała.

– Niemożliwe... Po tylu latach ucięli to paskudztwo?

Betka przytaknęła.

– Tak. Moim zdaniem dawno powinien był to zrobić. Fe! Żeby hodować takie siedlisko smrodu i wszy? – Skrzywiła się z dezaprobatą.

– A jeżeli on umarł przez to, że za wcześnie się go pozbył? – Świekra skłaniała się ku przekonaniu, że taki kołtun nie powstaje bez przyczyny. I niejeden raz ganiła sneszkę za ciągle szczotkowanie i mycie włosów. Bała się, by z tego nie wyniknęło jakieś nieszczęście.

– Co też wygadujecie, mamó! Mnie świątobliwe siostrzyczki kładły w głowę, że trzeba dbać o czystość zarówno duszy, jak i ciała. Zresztą do diabła z kudłami tego nieszczęśnika, świeć Panie nad jego duszą! – Uczyniła pospiesznie znak krzyża. – Mnie się o Prokopa rozchodzi! Nie powinien tyle zadawać się z chłopami ze wsi. Jeszcze przyniesie do domu zarazę.

– Też mu to powtarzam. Biedak ciężko pracuje, goni ostatkiem sił. Mało ma roboty u siebie? Na co mu to? Koniecznie chce dorównać szlachcicom?

Budowa domu stanęła na razie w miejscu, ponieważ i Trzosom zajrzał w oczy niedostatek. Po kolejnym nieurodzajnym roku musieli wrócić do oszczędniejszego trybu życia. Choć Prokop zarabiał na

administrowaniu ziemią Żelechowskich, siłą rzeczy więcej wydawał na opłacanie robotników obrabiających jego łany. Gdy zachodziła potrzeba, zakasywał rękawy i pospołu z innymi wychodził w pole, by orać, siać i kosić. Wciąż był rozdarty pomiędzy wzrastającym pragnieniem, by wyrwać się z kmiecego stanu, a powinnościami wobec własnego gospodarstwa. Nie do każdej pracy mógł najać robotników. Zresztą strach było teraz chodzić między ludzi, bo kto wie, czy któryś z chłopów nie rozsiewa zarazy? Najpierw wioskę męczył tyfus, a po nim przyszło znacznie gorsze choróbsko.

Maria stęknęła, pochylając się nad maselnicą. Łupnęło ją nieprzyjemnie w krzyżu. Pogoda była nijaka, mglista, ponura, nic dziwnego, że rwało w kościach.

– Przez to malaryczne powietrze pleni się wszystko, co najgorsze.

– Zły to czas na rodzenie dzieci – labidziła Bernadeta, nosząca przed sobą pokaźny brzuch. Na trzeciego potomka oczekiwała z nie mniejszym utęsknieniem niż na poprzednią dwójkę, ale momentami dopadał ją paniczny strach, że zaraza zabierze jej aniołki do nieba. Przestała nawet posyłać Wojtusia do wiejskiej szkółki, by czasami nie przywłókł ze wsi jakiejś choroby. Wystarczyło już, że ubiegłego roku zachorował na tyfus, z którego na szczęście zdołała go wyleczyć stara Widłakowa.

– Ano zły. Nawet Żelechowskiej los nie oszczędził – westchnęła Maria.

Ubijanie masła szło jej niesporo. Jakoś szybciej ostatnio się męczyła. Coraz mniej obowiązków wypełniała w domu, cedując wiele prac czy to na Kachnę, czy na inne sługi. Gdy łupało ją w kościach, wciskała się na zapiecek koło starego Jakuba. Potrafili czasami przespać pół dnia lub przeleżeć, stękając na bolączki starości.

– Nie miała nieboga szczęścia w życiu – stwierdziła sneszka, zajęta skubaniem puchu. Nawet przy tej czynności trzeba było sobie radzić samotnie, gdyż strach przed zarazami trzymał ludzi w domach. Betka tęskniła za czasami, gdy całą gromadą zasiadały w izbie, drąc na strzępy gęsie piórka. Pisku nieraz było przy tym co niemiara, bo parobkowie

jakby umyślnie wpadali, gwałtownie rozwierając drzwi i podnosząc w górę białe obłoki. Ale czas na robocie mijał szybko i przyjemnie, gdy skracalo się go wspólnym śpiewem, przezbywankami albo chociaż plotkowaniem.

– Żebyś wiedziała, Bernadetko. Żebyś wiedziała. Jej pokojówka, Hela, ta, co ocalała z pogromu, straszne rzeczy opowiadała o tym, jak dziedzic traktował ślubną. Ponoć nawet jej nie żałował szpicruty. Helcia niejedną raz prała pokrwawione koszule pani Kornelii. Nieudane miała małżeństwo, które marnie się zakończyło. Oglądała rzeź własnych dzieci, a na ostatek sama umarła w nieludzkich męczarniach. Świeć Panie nad duszą dziedziczki. – Uniosła oczy w górę. – Nie daj, Boże, nikomu tak przykrego żywota.

– A nic nigdy nie było po niej widać, jak zajeżdżali z Żelechowskim na sumę do kościoła – przypomniła sobie młodsza gospodyni. – Zawsze uśmiechała się, wysiadając z karety, ładnie uczesana, ubrana w jedwabie. W życiu bym nie powiedziała, że tyle wycierpiała od pana Tadeusza.

– Prawdziwa dama, ot co. Tak ją nauczono, by niczego po sobie nie dawała poznać. Wszak nie wypada, by pani z dworu skarżyła się na brutalnego męża. To pasuje do biedoty mieszkającej pod dziurawymi strzechami, do chłopów chlejących po gospodach nawet wówczas, gdy w domu dzieciśka popiskują z głodu. Ale żeby u takich wytwornych ludzi, co to żyją wzniośle, spędzają czas na czytaniu książek i na poezjach? Nie, Betko. To się nie godziło!

– Dobrze, że ocalała z rzezi.

– Ano dobrze, bo rozszalały lud i ją by zamęczył. Nikt nie baczyłby na dobroć dziedziczki. Zresztą wtedy nie mówiło się o jej wielkoduszności, bo świętej pamięci Żelechowski nie pozwalał na wiele aktów miłosierdzia. Tak naprawdę pani Kornelia otwarła serce dla ludzi dopiero wówczas, gdy na powrót nastała we dworze. No! Lepiej późno niż wcale. Niech jej ziemia lekką będzie. Na pewno Święty Piotr jej to policzył, uchylając przed nią bramy raj.

Z sieni dobiegł hałas.

– My tu gadu, gadu, a to pewnie Prokop z pola wrócił! – pisnęła Bernadeta. – Kachna! Kachna! Trzeba jajecznicę usmażyć! – krzyknęła na komornicę, lecz ta gdzieś przepadła, pewnie poszła na wieczorne dojenie.

Rada nierada sama poczłapała do pieca, nakrywszy wcześniej szaflik z oskubanym pierzem chustą zrzucaną z ramion, by powiew przeciągu nie rozdmuchał puchu po izbach.

– Agnieszko – zwróciła się do córeczki, która cierpliwie jej we wszystkim pomagała – idź no do komory, przynieś kobiałkę z jajkami. Tylko uważaj, żebyś nie potłukła.

Sama wzięła nóż i kawał słoniny, by nakroić skwarków na rondel.

Córka grzecznie wyszła do sieni, lecz już po chwili dał się słyszeć jej krzyk. Wróciła drżąc i cała w strachu.

– Mamo! Tam jest strzyga! – załkała, tuląc się w fartuch Bernadety.

– Co ty bajesz, dziecino? – skarciła ją łagodnie matka. Chciała odsunąć córkę, lecz ta trzymała ją kurczowo, błagając, by nie wychodziła z izby.

Nawet Wojtuś siedzący do tej pory spokojnie nad elementarzem, z którego usiłował odcyfrowywać litery, myląc raz po raz b i d, uniósł głowę, zaciekawiony, i spojrzał ironicznie na siostrę.

– To ja pójde zobaczyć! – Zerwał się z ławy i ruszył w stronę sieni, skąd rzeczywiście dobiegały jakieś nieprzyjemne odgłosy, coś jakby jęki i nieludzkie charczenie.

Betka w ostatniej chwili złapała syna za koszulę i kazała mu zostać w izbie. Sama, choć nagle zdjęła ją wielka groza, poszła zlokalizować źródło dźwięków. Przezornie wzięła świeczkę, bo zapadał już wczesny zmierzch.

Na klepisku w sieni zobaczyła wijącą się z bólu Kachnę. Komornica wyglądała jak siedem nieszczęść: rozczochrana, skołtuniona leżała we własnych wymiocinach. A przecież przed południem prezentowała się

dość przyzwoicie, miała starannie zaplecione warkocze, chustkę na głowie i czysty przyodziewek, choć już wtedy narzekała, że nietęgo się czuje.

Komornica czy nie, pod dachem Bernadety musiała dbać o włosy i względną higienę. Betka wciąż ją ganiła za nieuczesane kudły lub nieupraną koszulę i pyskowała, że jak zarazi resztę domowników wszami, to wyleci z chałupy na zbity pysk. A Kachna, choć wiecznie urobiona była po łokcie, pilnowała narzuconej przez młodszą gospodynię dyscypliny. I choć nieraz zmęczenie pchało ją na siennik, zamiast się położyć, prała i łatała przyodziewek lub szczotkowała czuprynę.

– Kaško! Co ci? – krzyknęła Bernadeta, pochylając się nad sługą, co nie było łatwe, zważywszy na pękaty brzuch, który lada dzień miał wydać na świat kolejny owoc pożycia z Prokopem. W jej umyśle już powstawało przerażające przypuszczenie, widziała bowiem w chybottliwym świetle trupio błądą twarz i sine usta, z których ciągnął się śluz słodkawo woniejących wymiocin.

– Matuchno Bolesna! – ryknęła za jej plecami Maria. – Michał! Bartek! – jęła zwoływać parobków. – Niech no któryś z was w try miga leci po Widłakową! A ty z dala mi od zarazy! – Szarpnęła synową za ramię.

Bernadeta powstała ze stęknieniem.

– Ady nie można tej biduli tak zostawiać. Trzeba ją zanieść do komory, niech se legnie na sienniku. Cebrzyk podstawić, by nie ufajdała wszystkiego – dyrygowwała.

– Już ja tam wiem, co mam robić! – ofuknęła ją świekra, wpychając siłą do izby. – Zajmij się dziatwą, niech mi się nie kręca przy chorej!

Zaraz zaczęła pokrzykiwać na służbę, by pomogli jej przy Kachnie. Mamrotała pod nosem zdrowaški, błagając Staniątecką Panią o litość i zachowanie reszty domowników w dobrym zdrowiu, lecz padł na nią błądy strach, wiedziała bowiem, że w domach, do których dotarła zaraza, nigdy nie kończyło się na jednym truchle.

Pomoc Widłakowej na niewiele się zdała. Znachorka okadziła Kachnę ziołami, nacięła jej żyły na przedramieniu, by upuścić złej krwi – słyszała, że podobną sztuczkę stosują nawet wykształceni medycy, lecz jej starania spełzły na niczym. Komornica z bólu gryzła posłanie, drapała własne ciało pazurami do krwi i jęczała niczym dziki zwierzę z głębi puszczy. Cierpiała tak okrutnie, że Maria zaczęła błagać Boga, by zabrał niebogę do siebie, skracając jak najszybciej jej męki.

Magda i Bronka, czyli dwie pozostałe dziewczki zamieszkujące w komorze z Kachną, na czas jej choroby uciekły do stodoły na siano, woląc chłody wiosennych nocy niż przebywanie z umierającą chorą służką.

Następnego dnia Jakub zaczął narzekać na bóle brzucha. Latał co chwilę za potrzebą, a po kilku godzinach pojawiły się torsje. Po nim zachorowała Agnieszka, wpędzając Bernadetę w bezgraniczną rozpacz. Świekra siłą odciągała brzemienną kobietę od posłania chorej córeczki. Kachna zgasła po kilku dniach zwijania się z bólu. Dziewczynka męczyła się znacznie krócej. Najdłużej trzymał się Jakub, widąc zahartowany trudami życia organizm próbował zwalczyć zarazę.

Całą trójkę złożono na cmentarzu „cholerycznym” pod lasem, na piaszczystym wzniesieniu zwanym Marudami. Grzebano tam wszystkie ofiary epidemii.

Zdruzgotana Bernadeta nie mogła nawet wziąć udziału w pochówku teścia oraz córki, sama bowiem dostała mocnych skurczów. Wpadła w panikę, że i ją dopadła zaraza, lecz okazało się, że na świat pcha się maleństwo, nic sobie nie robiąc z czyhającego nań zagrożenia. Maria wprawdzie od razu posłała Michała po akuszerkę, lecz nim Czopowa dała się namówić na przyjście do chałupy Trzosów i przyczłapała, niosąc ze sobą pęki ziół, Betka z pomocą świekry zdążyła powić chłopczyka.

– Chłop jak dąb! – rozczuliła się nad nim babka, nie pokazując po sobie, jak bardzo lęka się zarówno o to nowe życie, jak i o wycieńczoną

porodem sneszkę. Mały Zygmus faktycznie wyglądał krzepko, ale czy miał szansę na przeżycie w domu, w którym wiodła prym niecna zaraza?

Nawet Prokop nie poszedł do gospody, by pić z ziomkami pępkówkę, choć powszechnie wiadomym było, że gorzałka z pieprzem przeciwdziała chorobie. Mimo że cholera szalała w okolicy, chętnych na kurowanie się okowitą nie brakowało. On jednak siedział z posępną miną w izbie przy posłaniu żony i przebierał w palcach ziarenka różańca.

Bernadeta, jak nigdy wcześniej, spędziła po porodzie cały tydzień w łóżku, płacząc na przemian i śpiąc. Nawet gdy zapadała w sen, nie pozwalała, by zabierano od niej Zygmunta. Powierzała go wyłącznie Marii i tylko w tych chwilach, gdy sama musiała wstać za potrzebą. Serce pękało jej z rozpaczy po utracie córeczki, nie potrafiła należycie radować się narodzinami synka. Bała się go pokochać, by nie cierpieć po raz wtóry, gdyby zabrała go śmierć, i bała się spuścić go z oczu choćby na moment, by w tym czasie nie umarł.

– Człowiek nawet godnie nie pożegnał bliskich – łkała na samą myśl o tym, że jej ukochana córeczka leży w jakimś odległym miejscu, a nie na cmentarzu parafialnym. Była zbyt osłabiona, by pójść na grób własnego dziecka i tam odmówić modlitwę za niewinną duszyczkę.

Świekra jednak nie pozwalała jej opuszczać izby i wręcz przymuszała położnicę do solidnego odpoczynku, choć dotkliwie odczuwała brak dwóch par rąk do pracy w obejściu.

Przyroda budziła się do życia na przekór zarazie pustoszącej okoliczne wioski. Po malarycznych dniach nastała wreszcie ciepła, słoneczna wiosna. Cecylia spacerowała po parku, rozkoszując się piękną pogodą. Lada dzień powinna wydać na świat swoje drugie dziecko – maleńki cud, iskierkę nadziei. Wzrastające pod jej sercem dzieciątko było

największym darem, jaki otrzymała ostatnio od losu. Odkąd bowiem powiła Juliusza, mąż nie zaglądał do jej sypialni. Wieczorne wizyty ustały z chwilą, gdy oznajmiła mu, że jest brzemienna. Przez całe lata żyli nie ze sobą, lecz obok siebie.

Cecylia dawno temu pogodziła się z myślą, że mąż jej nie kocha. Nie próbowała dociekać, w czyich ramionach odnajduje to, czego nie zaznawał w małżeństwie. Wołała bezpieczną nieświadomość. Znacznie ważniejszy od zdrad był szacunek, jakim była przez niego otaczana.

Zaskakujące było to, że jedna wspólnie spędzona noc zaowocowała pęczniejącym brzuchem. Może była w tym wszystkim jakaś determinacja matki natury, która koniecznie chciała powoływać na świat dzieci, jakby na złość kostusze zbierającej żniwo? Śmierć wciąż ścierała się z życiem i właśnie ono wciąż zwyciężało – na przekór biedzie, chorobom i beznadziei zniewolonego narodu.

Dziecko poruszyło się gwałtownie, wywołując niezbyt przyjemne doznanie. Towarzysząca Cecylii panna Kownacka od razu zauważyła, że coś jest nie tak.

– Nie powinnaś się przemęczać, Cecylio – stwierdziła, ujmując ją pod rękę. – W twoim stanie należy się oszczędzać i zbierać siły na rozwiązanie.

– Ach... Justynko! To nic takiego – odparła rezolutnie brzemienna. – A zresztą skąd możesz wiedzieć, czego potrzebuje kobieta w stanie błogosławionym, skoro sama jesteś panienką?

Justyna zwiesiła ramiona. Nie lubiła, gdy wypominano jej staropanieństwo, nawet jeśli w słowach Cecylii nie było jawnej złośliwości.

– Wszyscy o tym wiedzą – oznajmiła. – Proszę, wracajmy do dworu. Nie będę w stanie ci pomóc, jeśli tutaj dzieciątko zechce przyjść na świat. W domu jest służba – perswadowała – zawsze można posłać po akuszerkę.

– Och... Moja kochana! Gdyby mnie tutaj wzięło, podniosłabyś takie larum, że momentalnie zleciałby się cały dwór. Daj mi się nacieszyć

przechadzką. Kto wie, kiedy następny raz dane mi będzie rozkoszować się bliskością kwiatów, posłuchać śpiewu ptactwa i popatrzeć w błękit nieba? Myślisz, że widok z okna sypialni zastąpi mi to, co nas tutaj otacza? – Zatoczyła krąg dłonią uzbrojoną w umbrelkę.

– Jesteś niewiarygodnie uparta – zachnęła się rezydentka. – Ciocia Gertruda powiedziałaaby dokładnie to samo!

– Tak, bo moja kochana świekra panicznie boi się najłżejszych powiewów wiatru. Lekki przeciąg wywołuje u niej migrenę. Odrobina świeżego powietrza przyprawia ją o łupanie w kościach. Woli spędzać czas w salonie, okutana w ciepły szal. Ja tymczasem, moja miła Justynko, potrzebuję choćby chwili spaceru. Lepiej się wówczas czuję. Zresztą gdybyś spojrzała na pierwszą lepszą chłopkę, wiedziałabyś, o co mi chodzi. One rano idą w pole, by grabić siano lub pracować przy żniwach. W południe powijają dzieciaczki, a po chwili znowu wracają pomiędzy zagony. Nie cackają się ze sobą, są w ciągłym ruchu. Zapewne właśnie dlatego łatwiej znoszą wszelkie trudy natury kobiecej.

– Ależ Cecyljo! – wykrzyknęła zgorszona Kownacka, w odpowiedzi na jej słowa. – Co ty mówisz? Porównywać szlachcianki z chłopkami? Przecież każdy wie, że prostaczki mają silniejszą budowę. Są grubokościste, żylaste, twarde... To oczywiste, że mają więcej sił witalnych niż jakakolwiek znana mi dama! Och... Jak dobrze, że ciocia tego nie słyszy! Przyprawiłabyś ją o palpitację serca!

– Wiem i dlatego nie głoszę przy niej moich teorii. Ale lubię obserwować świat i wyciągać własne wnioski – skwitowała. – A teraz chodźmy już do domu, bo faktycznie gotowa jestem tutaj powić maleństwo.

Następnego dnia rano przyszła na świat Filomena. Ku zgorszeniu Kownackiej, dziewczynka urodziła się nadspodziewanie szybko, bez komplikacji, nie sprawiając matce większych boleści.

– Nic dziwnego – stwierdziła później Justyna. – Przecież to kupcówna! Szlachetnie urodzona dama musi się bardziej męczyć, bo takie delikatne zostałyśmy stworzone.

Kiedy w końcu Bernadeta nabrała sił i wstała z łóżka, zaskoczyła ją martwota chałupy. Dopiero teraz zauważyła, jak mocno w tym czasie postarzała się świekra, spowita żałobnym kirem. Już nie dobiegało stękanie z zapiecka, nie było się z kim przezbywać. Nikt z niej nie kpił, że zamiast iść do obory, traci czas na wypiekanie leśnioków. Brakowało starego Jakuba, lecz po stokroć większą pustkę pozostawiła po sobie Agnieszka, jej mała, rezolutna gosposia.

Mimo że w domu zawsze był huk zajęć i Betka nie mogła narzekać na nudę, żadna, nawet najmozolniejsza praca nie przyćmiewała bólu po utracie córeczki. Młoda gospodyni mechanicznie wykonywała wszystkie powinności, pracując za dwoje, bowiem po śmierci Kachny nie znalazła się żadna sługa na jej miejsce. Trzy zgony w krótkim czasie skutecznie odstraszały ludzi i nawet największa nędza i głód nie były w stanie pokonać bariery strachu przed śmiercią w okrutnych męczarniach. Na szczęście nikt więcej nie zachorował, pozostali domownicy dobrze się trzymali, choć każde pogorszenie samopoczucia od razu wzbudzało podejrzenia.

– Córúś, córúś. A nie rozpaczajże już tak, moje dziecko.

Maria przytuliła do piersi synową, która ni z tego, ni z owego zaniósł się żalosnym płaczem. Snęszkę wciąż opanowywały takie napady rozpaczy. Nikt nie rozumiał jej lepiej niż świekra, która sama pochowała trzy ukochane córki. I choć doświadczała ogromnego bólu z powodu niespodziewanego wdowieństwa oraz utraty wnuczki, znajdowała w sobie dość siły, by przynajmniej próbować ukoić cierpienie Bernadety. Znała już dobrze jej naturę, wiedziała, że młoda przeżywa wszystko w dwójnásób, zupełnie jakby nosiła w sobie znacznie więcej emocji niż przeciętny człowiek. Każda jej radość była intensywniejsza

niż u innych, zaraźliwa i porywająca, a każda rozpacz tak głęboka, jakby na świecie nie było innych tragedii.

– Kiedy mi się cknę za Agniesią – wyłkała Betka. – Moja mała córuchna, mój aniołeczek. Serce mi pęka, gdy wspominam, jakie to było dobre i kochane dziecko. Jakie mądre!

– Mnie też żalność ściska – przyznała Maria, z trudem panując nad łzami.

– Wszystko przez tę klątwę!

– Jaką klątwę? O czym ty mówisz, dziecińco? – zdziwiła się świekra.

– Nie pamiętasz już, jak mnie Goczałowa przeklęła na targu w Niepołomicach? To ta wiedźma sprowadziła na nas nieszczęście!

Maria przeżegnała się nabożnie.

– Wypluj te słowa, Betko! – skarciła synową. – To żadna klątwa. Bóg dał, Bóg zabrał. Trzeba się z tym pogodzić, choć boli, jakby kto żywym ogniem przypiekał.

– No właśnie: Bóg zabrał! Przecież ta franca wyraźnie mi zapowiedziała, że każde dziecko oddam Bogu albo szatanowi! O ja nieszczęsna! – zawyla.

Teściowa jęła ją uspokajać i przemawiać do rozsądku. Przypomniała młodej, jak to się wyprawiała na Studzieniec i zobaczyła w cudownym źródle odbicie monstrancji. Dotąd powtarzała swe słowa, aż Bernadeta przestała mówić o klątwie. Żalność jednak nie mijała.

– I tej niebogi Kachny szkoda, za którą nikt prócz nas nie uronił choćby łzy. Dobra z niej była dziewczucha, robotna i miła, choć flejtuch. A ile razy spojrzę na zapiecek, to aż mnie w piersiach coś szarpie! Już wołałam, gdy ojciec stękał, kwękał, gdy się ze mną przezbywał, że ino leśnioki mi w głowie. Ja tego nie wytrzymam, matulu! Nie wytrzymam! – zawodziła. – Okrutna kostucha, musiała wyciągnąć łapy po naszych bliskich?

Śmierć wciąż zbierała żniwo, ujmując z ziemskiego padołu kolejne dusze. Urastało to do liczb tak dużych, że nawet solidnie wykształcona

Bernadetka nie była w stanie ogarnąć ich umysłem. Życie jednak wciąż wygrywało, telepiąc się w wygłodzonych ludziach.

Po kilku tygodniach od ataku cholery do chaty Trzosów przybłąkała się uboga kobiecina. Podobno pochodziła aż spod Rzeszowa. Łaziła po prośbie, mając się każdego zajęcia, które jej powierzono. Wychudzona była i brudna, że aż strach, i patrząc na Gienkę, Prokop szczerze powątpiewał, czy to chuchro poradzi sobie choćby z dojeniem, nie mówiąc o oporządzaniu stajni. Żal mu się jednak zrobiło niebogi, więc na próbę odesłał ją do krów, nadmieniając, że za dobrze wykonaną pracę może liczyć na posiłek do syta. A potem się zobaczy. Ku jego przyjemnemu zaskoczeniu, robota wręcz paliła jej się w rękach. Gienka wysprzątała bydło tak, że miało niemalże równie czysto jak w chacie. Ucieszył się więc, że Bernadeta zyska choć odrobinę wyręki, i zabrał babinę do domu. Utyłane toto było, że aż strach, czuć ją było na odległość i krowim łajnem, i innymi smrodami. Włosy miała skołtunione, a odzież tak lichą, jakby służyła przez całe wieki niejednej kobiecie. Trudno było rozeznaczyć, ile może mieć lat, wyglądała na staruszkę.

– A cóżeś to za kocmołucha mi tutaj sprowadził! – pisnęła na jej widok żona.

– Baba do roboty w oborze. Trzeba ją nakarmić, bo dobrze się spisała.

– Nakarmić? – prychnęła. – Przede wszystkim umyć, zanim wszy nas od niej obleżą! Ino na podwórzu – utyskiwała, nic sobie nie robiąc z przerażonego spojrzenia nieznajomej. Potem zwróciła się bezpośrednio do przybłądy: – Tu jest cebrzyk i kostka mydła. Uciągnij se wody ze studni. A nie pokazuj mi się na oczy, nim się cała nie wyszorujesz, łącznie z kudłami. Jak wstydzisz się parobków, możesz iść do stajni lub stodoły. A jeśli boisz się wody i mydła, to fora ze dwora! – warknęła zaciekle. – U mnie żaden brudas nie zagrzeje miejsca. No... Co tak na mnie patrzysz? Dam ci zaraz czysty przyodziewek i grzebień – obiecała nieco łagodniej.

W komorze wciąż leżały łachy po Kasi, dość porządne, czyste i przede wszystkim całe. Bernadeta po minie męża widziała, że będzie chciał zatrzymać w obejściu tego stracha na wróble, więc od razu postanowiła nauczyć ją porządku.

Po solidnym szorowaniu umorusaniec okazał się miłą dla oka, choć strasznie wymorzoną głodem dziewczką. Włosy nawet po umyciu pozostały skołtunione, widać było łożące po nich wszy.

– Trudno, trza je będzie uciąć – zawyrokowała młoda gospodyni, na co dzierlatka uderzyła w bek.

– Ale to się nie godzi! Ludzie będą gadać, żem czarownica albo wszetecznicą. Do kościoła mnie nie wpuszczą! – Łkała żałośnie, pociągając nosem, aż buczało.

– Ludzkie gadanie to żaden problem. Nikt cię tutaj nie zna. A jeśli pójdziesz do kościoła ze mną, to nikt ci na drodze nie stanie – odparła gospodyni. – Jeśli chcesz tutaj zostać, musisz obciąć kołtuny. Z tym, co masz na łbie, nie puszczę cię przez próg domu.

W głosie Trzosowej była tak wielka stanowczość, że dziewczyna nie próbowała się więcej targować. Pragnęła tutaj zostać, choćby za pracę miała dostać tylko miskę strawy i schronienie. Głód wykręcał jej kiszkę tak bardzo, że przed oczami goniły ciemne plątki.

Bernadeta kazała jej poczekać na podwórzu. Przyniosła z domu zydel i ciężkie nożyce. A potem osobiście, choć z grymasem wielkiego obrzydzenia na twarzy, dokonała postrzyżyn. Cięła włosy bezlitośnie, przy samej skórze, nie bacząc na łyse placki, które pozostawały w miejscu obciętych kłaków. Aż ją trzęsło na widok tłustych wszy, łożących pomiędzy pozostałą szczecina.

– Magda! – zakrzyknęła na jedną z dziewczek posługujących w obejściu. – Przynieś no miksturę z rozmarynu na wszy i jakąś starą płachtę do owinięcia głowy.

Dopiero po dokonaniu wszystkich niezbędnych czynności, gdy stare szmaty Gienki wraz z jej zawszonymi włosami zostały spalone, Betka najpierw solidnie wyszorowała ręce i wytrzepała swą odzież, a następnie wzięła dziewczuchę do kuchni, gdzie pozwoliła jej usiąść na ławie. Osobiście podała na stół kartofle szcudrze polane skwarkami, a do tego kubek zsiadłego mleka.

– Nie spiesz się – napomniała Gienkę, widząc jej wygłodniałe spojrzenie i drżące z niecierpliwości dłonie. – U nas nikt nie głoduje. Jedz powoli, żeby cię brzuch nie rozboleł.

W dowód prawdziwości swych słów, także naląła sobie mleka, a na dodatek wyjęła z kredensu kukielkę, którą przekroiła na trzy kawałki. Jeden dała Wojtusowi, drugi sama nadgryzła, a trzeci podsunęła obcej.

Jedzenie błyskawicznie zniknęło z miski. Pod srogim okiem gospodyni dziewczyna musiała się mocno pilnować, by nie spożywać łapczywie.

– O włosy już nie bucz, bo odrosną. – Bernadeta usiłowała pocieszyć pociągającą nosem Gienkę. – Dam ci trochę nafty, żebyś mogła nacierać skórę, to szybciej wyhodujesz nowe warkocze, choćby i takie jak ja mam – oznajmiła.

Dziewczyna spojrzała z zachwytem na długie kosy wypływające spod modrej chusty w kwiatki, zawiązanej na karku. Gospodyni wyglądała zdrowo, krzepko i włosy miała niczym panienka: widocznie nie dała im sobie obciąć podczas oczepin. Albo jak dama z dworu, choć te ostatnie nie nosiły chust, ale kapelusze bądź czepce, i zamiast zaplatać warkocze, układały sobie fantazyjne fryzury.

– Ile masz lat? – zagadnęła Bernadeta, gdy pierwszy głód został zaspokojony.

– Na Świętego Marcina będzie piętnaście.

Prokopowa obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Właściwie trudno jej było jednoznacznie stwierdzić, czy taki wiek pasuje do tej osóbk. Twarz miała znacznie starszą, sponiewieraną, wysuszoną, oczy i policzki zapadnięte, zęby nieładne, poczerniałe. Drobniutka postura i chude ramionka sugerowały niemalże dziewczynkę. Wrażenie potęgowała

chuda, niemal płaska klatka piersiowa i chłopięce biodra. Ciuchy po Kachnie wisały na niej jak na strachu na wróble.

– Skąd droga wiedzie?

– Spod Rzeszowa. Pół roku już będzie, jak uciekłam z domu.

– Jak to: uciekłaś? – zdziwiła się Trzosowa.

– A bo u nas taka nędza nastąpiła, że aż strach. Najpierw matula wygnała z chałupy moją siostrę, Nastusię. Ona miała cztery lata i była bezużyteczna. Jadła, ale nie mieliśmy z niej pożytku, bo nie nadawała się do roboty.

– O dobry Boże! – jęknęła Betka, przypominając sobie własną, niewiele starszą kruszynę. – Jak można wypędzić z domu rodzone dziecko?

– Ale pani gospodyni, myśmy naprawdę osychali! – mówiła z przejęciem dziewczyna, jakby fakt, że dziecko zostało wyrzucone na tułaczkę i pewną śmierć, nie zrobił na niej żadnego wrażenia. – Zaraza zniszczyła zboże i ziemniaki. Przez kilka lat prawieśmy nie mieli plonów. Głód był taki, że jedliśmy ugotowaną lebiodę i pokrzywy. Aby upiec chleb, mełliśmy korę. W listopadzie zmarł mój tato. Zabrał go tyfus, a prócz niego jeszcze dwóch moich braci. Zostałyśmy w chałupie już tylko we dwie. Dwa tygodnie później matula powiła Zojkę, która była tak słaba, że ledwo kwiliła. Mama nie miała pokarmu, wiedziała, że to dziecko i tak umrze. W nocy, gdy myślała, że śpię, wyjęła Zojkę z kołyski. Tulila ją przez chwilę do piersi, płacząc. Lulała, śpiewała kołysanki... Głaskała po główce... Widziałam to wszystko, bo nie mogłam spać, tak mi kiszkę wykręcało z głodu. I nagle mama położyła Zojkę na stole. Wyrwała siekierę z pniaka, na którym zawsze ciupała polana do pieca. Podeszła do ławy... – słowa dziewczyny rwały się, jakby brakowało jej tchu. – Wzięła zamach i odcięła główkę malej. Wyskoczyłam z łóżka, bo chciałam ją powstrzymać. Olaboga! Jak ja na nią krzyczałam! Matula wyglądała wtedy strasznie, jak jaka czarownica, i była wniebogłosy, aż żem się przelekła, by i mnie nie ciupnęła toporkiem. A jak się trochę uspokoiła, powiedziała, że to ostatnia szansa

na nasze przeżycie. I że mięsa oraz rosółu z Zojki wystarczy nam na kilka dni.

Głęboko wstrząśnięta Bernadeta spoglądała na Gienię z otwartymi ustami. W głowie nie mogła jej się pomieścić zasłyszana historia. Spojrzała ze współczuciem na siedzącą przed nią nieszczęśnicę.

– Robotę w gospodarstwie znasz? – zapytała zdławionym głosem.

– Tak, psze pani. Wszystko robiłam na folwarku u pana Tęczyńskiego, gdzie chodziłam na służbę, póki nie wypowiedzieli mi miejsca z braku pieniędzy. Potrafię zadbać o krowy i o drób, bywałam przy sianie, żniwach i wykopkach. Umiem wyplatać kosze z wikliny, zamiesić ciasto na chleb i wszystko to, co każda kobieta ma do zrobienia w domu – zaczęła się wychwalać, choć patrząc na nią, trudno było dać wiarę jej słowom. Nie wyglądała na kogoś, kto ma choćby odrobinę sił do pracy.

– A szycie?

– Poradzę sobie i z igłą.

– Szukasz miejsca na stałe? – upewniła się Trzosowa.

Odpowiedziało jej energiczne kiwanie głową.

– No dobrze. Widziałas w sieni wejście do komory? Będiesz tam spać z dwoma innymi dziewczuchami. Kiedyś mieszkała w niej jeszcze Kachna, lecz Bóg ją zabrał do nieba. Zostało po niej trochę łachów, więc możesz ich używać. Ino masz je do siebie jakoś dopasować, by mi nie straszyć parobków. Kudły, jak odrosną, trzeba czesać każdego dnia, podobnie myć ręce i nogi. U mnie w domu to obowiązek. Będzie dobrze, zobaczysz.

Dziewczyna ze szlochem rzuciła się do jej stóp, zaczęła ją obłapiać za kolana, całować po rękach, dziękując, lecz Bernadeta ujęła Gienię pod ramię i uniosła stanowczym gestem.

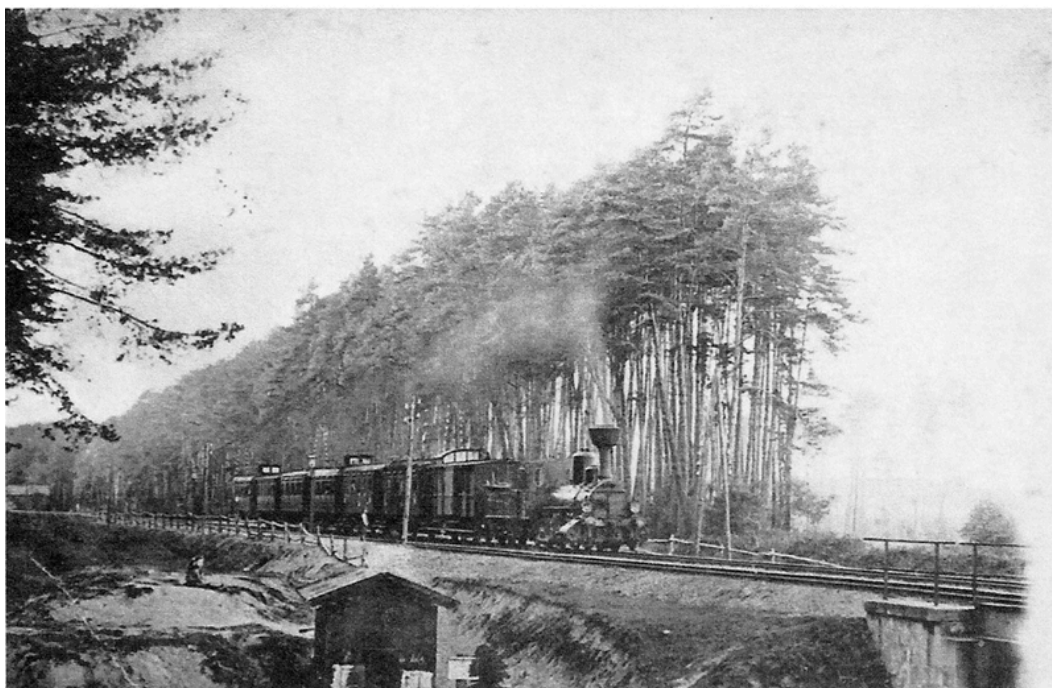
– Podziękujesz mi swoją pracą. Dostaniesz kąt do spania i strawę. Prokop co jakiś czas da ci pewnie parę krajcarów. Roboty będziesz miała sporo, bo jak widzisz, gospodarstwo mamy duże.

– Niech was Bóg wynagrodzi, łaskawa pani, za dobre serce!

– My też swoje przecierpieliśmy – oznajmiła Betka. – Cholera nie oszczędziła naszych bliskich. Da Bóg, razem doczekamy lepszych czasów.

ROZDZIAŁ 8.

DIABELSKIE
SPRAWKI



Parowóz jadący przez Puszcę Niepołomicką

Rok 1854

Słyszałem, że będą u was budować kolej – rzucił Zaleski.

Mimo że Cecylia coraz więcej czasu spędzała wraz z dziećmi w Krakowie, Gustaw regularnie zaglądał do dworku Parnickich. Lubili się ze szwagrem, więc to jego przede wszystkim wizytował, choć gnała go tam również chęć ujżenia Eulalii. Cóż, gdy od jej zamążpójścia przed rokiem rzadko miewał okazję, by zobaczyć tę uroczą trzpiotkę. Sam wciąż pozostawał kawalerem, choć skończył trzydzieści dziewięć lat. Jakoś nie potrafił się zdecydować na żadną z licznie swatanych mu panien. Właściwie nawet nieszczególnie miał na to czas, ponieważ życie upływało mu w ciągłych rozjazdach. Robił różne interesy, pomnażając rodzinną fortunę. Miał do tego niebywałą smykałkę oraz intuicję. Ponadto wciąż pełnił rolę emisariusza, przygotowując rodaków do zrywu narodowościowego. Choć kilka lat wstecz naród nie zjednoczył się, by stanąć do walki, a wielu spiskowców zostało pojmanych, Polacy wciąż wierzyli w odzyskanie niepodległości, zwierali szyki, gromadzili fundusze i wyczekiwali odpowiedniego momentu. Siłą rzeczy głód, nędza i plagi nękające ludność stawały na przeszkodzie buntownikom, lecz każdy wierzył, że nadejdzie dzień, gdy mieszkańcy wszystkich trzech zaborów powstaną z kolan i zrzucą jarzmo.

Na razie Gustaw mniej zajmował się sprawami ogółu, więcej prywatnymi, wietrząc kolejny interes.

– Tak, coś o tym słyszałem. Byłem nawet na sesji Rady Miejskiej, podczas której mieszkańcy Niepołomic podnieśli protest.

– A to czemu? – spytał zaskoczony Gustaw, delikatnie zaciągając się dymem z cygara.

– Niepołomiczanie nie chcą hałaśliwych parowozów w mieście, związanego z nimi smrodu i uciążliwości.

– Bzdura! – stwierdził Zaleski. – Ty sobie zdajesz sprawę, ile korzyści niosłoby ze sobą solidne połączenie Niepołomic z samym tylko Krakowem? Nie wspominając już o otwarciu tej sennej miejsciny na świat! Kolej to nowoczesność! Przyszłość transportu. I nie czarujmy się, pieniądze tak duże, że trudno to sobie wyobrazić – mówił zapalczywie.

– Zaiste, też tak uważam. Cóż, gdy moi ziomkowie mają zgola odmienny punkt widzenia! Nie kwapią się, by iść z duchem czasu, a postęp, tak na dobrą sprawę, wzbudza lęk.

– Postępu nic nie zatrzyma – zauważył Gustaw. – Na naszych oczach świat rozwija się i ulega zmianom. A wszystko po to, by ludziom żyło się lepiej. Wszak to postęp w przemyśle na wielką skalę sprawia, że można produkować więcej i taniej.

– Zgadzam się z tobą, ale nic nie zaradzę na mentalność prowincjuszy, którym wszystko przeszkadza. O ile wiem, po burzliwych naradach uzgodniono, że linia kolejowa zamiast przez Niepołomice, pobiegnie z Krakowa do Podłęża, a dalej Staniątkami i Szarowem, hen daleko w świat. Minie rynek niepołomicki o jakieś pół mili i będzie oddzielona puszcza.

– Dobrze i to – ocenił Gustaw. – Wystarczy, by pomiędzy najbliższą stacją a miastem powstał wygodny trakt. Ale gdyby mocniej zastanowić się nad tą kwestią... Staniątki są na południe od Niepołomic, prawda?

– Tak mniej więcej. A czemu pytasz?

– No widzisz... Szkoda, że jednak rajcowie nie zdecydowali się puścić linii kolejowej z drugiej strony miasta, choćby przy samej Wiśle. Wszak rzeka służy do transportu towarów. Byłoby więc tam wyborne miejsce przeładunkowe.

– Może i tak, ale nasza Wisielka lubi kaprysić i często wylewa. Zabierzów Bocheński czy Wola Batorska często stoją pod wodą.

– Ale przecież usypano wały. Trzeba porobić groble, jazy, nadać rzece odpowiedni bieg i spróbować ją ujarzmić. A gdyby obok powstała linia kolejowa, to Niepołomice stałyby się doskonałym ośrodkiem handlu międzynarodowego. Bo mielibyście połączenie i z Krakowem,

i z Wiedniem, i zapewne z pobliską Wieliczką. Bacz na solne żupy! To dopiero kapitał i interes! No i wszakże zaraz za Wisłą jest komora celna, a dalej stoją Moskale. To otwierałoby drogę na wschód, bardzo potrzebną!

Antoni z podziwem spoglądał na szwagra. Jego sposób myślenia nie pierwszy raz mu zaimponował. Sam nie spoglądał na świat aż tak perspektywicznie. Widział własne tu i teraz, ubolewał nad trudną sytuacją gospodarczą kraju, trząsał się nad majątkiem, który w ostatnich latach nie dawał zbyt dużych przychodów. Obligacje rządowe, które otrzymał za włości utracone na rzecz chłopów, niewiele były warte. Podobnie mikre przychody osiągał z gruntów wydzierżawionych kmieciom.

Nic więc dziwnego, że Gustaw wciąż pomnażał swoje bogactwa, skoro dostrzegał to, na co inni z uporem zamykali oczy, przedkładając spokój i dotychczasowy porządek nad jakieś drobne niedogodności.

– Wiesz... Dobrze mówisz. A przecież kolej to nie tylko transport towarów. Gdy pomyślę, jak ułatwiłaby dojazdy do Krakowa! Pewnie byłoby znacznie bezpieczniej, bez narażania się na ataki rozbójników z Kokotowa czy gdzie tam te diabły rogate faktycznie urzędują. Oni chyba przekazują fach zbójceki z ojca na syna, bo już długie lata nękają okolicę i nikt jakoś nie zaprowadza z nimi porządku. Nawet Austriacy nie kwapią się, by coś z tym fantem zrobić.

– A jakież oni mają w tym interes? – prychnął szurzy, z żalem dusząc niedopałek w popielnicy. Cygaro było wyborne, kubańskie, prawdziwy zamorski rarytas. – Dałbym głowę, że od nich banda trzyma się z daleka. Łupią tylko chłopów, ewentualnie szlachtę, która się wyprawia samotnie, bez zabierania obstawy.

– Mniej więcej. Byłbym spokojniejszy, gdyby Cecylia z dziećmi miała bezpieczny środek transportu. Sam wiesz, że już od dawna mnóstwo czasu spędza w Krakowie. Właściwie wciąż kursuje między domem a miastem. No i jeszcze tak sobie myślę, że pewnego dnia Juliusz i Maksymilian będą potrzebowali czegoś więcej niż domowe nauczanie,

zechcą pójść do szkół, by zdobywać wykształcenie. Taka kolej wiele by uprościła.

– Ha! To ja mam, drogi szwagrze, pewną wizję. Pomyśl o tym, by przystąpić ze mną i paroma godnymi zaufania osobami do spółki. Chcemy świadczyć usługi na rzecz planowanej budowy. Z całą pewnością będzie to przedsięwzięcie na wielką skalę. Potrzebne będą podkłady kolejowe i stal, i kruszywo! Do tego budynki, no... całe zaplecze!

– Jest o czym pomyśleć – stwierdził z ostrożnym optymizmem Antoni.

– Dobrze. W takim razie wyłożę ci mój pomysł, a ty spokojnie go sobie przemyśl. Jak podejmiesz decyzję, daj mi znać.

Po wyjeździe Gustawa, któremu jak zwykle spieszyło się w dalszą drogę, Antoni kazał siodłać konia. Poczciwy Śmigły już swoje odsłużył, teraz szlachcic jeździł na karym ogierze o imieniu Dragon. Parnicki pocwalał nim po swych ziemiach.

Wiosna ukwieciła okoliczne łąki, zboża zaczynały rozwijać kłosa. Dobrze było pognać przed siebie pod błękitem nieba, po ojcowiznie, która z dziada pradziada karmiła jego ród.

Wizja roztoczona przez Zaleskiego oznaczała radykalne zmiany w jego życiu. Oto zamiast ziemianinem, mógłby zostać człowiekiem interesu. Nie kupcem i nie do końca finansistą, lecz kimś, kto żyje nadarzającymi się okazjami.

Czy jest gotowy na tak rewolucyjne posunięcie?

W gruncie rzeczy dla Antoniego była to wyborna koncepcja. Kilka lat temu pochował ojca, który zgasł nagle, niczym płomyk świecy zdmuchnięty powiewem wiatru. Teofil nie chorował na nic szczególnego poza podagrą, nie złożyła go cholera ani tyfus. Po prostu przeżył swoje. Parnicki, który już wcześniej samodzielnie podejmował decyzje związane z prowadzeniem majątku, teraz zyskał do niego wyłączne prawa. Matka bowiem scedowała na niego zarządzanie swoją

częścią, uznając, że jedyny syn będzie potrafił należycie zadbać o ojcowiznę.

Sęk w tym, że odkąd uwłaszczono chłopów i została zniesiona pańszczyzna, przychody Antoniego znacząco spadły. Bo nie dość, że część gruntów z dnia na dzień przeszła na własność ludu, to jeszcze musiał im wypłacać dniówki za robotę. I o ile dawniej to on służył radą Prokopowi, o tyle w nowej rzeczywistości role uległy odwróceniu.

Dziwna była ta komitywa szlachcica z kmieciem, nieważne, że ów kmieć niewiele mu teraz ustępował areałem, bowiem w przeciwieństwie do Antoniego w ostatnich latach Trzos znacznie zyskał, dokupując ziemi i budując w końcu upragniony przez Bernadetę dworek. Daleko mu było jeszcze do prawdziwej szlachty, lecz sam o sobie zaczynał mawiać, że jest ziemianinem. Parnicki szczerze go podziwiał i wierzył, że każde następne pokolenie Trzosów będzie rosło w potęgę, nabierało ogłady salonowej i zacierało różnice społeczne, które wciąż dzieliły ten ród od mocno zubożałej galicyjskiej szlachty.

A niech to! – westchnął w duchu, galopując wzdłuż ciemnej linii lasu. *Kiedys nie do pomyślenia było, aby pan przestawał z prostytutkami tak jak ja z Prokopem. Wyszedłem poza utarte schematy. Może teraz przyszedł czas na posunięcia bardziej radykalne? By w następnym pokoleniu nie okazało się, że szlachetnie urodzeni Parniccy żyją na poziomie o wiele niższym i uboższym niż dzisiejsi, rosnący w potęgę, chłopci.*

Trochę żałował, że Cecylia tak się wzdraga przed wizytą u Trzosów. Zapraszali ją już kilkakrotnie, lecz ku jego niezadowoleniu zawsze znajdowała sobie wymówki, by z nim nie pojechać. Kiedyś nawet zapytał ją wprost, czy nimi pogardza, lecz stanowczo zaprzeczyła. Powiedziała wręcz, że ceni ich i szanuje.

Nie wiedział, że w rzeczywistości chodziło o zwyczajną ludzką zazdrość. Cecylia nigdy nie pozbyła się podejrzeń, że mąż zdradzał ją właśnie z Trzosową. W związku z tym nie miała pojęcia, jak spojrzeć w oczy potencjalnej rywalce. I nie była w stanie zaręczyć, czy w którymś momencie nie zdradzi się ze swoimi podejrzeniami.

Rok 1858

Linia kolejowa przybliżyła okoliczne wioski do świata. Po jakimś czasie okazało się, że dobrze byłoby jednak, gdyby również bezpośrednio do Niepołomic można było dowozić towary koleją, a i ludziom ułatwiłaby życie możliwość wygodnego przemieszczania się do Wieliczki lub Krakowa. Ostatecznie wybudowano jednotorową odnogę wiodącą z Podłęża. Transportowano nią przede wszystkim sól z kopalni w Wieliczce.

Antoni, widząc, jak majątek zaczyna mu topnieć, posłuchał rady Gustawa. Sprzedał część ziemi Trzosowi, a trochę mu wydzierżawił, zostawiając sobie kilka łąnów. Nawet las nie oparł się reformom, ponieważ dziedzic postanowił sprzedać drzewo na podkłady kolejowe. Wbrew protestom okolicznych chłopów, którzy uważali, że im także należą się pożytki z lasu, znacząco przetrzebiono należący do Parnickiego drzewostan. Gertruda, nawet jeśli rewolucje syna wzbudzały w niej jakieś lęki, niczego nie dawała mu odczuć. Zresztą wychodziła z założenia, że niebawem dołączy do Teofila. A póki nie brakowało pieniędzy na zbytki, nie wносиła zastrzeżeń.

Dzięki tym posunięciom Antoni mógł wypłacić posag Eulalii, która od pięciu lat była szczęśliwą mężatką. Tak więc wszyscy byli zadowoleni, a najbardziej chyba Cecylia, gdyż teraz częściej mogła widywać się z bratem oraz rodzicami. Spędzała całe tygodnie w Krakowie, ciesząc się z miejskich przyjemności, chadzając do teatru, na wystawy i na herbatki do niegdyśszych przyjaciółek. Zabierała ze sobą Juliusza, Filomenę oraz Maksymiliana Żelechowskiego, który był dla niej niemalże jak rodzony syn. Cieszyło ją, że chłopcy są ze sobą zżyci niczym bracia. Już planowała dla nich wspaniałą przyszłość i myślała, by posłać ich obydwu do najlepszych szkół. Koniecznie w mieście! Na razie

paniczom wystarczał guwerner, którego siłą rzeczy musiała ze sobą zabierać do Krakowa.

Każdego dnia skoro świt matka bezlitośnie zdzierała pierzynę z Wojtka. Pilnowała, by solidnie się umył – ba, sprawdzała czystość uszu i szyi, włożył porządne ubranie, a następnie powędrował do Niepołomic, gdzie uczęszczał do szkoły. Bardzo sobie na to krzywdował. Zdecydowanie wolałby chodzić do najbliższej wioski, gdzie nauczyciel nie stawiałby mu tak wielkich wymagań jak ten niepołomicki. Na miejscu nauczono by go prostych rachunków i liter, które matka od najmłodszych lat bez większego efektu kładła mu w głowę. Tymczasem musiał poznawać również historię, przyrodę i geografę.

Jedynym plusem byli nowi koledzy, gdyż do Niepołomic uczęszczali chłopcy nie tylko z miasteczka, ale z całej okolicy. Za to dyscyplina była znacznie większa, Wojtek miał porównanie, gdyż edukację zaczynał właśnie w owej miejscowej, jednoklasowej szkółce, gromadzącej kmieci dzieciaki w sporym przekroju wiekowym.

Za to po lekcjach zawsze można było trochę zamarudzić i zobaczyć, jak musztrują się jęgrzy, polecieć nad Wisłę i popatrzeć na przepływające nią barki i parostatki albo usiąść na stacji kolejowej i wyczekiwać przyjazdu lub odjazdu pociągu.

Parowozy stanowiły ogromną atrakcję! Wielkie, hałaśliwe, buchające kłębami pary. Czuć od nich było smar i palony węgiel. Miały w sobie niesamowitą moc i wzbudzały respekt, gdy ciągnęły ciężkie wagony z towarem bądź ludźmi.

– Jak będę dorosły, zostanę kolejarzem – stwierdził Wojtek pewnego dnia, gdy wraz z kolegami ze szkoły siedzieli na peronie, obserwując wielką maszynę, której zbiorniki właśnie napełniano wodą.

– No! Każdy by chciał! – westchnął Mietek Kurdziel, krępy ryży chłopaczek, wpatrzony w Wojtka niczym w obraz.

– Chcieć to móc – skwitował młody Trzos. – Ojciec mi to zawsze powtarza. Sam chciał być wielkim panem i jemu się udało. A ja chcę prowadzić taką lokomotywę i mnie także się uda. Bo jak się zawezmę, to postawię na swoim.

Piątka chłopaków zaczęła żywo rozprawiać o swoich marzeniach. Nagle się okazało, że każdy z nich duma o tym samym.

Dzień był skwarny, czerwcowy. Powietrze tężało gorącem i wibrowało przed oczami młokosów, rozmazując potężny parowóz, z którego wyskoczył maszynista ubrany w elegancki mundur. Mężczyzna zerknął na zegarek z dewizką i rozpiął guziki służbowej kurtki. Zdjął z głowy czapkę, przetarł kraciastą chustą spocone czoło. Zamiast na głowę, wcisnął nakrycie pod pachę i ruszył wolnym krokiem ku zabudowaniom stacyjnym. Potem jednak zmienił zamiar, zawrócił bowiem i zostawił czapkę oraz bluzę w lokomotywie. Dopiero wtedy poszedł we wcześniej obranym kierunku.

– Ej, chłopaki! Widzieliście? – zapytał podekscytowany Wojtek.

– No... Zostawił mundur i kaszkiet – bąknął Mietek, niepewny, czy o to chodziło koledze.

– A zostawił. Kurczę! Jakbym ja tę czapkę zdobył! – rozmarzył się Trzos, zerkając w stronę budynków.

Mechanik, który sprawdzał koła specjalnym młotkiem, odszedł na drugą stronę składu. Na stacji, jak chyba nigdy wcześniej, nie było ruchu.

– Chłopaki, jakby co, to zagwiźdźcie – rzucił Wojtek i w te pędy podbiegł do maszyny. Sprawnie niczym kot wspiał się po metalowych stopniach, a potem podciągnął do uchylonego okienka. Zajrzał do wnętrza i zauważył, że przedmiot pożądania znajduje się na wyciągnięcie ręki. Wystarczyła tylko odrobina wysiłku i dotknął czapki czubkami palców.

Czwórka jego kolegów patrzyła na to z zapartym tchem. Byli tak przejęci, że nawet nie spojrzeli w kierunku budynku, w którym zniknął maszynista.

Wojtkowi jednak dopisywało szczęście, bo już po chwili z czapką wciśniętą pod bluzę gnał z powrotem na ławkę.

– Chodu, chłopaki! Trzeba uciekać! – sapnął przejęty Mietek, lecz Trzos zaskoczył go, łapiąc za rękę i usadzając w miejscu.

– Nigdzie nie uciekajmy, bo wtedy sprawa będzie jasna i to na nas padnie podejrzenie. Maszynista nas tutaj widział. Bez trudu zgadnie, żeśmy są ze szkoły. Jeszcze gotów lecieć na skargę do dyrektora.

– No to co zrobimy? – zapytał przerażony kolega.

– Spokojnie, biorę to na siebie. Trzeba będzie coś nałgać – oznajmił Trzos.

Kiedy kwadrans później kolejarz wrócił do maszyny, minął gromadkę chłopców.

– A wy co, łapserdaki? Nie powinniście wracać do domów? – zagaił wyraźnie odprężony.

– Czekamy na odjazd pociągu – oznajmił mocno piegowaty blondyn, najwyższy z całej grupy. – Specjalnie żeśmy po to przyszli, ale długo nie rusza, więc z nudów gramy w kamyki. Bo my lubimy kolej, psze pana. I każdy chciałby kiedyś prowadzić parowóz.

– No dobrze, dobrze. Ino żebyście nie podchodzili bliżej – pouczył ich mężczyzna, pęczniejąc z dumy, że dla grona wyrostków jest kimś w rodzaju bohatera. – A czego siedzicie na bruku? Wiem, że ciepło, ale niedobrze tak, bo jeszcze który wilka złapie i kłopot dla matki gotowy.

– E tam! Jesteśmy przyzwyczajeni!

Odszedł. Teraz chłopcy nawet na chwilę nie spuszczały go z oczu. Widzieli, jak otwiera drzwi kabiny, sięga po kurtkę, by ją włożyć, a potem szuka czegoś coraz bardziej nerwowo. Po chwili zeskoczył z lokomotywy i zaczął się rozglądać. Podeszedł znowu do chłopców bawiących się kamyczkami.

– Nie jedzie pan? – zdziwił się piegus.

– Zaraz pojedę. Nie widzieliście, chłopcy, mojej czapki? Nie upuściłem jej przypadkowo?

– Nic nie widzieliśmy, psze pana! – zgodnie wykrzyknęli. – Zajęci byliśmy grą.

– Nikt się tutaj nie kręcił? – zapytał maszynista, lustrując nieco spłoszonych chłopaków baczным spojrzeniem. Żaden z nich nie miał podejrzenia wypchanej koszuli, wszyscy byli z gołymi głowami, a obok nich leżały porzucone kajety, tabliczki łupkowe i spięte paskami książki.

– No... Pies się kręcił – odparł ten sam młokos, zgarniając po omacku leżące przed nim kolorowe kamyki. – Taki duży kundel biegał, coś trzymał w pysku. Może znalazł czapkę? Gwizdaliśmy na niego, bo chcieliśmy zobaczyć, co ma, ale uciekł. Tam poleciał. – Wskazał palcem wały przy Wiśle, które przed laty usypano dla zabezpieczenia miasta oraz składu solnego należącego do rodziny Gniewińskich.

– A to pech! – jęknął maszynista, skrobiąc się po skroni. – I co: serio to mogła być moja czapka?

– No... Tak prawie na pewno – bąknął inny chłopak.

Zaraz poparła go cała grupka, zaczęli podawać szczegóły, że pies był duży, chudy i wyliniały. Że to, co trzymał w pysku, miało ciemny kolor i kawałek czegoś skórzanego, jakby daszka. I niech pan kolejarz pójdzie na wały, może gdzieś zobaczy kundla i jego zdobycz.

Zafrasowany mężczyzna ponownie zerknął na zegarek wydobyty z kieszonki w kamizelce, lecz czas nie pozwalał mu na gonienie za psem. Machnął więc niecierpliwie ręką i czym prędzej wrócił do maszyny, przy której już robił się ruch, bowiem przyszli jego pomocnicy zajmujący się ładowaniem węgla do kotła.

Chłopcy przerwali grę, lecz żaden nie wstał.

Odczekali cierpliwie, aż parowóz odjedzie, dopiero wtedy Trzos się ruszył, wyciągając spod siedzenia mocno sprasowaną czapkę. Na szczęście daszek nie ucierpiał zbyt mocno, podobnie jak całe nakrycie głowy. Na razie schował je za pazuchę i dał sygnał do odwrotu. A gdy całą gromadką odbiegli znaczący kawał drogi, triumfalnie wcisnął zdobycz na należne jej miejsce, wypolerowawszy wcześniej austriackiego orła i wytrzepawszy czapkę z kurzu.

Oczywiście kolejarski kaszkiet był nieco za duży, spadał mu na oczy, zatrzymując się na uszach. Ale dumny właściciel z zadowoleniem pędził przed siebie, naśladowując odgłos lokomotywy. Żałował, że nie będzie mógł pokazać czapki w domu. Ojciec raczej nie uwierzyłby, że ją znalazł, zaraz zaczęłyby się podejrzenia. Zygmuntowi też nie mógłby jej pokazać, bo mały na pewno wygadałby matce albo babci Marii. W Niepołomicach też nie będzie mógł jej nosić, bo kto wie, czy kolejarz przy następnym pobycie nie zgłosi landwójtowi, że mu zginęła. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko cieszyć się owym skarbem w samotności, podobnie jak innymi przedmiotami dobrze ukrytymi pod obłuzowaną podłogową deską.

– Daj przymierzyć! – dopominali się koledzy, więc łaskawie pozwolił, by choć przez chwilę każdy z nich poczuł się kolejarzem. Zaraz i tak rozbiegną się do domów, więc odzyska dla siebie wspaniałe trofeum. A na razie śmiali się do rozpuku, gdy wkładali kaszkiet z błyszczącym orzełkiem, wydymali policzki, posapując niczym parowozy, to gwizdząc na odjazd, to naśladowując pracę tłoków.

Potem rzeczywiście rozpierzchli się niczym spłoszone wróble. Trzos pognał przez puszcę w stronę Staniątek, by potem odbić w kierunku Dąbrowy.

Nim wszedł do środka, zostawił czapkę ukrytą w ogrodzie. Później ją przemyci do pokoju.

– Wojtuś! Skaranie boskie z tobą! – Babcia Maria załamała ręce na widok wnuka. – Gdzieżeś przepadł na tak długo? Mama z tatą liczyli, że pomożesz przy składaniu siana! Idzie na burzę.

– A parobków nie stało?

– Ano nie. Jak jest pilna robota, to nie ma mowy o szukaniu ludzi. Mieli jutro zwozić, ale jaskółki latają nisko, a to niechybny znak, że

przyjdzie deszcz. Nie było więc na co się oglądać. Zjedz coś i biegnij pomóc.

– Zaraz polecę na łąkę – bąknął, łapiąc pajdę chleba.

– Ino się najpierw przebierz, żebyś nie złachał szkolnej bluzy – pouczyła go babcia.

Sama chętnie poszłaby na łąkę jak za starych, dobrych czasów, ale sneszka zostawiła pod jej opieką swoją najmłodszą córkę, dwuletnią Weronickę. Bernadeta od dawna nie pozwalała świekrze ciężko pracować, mówiła, że od roboty w stajni i na polach ma komorników oraz parobków. A matula bardziej potrzebna jest w domu, by doglądała dzieciaków, gdy zachodzi konieczność.

Siedziała więc Maria z przyzwyczajenia w kuchni, bo do salonu jakoś nie przywykła, twierdząc, że nie dla niej wielkopańskie zwyczaje. Przyniosła sobie tutaj kołowrotek i niespiesznie przędła, zerkając na dziewczynkę bawiącą się grzecznie glinianym kogutkiem, którego kiedyś przywiózł jej Prokop z odpustu. Opowiadała przy tym wnuczce różne klechdy rodzinne, wierząc, że nawet taka malizna wiele rozumie i zapamięta na przyszłość.

Wojtek pobiegł w stronę ludzi uwijających się w polu. Matka z Gienką i paroma sługami ładowali w pośpiechu siano na dwa wozy drabiniaste, które na przemian odwoziły je do stodoły. Jednym powoził ojciec, drugim Bielak, parobek, który ostatnio wciąż zalecał się do Gieni.

Chłopak bez słowa zabrał się do pracy, z daleka kiwając głową do matki. Bernadeta posłała mu surowe spojrzenie. Nie bardzo rozumiał ten pośpiech, bo dzień był pogodny, ani jedna chmurka nie mąciła błękitu nieba, z którego wciąż lał się skwar, nie odpuszczając mimo późnego popołudnia.

Gienka, do której chłopak dołączył, energicznie rozbierała kolejne kopy, śmigając widłami z wprawą i energią wręcz niepasującą do jej

drobnej postury. Odkąd nastała u Trzosów, znacznie wyładniała. Wszystko dzięki Bernadecie, która solidnie ją odkarmiła, nie żałując pracowitej komornicy tłustego jadła, skwarków, słoniny. Zaokrągliła się więc przyjemnie, nabierając dość bujnych kobiecych kształtów, które to bardzo, ale to bardzo intrygowały Wojtka. I tylko wzrostem przypominała dziewczynkę, ponieważ już teraz młody Trzos jej dorównywał.

On sam pracował niespiesznie, bardziej niż robotą zajęty był krągłymi łydkami komornicy, które lypały nań spod brzegu podkaszanej spódnicy, oraz koszulą rozchełstaną na piersi, pokazującą dość głęboki rowek pomiędzy dwiema zacnymi wypukłościami.

– Aa! Siła nieczysta! Ratunku – rozległ się nagle donośny pisk Gienki.
– Diabeł! Szatan! Ratuście mnie, dobrzy ludzie!

Komornica podeszła przed momentem do kolejnej kopy i już miała wbijać w nią widły, gdy nagle owionął ją wiatr, choć powietrze wokół trwało ciężkie i całkowicie nieruchome. Siano zaczęło kręcić młynka, unosząc się coraz wyżej i szybciej. Ciemny tuman wirował psotnie, wpędzając dziewczynę w nabożny lęk. Biedula padła na kolana i zaczęła się modlić, by odegnać złego ducha. Tymczasem swawolne podmuchy podniosły całą stertę, zamotały ją kilka razy w powietrzu, by na ostatek porzucić ją na pobliskiej rozłożystej gruszy. Na łące zostało zaledwie parę wysuszonych źdźbeł.

– A nie lękajże się tak, Gieniu! – wykrzyknął Michał Bielak, bowiem pozostali parobkowie zwijali się ze śmiechu, uderzając dłońmi o uda, bądź trzymając się za brzuchy. – To żaden diabeł!

– No przecież na własne oczy widziałam, jak siano samo poleciało do góry! – wymamrotała przestraszona dziewczyna.

– Nie ma się czego bać – odezwała się Bernadeta, podchodząc bliżej. Odłożyła grabie i poklepała ulubioną służkę po ramieniu. – To nic takiego! To była tylko strala. Zabawiła się z naszym sianem i tyle ją widzieli.

– Strala? – powtórzyła za nią Gienka.

– Tak. Mała trąba powietrzna, która lubi nabroić przy takiej pogodzie jak dzisiaj. Ech... Trzeba się uwijać z robotą, bo na pewno będzie lało – westchnęła, zerkając na nisko latające jaskółki. – Nie bój się, Gieniu, tutaj często się to zdarza. Wiem, że można się wystraszyć, ale w tym nie ma żadnych nieczystych duchów – uspokoiła komornicę.

Dziewczyna podniosła widły, które przed momentem cisnęła na bok. Zerknęła na gruszę, potem na Trzosową.

– No i co teraz? – zapytała, zmartwiona. – Nikt tam nie sięgnie.

– Ano nikt. Nasza strata. Choćby który parobek wylazł na drzewo, to i tak siana nie zrzuci, bo jest na samym wierzchołku. Szkoda tylko gruszek, bo pewnie nie dojrzeją, a zgniją pod tą czapą – westchnęła gospodyni, gdyż z tego drzewa owoc zawsze najbardziej jej smakował i nie miał ani trochę kamienia.

Parobkowie rozeszli się do roboty. Betka także złapała grabie, by zbierać to, co pominięto widłami. Zajęta pracą, rozmyślała o tym, jak ważna w życiu Trzosów stała się ta umorusana dziewczyna, którą przed laty przygarnęła pod swój dach. Było z niej dużo wyręki. Nigdy nie krzywdowała sobie żadnej powinności, odwdzięczając się za okazane serce. Każdą rzecz wykonywała starannie, lecz nie opieszale. Czy to w stajni, czy w ogrodzie, czy na polach robota paliła jej się w rękach.

Bernadeta wiedziała, że Michał Bielak ma na nią oko. Zapewne będzie chciał się z nią żenić po żniwach, bo coś już wspominał na ten temat do Prokopa. Ojciec Michała, Jędrzej Bielak, miał nieduże gospodarstwo, składające się z ćwierci łana. Mieszkał w małej jednoizbowej chałupince, która przez sionkę graniczyła ze stajnią. Tymi samymi drzwiami przechodzili ludzie i krowa wyprowadzana na łąkę, a drób gonił po izbie. Prócz niego w lichym domku mieszkali jeszcze jego leciwi, schorowani rodzice, którzy jakimś cudem oparli się i tyfusowi, i późniejszej cholerze, oraz piątka dzieciaków. Bieda tam aż piszcziała, więc od dawien dawna wszyscy zdolni do roboty najmowali się na służbę u Prokopa.

Czy w tej nędznej chacie będzie Gieni lepiej niż w starym domu Trzosów? Teraz mieszkała tam wyłącznie służba. Po przeprowadzce do murowanki zamożni kmiecie oddali dom w całości komornikom. Gienia awansem przeniosła się z komory do mniejszej izby przylegającej do kuchni. Mieszkała w niej samotnie, jak jakaś królowa. Pozostałe dziewczki nadal zajmowały komórkę. W kuchni zwykle nocowali parobkowie. A w wielkiej izbie tłoczyła się czternastoosobowa, trzypokoleniowa rodzina Dylów – tych samych, którzy niegdyś pracowali dla Żelechowskiego, lecz gdy kilka lat temu w czasie burzy spłonął ich dom, Prokop wziął ich do siebie. Teraz służyli Trzosom, bo i tak nie byli w stanie utrzymać się z małego poletka, które im przypadło w udziale po zniesieniu pańszczyzny. Bernadeta już przyuczała najmłodszą córkę Alojzego do służby w dworku.

Ech – rozmyślała gospodyni – dobrze byłoby, gdyby Gienia została przy nas. Gdzie jej będzie lepiej? Michał mógłby z nią zamieszkać. Mieliby na pewno wygodniej niż w tamtej biedzie z nędzą, gdzie tylko brud, wszy i głód.

Szkoda byłoby puszczać dziewczynę na poniewierkę. Czyściutka była, nie bała się myć, sumiennie o siebie dbała. Po sześciu latach spędzonych u Trzosów odrosły jej włosy i zrobiła się z niej ładna dziewczucha.

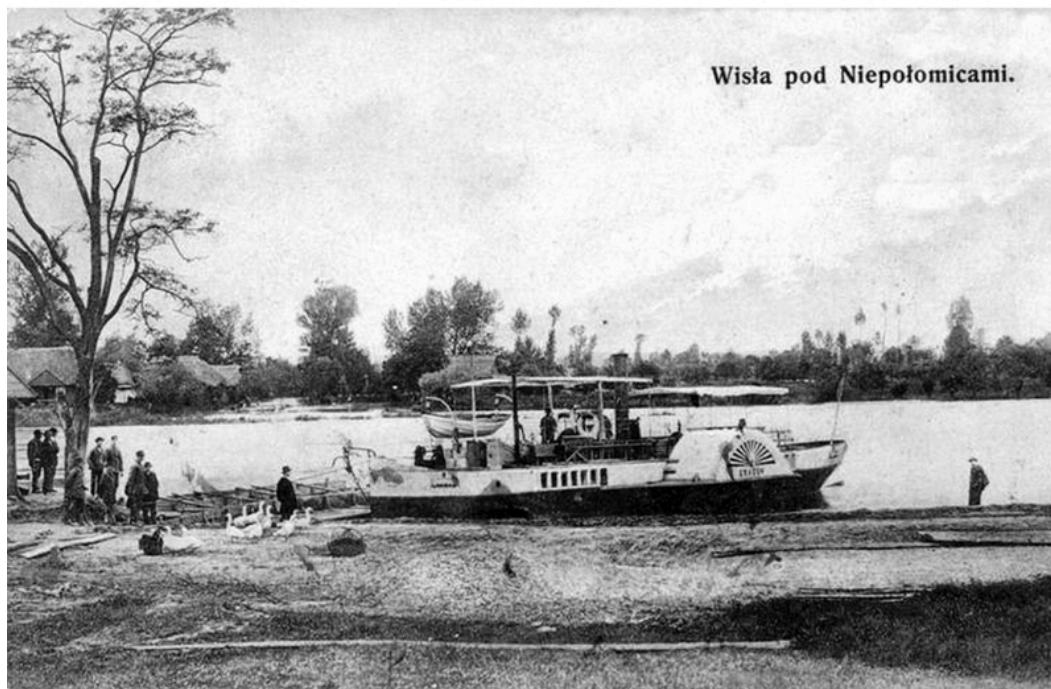
Tak, pogadam z Prokopem, żeby młodzi po zaślubinach zostali u nas. A Gieni w prezencie ślubnym, oprócz dwóch gąsek i kilku kurek, podaruję jeden z moich dawnych strojów krakowskich. Ino będziemy musiały poskracać spódnice, bo mała z niej drobina. Gorset powinien być dobry, najwyżej mocniej zaciągnie wstążkę na piersiach. Pójdzie do kościoła strojna jak pierwsza gospodyni we wsi – cieszyła się na samą myśl o szykowanej niespodziance.

Sama już dawno nie nosiła kmiecych przyodziewków. Sprawiała sobie trzy perkalikowe suknie na co dzień i dwie jedwabne od święta. Do tych ostatnich miała nawet modelujący figurę gorset, którego nie nosiło się na widoku, jak w przypadku stroju ludowego, ale pod ubraniem, oraz elegancki czepiec, zdobny w kwiaty i piórka. Gdy jechali z Prokopem do kościoła, zadawali szyku niczym prawdziwe ziemiaństwo, bo i mąż już nie wkładał sukmany i portek w białe-czerwone pasy, lecz od dawna

nosił surdut. No cóż, wyższa pozycja społeczna, którą z taką determinacją usiłowali osiągnąć, zobowiązywała do elegancji.

ROZDZIAŁ 9.

W PRZEDEDNIU
ZAWIERUCHY



Parowiec na Wiśle w okolicy Niepołomic

Rok 1862

Rok szkolny dobiegł końca. Dobrze było wrócić z Krakowa i pocwałować konno polami w miejsce, które kiedyś było domem.

Maksymilian Żelechowski zeskoczył z siwka podarowanego mu przez wuja Antoniego na piętnaste urodziny. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, by otworzyć bramę wjazdową. Pieszko przeszedł aleją, trzymając Silvera za uzdę. Uwiązał konia do niskiego płotka okalającego budynek. Przekręcił w zamku ciężki klucz. Drugi komplet posiadał Prokop Trzos, plenipotent zarządzający jego majątkiem i dbający o resztki niegdyś dostatniej ojcowizny. Trzeci pęk spoczywał w biurku wuja.

Oczywiście Parnicki nie był jego krewnym. Podobnie jak *madame* Cecylia, która od lat zastępowała mu matkę. Ci zacni ludzie przygarnęli go pod swój dach, otoczyli troskliwą opieką i stworzyli mu dom, w którym mógł bezpiecznie dorastać.

Zawdzięczał im tak wiele!

Wszedł w chłodną sień niewielkiego dworku, w którym kiedyś zapewne znowu zamieszka. Z nostalgią przeszedł przez opustoszałe pokoje. Wiedział, że raz na jakiś czas odkurza je i wietrzy dziewczka najęta przez Prokopa. Zimą palono w kominkach drzewem pochodzącym z części puszczy należącej do majątku Żelechowskich. Dzięki tym staraniom dwór nie popadł w ruinę, mimo że od dziesięciu lat stał pusty. Choć Maksymilianowi dobrze było u Parnickich, tęsknił zarówno za matką, jak i za tym pozornie surowym miejscem.

Mój dom. Moja ziemia. Moja puszcza – pomyślał młodzieniec, wyglądając przez okno salonu.

Sam dwór sprawiał osobliwie przygnębiające wrażenie. Nie było tutaj żadnych pamiątek rodzinnych. Ani jeden portret nie zdobił nagich ścian. Po ojcu, Tadeuszu Żelechowskim, nie została ani jedna sztuka broni. W części pomieszczeń w ogóle nie było mebli, ponieważ matka

spędziła tutaj tylko parę lat, żyjąc nader skromnie i cicho, korzystając z zaledwie trzech pokoi oraz kuchni i przylegającej do niej służbówki.

Tutaj miała sypialnię matka – wspominał, przechadzając się po domu. Po przeciwnej stronie mieszkał on i niania, którą pamiętał jak przez mgłę. Najczęściej przesiadywali w trójkę w niewielkiej bawialni. Matka spędzała z nim wiele godzin na zabawach i czytaniu bajek. Zdecydowanie więcej niż ciocia Cecylia, która pieczę nad nim, Juliuszem i Filomeną powierzyła guwernerom oraz bonie.

Dobrze znał dramatyczną historię swego rodu. Gdy był kilkuletnim chłopcem, często się odgrażał, że kiedy dorośnie, puści z dymem wioskę buntowników, by pomścić swoich krewnych. Wuj jednak mitygował jego zapędy, tłumacząc cierpliwie, że zemsta niczemu nie służy. Bo ani nie przywróci życia jego ojcu, rodzeństwu i innym osobom, ani nie sprawi, że poczuje się lepiej.

– Żyjesz, chłopcze – powiedział kiedyś Parnicki. – Już samo to stanowi wielki cud. Ty i twoja matka uszliście przed rabacją. To były trudne czasy, chłopci pragnęli wolności, bo byli wtedy naszymi niewolnikami. Pomyśl, Maksymilianie: czy chciałbyś urodzić się zniewolony? Za drobne przewinienie nosić kajdany i zbierać razy wymierzane batogiem? Pozostawać wciąż na czyichś usługach, zależny od pańskiego widzimisie?

– Nie – przyznał. – To byłoby straszne.

Później jeszcze gdzieś między wierszami usłyszał, że jego ojciec nie był aniołem. A gdy zaczął drążyć temat, Antoni dość powściągliwie przyznał, że choć o umarłych nie powinno się mówić źle, to niestety o Tadeuszu trudno byłoby powiedzieć coś pozytywnego. Bo o ile Kornelia zwana była przez włościan dobrą panią, to Żelechowski sam ściągnął na siebie gniew chłopów.

– Straszna bieda doskwierała wtedy kmieciom, synu – tłumaczył cierpliwie Parnicki. – Teraz jest znacznie łatwiej, choć nieborakom wciąż żyje się ciężko. Panował głód, bo to były wyjątkowo nieurodzajne lata. Mieliśmy zarazę, która niszczyła uprawy zbóż oraz ziemniaków. Po tej

pladze przychodziły inne, trzebiące ludzi. Tyfus i cholera wciąż dręczyły Galicję. Całe rodziny umierały jak nie z nędzy, to od chorób. Lepiej zapomnieć o tych strasznych wydarzeniach i odnaleźć w sercu wybaczenie.

Niełatwo było się z tym wszystkim pogodzić, gdy młoda gorąca krew burzyła się w żyłach. Mimo to Maksymilian przysiągł Antoniemu na prochy swej matki, że nigdy nie będzie szukał pomsty. Bo zdaniem wuja on został powołany do życia, a nie do tego, by nieść kolejne cierpienia i śmierć. Skoro cudem ocalał, najpierw przed rzezią, jeszcze będąc w łonie swej matki, a następnie uchronił się przed cholera, to musi docenić ten dar od losu. Do trzech razy sztuka – skoro śmierć dwukrotnie wyciągała po niego swe chciwe, kościste dłonie, nie powinien ryzykować, bo za trzecim razem może jej się nie wywinąć. A Kornelia na pewno pragnęła, by przeżył i przejął w przyszłości ojcowiznę. Być może jego życiową misją miało być zatarcie w pamięci lokalnej złych wspomnień o przodkach.

Dla szesnastolatka nie było to łatwe do udźwignięcia brzemię.

Na terenie Królestwa Polskiego znowu wrzało. Nie pomogło zniesienie przed sześcioma laty stanu wojennego ani ułaskawienie części zesłanych na Sybir. Car Aleksander II dostrzegał konieczność wprowadzenia reform, między innymi zlikwidowania pańszczyzny na terenach zaboru rosyjskiego. Opracowano więc projekt reform, które dawałyby wolność chłopom oraz możliwość nabywania ziemi za wieloletnie pożyczki. Szlachta miała otrzymać odszkodowania za utracone grunty. Wizje te zostały źle przyjęte przez społeczeństwo podburzane przez stronnictwo „czerwonych”, którzy mieli zupełnie inną koncepcję przemian – ich postulaty obejmowały uporządkowanie problemu pańszczyzny i uwłaszczenie chłopów, lecz bez wypłacania rekompensat szlachcie. W rezultacie ludzie wyszli na ulice Warszawy, demonstrując przeciwko projektom zmian. Doszło do krwawych starć,

a w następstwie, przed rokiem, ponownie ogłoszono stan wojenny. Echo tych wydarzeń docierało do Galicji.

Zaleski wciąż przywoził Parnickiemu niepokojące wieści, które jasno wskazywały na to, że niebawem pojawi się iskra zapalna, która wyprowadzi Polaków przeciwko zaborcom.

– Jest ciężko – mówił Gustaw, wciąż nieustrudzony w przewożeniu meldunków i rozkazów, krążący ostatnio głównie pomiędzy dwoma zaborami: rosyjskim i austriackim. – Mamy zbyt duży rozłam w społeczeństwie. „Czerwoni” ciągną na swoją stronę, podjudzając do powstania. Magnaci wierzą wyłącznie w pracę organiczną. A my, „biali”, stawiamy na dyplomację i manifestacje pokojowe. Liczymy na interwencję ze strony Anglików oraz Francuzów, szukamy u nich poparcia. Wolelibyśmy teraz uniknąć krwawych starć, nasze społeczeństwo jest w kiepskiej kondycji.

Siedzieli w jego gabinecie, ćmiąc cygara. Choć był listopad, za oknem już wirowały płatki pierwszego śniegu. Czy to oznaczało zapowiedź srogiej zimy?

– Tak, racja – przytaknął zafrasowany Antoni. – Za dużo tych podziałów.

– Moskał widzi, jak sami ze sobą nie możemy się porozumieć. Dla wroga to wymarzona sytuacja. Szpiedzy tylko jątrzą, by jeszcze bardziej nas ze sobą poróżnić.

– No tak. W Królestwie niewesoło.

– W Galicji nie lepiej – stwierdził szurzy. – Bieda z nędzą, brak dobrego gospodarza.

– Bo dla Wiednia jesteśmy tylko oddaloną prowincją, z której ciągnie się daniny, nie dając w zamian absolutnie nic. Chłopi niby zyskali wolność, ale co z tego? Płacą większe podatki i chyba w ogóle nie mają łżej. Moi niegdysiejsi kmiecie żalą się, że łatwiej im było, gdy służyli wyłącznie u mnie. A teraz dotyczy ich i dziesięcina na kościół, i podatek do kasy austriackiej, i służba wojskowa, i inne powinności.

– Twoi narzekają, bo byłeś wobec nich życzliwy, a w nowej rzeczywistości czują się zagubieni i niepewni jutra. Ale ilu było ciemniejszych, którzy jak Żelechowski pastwili się nad kmieciami?

– Racja. Takich jak Tadeusz nie brakowało. Ech... Może nie mamy równie ciężko jak pod panowaniem rosyjskim czy pruskim, bo mniejszy jest nacisk na obcą mowę. Wierzimy, że na uczelniach w Krakowie i Lwowie wkrótce usłyszymy język polski. Można rzec, że mieliśmy odrobinę szczęścia, gdy została zawarta ugoda, przyznająca nam autonomię – wspomniał o prawach uzyskanych przez Galicję, na mocy których region zyskał namiastkę swobód, a także pojawiła się szansa, by na Uniwersytecie Jagiellońskim przywrócono wykłady w języku ojczystym^[35]. – Tutaj nie czuje się tak mocno dążeń do tego, by nas wynarodowić, choć po powstaniu w czterdziestym szóstym zlikwidowano nawet tę namiastkę suwerenności, jaką mieliśmy w postaci Rzeczypospolitej Krakowskiej. Cóż z tego jednak, że możemy posługiwać się ojczystą mową, skoro jesteśmy bezdusznie drenowani podatkami i tak naprawdę nikt nie przejmuje się naszą gospodarką? To się nie zmieni, póki nie odzyskamy pełnej swobody – zakończył grobowym tonem Parnicki.

– Cała nadzieja w Kongresówce. Tam jest główne zarzewie buntu. Gdyby Warszawie udało się zrzucić carskie jarzmo, wówczas również i Galicja oraz Wielkopolska zyskałyby perspektywy na wolność.

– Daj Boże, by ten czas nastał jak najprędzej. I oby rodacy potrafili się wówczas skutecznie zjednoczyć.

– Podziały podziałami, ale może się zdarzyć, że wybije godzina próby, a wtedy trzeba będzie wznieść się ponad uprzedzenia. Niezbędna jest solidna mobilizacja.

– Jakie są potrzeby?

– Duże. Wciąż brak nam wszystkiego: uzbrojenia, koni, ludzi.

– Wiesz, że jak zajdzie konieczność, to stanę do walki – odparł Antoni.

Zaleski spojrzał na niego z zaskoczeniem. Nie przyjechał do szwagra, by werbować go w szeregi oddziałów powstańczych. Wszak Parnicki był już po pięćdziesiątce, a na wojnę z zaborcami przede wszystkim potrzebni byli młodzi ludzie.

– Nie! Co też ci przyszło do głowy? Cecylia by mi nie darowała, gdybym wmieszał cię w tę awanturę.

– Sam się wmieszam, bez twojego udziału – odparł spokojnie szwagier. – Nie powiodło się w czterdziestym szóstym, musi się teraz udać. Ślubowałem sobie, że jeśli tylko sił mi wystarczy, to pójdę z innymi. Nie jestem jeszcze zniedołężniały. Szablą potrafię nieźle wymachiwać, oko mam celne, rękę pewną. Moi chłopcy mają jeszcze mleko pod nosem, nie puszcze ich na poniewierkę. Oni muszą się uczyć, są przyszłością narodu. Nie próbuj mnie odwodzić – uprzedził stanowczym tonem.

– A Cecylia? – zmartwił się Zaleski.

– O nią się nie frasuj. Będzie dobrze zabezpieczona na przyszłość. W razie czego Prokop Trzos pomoże jej doglądać resztek gospodarstwa, bo w rzeczy samej przecież od dawna żyjemy za przychody ze spółki. Upoważniony prawnik będzie nad wszystkim czuwał – wyliczył jednym tchem, lecz Gustaw pokręcił głową.

– To oczywiste, że o wszystkim pomyślałeś. Ale dobrze wiesz, że nie w tym rzecz. Ona cię kocha, Antoni. Nawet jeśli afekt nie jest wzajemny, będzie cierpieć, gdy wyruszysz na bój.

– Jak kocha, to zrozumie i wybaczy. Proszę, nie wspominaj na razie Cecylii o moich planach, by jej nie martwić przed czasem. Nie zmienię zdania. Dla mnie to kwestia honoru.

– Rozumiem – odparł Gustaw.

Z honorem nie było dyskusji.

– No kiedy pojawi się ta pierwsza gwiazdka? – niecierpliwiła się Weronika, która od dłuższego czasu stała na krześle przystawionym do okna, przyklejając nos do szyby i wypatrując sygnału do rozpoczęcia wieczerzy.

Babcia kilkakrotnie ją napomniała, by nie dociskała buzi do zimnego szkła, ale przecież w tym była cała zabawa, by jak najdłużej wytrzymać. No i niby jak miałyby spoglądać w ciemniejące z wolna niebo? A poza tym chyba lepiej, że nie broi tak jak Zygmunt, który wciąż krążył wokół stołu i próbował coś podjeść. Oczy brata świeciły się do pachnących smakowicie kołaczy i kukielek, choć najchętniej skubnąłby zakazany tego dnia kawałek kiełbasy, bo w brzuchu burczało mu już tak głośno, że chyba wszyscy to słyszeli, nawet młodsza siostra.

– Głodny jestem – marudził, lecz babcia tylko go ofuknęła, że jest post, więc trzeba się poświęcić.

Aby zająć czymś dzieci, Maria zaczęła opowiadać historię zasłyszaną jeszcze w dzieciństwie od swego dziadka.

– Dawno temu to było, na długo przed tym, jak pojawiłam się na świecie. Mój dziadunio musiał być wtedy malutkim chłopaczkiem, a przecież będzie już z pięćdziesiąt років, jak go złożyli w mogile. Jemu tę historię opowiedziała jego babcia ku przestrodze. Musicie wiedzieć, dzieciaczki, że prawdą jest, jakoby w noc wigilijną bydłatka przemawiały niczym ludzie. Ale biada temu, kto z cieżej ciekawości pójdzie o północy do stajni, by się dowiedzieć, o czym gadają – westchnęła smutno, kiwając głową.

– A ja bym się zakradł – stwierdził od razu Zygmunt.

– Niech cię ręka boska broni! – przestrzegła go babcia. – Poszedł jeden gospodarz tuż po wieczerzy, by dać siana bydłatom. Jak już napełnił żłoby, to postanowił, że ukryje się za świńskim korytem, bo tam go nie zobaczą, i poczeka do północy, żeby ich posłuchać. Strasznie był ciekaw, co o nim powiedzą. Siedział więc cierpliwie, aż tu naraz rozległy się głosy ni to ludzkie, a jednak nieludzkie. Gęsi zaczęły pierwsze, bo one najbardziej gadatliwe. Narzekały, że jak gospodyni

skubie pióra, to za mocno ściska im nóżki. Kury gdakały jak głupie, że komornica podbiera im ziarno. Krowa machnęła ogonem i niewiele miała do powiedzenia, tęskniła już za soczystą zielenią łąk. Na ostatek odezwał się konik. „Dobry ten nasz gospodarz”, postukał kopytkiem, „i aż żal mi serce ściska, bo jeszcze przed Wielką Nocą powiozę go na cmentarz”. „To pewne?” wystraszyła się Mućka, szturchając go rogiem, lecz kasztanek tylko potrząsnął grzywą i już zamilkł. Kmieć przeraził się śmiertelnie, słysząc te słowa. Wyśliznął się ze stajni, pobiegł do izby, by o wszystkim opowiedzieć rodzinie. Na początku nikt nie dawał mu wiary, lecz on bardzo się tym frasował, a gdy niespodziewanie umarł, choć na nic nigdy się nie uskarżał, wszyscy sobie przypomnieli o końskiej przepowiedni. Od tamtej pory każdego przestrzegali, by nie podsłuchiwał, o czym w noc wigilijną rozmawiają zwierzęta. Bo o takich wróżbach lepiej nie wiedzieć – skwitowała.

W tym samym czasie, gdy Maria zabawiała dziatki, Wojtek, z powagą godną siedemnastoletniego młodzieńca, ustawiał w czterech rogach salonu snopy zboża przyniesione na pomyślność przyszłorocznych żniw.

W kuchni trwały ostatnie gorączkowe przygotowania. Gienia raz po raz zaglądała pod pokrywki perkoczących garnków, mieszając warzechą zawartość i usiłując zapanować nad pokusą pokosztowania tego i owego. Ona i Michał spędzali tegoroczne święta u gospodarzy, ponieważ właśnie im wypadła służba. Ale Bernadeta, widząc zwieszony na kwintę nos służącej, od razu zapowiedziała, że obydwójce ze ślubnym będą mogli zasiąść z nimi przy stole, bo są dla nich jak rodzina.

Ech! Taka pani to prawdziwy skarb! Nie wynosi się nad prostych ludzi jak inne dziedziczki. Dobre ma serce, choć jest wymagająca – powtarzała sobie w duchu dziewczyna, rozglądając się po kuchni. Zobaczyła w kącie wiadro z brudną wodą, która została po umyciu podłogi. Złapała za kabląk i wyszła z kubłem kuchennymi drzwiami na podwórko.

– Uciekajcie wszystkie dusze, bo ja wodę wylać muszę! – krzyknęła, nim pozbyła się zawartości.

– Gieniu! Michale! – Z głębi dworu dobiegło nagle wołanie Bernadety.
– Czas wieczerzać!

Pan domu poprowadził modlitwę.

Weronika, trochę znudzona, wodziła wzrokiem po dekoracjach. Czego tam nie było! I aniołki, i gwiazdki, i małe krzyżyki ze słomy wplecione starannie maminymi rękami, zdobne we wstążeczki, bibułka oraz piórka. Nad stołem zawieszono podłazniczkę ozdobioną ciasteczkami, kłosami i orzechami. Gałązki jedliny pozatykane zostały za ramy obrazów i futryny. Nogi stołu nakrytego białym obrusem, spod którego wystawały wiechcie siana, obwiązano sznurem, by chleb trzymał się domu. Na obrusie hojnie rozsypało ziarna zbóż, groch i soczewicę, a pomiędzy nimi odświeżone wystrojone Gienia rozstawiła misy z pierogami o różnym nadzieniu: z kapustą, grochem i grzybami, prócz tego dania z kaszy i soczewicy. A wszystko to, choć postne, pachnące tak smakowicie, że dziewczynce już dłużyły się ojcowskie modlitwy.

– Tedy zachowaj nas, litościwy Boże, w dobrym zdrowiu, szczęściu i wszelkiej pomyślności, strzeż od głodu, chorób i wojen – zakończył Prokop, czyniąc znak krzyża.

– Wigilia piękna i jutrznia jasna, będzie stodoła ciasna – stwierdził Trzos, wyglądając przez okno w poranek Bożego Narodzenia.

Choć starał się z optymizmem spoglądać w przyszłość i szukał wszędzie dobrych wróżb, w głębi duszy wciąż odczuwał niepokój. Parnicki uprzedzał go, że szlachta szykuje kolejny zryw narodowościowy. Był zresztą u niego kwestarz, którego hojnie zasilił pieniędzmi. Nie miał kogo posłać na wojaczkę, więc choć tak pragnął pomóc ojczyźnie. Nie chciał rządów Wiednia w Galicji. Rozsądek mu podpowiadał, że Polakom lepiej byłoby, gdyby mogli sami o sobie stanowić. Nie miałby wówczas poczucia krzywdy, że płacone przez

niego podatki pomnażają bogactwa cesarza, zamiast służyć potrzebom kraju.

Jak ziemia nie ma dobrego pana, to marnieje w oczach – vzdychał. Tak samo jest z Polską. Nieudolnie zarządzane państwo wciąż podupada.

Rozmawiał o tym ostatnio z Wojtkiem. Uważał, że młodzież powinna być świadoma pewnych spraw. Jeśli ojcowie nie nauczą synów, czym jest ojczyzna, to nikt inny tego nie zrobi. Polska od dziewięćdziesięciu lat rozdarta była pomiędzy zaborców. Zdążyli już poumierać ludzie, którzy pamiętali ją wolną. Nie można było dopuścić, by na zawsze przepadła w mrokach historii.

Może gdybym był młodszy, poszedłbym z innymi. Cóż, gdy już lata nie te. Człek dźwiga piąty krzyżyk. Piąty! A zdawać by się mogło, że ledwo wczoraj był młodzikiem! Wojtek za smarkaty, by się bić. Chłopak musi się uczyć – westchnął.

ROZDZIAŁ 10.

CZAS PRÓBY



Żołnierze powstania styczniowego

Rok 1863

I skra zapalna pojawiła się krótko po rozmowie Parnickiego ze szwagrem. W styczniu „czerwoni” wystąpili przeciwko Moskałom. Sześć tysięcy powstańców musiało stawić czoła stutysięcznej armii rosyjskiej, lecz mimo to stanęli do nierównej walki. Początkowo samotnie, mając zaledwie sześćset strzelb oraz szable, ruszyli do boju z potężnym wrogiem. Wkrótce jednak do zrywu narodowościowego włączyli się „biali”, więc siły powstańcze zaczęły rosnać w siłę.

Tymczasowy Rząd Narodowy ustanowił dyktatora, który miał dowodzić czynem zbrojnym. Dowództwo nad oddziałami objął generał Ludwik Mierosławski^[36], lecz początkowo nie sprawdził się w boju. Po klęsce pod Krzywosądzem oraz Nową Wsią postanowił ustąpić z funkcji na rzecz Mariana Langiewicza^[37], lecz i on nie podołał powierzonej mu misji. Mierosławski przybył więc do Krakowa, gdzie zaczął organizować nowe oddziały.

Cecylia z niepokojem obserwowała rozwój sytuacji. Wieści miała zawsze świeże, ponieważ Gustaw wciąż krążył po okolicy, rozwożąc meldunki osobom zaangażowanym w spisek. Denerwowała się jego działaniami, ponieważ miała pod opieką dwóch młodzieńców, którzy aż się rwali do bitki. Obydwoje z Antonim studzili zapal chłopaków i wręcz wymogli na nich przysięgę, że nie uciekną ze szkoły, by pójść na wojnę. Cóż, gdy Cecylia nie przewidziała, że o ile Maksymiliana i Juliana zdoła utrzymać w ryzach, to niespodziankę sprawi jej mąż.

Ślubny zajrzał do jej buduaru pewnego marcowego poranka, gdy wiosna leniwie budziła się do życia. Wyglądał nader poważnie, więc z miejsca tknęło ją nieprzyjemne przecucie.

– Antoni... Ty tutaj? – wymamrotała dziwnie zduszonym głosem, odprawiawszy wcześniej Helę układającą jej włosy. – Coś się stało? Wybierasz się dokądś?

Siedziała z niedokończoną fryzurą, wciąż jeszcze w porannym peniuarze, choć narzuconym już nie na koszulę nocną, ale na mocno zaciągnięty gorset i halkę. Wyglądała tak apetycznie w delikatnych koronkach i jedwabkach, że nagle mężczyzna poczuł ucisk w klatce piersiowej. Nigdy wcześniej nie oglądał żony w bieliźnie za dnia. Pomyślał, że może gdyby przed laty zaglądał do jej pokoju nie tylko nocą, ale również o poranku, to obudziłoby się w nim gorące uczucie.

– Wyruszę wraz z Janem – wspomniał o Ostrowskim, mężu najmłodszej siostry – by dołączyć do powstańców. Nasi potrzebują każdego mężczyzny, który jest gotów stanąć do walki z Rosjanami.

– Dlaczego akurat ty? – Załamała ręce. – Są młodszy!

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie jestem już młodzieniaszkiem. Ale ja muszę, Cecylia. Ślubowałem kiedyś samemu sobie, że jeżeli dobry Bóg obdarzy mnie dziedzicem, to stanę na pierwsze wezwanie ojczyzny. Nie udało się przed laty, gdy zostałem, by bronić dworu i wszystkich ludzi, których kocham, przed ewentualną rabacją. Teraz jestem o was spokojny, chłopcy nie stanowią zagrożenia. Tym razem Austriacy nie podburzą ich do wystąpienia przeciwko szlachcie. Zresztą na razie będziemy się bić z Rosjanami – tłumaczył spokojnym, lecz zdecydowanym tonem. – Wierzę jednak, że i na walkę z cesarzem przyjdzie odpowiedni czas.

Widział łzy wypełniające oczy Cecylii. Ubolewał nad tym, że przysporzył kobiecie cierpienia. Po blisko dwudziestu latach spędzonych razem nauczył się ją należycie cenić. Szanował żonę, choć nigdy nie obdarzył jej miłością. Żałował, że nie potrafi zmusić serca do uległości, lecz ono od dawna było tym samym niezmiennym rytmem. I nie miało znaczenia, że kosteczki Kornelii dawno temu rozsypały się w proch. W jego wspomnieniach i tęsknotach wciąż pozostawała żywa.

Podszedł bliżej i otoczył twarz żony palcami. Delikatnie otarł kciukami słone krople, które spłynęły na jej policzki.

– Bądź dzielna, Cecylia. Da Bóg, niebawem wrócę cały i zdrowy. Ojczyzna wzywa.

Kobieta wstała. Złapała go za nadgarstki, by choć o parę chwil przedłużyć moment pożegnania. Spojrzała mężowi w oczy.

– Jedź z Bogiem, Antoni. Będę się modliła o twój szczęśliwy powrót.

Nie próbowała go powstrzymać. Jeśli jej dzieci miały żyć w szczęśliwym, wolnym kraju, to ktoś musiał o niego zawalczyć. W minionych miesiącach wiele rozmawiała na ten temat z Gustawem. I o ile dawniej uważała, że ślubny nie powinien mieszać się w żadne wojenne draki, to teraz pojmowała istnienie wyższej konieczności.

Niewielki dworek Trzosów pogrążony był w głębokim śnie, gdy jedno z okien na poddaszu zostało otwarte. Po chwili wychyliła się z niego głowa. Chłopak rozejrzał się na boki, wytężył też wzrok, patrząc w stronę ciemnego ogrodu. Nie dostrzegając żadnych zagrożeń, przerzucił ponad parapetem prowizorycznie związany sznur z prześcieradła i dwóch zasłon.

Wojtek sprawdził, czy przygotowana przez niego lina mocno trzyma się metalowej ramy łóżka przesuniętego pod okno facjatki, poprawił pas od dubeltówki przewieszanej przez plecy, a następnie ostrożnie wylazł na parapet i zaczął opuszczać się w dół. Nie mógł wyjść z domu drzwiami, gdyż mógłby obudzić rodziców, rodzeństwo lub służbę. Był głęboko przekonany, że gdyby go przyłapano, udaremniłoby mu eskapadę. A on miał już szczerze dość siedzenia z założonymi rękami i potulnego chodzenia do szkoły w czasie, gdy na świecie dzieją się tak ważne rzeczy. Nawet pan Parnicki, choć dawno temu stuknęła mu pięćdziesiątka, opuścił swój wygodny dwór oraz rodzinę, by walczyć z Moskałem. Dlaczego więc Wojtek miałby marnować czas na algebrę, która wzbudzała w nim dreszcz obrzydzenia, geometrię przyprawiającą go o skurcze żołądka, kaligrafię tak monotonną i nudną, że zwykle przy niej przysypiał, i inne dyrdymały? W szkole nie nauczą go prowadzenia lokomotywy! Jedyne podróże, jakie przeżyje, to te odbywane wskaźnikiem po mapie.

Zresztą ojciec nie chciał słyszeć o tym, by syn pracował na kolei, dodatkowo jako maszynista! Prokop widział go jako eleganckiego ziemianina, zajętego własną rolą, wyprawiającego się na łowy do Puszczy Niepołomickiej lub do lasu w Kokotowie i asymilującego się nie z plebsem, ale z okoliczną, mocno zubożałą szlachtą.

Cóż za banialuki!

Szlachta gardziła Trzosami. W ich oczach wciąż byli podgatunkiem ludzi, prostakami, którzy odnieśli sukces ekonomiczny, choć nie powinni. Mimo swoich niespełna osiemnastu lat Wojtek doskonale widział, jak wielki dystans dzieli go od Wimmerów, Niedzielskich czy nawet Parnickich, choć ci ostatni byli nader życzliwymi ludźmi i nie wynosili się ponad jego rodzinę. Czasami nawet gadał z paniczami Juliuszem oraz Maksymilianem, a w dzieciństwie zdarzało im się razem bawić, gdy ojciec zabierał go ze sobą, jadąc z wizytą do pana Antoniego. Ale nie bez przyczyny *madame* Cecylia ociągała się z wizytą w ich domu, choć rodzice wciąż ją zapraszali.

Trzosowie w ogóle darzyli rodzinę Parnickiego wielkim szacunkiem, określając ich jako dobrodziei, dzięki którym mogli w ostatnich latach podnieść swój status społeczny i materialny. Antoniemu ojciec zawdzięczał posadę ekonoma na dobrach po wdowie Żelechowskiej, która dawała niezły roczny kapitał. I to od Parnickiego Prokop odkupił dwa łany żyznej ziemi oraz kawał lasu.

Niech se Zygmunt uprawia grunt, a Weronika próbuje sił na salonach. To nie dla mnie! – rozmyślał buńczucznie, biegnąc przez ogród w stronę płotu okalającego posesję. Już wiedział, że nawet gdy wojenna przygoda dobiegnie końca, nie wróci pod matczyne skrzydła. No, chyba że ojciec zmieni zdanie co do jego przyszłości. Bo on ani myślał być rolnikiem! Już wolałby przystać do zbójeckiej bandy, niż wpasowywać się w wizję rodziców.

Biegł co tchu w płucach w stronę Niepołomic. Tam umówiony był ze swoim najlepszym druhem, Mietkiem Kurdzielem. Dalej pójdą we dwóch. Będą musieli przedostać się do oddziałów powstańczych, które

ponoć to walczą gdzieś pod Igołomią, to znowu kryją się w Puszczy Niepołomickiej. Przy odrobinie szczęścia może spotka pana Parnickiego, by wojować u jego boku. To byłoby coś! Bo jak już zasłynie z męstwa na polu bitwy, to pewnie Antoni szepnie jakieś dobre słowo na ten temat jego ojcu i nadmieni, że szkoda, by chłopak marnował się na gospodarstwie, skoro stworzony został do znacznie większych czynów.

Wojtek jeszcze nigdy nie szedł samotnie ciemną nocą przez puszcę. Nawet przed samym sobą nie chciał przyznawać, że trochę się boi tych wszystkich szelestów, trzasków, połyskujących w ciemnościach ślepi i odgłosów zwierzęcych, które zdawały się go osaczać. Wprawdzie miał przy sobie dwururkę, którą ojciec sprawił mu z myślą o polowaniach, ale jak po ciemku nabijać broń i mierzyć? Żałował, że nie naładował dubeltówki w domu, przed wyjściem, ale obawiał się, że podczas przełazenia przez okno może nieopatrznie zawadzić o cyngiel, a wtedy nieszczęście gotowe! Postawiłby pewnie na nogi cały dwór. Teraz musiał jakoś przemknąć skrajem puszczy, aby dostać się do Niepołomic.

Bomba wybuchła rano, tuż przed śniadaniem. Trzosowie już przyszli do jadalni, gdzie Gienia uwijała się przy nakrywaniu do stołu. Rosnąca w zamożność rodzina mogła sobie pozwalać na coraz większe zbytki, więc nawet w tak prostych czynnościach Bernadeta wyręczała się służbą. A niegdyśiejsza komornica, ta sama, która przybłąkała się umorusana i obdarta, teraz urosła do rangi ochmistrzyni. Takie czasy: jedni ubożeli niemalże w oczach, z dnia na dzień klepiąc coraz większą biedę, innym wiodło się wybornie i zyskiwali na znaczeniu.

– Mamo! Tato! Wojtek uciekł! – krzyknął Zygmunt, wpadając do pokoju stołowego.

– Co ty opowiadasz? – zdenerwował się Prokop, wstając gwałtownie.

Bernadeta także zerwała się z krzesła i rzuciła na stół serwetkę, którą właśnie miała rozłożyć na kolanach, by nie poplamieć nowej sukni.

– Nie ma go w pokoju. Okno jest otwarte, w izbie ział nie z tej ziemi. Wojtek uwiązał prześcieradło do łóżka i po nim musiał zleźć na dół! – paplał młody z przejęciem.

Trzosowie czym prędzej pobiegli na piętro, do niedużej sypialni zajmowanej przez Wojtkę. Rzeczywiście prawdą było wszystko, co powiedział syn.

– Chryste Panie! A gdzież tego huncwota poniosło? – jęknęła Betka, przykładając dłoń do piersi. Pierwszy raz w życiu przeklęła samą siebie za uleganie wielkopańskiej modzie, bowiem gorset, który od niedawna starała się nosić każdego dnia z jak najciaśniej zawiązaną sznurówką, odbierał jej swobodę oddechu.

Prokop rozejrzał się po spartańsko urządzonej sypialni. Na stole dostrzegł kartkę z jakimiś gryzmołami. Przebiegł wzrokiem po kilku liniach tekstu, mocno pobladł, a potem wykrztusił:

– Ten gamoń uciekł, by dołączyć do powstańców!

– O Matko Przenajświętsza! Co ty mówisz? – nie dowierzała ślubna, więc mąż odczytał na głos treść pozostawionej przez syna wiadomości. A potem siarczyście zaklął, nie jak ziemianin, za którego chciał uchodzić, lecz jak prosty kmiotek.

– Co on znowu wymyślił? – wykrzykiwał wzburzony mężczyzna. – Człowiek sobie ręce po łokcie urabia, by dzieciom żyło się lepiej, a pętał ubzdurał sobie wojaczkę! Smarkacz nieopierzony! Wsparłem powstańców czym mogłem, grosza nie poskapiłem, bo wiedziałem, że nikt z nas nie pójdzie walczyć.

– Prokopie, błagam, zrób coś! Przecież to jeszcze dzieciak! – lamentowała Bernadeta, załamując ręce.

Ich krzyki zwabiły do facjatki również Marię, która wciąż jeszcze była w nocnej bieliźnie. Ostatnio mocno podupadła na zdrowiu, więcej czasu spędzała w łóżku. Dla wygody umieszczono jej sypialnię na parterze, by nie musiała wspinać się po stromych schodach na piętro.

– Co to za wrzaski? Co się dzieje? – wychrypiała zaniepokojona starowinka, więc szybko wyjaśnili jej sytuację.

– No niech się mama nie denerwuje – prosił Prokop, widząc, że bardzo pobladła i łapie się za serce. – Zaraz zbiorę parobków i pojedziemy poszukać tego huncwota. A jeśli natrafimy na oddział powstańców, to poproszę, by go nazad przegnali, gdyby chciał do nich przystać. To jeszcze gołowąs! Nie powinni go brać w swoje szeregi – stwierdził, szarpiąc nerwowo zapuszczone niedawno bokobrody.

Bernadeta była zgoła odmiennego zdania. Jej matczyne serce od razu zakładało najgorsze scenariusze.

– Nikt go nie przegoni. Toż to chłopak rozrosły jak młody dąb. W barach szeroki, krzepki, w siodle dobrze się trzyma. I strzelać potrafi celnie, sam żeś go nauczył! – przypomniała ślubnemu.

– Bo cóż by z niego był za mężczyzna, gdyby nie potrafił używać dubeltówki – bąknął Prokop, przygryzając wargę. – A z Wojtka faktycznie kawał chłopca, więc choćby skłamał o swoim wieku, to każdy mu uwierzy. Zresztą co tu dużo łąć? Jest prawie dorosły.

– Dorosły, niedorosły! – denerwowała się Bernadeta. Krążyła nerwowo po pokoju, furkocząc sutymi halkami rozpiętymi na krynolinie. – Fiu-bździu ma w głowie! To jeszcze dzieciak!

– Tato! – Zygmunt szarpnął ojca za łokieć. – A Wojtek zabrał dubeltówkę! – Wskazał puste miejsce na ścianie, gdzie zazwyczaj wisiała broń chłopaka.

– Zabiją go! – Przerażona Maria załamała ręce. – Zabiją mi wnusia wstrętni Moskale!

Antoni nie rwał się na razie do wojaczki w pierwszych szeregach. Wiedział, że czas próby prędzej czy później nadejdzie, a wtedy przyda się jego dobrze naostrzona szabelka oraz celnie strzelająca dłoń. Z uwagi na wiek przydzielono go do grupy odpowiedzialnej za

rekrutowanie ochotników, zadanie to było nader ważne, gdyż wciąż brakowało ludzi, którzy gotowi byli ryzykować przelanie krwi za ojczyznę.

Jakież było jego zdziwienie, gdy kilka dni po tym, jak wraz z Janem Ostrowskim dołączył do oddziału, w grupce nowo przybyłych dostrzegł znajomą twarz.

– A co ty tu robisz, dzieciaku?! – wykrzyknął na widok Wojtka, który właśnie podszedł, aby się zaciągnąć. – Ojciec z matką wiedzą, że się wybierasz na wojnę?

Zdenerwował się trochę, ponieważ znał tego młokosa od pieluch. To jego nosiła pod sercem Trzosowa, gdy spotkał ją najpierw na niepołomickim targu, a następnie w okolicy Studzieńca. Gdy uratował brzemienne przed stratowaniem przez spłoszonego konia, nawiązała się pomiędzy nimi jakaś zadziwiająca relacja. I choć nigdy nie pokosztował wdzięków urodziwej chłopki, czuł się odpowiedzialny za nią i za to małe życie, które wówczas rosło w jej brzuchu. W tamtej chwili, o czym jeszcze nie wiedział, los mocno związał go z rodziną Trzosów, owocując w następnych latach przyjaźnią z Prokopem.

Chłopak był, zdaje się, z kolegą, takim samym gołowąsem jak on. Ubrani w szkolne mundurki nadrabiali minami. Młody Trzos miał na głowie czapkę kolejarską, z której wcześniej oderwał austriackiego orła, a przez ramię przewieszony pas z nabojami oraz dubeltówkę.

– Wiedzą. Zostawiłem im list z wyjaśnieniami – odparł młody, hardo spoglądając w oczy Antoniego.

– Bój się Boga, dzieciaku! Wracaj lepiej do domu, nic tu po tobie i twoim cherlawym koleźce. Matka pewnie oczy sobie za tobą wypłakuje!

– Ależ panie Parnicki! Ja nie wrócę do domu! Proszę mnie nie traktować jak dzieciaka. Chcę bić się za wolną Polskę! Na pohybel Moskalom! Potrafię celnie strzelać, mam własną broń! Ja muszę! – nalegał. Nie zamierzał wracać do domu niczym pies z podkulonym

ogonem. Zygmunt na pewno by go wykpił, a od ojca dostałby burę za głupią ucieczkę.

Antoni z dezaprobatą zmarszczył brwi.

– Wracaj do domu – powtórzył.

– Nie wrócę – odparł stanowczo młody. – A skoro tutaj się nie zaciągniemy z Mietkiem, to pójdziemy dalej, choćby i do Krakowa.

– No dobrze. – Parnicki z ciężkim sercem ustąpił, bo ten chłopak był dla niego niemalże jak syn. – Tylko mi obiecaj, że nie będzie zbyticznej brawury. Słuchaj się dowódców, miej oczy dookoła głowy i nie narażaj niepotrzebnie tyłka. Żebyś nie musiał donosić Prokopowi i Bernadecie, że syn poległ na polu chwały. Jeśli chcesz walczyć, walcz. Tylko z rozważą!

Oczywiście parobkowie wysłani na poszukiwania Wojtka nie zdołali go znaleźć. Nie natrafili także nigdzie w puszczy na żaden powstańczy oddział. Chłopak przepadł jak kamień w wodę. Trzosowie z zapartym tchem śledzili wszystkie doniesienia na temat przebiegu działań wojennych. Już kilka dni po zniknięciu syna otrzymali pierwsze, mocno zatrważające wieści.

Generał Józef Śmiechowski^[38], który dowodził oddziałami powstańczymi rozlokowanymi pod Wełczem, zarządził odwrót przez Wiślicę do Opatowca. Polacy, ścigani przez wojska rosyjskie wzdłuż austriackiej granicy, osłaniani byli przez dwa bataliony piechoty dowodzonej przez kapitana Stanisława Wierzbińskiego. Granicę pod Czernichowem zdołało przekroczyć około ośmiuset wojaków. Niestety dwudziestego pierwszego marca pod Igołomią Rosjanie otoczyli niewielki oddział liczący raptem około czterdziestu żołnierzy. Polacy, widząc, że znaleźli się w pułapce, postanowili nie stawiać oporu. Mimo to Moskale bezlitośnie ich pomordowali, zostawiając kilku rannych niedobitków.

Słyszając o tych wydarzeniach, Trzosowie próbowali zasięgnąć informacji, czy wśród pomordowanych albo rannych znalazł się ich syn lub ktoś znajomy, lecz wieści przychodziły skąpe i z dużym opóźnieniem. Pozostała jedynie modlitwa oraz nadzieja, że chłopak zdołał przekroczyć granicę i kryje się gdzieś w bezpiecznych zakamarkach puszczy.

– Pani Bernadeto! Pani Bernadeto! – wysapała Gienia, stając pewnego wiosennego dnia w drzwiach salonu. – Mam nowiny!

Trzosowa cisnęła na bok robótkę, którą wzorem ziemiańskich dam zajmowała się w wolnych chwilach. Zwykle haftowanie ją uspokajało, na pewno było przyjemniejszym zajęciem niż tkanie czy ubijanie masła, których to prac nie wykonywała już od dłuższego czasu.

– Mów! – zażądała krótko. – Jakie wieści przywozisz z Niepołomic?

– Dobrze! Ludzie gadali na targu, że ksieni staniąteckich siostrzyczek zdołała wyprosić u władz austriackich zgodę na to, by każdego dnia posyłać do lasu furmanki z żywnością dla powstańców, którzy znaleźli schronienie w puszczy.

– I co: Austriacy tak po prostu się zgodzili? – zapytała Trzosowa z wielkim powątpiewaniem, ponieważ nie widziała w tym interesu cesarskiego. Wszak i dla Wiednia powstańcy musieli być solą w oku, choć walczyli z Moskalami. Urzędnicy mogli przecież łatwo przewidzieć, że skoro Polacy wypowiedzieli posłuszeństwo rosyjskiemu imperatorowi, to prędzej czy później zbuntują się także przeciwko rządowi Franciszka Józefa Habsburga^[39].

– Ano wyrazili zgodę. Nasze siostrzyczki cieszą się ich respektem. Słyszałam od świekry, jak przed wielu laty sam cysarz wizytował klasztor. Ponoć gdy wchodził na furtę, już w progu odpięła mu się sprzączka od pasa do mocowania szabli. Broń upadła na posadzkę. A że Habsburg był bogobojny i przesądny, uznał to za znak niebios.

Wprawdzie odebrał zakonnikom część włości, ale i tak nasze benedyktynki mają szczególne względy i mogą swobodnie działać.

– Tak, to prawda – odparła Bernadeta. – I ja słyszałam o tym, gdy uczęszczała do ich szkółki. Czyli Austriacy dali zgodę – upewniła się, a wtedy pokraśniała z radości Gienia przekazała dalsze wieści.

– Tak! Dali. A ja na targu gadałam z jednym parobkiem, który był parę razy wozem w puszczy. Pociągnęłam go solidnie za język i od słowa do słowa dowiedziałam się, że na własne oczy widział tam naszego Wojciecha. Panicz znalazł miejsce w szeregach pułkownika Różańskiego. I wraz z nimi jest także pan Antoni Parnicki, który ma oko na młokosa.

– Bogu niech będą dzięki! – odetchnęła Bernadeta, ufając, że zacny sąsiad nie dopuści, by Wojtkowi stało się coś złego. Zerknęła na męża, który od dłuższej chwili stał w drzwiach salonu, przysłuchując się ich rozmowie. – Słyszałeś? Wojtek się znalazł!

Mężczyzna pokiwał głową. Na jego twarzy malował się wyraz ulgi.

– Antoni jest rozsądnym człowiekiem. Dopilnuje, by chłopak nie narażał się na zbędne ryzyko – stwierdził, podziwiając jednocześnie starszego od siebie o ładnych parę lat szlachcica, który znalazł dość energii, by znosić powstańcze trudy.

Tymczasem w Krakowie trwały gorączkowe przygotowania do kolejnej potyczki z Moskalami. Generał Ludwik Mierosławski organizował w pośpiechu wojsko i gromadził niezbędne uzbrojenie. Austriacy odkryli miejsce składowania broni i tym samym mocno popsuli szyki powstańcom, którzy podjęli decyzję o pospiesznym wyruszeniu do Kongresówki. Wieczorem trzeciego maja wymaszerował oddział składający się ze stu pięćdziesięciu trzech ochotników, dowodzony przez kapitana Stefana Malczewskiego. Powstańcy zabrali całą broń, którą zdołali ocalić, w tym dwie czterofuntowe armaty pochodzące

z zakładów Zieleniewskiego oraz kosowozy, skonstruowane naprędce według pomysłu Mierosławskiego. Machiny te, zaopatrzone w system kręcących się kos, miały dawać osłonę powstańcom. Sam generał Mierosławski został chwilowo w mieście, gdzie wyznaczył sobie zadanie zebrania większej liczby ochotników. Następnie, w ciągu kolejnej doby, zamierzał wraz z nimi wyruszyć do walki.

Powstańcy z puszczy nie bawili długo w kniei. Wszak nie po to przygotowywali się do zrywu narodowościowego, by szukać schronienia w krzakach. Gdy tylko usłyszeli o planach Mierosławskiego, postanowili dołączyć do garstki ochotników i stanąć do boju.

– Ty, młodziaku, miej oczy dookoła głowy. Całe życie przed tobą, żebyś nie dał się zabić! – przestrzegał Parnicki Wojtka, gdy wychodzili w drogę.

– Ma się rozumieć, panie Antoni! – wykrzyknął podekscytowany chłopak, a następnie zaczął nucić: – *Bywaj dziewczę zdrowe, Ojczyzna mnie woła, / Idę za kraj walczyć wśród rodaków koła, / I choć przyjdzie ścigać jak najdalej wroga, / Nigdy nie zapomnę, jak mi byłaś droga* ^[40].

Rankiem czwartego maja wojska powstańcze zgromadziły się w Pobiedniku Wielkim i ruszyły w kierunku Igołomii. Nie była to łatwa wędrówka, zarówno armaty, jak i kosowozy znacznie ją spowalniały, grzęznąc kołami na piaszczystych drogach i w błotnych, gliniastych koleinach. Polacy znajdowali się jakieś dwie wiorsty przed Igołomią, gdy natrafili na oddział kilkunastu strażników granicznych.

– Obejście! – rozległ się szmer.

Oddział natychmiast stanął, a dowódcy naprędce zaczęli się naradzać nad dalszymi poczynaniami. Ostatecznie podjęli decyzję, by puścić czterdziestu ludzi tyralierą naprzeciwko Rosjanom. Manewr przyniósł zamierzony skutek, gdyż na widok zbliżającej się polskiej piechoty strażnicy pierzchli w popłochu.

– Hura! – wykrzyknął podekscytowany Wojtek, widząc pierwsze, nader łatwe zwycięstwo.

Przed południem całą kolumną rozlokowali się w Igołomi, oczekując na posiłki lub dalsze rozkazy. Atmosfera była radosna, żołnierze postanowili wykorzystać sposobność i złapać oddech przed kolejną potyczką. Oczekiwali, że niebawem nadciągnie Mierosławski z kolejnymi oddziałami ochotników. A potem, po uzgodnieniu strategii działań, uderzą na Moskali. Spodziewali się kolejnego zwycięstwa. Mieli armaty i kosowozy, a nade wszystko chęci do walki i wielką determinację.

Antoni kątem oka obserwował Wojtkę i Mietkę. Chłopaki rozłożyli się w cieniu drzewa z zamiarem ucięcia sobie drzemki. Stwierdził, że w gruncie rzeczy to rozsądna decyzja. Trzeba było zebrać siły na resztę dnia. Straże zostały wystawione, więc nic nie powinno ich zaskoczyć. Na razie, poza służbą graniczną, nie natknęli się na obce wojska, choć wiadomo było, że Rosjanie stoją gdzieś pod Proszowicami. Byli jednak, w odczuciu Parnickiego, na tyle daleko, by dało się bezpiecznie przeczekać.

Mężczyzna zeskoczył z konia. Podetknął Dragonowi obrok, a sam przysiadł na moment obok Trzosa i jego kolegi.

– No jak? – zagadnął. – Jest duch walki?

Wojtek się wyprostował i wypiął pierś.

– A jakże! – wykrzyknął entuzjastycznie. – Będę strzelał do Moskali, ile wlezie. Wytlukę wszystkich, którzy mi się nadzieją przed dubeltówkę. Już ja im pokażę, gdzie raki zimują – odgrażał się, tłumiąc ziewanie.

Antoni żartobliwym gestem naciągnął mu czapkę na oczy.

– Zdrzemnij się, synu, bo tak szeroko ziewasz, że gotów byłbyś połknąć nie tylko mnie, ale i Dragona.

– Tak jest! – mruknął potulnie młody, a następnie ponownie ułożył się na kurtce rozciągniętej w cieniu.

Antoni pokręcił się jeszcze chwilę, gwarząc z Józefem Wimmerem i Maciejem Pikulskim – dobrymi znajomymi z Niepołomic, a następnie

rozłożył wśród wybujałych traw krótki żupan i na nim umościł się do drzemki. Opodał rozłożył się Ostrowski, gawędząc z Kubalą^[41] oraz Emanuelem Czermakiem^[42]. Parnicki przez chwilę leżał, dumając nad sytuacją. Zryw narodowościowy z całą pewnością nie szedł po myśli Polaków. Organizatorzy liczyli na zdecydowanie większą mobilizację ze strony chłopów i mieszczan, a tymczasem w szeregi polskiego wojska trafiła przede wszystkim szlachta. Zbyt małe wsparcie zostało udzielone z Galicji oraz Wielkopolski, brakowało nie tylko ludzi, ale również uzbrojenia.

Ech... to się jeszcze przeciągnie – westchnął, przesuwając na twarz konfederatkę^[43] ozdobioną białą-czerwoną rozetką, by nie raziły go promienie słońca.

Zasypiał już, gdy przed oczami zamajaczyła mu postać Kornelii. Żelechowska wyciągała ku niemu drobną, jasną dłoń, uśmiechając się zachęcająco.

Ogarnęła go fala tęsknoty.

Czasami myślał, że prawdziwej miłości nie sposób wykorzenić z serca. Bo Kornelia nie była jego słabostką ani przelotnym flirtem. Była wielkim uczuciem, które trwało mimo śmierci ukochanej kobiety.

– Moskale! Moskale nadchodzą!

Gromki krzyk Pikulskiego wybudził Antoniego z głębokiego snu. Mężczyzna zerwał się na równe nogi. W całym obozowisku wrzało niczym w ulu.

– Odwrót! – krzyczał kapitan Stefan Malczewski. – Odwrót w kierunku Pobiednika!

Parnicki zerknął na niebo. Musiał długo spać, gdyż słońce mocno zmieniło położenie. Gdy sięgnął do kieszonki po zegarek, zdumiał się, widząc, że dochodzi czwarta po południu. Widać trudy wcześniejszego

marszu dały mu się mocno we znaki. Rozejrzał się za Wojtkiem. Zobaczył, że wraz z przyjacielem są już gotowi do wymarszu.

– Rosjanie nadciągają od strony Proszowic i Opatowca! Odwrót na Pobiednik! – padały kolejne komendy. – Ściąga na nas ze sześć rot piechoty! Odwrót!

– Psiakrew, zaskoczyli nas – stęknął Parnicki do Wojtka, dosiadając karego ogiera. – Mierosławski nie dotarł z posiłkami.

– Wszystko na to wskazuje – odparł Trzos.

– Pewnie tamta zgraja obejszczyków, cośmy ich pogonili, przedostała się na pozycje Moskali. Wiedzieli, gdzie żeśmy się rozlokowali – stwierdził Mietek, czochrając się po lekko ryżawej czuprynie.

– Miejcie się na baczności – rzucił szlachcic. – W razie czego będę się trzymał w pobliżu.

Oddział ruszył w stronę Pobiednika, ciągnąc ze sobą armaty i kosowozy. Kapitan liczył, że gdzieś tam zajmą dogodniejsze pozycje, może nawet doczekają się na posiłki od strony Krakowa. Cóż, gdy na uciekających powstańców zaczęła szarżować rosyjska kawaleria.

– Oddział stój! – padł rozkaz kapitana, który zaraz dał polecenie tylnym odwodom, by przyjąć pozycję do strzału. – Ognia!

Z dystansu sześćdziesięciu kroków zdołali ostrzelać kawalerię.

Antoni wraz z chłopakami znajdował się w tym momencie na bezpiecznym czele kolumny. Z tej odległości słychać było wprawdzie palbę, lecz nie groziły im przelatujące kule. Z zapartym tchem obserwowali rozwój wypadków, gotowi, by z miejsca stanąć do walki.

– Zatrzymali się! Zatrzymali! – wykrzyknął Mietek obdarzony sokolim wzrokiem. By sobie pomóc, wlaź na pobliskie drzewo, z którego roztaczał się lepszy widok na okolicę. Z wyżyn swej pozycji relacjonował podekscytowany: – Nasi do nich kropią, ile wlezie! Pan Ostrowski tego do nich strzela! Jest tam również Wimmer i Kubala! Zatrzymali Moskali! Rosjanie się wycofują!

Polacy odczekali jeszcze chwilę, by się upewnić, czy kawaleria faktycznie odstąpiła. Wkrótce wyruszono w dalszą drogę, lecz niemal natychmiast pojawiło się nowe utrudnienie. Znowu świsnęły kule, z krzykiem na ustach padł ktoś ranny.

– Moskale strzelają! Piechota napiera!

Faktycznie od strony Proszowic i Opatowca nadciągało wojsko rosyjskie, strzelając do powstańców. Byli na tyle blisko, że zdołali zranić konie dwóch oficerów. W oddziale podniósł się tumult i zapanował chaos. Polacy bez rozkazu dowódcy zaczęli odpowiadać ogniem.

– Chodź, dzieciaku! – Antoni zirytował się na Wojtkę, który próbował ustrzelić Rosjan ze swej dubeltówki. Z wyżyn siodła pochylił się, złapał bezceremonialnie Trzosa za kołnierz i zaczął go ciągnąć, zmuszając do marszu.

– Niech mnie pan puści, panie Antoni! Trzeba bić Moskali! – denerwował się chłopak, lecz Parnicki był konsekwentny.

– Rozkazu nie było! Zwariowałaś? Pędem na Pobiednik, jeśli ci życie nie zbrzydło!

Młodzi rzucili się do ucieczki, choć wokół coraz groźniej świstały kule. Obok nich rozgrywały się podobne sceny; jedni chcieli strzelać do Rosjan, inni próbowali zmusić ich do odwrotu. Panował taki rozgardiasz, że nie słychać było rozkazów. To, co miało być w miarę spokojnym odwrotem na z góry upatrzone pozycje, przemieniło się w chaotyczną akcję. Już docierali w okolice Pobiednika, gdy okazało się, że zajęli go obejczyki. Było ich tam ze czterdziestu i ani trochę nie próżnowali, ostrzeliwując Polaków, którzy zostali zmuszeni do ominięcia miejscowości bokiem. Teraz jedynym ratunkiem mógł być most graniczny na Wiśle, oddzielający zabór austriacki od rosyjskiego. Zbliżając się tam, Polacy dostrzegli oczekujących policjantów austriackich. Na razie siły cesarskie nie podejmowały działań, obserwując rozwój wydarzeń, lecz sytuacja powstańców przedstawiała się coraz gorzej.

Granica była już blisko. Jedyne, co jeszcze można było zrobić, to po raz ostatni spróbować potyczki z Moskałem.

– Ustawić armaty! – padł rozkaz z ust kapitana.

Artylerzyści przygotowali dwa czterofuntowe działa Zieleniewskiego do strzału.

– Ognia!

Odpalono lont. Wtem jak gruchnęło! Rozległa się potężna eksplozja, poszedł ogień i dym. Najbliżej zatrzymał się Mietek. Ogłuszony hałasem złapał się za głowę. Przez moment nie słyszał absolutnie nic, widział jedynie, jak przyjaciel otwiera usta i coś mówi.

– Rozerwało armatę! – wykrzyknął stojący nieco dalej przerażony Wojtek, u którego stóp upadł martwy artylerzysta. Obok dwóch innych drgało w konwulsjach, detonacja działa solidnie ich zraniła.

Gdy spojrzał w bok, zobaczył Antoniego pochylonego nad Dragonem. Koń ze złamaną nogą leżał na boku. Widocznie wystraszyła go detonacja i niefortunnie odskoczył.

Parnicki przez chwilę głaskał zwierzę po chrapach, lecz widział, że wierny ogier cierpi i nie jest w stanie powstać. Drżącą dłonią przystawił colta patersona do wielkiego łba. Ze smutkiem po raz ostatni spojrzał zwierzęciu w oczy, a potem pociągnął za cyngiel.

– Żegnaj, konisiu – wyszeptał. Na nic więcej nie było czasu, musiał ratować własną skórę.

Żołnierze polscy, widząc, że zawiodła ostatnia linia obrony, rzucili się do ucieczki na terytorium austriackie, licząc, że policja cesarska nie przystąpi do bitwy.

Nic bardziej mylnego!

Austriacy także otworzyli ogień.

Jesteśmy w potrzasku! – przemknęło przez myśl Antoniemu.

Wciąż starał się mieć na oku Wojtka. Miał nadzieję, że chłopak zdoła się jakoś przedrzeć dalej, najlepiej w bezpieczne schronienie puszczy. Wokół trwały zaciekle walki. Austriacy bili Polaków bez opamiętania,

biorąc wielu z nich do niewoli. Widział, jak pojмали Walentego Przepolskiego^[44] i Macieja Pikulskiego. Ci jeszcze próbowali stawiać opór, szarpali się, wyrywali, lecz nie mieli szansy na ucieczkę. W pobliżu mignęła mu przez krótki moment sylwetka szwagra, który bardzo szybko zniknął mu z pola widzenia.

Młody Trzos, choć był niezbyt wprawny we władaniu białym orężem, dawno porzucił bezużyteczną dubeltówkę. Bronił się teraz przed szarżą austriacką za pomocą zdobycznego bagnetu, parując ciosy na prawo i lewo. Nagle poczuł na ramieniu uścisk czyjejś dłoni. Odwrócił się, to Parnicki próbował go za sobą pociągnąć w stronę lasu. Mieli szansę na ucieczkę, akurat przed nimi znajdował się prześwit wśród bitewnego zamętu.

– Mietek! Uciekamy! – zakrzyknął na przyjaciela.

Pognali co tchu. Już dobiegali do pierwszych zarośli, gdy dogonił ich jeden z policjantów z bronią gotową do strzału.

Antoni, widząc co się dzieje, pchnął z całej siły Trzosa. Sam machnął szablą, nieco na oślep, lecz jak się okazało dość skutecznie, ponieważ unieszkodliwił Austriaka. Cóż, gdy ten, nim padł, zdążył pociągnąć za spust. Parnicki zachwiał się, trysnęła krew.

Tymczasem Wojtek zdążył się pozbierać. Szybko rozeznał się w sytuacji. Nie tracąc opanowania, złapał wpół szlachcica słaniającego się na nogach i przerzucił go sobie przez ramię. Obok niego biegł wycieńczony Kurdziel, wciąż oszołomiony hukiem rozerwanego działa.

– Niech pan się trzyma, zaraz będziemy bezpieczni! – sapał Trzos, pędząc ile sił w nogach w głąb lasu. Wraz z Mietkiem niemalże na oślep pokonali szmat drogi, chłostani przez nisko zwieszone gałęzie, potykając się o korzenie wystające z ziemi, to znowu grzęznąc w błocie. Już dawno umilkł bitewny zgiełki i otoczyła ich cisza lasu. Wojtek zatrzymał się i ostrożnie ułożył szlachcica na ziemi. Bezradnie powiódł wzrokiem dookoła. Byli bezpieczni, dość daleko od pola bitwy, ale i od ludzkich siedzib, gdzie można byłoby szukać ratunku dla Parnickiego.

– Panie Antoni! – wykrzyknął zdenerwowany, gdyż ziemianin mocno broczył krwią, a oczy zaczynały mu uciekać w głąb czaszki. – Panie Antoni! Niech pan walczy! – sapał, uciskając ranę na jego piersi.

Mężczyzna spojrzał na chłopaka przytomnie. Jego zakrwawiona dłoń drżała, gdy sięgnął pod rozchełstany żupan. Wyszarpnął coś spod odzienia i ostatkiem sił wcisnął w garść młodzieńcowi.

– Od... daj... Ce... cy... lii – wycharczał poprzez krwawą pianę na ustach.

Trzos spojrzał na szkaplerz, potem na umierającego mężczyznę.

– Panie Antoni! Niech się pan trzyma. Zaraz sprowadzimy pomoc! Mietek, zrób coś – załkał przerażony.

– Od... daj Cecy... lii – powtórzył ranny, opuszczając powieki.

Kornelia, ubrana w balową suknię, chłodziła się delikatnie wachlarzem ze strusich piór. Antoni wyraźnie widział każdy detal jej przepysznego stroju oraz fryzury. Kobieta rozciągnęła usta w olśniewającym uśmiechu.

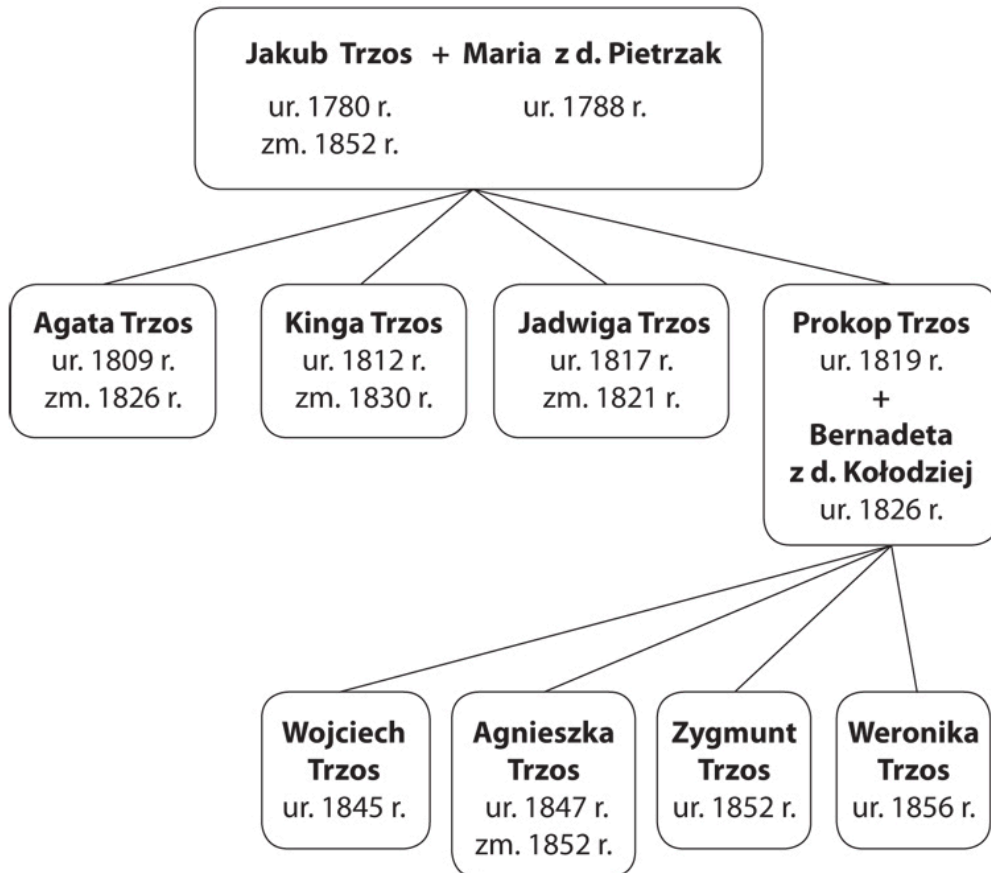
– Antoni! Kochany mój! Jakże ja za tobą tęskniłam!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY TRZOSÓW



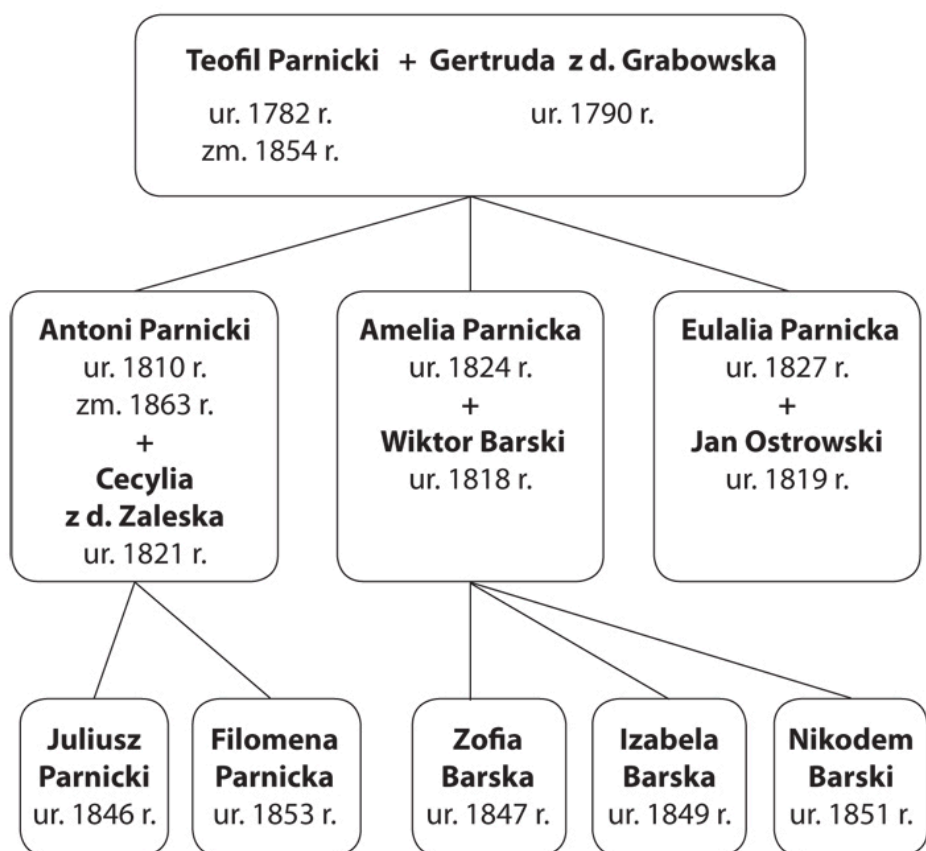
ROK 1863



DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY PARNICKICH



ROK 1863





PODZIĘKOWANIA:

Właścicielom Wydawnictwa Skarpa Warszawska serdecznie dziękuję za piękną współpracę, zaufanie i długie merytoryczne rozmowy.

Monice Orłowskiej za anielską cierpliwość, wszystkie wskazówki i podpowiedzi.

Moim kochanym Teściom – Zofii i Władysławowi Świątkom za rodzinne anegdoty oraz nieustający doping i ogromne zainteresowanie moją pracą literacką.

Mieczysławowi Janowi Jagle – prezesowi Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Niepołomickiej za udostępnienie archiwalnych zdjęć.

Marcie Wdaniec za użyczenie odręcznie spisanego śpiewnika swojej babci.

Wszystkim Czytelnikom i Bibliotekarzom – bez Was moje wysiłki nie miałyby najmniejszego sensu.

Eleonorze Chojnowskiej za wielkie serce i nieustające promowanie polskiej literatury.



BIBLIOGRAFIA

- Julian Zanicow, *Wokół Niepołomic i Puszczy Niepołomickiej*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2009.
- Jan Kracik, *Ludzie królewskich Niepołomic*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2008.
- Anna Siwek, Antoni Siwek, *Kronika Niepołomic*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2005.
- Anna Siwek, Antoni Siwek, *Kronika Niepołomic 1000-1945*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 1989.
- Marcin Korzec, *Niepołomice*, PUW Rokšana, Krosno 2001.
- Mariusz Niemycki, *O lichu, co króla mamilo*, Wydawnictwo Skrzat, Kraków 2008.
- Marcin Pielesz, *Opactwo Benedyktynów w Staniątkach*, Wydawnictwo Petrus, Kraków 2015.
- s. Małgorzata Borkowska OSB, *Gawędy staniąteckie*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2016.
- Barbara Ogrodowska, *Polskie obrzędy i zwyczaje*, Wydawnictwo MUZA, Warszawa 2012.
- Anna Sieradzka, *Tysiąc lat ubiorów w Polsce*, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2003.
- Praca zbiorowa, *Historia Polski. Atlas ilustrowany*, Wydawnictwo Demart, Warszawa 2014.



PRZYPISY

- [1] Świekra – staropolskie określenie matki męża (teściowej).
- [2] Kaletki – doszywane do gorsetów, zachodzące na siebie, trapezowate kawałki sukna mające na celu podkreślenie wcięcia w talii.
- [3] Snieszka, snecha – staropolskie określenie synowej.
- [4] Przyczołek – przegroda oddzielająca poszczególne części stodoły.
- [5] Łan – dawna miara powierzchni odpowiadająca w Małopolsce (łan frankoński) gruntom o powierzchni 24,2 hektara (48 mórg).
- [6] Kukielka – słodki wypiek.
- [7] Szurzy – dawne określenie szwagra, brata żony.
- [8] Mowa o Ferdynandzie I Habsburgu-Lotaryńskim (1793–1875), cesarzu austriackim panującym w latach 1830–1848.
- [9] Landwójt – wysoki rangą urzędnik policyjny, sędzia ziemski.
- [10] Halsztuk – trójkątna chusta noszona przez mężczyznę na szyi, wyparta z biegiem czasu przez krawaty i muszki.
- [11] Na motywach lokalnej legendy.
- [12] Na podstawie podań ludowych z okolicy Zakrzowa.
- [13] Na podstawie okolicznych opowieści.
- [14] Pociot – mąż ciotki.
- [15] Mowa o Stanisławie Augustie Poniatowskim, ostatnim władcy Rzeczypospolitej Obojga Narodów.
- [16] Cytat z *Pana Tadeusza* A. Mickiewicza, Księga III *Umizgi* w. 490-491.
- [17] Jedna mila to ok. 7,146 km.

[18] Ozwora (rozwora) – element konstrukcyjny wozu pozwalający na jego wydłużenie bądź skrócenie w zależności od potrzeb.

[19] Tekst pobrany ze strony: http://www.archiwum.brzeznic.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=765%3Aprzyspiewki-doynkowe-brzenica-2010&Itemid=158

[20] Gwarowo – słabe, mizerne, liche.

[21] Fragment piosenki ludowej – autor tekstu i melodii nieznany.

[22] Fragment piosenki ludowej – autor nieznany.

[23] Gwarowo – licytowała się, targowała, przekomarzała.

[24] Boisko – plac pośrodku stodoły, na którym zwykle młócono cepami zboże, a gdy nie było wykorzystywane w ten sposób, trzymano tam wozy i inne sprzęty gospodarcze.

[25] Na podstawie lokalnych opowieści.

[26] Edward Dembowski (1822–1846) – filozof, publicysta, pisarz, organizator powstania krakowskiego.

[27] Cesarstwie Austrii.

[28] Drobna miedziana moneta austriacka.

[29] Na podstawie *Kroniki miasta Niepołomic 1000-1945*, Anna Siwek, Antoni Siwek, Niepołomice 1989. r.

[30] Kołysanka ludowa. Autor nieznany.

[31] Pieśń ludowa. Autor nieznany.

[32] Franz Stadion (1806–1853) polityk i urzędnik austriacki, w latach 1847–1848 gubernator Galicji.

[33] Stróże – obowiązek pilnowania przez chłopów zabudowań dworskich oraz gospodarstwa.

[34] Podwoda – powinność chłopu pańszczyźnianego polegająca na posługiwaniu własnym zaprzęgiem w transporcie np. zboża na sprzedaż.

[35] Po likwidacji Wolnego Miasta i włączeniu Krakowa do Austrii w 1846 r. uniwersytet zreorganizowano na wzór austriacki i wprowadzono niemiecki jako język wykładowy. W latach 1860–1873 Galicja uzyskała znaczną autonomię

i w większości instytucji przywrócono posługiwanie się językiem polskim. Na Uniwersytecie Jagiellońskim nastąpiło to na mocy postanowienia cesarskiego z dnia 30 kwietnia 1871 r.

[36] Ludwik Mierosławski (1814–1878) – polski generał, działacz polityczny, pierwszy dyktator powstania styczniowego.

[37] Marian Langiewicz (1827–1887) – generał, dyktator powstania styczniowego.

[38] Józef Śmiechowski (1798 lub 1799–1875) – generał powstania styczniowego.

[39] Franciszek Józef I (1830–1916) – od 1848 r. cesarz Austrii i król Węgier, król Czech i król Chorwacji.

[40] Fragment pieśni z okresu Powstania Listopadowego, napisana prawdopodobnie pod koniec 1830 r. Autor nieznany.

[41] Kubala (imię nieustalone) – postać autentyczna, spokrewniony z ur. w 1893 r. w Podłężu koło Niepołomic Kazimierzem Kubalą – majorem, bohaterem I wojny światowej oraz wojny polsko-bolszewickiej i polsko-ukraińskiej.

[42] Józef Wimmer, Maciej Pikulski, Emanuel Czermak – postaci prawdziwe, mieszkańcy Niepołomic, którzy faktycznie brali udział w powstaniu.

[43] Powstańcze nakrycie głowy.

[44] Postać autentyczna.